

Alex. Brückner.

Walka o język.



Lwów. Książnica Polska.

ALEKSANDER BRÜCKNER

WALKA O JĘZYK



LWÓW 1917

NAKŁADEM KSIĄŻNICY POLSKIEJ TOWARZYSTWA
NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH WE LWOWIE
WARSZAWA — GEBETHNER i WOLFF. POZNAŃ
M. NIEMIERKIEWICZ.

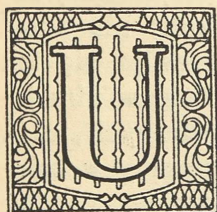


WYKONANO W ZAKŁADZIE DRUKARSKIM „GRAFIA”
LWÓW, UL. CHORĄŻCZYŹNY L. 27. TELEFON Nr. 1998.

Prześwietna Rado Szkolna
Królestwa Polskiego !

Prześwietna Rado Szkolna
Królestwa Galicyi !

Szanowne Towarzystwo
Przyjaciół Języka Polskiego !



państwowienie Królestwa Polskiego i wyodrębnienie Galicyi nabiera z każdym dniem coraz bardziej przełomowego znaczenia w całym życiu narodowym i każdej tegoż dziedzinie nowe nadaje piętno. Ten zwrot stanowczy ku lepszemu doty-

czy i mowy samej, powołanej teraz w Królestwie do coraz okazalszego występywania, przewodzącej wszechwładnie tam, gdzie ją do niedawna na milczenie skazywano, rozlegającej się obecnie, bez owych dawnych ograniczeń, z mównic i uczelni, z urzędów i sądów, z pola walki i z koszar polskich.

Przeglądami wojsk uświetnia się obchody narodowe, dnie chwały i zwycięstw, bojów i pokoju, od któregośmy, niestety, zawsze jeszcze bardzo dalecy. Przeglądem mowy naszej przysłużmyż się czasowi, jaki przeżywamy w największej radości dla zdobywcy narodowych, w smutku najgłębszym dla ofiar niezliczonych; obliczmy, czego naszej praktyce piśmiennej nie dostaje, co w niej zbyt brakuje, czy nie należy odmienić lub usunąć jakiej nawyczki. W chwilach uroczystych, co mimo nas biegają, zastanówmyż się nieco i nad tych chwil wyrazem zewnętrznym, nad owym narzędziem myśli naszej, czy nikłej, szarej, codziennej, czy odświętnej, wzniosłej a trwałej: nad piśmem i mową naszą, których piastowanie, przez długie

lata i na najszerzej przestrzeni narodowej, okazywało się, wbrew wszelkiej słuszności, już niemal jedynym tej narodowości znamieniem na zewnątrz. Takiemu to przeglądowi służą wywody poniższe, co badają niektóre dziedziny, szczególnie pisma, pod względem rozmaitych niedoborów, dla ich wypełnienia; przeróżnych skaz i nałogów, dla ich poprawy; wszelakich zbytków, dla ich okrzesań.

W ustroju narodowym oprócz wiary najbardziej zachowawczą dziedzinę stanowi właśnie język; nie znosi żadnych przewrotów czy przeskoków i rozwija się tak powoli, że po upływie całych wieków ledwie w nim jakich dostrzeżesz odmian i to całkiem zewnętrznych, n. p. w samym wystowieniu. Więc umyślnie unikamy wszelkiej nowizny; nie zrywamy z utartym zwyczajem, choćby i mylnym; uderzamy raczej na jawne ułomności, zagrażające językowi, jeżeli się im w czas nie zapobiegnie; zwracamy się głównie przeciw zbytnej dowolności, walczymy o większą jednostajność; żądamy przede wszystkim zgody jakiegokolwiek, żeby tylko powszechnej i obowiązującej wszystkich. Rozbieżności umysłowej nie usuwamy przenigdy; natomiast winniśmy przeprowadzić, czem rychlej tem lepiej, jednolitość językową, znamionującą piśmiennictwo każdego wielkiego narodu. Mogła Francya rozsadzać wszelkie pęty państwa i wiary, język jej piśmienny nie zerwał żadnego i znosi w najprzykładniejszym posłuszeństwie uciążliwe nieraz a niemądre przepisy. W Anglii trudności pisowni są jeszcze znaczniejsze; mimo to o ich ułatwieniu nikt tam poważnie nie myśli i powszechnej zachowawczości obyczajowej właśnie na tem polu najściślej się przestrzega. Język piśmienny rosyjski do takiej samej nawykł karności i biedzi się po dziś dzień z przekazem minionej, nawet nie własnej przeszłości; również utrzymują czeski język piśmienny wręcz

w karbach żelaznych. Dopiero u Niemców, wobec ich rozbicia państwowego, dawniej o wiele większego jeszcze, dostrzegamy niejedną niejednostajność w szczegółach rozmaitych, dziś ile sił starczy usuwaną. U nas, wobec naszego położenia, wobec braku urzędzeń, co by cały obejmowały naród, wobec zdawania wszystkiego na dobrą wolę ogółu i jego niezgodnych przewodników, okazy niejednostajności i nieustalenia w piśmie mnożą się ciągle i dopiero od niedawna przychodzimy do przekonania, że wypada temu zaradzić, że miejsce przeróżnych wątpliwości i dowolności winny zająć zasady stałe, obowiązujące nietylko brać piśmienną w chwilach zajęć zawodowych, lecz każdego, kto się pióra dotknie, jeżeli nie chce zdradzić braku najpierwotniejszej ogłady; obowiązujące przede wszystkim w szkole i prasie. Nie możemy przecież zdawać pisowni na łaskę czy domysły uczniów lub składczy. Winniśmy przeciwnie podawać im stałe przepisy czy prawidła, wyprowadzać uczniów z chwiejności i dowolności, uczyć ich choć na tem polu karności i posłuszeństwa.

Rozstrzyga tu szkoła, z niej wynosi młodzież nawyczki językowe, wedle niej urabia sobie język piśmienny i dlatego zwracam się ku obu Prześwietnym Radom Szkolnym, jako w tej sprawie najbardziej powołanym i za nią najwięcej odpowiedzialnym. Co one uchwalą i uświęcą, nas obowiązywać będzie; w Ich ręku leży i od Nich zawisło, aby nadać pisowni naszej, chwiejnej i wątpliwej aż nadto, pożądaną jednolitość. Uznała tę konieczność Warszawa już dawniej i powzięła uchwałę, aby zaprowadzić w szkołach własnych pisownię krakowskiej Akademii Umiejętności. Krok ten bardzo wymownie świadczy o należytem zrozumieniu ważności sprawy, lecz nie wystarcza nam dzisiaj, bo pisownia Akademii zostawia

zawsze jeszcze zbyt wiele miejsca dowolności, nie przeprowadza ściśle jednej zasady, chwieje się w tę i ową stronę. Wobec tego, że jedną z najważniejszych i najrychlejszego załatwienia ostatecznego wymagających spraw dawnej i nowej Rady szkolnej winno być właśnie ustalenie prawopisu dla celów szkolnych, umyśliłem podjąć na nowo szczegóły rozmaite tego zagadnienia, aby przygotować wszystko dla pomyślnego rozstrzygnięcia, jakie z szkoły w życie przejść winno. Pisałem nieraz o niejednym z tych szczegółów, brałem udział w rozprawach, toczonych nad tem w wydziałach akademickich, mimo to, nie obawiając się zarzutu powtarzania słów własnych, znowu sprawę wytaczam, w nadziei, iż mi się uda przekonać niejednego, że należy raz przecież te spory pisowniowe, te wahania i wątpliwości w imię stałej jakiejś zasady usunąć. Korzystam zaś ze sposobności, aby poruszyć i inne sprawy językowe, ważne dla ogółu nie tylko piszących, ale i mówiących, co do których szkoła również i nauczycielstwo nasze wszelkich stopni głównie przyłożyć się mają, jeżeli chcemy pomyślne osiągnąć skutki, a przede wszystkim pozbyć się nie jednej nawyczki, ubliżającej nieraz wcale dotkliwie powadze narodowego języka i dlatego godnej potępienia.

Wszelka myśl czy chęćka jakiegokolwiek narzucania mego sposobu widzenia jest mi przytem zupełnie obca; wychodzę bowiem z zasady, że za zgodą powszechną i zła pisownia miejsce dobrej zabierać winna; że jednolitość pisowni, acz złej, zawsze przedkładać należy rozbieżności pisowni choćby najlepszej; że bez ustępstw wzajemnych w rzeczy ściśle umównej, jaką jest każda pisownia, nigdy się nie obejdziemy. Zwracam się zaś nie do zawodowców, lecz do najszerszego ogółu; dlatego omijam wszelkie wywody umijętne i wszelkie słownictwo nau-

kowe, starając się o najbardziej przystępny wykład tych zagadnień, drobnych samych w sobie nieraz aż do śmieszności, mimo to zlewających się ostatecznie w całość budowy językowej, i dlatego samego nie godnych lekceważenia. Dla uniknięcia nawet pozorów jakiegokolwiek sporu omijam wszelkie wymienianie osób, mając tylko rzecz samą na pieczy.

U progu niespodziewanie ziszczonej państwowości polskiej należy się nam przeprowadzenie ogólnych a jednolitych prawideł językowych, obowiązujących odtąd każdego z nas w piśmie, gdyż o nie przeważnie chodzi; mowie ustnej pęć się nie narzuca w przekonaniu, że i tak z czasem pismo na nią wpływa, jak i na odwrót do niej się stosuje. Dbalości o schludność czy wytworność i o rodzimność szaty językowej i jej kroju nie zaliczymy chyba do niepotrzebnego marnowania czasu i pracy, papieru i druku, dlatego też podjąłem się wywodów poniższych i z tegoż stanowiska proszę o ich ocenę. Chwilę, zdaje się, obratem najbardziej stosowną: nowym zadaniom, nowemu powołaniu na szerszej widowni ma sprostać język, wolny od zaśniececia cudzoziemszczyzną, co go nieraz szpecila, wolny od nierównomierności w pisowni, co mu chluby nie przynosiła. Przyłożyć się do tego w jakiegokolwiek mierze było zadaniem aż nadto pożądanem.

Jeżeli w Warszawie polecono świeżo kilku zawodowcom, aby ustalili ostatecznie słowa i melodyę trzech pieśni narodowych, aby usunęli wszelką ich niejednostajność, toć zasłużyły chyba pisownia i język na podobne uwzględnienie. Ile tu braków i niedomagań; jak mało wystarczają czy to „Prawidła pisowni polskiej“ Akademii krakowskiej, czy najnowszy, bardzo staranny „Słownik ortograficzny na podstawie uchwał Akademii i t. d.“ A. Passendorfera z r. 1911., czy Gramatyka Polska Kryńskiego; ile tam

sprzeczności, to wykażą uwagi poniższe, przeznaczone dla ogółu czytającego, dla szkoły, ale i dla grona tych ludzi, jakich obiorą obie Rady Szkolne, każda dla siebie, aby wyniki ich pracy pogodzić i jako obowiązujące szkołę a z nią nas wszystkich uchwalić. Nie narzucam niczego, lecz przedkładam, jak się rzecz ma a jakby się mieć mogła czy winna, przed sądy takiego grona, aby mu ostateczne rozstrzygnięcie ułatwić i drogę do zgody wskazać. Ktoby zaś, czytając wywody poniższe, dziwił się ich drobiazgowości — jakby chodziło tylko o to, co piszemy, nie jak piszemy — temu wykażemy przykłady narodów, co o swój język od dawna w osobnych akademiach dbały, jak francuski lub włoski, gdy Polska się oń nie troszczyła wcale, zawsze przekonana, że wszystko samo od siebie się robi. Nie dbała Polska o wojsko ani o szkoły własne, aż skutki niedbalstwa poznała; nie dbała o język, aż potworne za czasów saskich tegoż zubożenie, zaśniecenie obczyzną na każdym polu (a najbardziej właśnie w wojskowości), chwiejność pisowni najdowolniejsza, o pomstę do nieba wołały. Przechodziły i inne języki narodowe (niemiecki, czeski) podobne koleje, ale wzięły się czy znacznie rychlej, czy znacznie silniej do naprawy błędów i w pracy tej dotąd nie ustają.

Jakież panują u nas wyobrażenia o pracy podobnej? Świeżo wypisał „Kuryer Polski“, co następuje: „nawołują oto ludzie dobrej woli do zawiązania nowego zrzeszenia *zupełnie zbytecznego* Przyjaciół Języka Polskiego. Takie stowarzyszenie w jednym tylko razie miałoby sens... gdyby można było... narzucić jedną pisownię polską... jeżeli tę sprawę z programu Towarzystwa wyłączyć, to co tam zostanie? Walki z prowincjonalizmami (!), z dyalektami prowadzić u nas niema potrzeby. Polska posiada chwałę

Bogu jedność językową, o jakiej Niemcy, Francuzi, Włosi, Anglicy marzyć ledwie mogą... Po za tem nasz język jest nie dość ustalony, zbyt bogaty, zanadto wolnościowy, język to w swej fazie twórczej, w okresie młodości, brakuje mu kanonów klasyczności... musi się skondensować, okrzepnąć, ale tego nie robi żadne towarzystwo, chyba takie, któreby zrzeszyło dziesięciu Mickiewiczów i Sienkiewiczów, do czego brakuje nam w chwili obecnej akurat dziesięciu członków“.

Odpowiedź na drwinki gotowa: właśnie tych dziesięciu Mickiewiczów i Sienkiewiczów, których nam nie-dostaje, nie przyłożyłoby się wcale do „skondensowania i okrzepnięcia“ polszczyzny, bo zadanie czy powołanie Mickiewiczów i Sienkiewiczów, jak przeszłość dowiodła, było inne zupełnie. Na Mickiewicza sypały się niegdyś gromy, że tylko rozchwiał język „skondensowany i krzepki“. Towarzystwo Przyjaciół Języka Polskiego oprócz sprawy pisowni (o walce z „dialektami“ i mowy niema) mogłoby zająć się inną, ważniejszą o wiele rzeczą. Czytamy bowiem w tym samym łamie, w którym owe drwinki ogłoszono, takie zdania: specjalna podkomisja opracowuje projekt kasy chorych, ustanowiła własne dyżury w tymczasowym lokalu; inicjowała nowe związki z pośród robotników instytucji miejskich... Opór magistratu nie pozwolił na zalegalizowanie tych związków... komisja centralna weszła w styczność z sekcjami... wzięła udział w pracach komisji organizującej inspektorat przemysłowy i t. d. i t. d.

Nie słysząc nic o jakimś Towarzystwie Nieprzyjaciół Języka Polskiego; mimoto działalność jego widoczna, bo wypływa ze zdań powyższych, niby polskich, które prawdziwie polskimi zastępywać byłoby jednym z zadań Przyjaciół Języka Polskiego, coby na dniówkach (nie dy-

zurach) urządzali (nie organizowali) dozór (nie inspektorat) wraz z osobnymi podwydziałami (nie z specjalnymi podkomisjami) zakładów (nie instytucji) miejskich w własnem umieszczeniu (nie lokalu) i wdrażali (nie inicjowali) uprawnienie (nie zalegalizowanie) i t. d.

Otóż do przyszłego Towarzystwa Przyjaciół Języka Polskiego — obyż jak najrychlej w życie weszło — zwracają się również wywody poniższe; zebrano w nich dane z rozmaitych dziedzin językowych, wskazano rozmaite wady czy wątpliwości i jakby im zabieżeć wypadało; o jakimś wyrokowaniu ostatecznem, nieodwołalnem nie ma w nich i mowy, chociaż rzeczy po imieniu nazywano; czyniono ustępstwa wbrew rozumieniu lepszemu, aby ilością zbytnią pomysłów nowych i wymagań nie zrażać bardzo u nas trwożliwego i odpornego mniemania ogółu — z chęci służenia dobrej sprawie, ale i w zamiarze przyłożenia się do tego, aby przynajmniej wypływające coraz, jak wąż morski, zagadnienie pisowniowe z porządku dziennego raz już usunąć, zgodzić się na byle jaką, ale jednolitą pisownię przynajmniej, jeżeli na innych polach językowych o zgodę podobną trudniej.

Nie streszczamy na razie, umyślnie, wywodów poniższych w postaci wniosków jakichś stanowczych; nie dajemy nieraz wyraźnych prawideł; wykładamy raczej i przedstawiamy zasady ogólne i szczególne od nich odstępstwa — na takiej podstawie niech wyrokuja inni, powagą urzędową czy obywatelską bardziej do tego powołani. Im wyrok ułatwić, oto niniejszej pracy pierwsze zadanie wdzięczne; jej drugie zaś następujące:

Aby skutecznie oprzeć się cudzoziemszczyźnie, aby nie brnąć po jej manowcach, co zagraża wkońcu odrębności i pełności języka narodowego, należy poznać jej dzieje, warstwy, wpływy, od kiedy i jak daleko w różnych

sięgała czasach, jakich doznawała kolejno przejść i odmian — należyż wroga poznać, chcąc się z nim skuteczniej borykać. W tym zamiarze wznowiłem własną pracę, wydaną przed laty, dziś wyczerpaną (Cywilizacya i język, szkice z dziejów obyczajowości polskiej, Warszawa 1904), lecz nie mogłem jej powtórzyć dosłownie. Własne i obce badania usunęły moc szczegółów mylnych; okazało się z czasem, że pomawiano jak najbłędniej liczne słowa, stare i nowe, o zapożyczenie, przeważnie z języków germańskich; wróciliśmy wielu słowom, lekkomyślnie posądzanym o początek obcy, ich rodzimość; odwojowaliśmy słowiańszczyźnie jej prawowitych potomków. W innych razach okazało się, żeśmy źródło obce nietrafnie oznaczali, że n. p. niem było, nie tureckie, lecz niemieckie dla *kiru* i *i*. Przedewszystkiem usunąłem własny dawny pogląd na mniemane pożyczki i wpływy czeskie (o wiele rzadziej i ruskie) na dawną polszczyznę; dziś już nie twierdzę, jak niegdyś, żeby *hardy* i *hańba*, *litość*, *powiedać* czy *śmietana*, dla pozornej nieprawidłowości (*h* zamiast *g* w *gardzić*, *ganić*; *i* zamiast *iu*, jak w *luty*; *ie* zamiast *ia*, *io* : *powiadać*, *miotać*) były z czeska pożyczzone czy tylko okraszone. Nie dziw; tylokrotnie napotymano wyraźne ślady wpływów obcych, zapożyczeń i t. d., że mimowoli wpadano coraz na podobne domysły i tam, gdzie one jak najmniej uzasadnione albo wobec wyraźnych świadectw przeciwnych wręcz niemożliwe. Z takimi sądami pospieszными zerwałem zupełnie i na każdej niemal stronicy wypadało dawne twierdzenia czy domysły usuwać; szczerby, co przez to powstawały, uzupełniałem nowymi, pewniejszymi szczegółami.

Malka z cudzoziemszczyzną.

Przywłaszczanie rzeczy obcych, narzucanie im bylejakiego znaku własności, aby ukryć przynależność pierwotną, uchodzi zazwyczaj za rzecz wcale podejrzaną i karogodną*). Nie w języku; z rzeczami obcemi i nowemi przywłaszczamy sobie bezkarnie i nazwy ich obce i niewiele temu można zarzucić — do pewnej jednak granicy. Należy baczyć, aby tego towaru przywoźnego nie było zanadto, aby nie cierpiało przytem słownictwo własne, aby go nie zagłuszały czy nie zatłumiały słowa obce. Tej granicy myśmy, niestety, nigdy nie przestrzegali, a skutek tego ten, że miewamy dla najprostszyc rzeczy ze cztery wyrazy, cóż z tego, kiedy wszystkie obce. Zasłonkę n. p. nazywamy welonem, woalką, kwefem, niegdyszlojerzem (słojerzem), a więc po francusku i niemiecku, tylko nie po polsku. Nam wystarcza, że tych obcych odmieniamy na nasz ład i że nieraz aż do niepoznaki wygląd ich ucierpiał; kwef odbiegł daleko od coiffe, a cykata n. p. przypomina raczej cykutę, niż właśnie succado, skąd wyszła — cóż dopiero rumianek, obszar, lubszczyk, co od polskości niby kapią, choć nic z nią nie mają spólnego.

*) Mylnie piszą i mówią karygodną, jak gdyby to były dwa słowa; złożeniu należy się karogodny, jak wiarogodny, wiarołomny i t. p. i nie można się przeciw temu odwoływać do mniemanych złożień, jak Bogumił, psikus (psiego kusa), psubrat, wielkanoc i t. p.

Niewielka nam pociecha, że u naszych sąsiadów nie wiele lepiej. Zalet niemieckich nigdy nie naśladowaliśmy, zato w nałogach podajemy sobie ręce. I tak nauczyliśmy się od nich pijaństwa — przynajmniej w wieku XVI tak u nas twierdzono powszechnie, chociaż co do tego i Litwa świetnie pomogła, sądząc, co o litewskim pijaństwie i obżarstwie, przypominającym ich żarłocznego roso-maka, Maciej Miechowczyk i spółczesny kaznodzieja bernardyński w Wilnie zapisali. Ale i inną, powszechniejszą wadę podzielamy z Niemcami. Bo oto między wszystkimi znaczniejszymi językami świata właśnie niemiecki i polski najbardziej cudzoziemszczyzną zachwaszczono i nie wiemy, któremu z obu pod tym względem przypisać pierwszeństwo. Szczególnie nasza mowa potoczna grzeszy takim przesadzaniem aż do obrzydzenia; język piśmienny jeszcze jako tako tej pstroczyny unika, pamięta o jakiej takiej czystości, wystrzega się jawnego zaniedbania, panującego niepodzielnie w gwarze ulicznej, towarzyskiej, domowej. Ucząc się z potrzeby języków obcych, nie władamy żadnym poprawnie, zato zaśniewamy własny naleciałościami z każdego, a powoli utracamy wszelką na to odporność. Czas najwyższy, aby otrząsnąć się z nałogu, wygodnego, ale szkodliwego aż nadto, niszczącego tkankę językową, jak alkohol nerwową.

I.

Każdy naród stoi ziemią, którą włada i uprawia, i językiem, co go wyodrębnia od sąsiadów, bliższych i dalszych. Zrzeszenia, którym obojga nieodstaje, tworzą wyznanie lub stan, nie naród; kto oboje utracił, skazał się na zagładę.

Cóż składa się na odrębność językową? Obok brzmień, końcówek i spółek, obok więzi słów i zdań, od-

znacza go własny zasób słów rodzimych i tymto zasobem mierzymy jego bogactwo, samoistość, wyrazistość, giętkość. Jakżeż ma się rzecz pod tym względem z naszym językiem? „Wznawiać ból niewymowny każesz mi, królowo!“ możnaby za Eneaszem zawołać, przemyślając straty i uszczerbki, na jakie narażała i naraża język nasza niezadarność, obojętność, ospałość — cnoty iście słowiańskie, co nam walkę o byt tak utrudniają: ów popęd naśladowczy do wszystkiego, co nieswojskie, na co od wieków znawcy Słowiańszczyzny sarkają — do dziś całkiem nępróżno.

Po takim wstępie odgadł już czytelnik, o co chodzi, i zachnął się niechętnie, bo pomyślał, że wylewający takie skargi sięga po zwiędłe wawrzyny tych, co siłą mocą z języka obcych przychodniów, acz daremnie, wyświecali; przypomniał sobie owe *deszczochrony*, *cichostępy*, *kor-kociągi* i tym podobne dziwolągi, których sobie wmówić nie dał i nie da. Lecz obawy jego tym razem są płonne; wcale nie zamyślamy kusić się o jakieś nowotwory; nie zamyślamy wywlekać odwiecznych przeciw czystości językowej grzechów, owego upartego pstrzenia mowy rozmałą cudzoziemszczyzną; nie zamyślamy prawić głuchym kazania o niepokalaności językowej, jak ją cenić, jak jej przestrzegać należy. Chcemy zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa, grożące językowi; chcemy wzmocnić jakieś zapory przeciw dalszemu jego psuciu; chcemy przytępioną wrażliwość piszących i mówiących znowu obostrzyć, a najłatwiejsza po temu droga: pokazać, jak się ten nałóg do wszelkiej cudzoziemszczyzny objawia; jak i kiedy się począł; co go tak rozwinęło, że zdołał zubożyć język, zanimeśmy się opatrzyli; czego dziś już ocalić nie można, a co jeszcze zawsze żywotne i tylko pieczy troskliwej, starania wymaga; kto i jak winien w tem przodować tak, aby siebie i rzeczy słusznej na śmiech nie naraził.

Lecz i na to wszystko zarzuci czytelnik, niespokojny i niecierpliwy: Czyż pora rozprawiać o słowniku właśnie, gdy cały świat, wzruszony w posadach, zawaleniem grozi? gdy niepewność, bole i straty najdotkliwsze coraz nami miotają? Zamiast odpowiedzi wprost zobaczmy, co się obok nas dzieje.

Walczą Niemcy z całym przeciw nim sprzysiężonym światem na zewnątrz a na wewnątrz z głodem i brakiem wszelkich potrzeb, od skóry i kruszców począwszy; mimo wytoczyli walkę i trzeciemu nieprzyjacielowi, językowi własnemu, o ile go obce naleciałości zeszpecily. W okresie najstraszliwszej i najcięższej walki o prosty byt bieżą w takie zawody o czystość językową nie jacyś Skoblowie, Waliccy, Blizińscy, nie jakieś jednostki zaciełtrzewione, narażające się na ośmieszenie ogólne, lecz władze same, wojskowe i cywilne, do niedawna najpewniejsze ostoje wszelakiej cudzoziemszczyzny. Poczta i koleje zwalczały ją już rychlej, ale nie zbyt wytrwale ani ogólnie, wprowadziły n. p. *frei* zamiast *franko*, *einschreiben* zamiast *rekommandiren*, *Bahnsteig* zamiast *Perron*, *Abteil* zamiast *Coupé*; teraz jednak wzięto się do rzeczy głębiej, korzystając z podniecenia narodowego. Policja wydała w porozumieniu ze związkiem, oddającym się zawodowo „oczyszczaniu“ języka ze śmieci, spis wyrazów z życia przemysłowego i kupieckiego, wytłumaczonych na niemieckie; groziła niepoprawnym grzywnami; zastanawiała się nawet jakiś czas n. p. nad zniemczeniem „fryzjera“ i polecała przynajmniej pisownię niemiecką obcej nazwy, *frisör*, nie *friseur*. Sejm rzeski zarzucił stanowczo *budżet*, rozprawia tylko o *Haushaltung*; dzienniki nie znają *redakcyi* ani *honorarjum*, mają natomiast *Schriftleitung* i *Ehrensold* (oba słowa wcale niezręczne); w teatrze niema już *Regie*, jest tylko *Spielleitung*; zamiast

adresów podają *Briefaufschrift*; wojskowość usunęła wyrazy *militärisch*, pisze *Heeressache*, a w doniesieniach z pola walki używa *Reiterei* zamiast *Kavallerie*, *funken* zamiast *telegraphiren* i t. d.

Nie zawadzi wtoczyć kilku słów o powodzi cudzoziemskiej w języku niemieckim, skoroż on z polskim w równej mierze sam się jej wydał. Już w wiekach średnich (najwcześniejszych nawet) wyższość kultury romańskiej nieztarte na niemczyźnie wycisnęła piętno i setki najważniejszych wyrazów do dziś o tem świadczą; najpospolitsze, bez których języka dziś ani pomyślimy, są całkiem obce, n. p. takie *Brief, Körper, Strasse, Mauer, Pferd, Keller*, nazwy wszelkich roślin uprawnych, owoców, części ubrania i uzbrojenia, towarów wszelkich, szczególnie przywoźnych — jednym słowem wszystko, co do kultury należy. Wiek siedemnasty, z upadkiem dobrobytu i znaczenia Niemiec, szczególnie za wojny trzydziestoletniej i wnet po niej, z wysunięciem się Francji na same czoło europejskie, podbił Niemce kulturze francuskiej, przejmujące stale wszystko co francuskie od pojęć o państwie aż do słownictwa, zagęszczanego zwrotami i wyrazami francuskimi aż do przesady nieznośnej, wręcz niemożliwej. Gdy się tego znowu powoli wyzbywano, narzucił język umiejętny, filozoficzny, szkolny — jednym słowem, moc nowej obczyzny; czytając Francuzów i Anglików, a ucząc się łaciny i greki, przyswoił sobie Niemiec wszelkie słowa „uczone“, na poły łacińskie, n. p. *Kontakt, Attraction, absolut, Principien, Nation* i tak w nieskończoność. W rozmowie potocznej uderza to samo, jakby użycie słowa francuskiego, czy innego obcego, świadczyło o oświecie; używa się go też umyślnie dla oddania jakiegoś niby odcienia osobliwszego; uczony Niemiec powie ci nawet: *ich will mich nicht decouvriren (!)* i te straszne szpeciagi

na *-iren*, zawaliły mu język, chociaż nie istnieją w żadnym innym i są całkiem zbyteczne (Anglik mówi przecież to *command*, Niemiec *kommandiren*, my telegrafować czy ślabizować, Niemiec *telegraphiren* czy *syllabisiren* i tak ciągle, bo zachował francuską końcówkę *-er*, dodając do niej własną *-en*, zamiast, żeby własną zastąpił obcą).

Mści się wygodą, nie dbając ani sadzącą się na nic swojskiego, godzącą się z tem zrzekaniem się na korzyść obczyzny, chętnie wyręczającą się obcem — „obce ręce gładkie, ale nie korzystne“, twierdzi słusznie przysłowie rosyjskie; mści się i chętką popisywania się, jakby się chciał dowieść, że się czegoś uczyło; mści się prostą nawyczką, że i inni tak mówią. Ocknęło się wkońcu sumienie narodowe; poczuło się do obelgi i poniżenia samowolnego i otrząsa się powoli z nałogu wiekowego; ośmiesza teraz, czem się dawniej niemal szczyciło. Mówimy to wszystko o Niemcach, cóż dopiero o nas samych powiemy!

Przecież język nasz w jeszcze gorszych znalazł się opałach. Niemcy walczą tylko z latynizmami i romanizmami, dawnymi czy świeżymi; myśmy natomiast wrota językowe na zachód i wschód gościnnie otworzyli i przybłądów zewsząd, Niemców, Romanów, Czechów, Rusinów, Tatarów, z najdotkliwszym własnym uszczerbkiem gościnnie przyjęli; dla nich wydziedziczyliśmy i wyrzuciliśmy, co było nasze, nieraz o wiele piękniejsze i lepsze; bez żalu i wstydu o niem zapomnieliśmy doszczętnie, zastąpiwszy je bez myśli i potrzeby wiazami postronnymi, tylko dlatego, że był na nie jakby popyt jakiś.

Jak daleko i to już nieodwrotnie po tej pochyłej drodze zabrnęliśmy, pokaże byle jak sklecone, niemądre zdanie, w którym zato ani jednego polskiego słówka nie umieścimy. N. p. „rada zafrasowana poszukuje na gwałt,



nie na żart, bo z musu, malarza i budowniczego, (nie w celach dla sztuki ważnych), aby powetować szkody w rynku, ratuszu i szkole, na jakie para burmistrzująca, niedokształcony murarz i gburowaty blacharz, od dachu, cegieł, komina, rynny i strychu, aż do kuchni i bruku trybem niestosownym gminę wykierowała. Przecież w całym tem zdaniu, pominąwszy niczego nie dowodzącej spójki, Niemiec na Niemcu siedzi i Niemcem pogania, chociaż tego wcale już nie odczuwamy; trzebaż sobie uprzytomnić należycie, co to znaczy, że obszerne zdanie, o najzwyczajszej treści, składa się z samych obcych, niemieckich słów, których własnymi już nie zastąpimy nigdy. A kto sobie zada nieco trudu („fatygi“ po polsku) i na „ambicyę“ (jak to po polsku?) weźmie, może i z słów łacińskich, co w Europie (nieromańskiej) z obiegu już wyszły zupełnie, podobne uklecić zdanie. Prawda, pozbyliśmy się szczęśliwie niejednego właza; pozapominaliśmy znowu wielu Niemców (*gasa, celbrat* i t. p.), zostawiliśmy Rosyanom *turmę* (wieżę), *puszki* (działa), *spinę* (krzyże), *tunę* (księżyc) i i., ale cóż znaczy tych kilka wyrzuczonych przybłędów niemieckich i łacińskich wobec tłumów nieprzejrzanych, jakimiśmy zagęścili od wieków język i znamiona jego słowiańskie szczęśliwie zatarli, nieraz aż do niepoznania, tak, że aż sąsiedzi tem się gorszą, ale „u nas — jak kto chce!“ a chce najczęściej niestety źle, albo nierozumnie.

Powie kto, że nie nas tylko wstyd w oczy kole, że Niemcy w siedmnastym, a Czesi w ośmnastym wieku obcemi słowami, owi francuskiemi, a ci niemieckimi głównie, tak własny język zarzucili i przytłoczyli, że aż śmiech pusty zbiera, gdy się owoczesne listy i t. p. czyta. Otóż w tem właśnie sęk, że się Niemcy i Czesi spostrzeżgli, z nałogu otrzęśli, z mętów cudzoziemskich na czystą

wyłynęli wodę, my zaś w kałuży obcej pozostali i do dziś sprośnemu nałogowi się oddajemy. Tak n. p. pojawił się ni stąd ni zowąd *masarz* czeski; czyż *mięszarz* polski brzmiałby po prostacku? I przypominają się nam ci dworzanie Zygmuntownscy, co *stawy* z czeska, zamiast *stany*, mówili, z których się Górnicki natrzęsa, albo owa pani z „Powrotu Posła“, co francuskie słówka w polszczyznę wtykała. Więc innym narodom język rodzimy na pieczy, tylkoż my tego nie potrzebujemy? my, co od ministrów aż do andrusów na obce słowa się sadzimy: mam *feblik* do tego i tego, powie ci jeden, a drugi *frajdę* sobie robi; i mała chyba pociecha, że jeden francuszczyzną, drugi niemczyzną narabia.

Przeważne, najwybitniejsze znamię wieku XIX. i XX., narodowość i jej służba, wszędzie i w języku się odzywa; wyświecają zeń naleciałości obce, niepotrzebne, gromią niepoprawnych, bezmyślnych, domagają się wysłowienia rodzimego.

Jeżeli więc nawet ministerium wiedeńskie okólnikiem do szkół i władz niemieckich dbałość o czystość językową poleca, zapytajmyż, jak to u nas z tem bywa — czy nie należałoby z chwil mimowolnego skupienia i wytężenia sił moralnych, podniecenia uwagi ogólnej skorzystać, aby obliczyć się ponownie ze sprawą drażliwą, piekącą, choć zaniedbaną sromotnie, patrząc z żalem, jak zalewają wyrazy obce mowę, pytając, czy nie można jej obronić przeciw nieprzyjaciołom, co ją zewsząd obścapi, czy nie należałoby się wyrzec raz na zawsze owego wygodnictwa, owej gnuśności myślowej, co nam język rodowity na poniewierkę u obcych wydały; czy nie należy przestrzegać, nietylko w piśmie, ale i w rozmowie i w całym życiu potocznym, jakiegokolwiek czystości językowej, aby wkońcu błąd, szerzący się w mowie, nie

ogarnął, albo choć nie dotknął i pisma samego, jak to u nas stale bywało dawniej, z największą dla języka stratą.

Kiedyż właściwie zaczęła się ta jego poniewierka? Łączą ją mimowolnie, choć mylnie, ze wszechwładzą łacińską, jakobyśmy dopiero od humanistów i ich szkoły nawykli zachwaszczać język *honorami*, *sentymentami* i *afektami* bez końca. Niestety, łacina napotkała już język nieodporny, bo złe znacznie wcześniej się zaczęło. Dziwnem, ale u nas zwyczajnem niedopatrzaniem zrywała się wprawdzie warstwa rządząca na mieszczaństwo niemieckie, panoszące się po Poznaniach i Krakowach, wydała mu jednak sama język własny na łatwe łupy. Już bowiem w czternastym i piętnastym wieku zalała niemczyzna język i niepowrotne wyrządziła w nim straty i ubytki, których dziś już nie naprawimy więcej.

Rosyaninowi język polski obczyzną, niesłowiańskimi żywiołami aż nadto trąci, owo wyżej sklecone zdanie „Rada i t. d.“ wyraziłby on całe słowami słowiańskimi; nawet Czech, co niemczyzną aż do szpiku kości prześiąkł, dziwi się, jak wieszcz polski słowa *dach* używa, jak mu to z natchnieniem licuje? Zachodni bowiem i południowi Słowianie rozróżniają między językiem piśmiennym a językiem potocznym, więc n. p. *szynkę* czy *szunkę* z mowy wyższej wyświecają, dopuszczając ją tylko w niższej; myśmy na to wszystko mniej czuli, czem się niestety chwalić nie możemy.

Zrąb słownictwa naszego wynieśliśmy już z wieku piętnastego i do dziś go tak piastujemy: upstrzony w sposób nieludzki. Co innego byłoby, gdybyśmy tylko z nowemi, obcemi rzeczami, urządzeniami i t. d. nowe, obce ich nazwy przyjmowali. Nie dziwimy się, że n. p. nazwy kwiatów, warzywa, owoców, wszelkie nazwy ku-

chenne, od potraw aż do naczynia, zatrzymaliśmy obce, jak je Benedyktyn czy Cysters dawny, lub inny Niemiec wprowadził. Więc *róża, lilia, ruta, barwinek, mięta, rumianek* (nie rumiany przecież, lecz żółty), *sałata, piotruszka, chrzan, rzodkiew, cebula, marchew, łuk, kmin, brzoskiew* i t. d.; albo *placek, kluski, szpik, smalec, szynka* (dawniej i *szołdrą* przezywana); albo *konwie, węborki, panwie, kubki, kubły, beczki, puszki, skopce, kobiałki, skrzynie, króbk*i i t. d., to wszystko przybysze, co z przedmiotami samymi u nas nastały, co często i w samem ich źródle, w języku niemieckim, również tylko przybyszami romańskimi przeważnie bywały (n. p. *radix, korzeń*, stąd niemieckie *rettich*, a stąd nasza znowu *rzodkiew* i t. p.). W tych dawnych czasach nikt o to ani pytał, brał żywcem co pod ręką było, głowy sobie nad tem nie suszył i nie mielibyśmy nikomu za złe, gdyby się na tem złe zakończyło. Ależ tak nie było; miłe złego początki — od tych usprawiedliwionych w znacznej mierze przybyszów padła istna zaraza na cały język, co teraz i bez najmniejszego usprawiedliwia cudzoziemszczyznę i tam się obtykał, gdzie przez to błędu grubego i winy niepoprawnej się dopuszczał. Bo jakież były skutki? Oto miał n. p. wóz polski (i ma poniekąd nawet na zniemczonym Śląsku po dziś dzień) „*oje*“; wyrzuciliśmy to prastare, piękne słowo i zastąpili brzydką, ale za to niemiecką *dyszlą*, a później jeszcze piękniejszym *dyszlem*. Po co i na co? I tak ciągle. *Los, traf, obszar, plac, kawał* i t. d., *rachować, szanować, warować, cofać* i t. d., i niezliczeni inni Niemcy rozpanoszyli się na stałe w języku od wieków średnich i tak zżyliśmy się z nimi, żeśmy zupełnie o ich pochodzeniu obcem zapomnieli. *Jaka cena* lub *zacz stoi*, pytał niegdyś prawy Polak, zastąpił to przez *co kosztuje* już wcześniej; nawet *herbowa*

szlachta, to jest *Erb(ge)schlecht*, brzydząca się mieszcuchem Niemcem, najspokojniej szyndowała (zamiast *rozbijała*) po drogach, a *gwesiła się* (zamiast upewniała) po sądach w wieku czternastym, osadzała, jak *gburów* na swoim *gbicie*, tak niemczyznę w swoim słowniku. Jak pozapominaliśmy o właściwym wielu słów naszych rodowodzie i jakie o tem wszystkiem panują u nas wyobrażenia, pouczy zdanie, wyczytane w piśmie, językowi poświęconem wyłącznie, o tej samej rzeczy: „Nie wątpiwie wyrazy takie, jak: *buterszynyt*, *banhof*, *żurnal*, *ankieta*, *dżentelmen* i t. p., nie powinny się znajdować w języku, mającym: *butkę z szynką*, *dworzec kolejowy*, *dziennik*, *zebranie*, *szlachcica* i t. p., ale trudno usunąć: *lampę*, *kałamarz*, *papier*, *bibułę*, *komodę*, *szafę*, *fotel*, a nawet *telegram* lub *kopertę*, bo to są okazy i dowody cywilizacyi tak z naszym życiem zrosłe, że ich usunięcie lub zastąpienie choćby nawet szczęśliwymi nowotworami zburzyłoby nam świat istniejący i stworzyło coś obcego i niemiłego“.

Wypisaliśmy zdanie, w którym co słowo, to błąd. Przecież *bulka z szynką* tacy sami Niemcy jak i *buterszynyt*, *szlachcic* tylko ogonek polski Niemcowi przyczepił, *ankieta* wcale nie *zebranie*, *dworzec kolejowy* dosłownie *Bahnhof* tłumaczy, a zamiast wprowadzać do języka *bibułę*, *kałamarz* i podobne piękności, należało w chwili, gdy się z nową rzeczą zaznajamiano, dla niej i nazwę obmyślić. Dziś, gdyśmy do *bibuły*, *kałamarzów*, *scyzoryków*, *pularesów* i podobnych niezliczonych potworków nawykli, trudniej z nałogiem zastarzałym walczyć, chociaż nadziei tracić i w wysiłkach ustawać nie należy.

Dlaczego nie oparł się język w wieku czternastym i piętnastym, gdy jeszcze czas był, owemu pierwszemu

zalewowi niemieckiemu? Nie było wtedy języka piśmien-
nego, co by stanął na straży i nie dopuścił szerzenia po-
twornego nałogu. Było to istne błędne koło: nikt po pol-
sku nie pisał, nawet taki miłośnik ojczyzny gorący, co
całe życie pisał, jak Długosz, bo nie było języka piśmien-
nego, bo łaciną załatwiano wszystko. Napróżno przestrzegał
spółczesnych mądry jakiś Krakowianin w mądrym pi-
semku przed tą wszechwładzą łacińską, przed tem hanie-
bnem upośledzaniem własnego języka; nikt go nie usłu-
chał, nawet duchowieństwo, bojąc się o zarazę innowierczą,
szerzoną najłatwiej w języku ludowym, tę wszechwładzę
łaciny ile sił wspierało. Dla braku pisma polskiego nie-
tylko Niemców tysiącami do polszczyzny wpuszczano,
ale i zapomniano własne słowa, któreby pismo było utrwali-
liło, a więc podwójnie ujemnie brak pisma oddziałał.

Kto zarzuci, że Czesi mieli w XIV. i XV. wieku bo-
gate piśmiennictwo, a mimo to niemczyzny się nie ustrze-
gli, zapomina, że niemczyzna już w XIII. wieku u nich
się rozpostarła na dobre, więc przed wszelkiem ich pi-
śmiennictwem własnem, a powtóre, że przez całe dwa
wieki (1618—1818) niemczyzna domowy język całkiem
zatłoczyła, niemal do szczytu wyniszczyła, tak, że nie
dziwić się nam ich pstrociznie językowej, którą dziś z po-
wodzeniem tłumią, używając n. p. *tajemnika* za *sekre-
tarza* (i my *tajemnik* w XV. w. znali, ale biedakowi nie
powiodło się u nas), *ustrzedni* za *centralny*, *sustaw* za
system, *trzida* za *klasa*, *rzeditel* za *dyrektora* i t. d.
i t. d. Ich mądrze t. j. bez przesady naśladować namby
na złe nie wyszło.

Dopiero wiek szesnasty, tworząc piśmiennictwo na-
rodowe, wybrnął z zakłętego koła, przestał milczeć po
polsku a mówić po łacinie (w piśmie), lecz niestety, pra-
wdziwie polskim sposobem wpadliśmy i wtedy z deszczu

pod rynnę. Bo ceniono wprawdzie język piśmienny, władano nim znakomicie (Skarga przepleniał go z wyrazów obcych umyślnie), ale w potocznym, w mowie jak w piśmie, zachwaszczano go najniegodziwiej łaciną, co teraz miejsce niemczyzny w zubożaniu języka rodzimego niepodzielnie zajęła; Jan Kochanowski w wierszu i prozie, a Jan Kochanowski w liście i rozmowie, kłóć się z sobą dotkliwie: ów Polak, a ten łacinnik. Nawet taki Orzechowski, co nieraz Rzymem i łaciną gardził, Rusią i greką potrząsał, nie wahał się ojczyznę *patrią* nazywać i ten błąd sprośny jeszcze i uzasadniał, zamiast rozróżniania *ojczyzny* a *ojcowizny*; jemu wtórowali inni, nie wstydząc się takiej dla języka obelgi, chociaż sami Węgrów wyśmiewali, że dla cnoty słowa własnego nie mają; prawda, że i w innych językach patryocie nie lepiej się powiodło, chociaż Niemiec zamiast patriotisch, vaterländisch powiedzieć może, a my i tego nie zdołamy wyrazić słowem własnem, bo *ojczysty* nie to znaczy, tem mniej *obywatelski*.

Więc po niemczyźnie czternastego i piętnastego wieku, łacina od szesnastego do połowy ośmnastego mowę kaziła, z tą różnicą na gorsze, że wkońcu i sam język piśmienny, oprócz w wierszu i kazaniu, łacińskimi wstawkami się ośmieszał, upadłał, ubożył. Oprócz lenistwa umysłowego, co gotowym acz obcym zwrotem się zadowalało, działała tu i próżność, co łacińskim zwrotem nauki szkolnej dowodziła. Była to wręcz wada narodowa, to popisywanie się obczyzną, a nie zwalczało niestety piśmiennictwo tej ułomności. Zdarzają się wyjątki; natrząsał się Górnicki z polskiej cheszczyzny i t. d., posiadamy nawet piśmko ulotne, urągające zalewowi obcemu (niemieckiemu) w mowie wojskowej, ale cóż, takie dorywcze wysiłki chwastu nie wyplenily i to nieogłędne, bezmyślne szafowanie

obczyną obowiązuje do dziś powszechnie. Dwaj czeladnicy we Lwowie naprawiali (*rychtowali* po polsku) łazienkę; stałymi ich *bliccangami*, *kugelcangami* i t. d. zdziwiony, zapytałem: „A wyż po jakiemu mówicie?“ „Tak się u nas mówi“, odpowiedzieli najspokojniej, i słusznie, bo otworzyć jaką dawną księgę cechową, równie jak hetmańską, n. p. Jana Tarnowskiego z roku 1559, to samo usłyszysz. Nasza obojętność pod tym względem przechodzi wszelkie granice; powtarzamy słowa obce, ani myśląc o tem, że wypadaloby, mówiąc po polsku, słów polskich używać, jakby to końcówki polskie już o języku rozstrzygały, jakby większego nie godzien wysiłku. Oczom i uszom nie wierzysz, patrząc w dawne księgi, słysząc mowę (raczej gwarę jakąś) dzisiejszą.

Wyśmiewano Skobla i innych, gdy na miejsce gładkiego, ale niepotrzebnego, a więc szkodliwego słowa obcego rodzime, nieraz ciężkie wprowadzali i wszelkie *deszczochrony*, *cichostępy* i t. p. niełaskę ogólną zaskarbiły. Nie bez słuszności, bo wyczuwano pod ich pozorną szatą polską ukrytego obcego. *Parostatek*, *listonosz* i t. p. są przecież znowu tylko Niemcy w polskiej szacie, nie inaczej niż wszelakie *wypośrodkowanie*, *światopoglądy*, *miarodajny* i tym podobne nadobności; w Poznaniu *podpadający* tłumaczy dosłownie niemieckie *auffallend*. Tłumaczymy zgłoski, zamiast oddawać znaczenie, nie pomnąc, że te dosłowne przelewania z mowy obcej prowadzą wkońcu do takich potworów, jak: *Koszty będą na dół trzaskane* (zamiast: *umorzy się*), wedle *die Kosten werden niedergeschlagen*, a odwrotnie i do *Himmelkrebs* z *nieboraka*. Te dwie śliczności winne odstraszać każdego, co się do tłumaczenia słów zamiast znaczeń zabra.

Nie myślimy kreślić całego, aż nadto smutnego obrazu

włamywania się do nas słów obcych; przemilczymy, jak się po niemiecku i łacinie, po węgierszczyźnie i włoszczyźnie, francuszczyzna przysłużyła, od *filutów*, *kajetów* i *fuzyi* począwszy. Milczymy dalej o roli braci słowiańskiej, jak to niegdyś od Czechów, później od Rusi łataliśmy język najniepotrzebniej w świecie; ci przybysze zazwyczaj nie noszą piętna obczyzny na czole, jak tamci, chociaż i między nimi nie brak takich, co się z językiem kłóć, n. p. *sobory* zamiast *zborów* a *sojusze* zamiast *związków*, albo wszelkie słowa z ruskiem, niepolskiem *ere*, owe: *czereśnie*, *czerechmy*, *czerechy*, *nadwerżenia*, *czerepy*, zamiast: *trześni*, *trzemchy*, *trzody*, *trzopu* i t. d. Milczeniem pomijamy i słowa polskie, co pod obcym, znowu przeważnie niemieckim wpływem nowego, niepolskiego nabrały znaczenia, n. p. *zamek* albo *pokój*, co od komnaty albo izby tylko pozornie odbiegły, bo takie nowe znaczenie, zamiast jedynie uprawnionego zamknięcia albo spokoju, nadaliśmy im przykładem niemieckim; taksamo *miasto*, *sklep*, *zagajenie* (wieca) i t. p. do słowiańskiego znaczenia: miejsca, sklepienia-piwnicy, gajenia (drzewami), całkiem inne, niemieckie znaczenie wniosły. A możnaby na koniec wspomnieć i o takiej obczyźnie, co dwukrotnie do nas wędrowała, więc pod dwoma kryje się wyrazami, n. p. *barwa* i *farba*, *bertło* i *feruła*, *dzięki* i *dank*, *mistra* i *majster*, *szaragi* i *stragan*. Co się jednak od wieków w mowie utarło, nabyło przedawnieniem praw obywatelskich i nie myślimy ich tykać; zwalczajmy raczej nowe nadużycia. A każdy dzień ich sporo przynosi. Czytam n. p. o ostrzeliwaniu *werków* nieprzyjacielskich albo o *szpicy* batalionu i pytam, jak owych czeladników, po jakiemu to? Ale nie chcę mnożyć tych kwiatków; czytaliśmy całe rozmowy, *werkami* i t. p. rozepchane, a kto się n. p. we Lwowie przechodniom przy-

śłuchiwał, wie, że owe żarty niestety od rzeczywistości niedaleko odbiegły; niedawno wyczytałem w poważnym, „obywatelskim“ dzienniku, że „Rusini spuścili nieco z *tupetu*“ i znowuż pytam: po jakimuż to? Czy to się godzi?

Wmówiliśmy w siebie, że nowotwory szpecą język, więc niech go raczej słowa obce szpecą? Ależ język zawsze stał nowotworami; każdego słowa ktoś kiedyś po raz pierwszy użył. Więc wystrzegamy się chyba nowych nowotworów, zakreśliwszy językowi granice, jakby był martwy, gdy on z żywymi naprzód kroczyć winien? Dziś, gdyśmy do *parasola* i *parasolki* i do tylu innych przybłądów nawykli, ośmieszamy tych, coby nieproszonych gości wyprosić chcieli, jak gdyby nie należało się wyrzec raz na zawsze wszelkich podobnych „okazów i dowodów cywilizacyi“ (?). Kłócono się niedawno temu namiętnie o *werbunki* dla legionów; czyż te zastępy nie godne zaciągów? *Szpicę* wprowadzono nie od dziś, istniała już w wieku XV., jak i *hetman* (Hauptmann) i późniejsi *obersztery* (zawsze tak w w. XVII.) i t. d.; dziś *szpicę* odnowiono umyślnie, dlatego, że w pierwotnych legionach tak mawiano; ale czyż mamy właśnie ich grzechy językowe naśladować?

Lecz wróćmy od wojska do *cywilów* wedle polszczyzny galicyjskiej. Najgorszaż ona we Lwowie, lepsza w Krakowie i Warszawie, chociaż i tu dziwaczna. Co się n. p. we Lwowie *tutkami* nazywa, zowią *gilzami* (po niemiecku z rosyjska — nieprawdopodobne, ale prawdziwe) w Warszawie, co się jednak nieraz na dobry dowcip wyśadza, n. p. gdy owe *butersznity* czy *bułki* z *szynką* *kanapkami* przezwala: wprawdzie słowo samo obce, ale, ile wiem, to zastosowanie jego w „knajpach“ czy „barach“ warszawskich się wylęgło, więc je chętnie rozgrzeszamy (jak kanapka poduszkami, tak bułeczka mięsiwem

obłożona — tak przynajmniej nazwę tłumaczono. Si non e vero i t. d.).

Każdej nowince, wynalazkowi i t. d. winna towarzyszyć nazwa polska. Gdybyśmy tej słusznej zasady przestrzegali, nie kłopotalibyśmy teraz głowy parasolami, kałamarzami, butersznytami. Druga równie słuszną: nie należy poświęcać rodaka obcemu. A trzecia: nigdy nie powinien nowotwór razić poczucia językowego. Przeciw tym zasadom, najpierwotniejszym, grzeszymy stale. Nie znosi n. p. język złożień wygodnych, niemieckich, dwu rzeczowników, więc *parostatek* nie jest słowem polskim, boć to dosłownie *Dampfschiff*, co lud krótko nazywa (jak n. p. na Śląsku *bana*, z Eisenbahn ogólna) *szyfą*, gdy polska dlań nazwa: *parowiec*, urobiona od przymiotnika *parowy*. Więc *deszczochron* był nie polski; należał się nam jakiś *deszczowiec* lub coś w tym rodzaju, *słonkowiec* od słońca, bo *słonecznika* używaliśmy już w innem znaczeniu, podobnieby *słomkowiec* kapelusz słomkowy wyrażał. Wedle wzorów jak *gajowy* można zamiast niepolskiego *listonosza*, co tylko *briefträgera* przekabacił, użyć wyrazu *listowy*, dziś i *listowa*, podczas gdy obok *motorowego*, *motorka* wystarcza. Że listonosz nie Polak, dowiedzie nam już to, że nie możemy w podobny sposób n. p. wodonosza obzywać, co może być tylko wodziarzem lub wodnikiem, a bywa i woziwodą wedle ulubionego u nas składania słów z czasownikiem, niby z rozkaznikiem, jak: liczykrupa, wędzikaleta, rzezimieszek, gryzipiórko, wali-góra i t. p. Oprócz nich górują u nas złożenia przymiotnikowe, n. p. ciemnozielony, rudobrody, dwulicowy, obojętny, widnokrąg, wielkolud i t. p., ależ wszelkie inne złożenia raczej już do wyjątków należą i nie należy ich zbyt pomnażać. Więc zamiast *mrówkojada* mrówczarz zupełnieby wystarczył. Mamy wprowadzić *listopad*, bo li-

ścień (wedle wrzesień lub kwiecień) za mało by mówić; zamiast wodospadu mieliśmy dawniej jedno słowo, zapomniane zupełnie. Złożeń podobnych język nie lubił, używał ich chyba przy oznaczaniu czynności, n. p. konojady, kozodrza (lub Odrzykoń, Odrowąż), konował i t. p.; liczba ich nigdy znaczniejsza nie była, inne języki nieskończenie nasz prześcigają. Lecz nie mamy zbyt przyczyny im tej łatwości zazdrościć, skoroż posiadamy inny, bardzo dogodny środek. Co Niemiec bowiem złożeniem ze dwu, my urobieniem od jednego pnia wyrażamy, więc *jablecznik* = Apfelwein, *kominiarz* = Schornsteinfeger, *sztabowiec* = Stabsoffizier, *Królewiec* = Königsberg, *wiatrak* = Windmühle, *drożnik* = Wegmeister, *pokojowa* = Zimmermädchen, *sypialnia* = Schlafzimmer, *skarbnik* = Schatzmeister i t. d., albo też złożeniem przyimkowem, n. p. *naparstek* = Fingerhut, *wykalacz* = Zahnstocher, *policzek* = Backenstreich, *podnózek* = Fusschemel i t. d. Nie myślimy jednak zabraniać czy potępiać wszelkich złożeń w języku, co w nazwach miejscowych posiada nawet Dębogóry i Kamieniobrody, wymagamy tylko, aby ich ile możności unikano.

Można wprawdzie i inaczej na tę cudzoziemszczyznę się zapatrywać; kto wady i ułomności we cnoty przeobraża, upatrzy łatwo w przyswajaniu i przetrwaniu tyłu obcych żywiołów, jakiego nasz język dokonał, oznakę jego siły i żywotności; powoła może nawet na przykład angielszczyznę, co z podkładu niemieckiego, saskiego, zalana francuszczyzną doszczętnie, omal przez nią zagłuszona, w język światowy urosła. Wobec takiej przechwałki nie wadziłoby zaznaczyć, że moc niemczyzny w języku, naruszając jego znamiona słowiańskie, bynajmniej mu znaczenia ogólnoludzkiego nie przysporzyła; że to słabość tylko, której ulega z dziwną łatwością każde plemię słowiańskie, podatne na wszystko co obce.

Śmiało jednak możemy wykazać, z najlepszą na przyszłość otuchą, że żadne pożyczki obce czy naleciałości nie osłabiły samego poczucia językowego, nie nadwerzężyły w niczem rdzenia mowy naszej. Kaszub, tonący w falach niemczyzny, co go zewsząd ogarnęła, mówi *ma przedane* zamiast *przedał* wedle *hat verkauft*; Czech, co po przegranej białogórskiej przez lat dwieście po czesku mało, chyba między chłopstwem, pisał, czytał i mówił, powoli, z różnymi niedoborami odzyskał pełnię wyśłowienia rodzimego, chociaż zawsze jeszcze się zdarza, że po niemiecku pomyślane po czesku wyraża, że należy przypomnieć zwrot czy słowo niemieckie, aby czeskie zrozumieć. Proza bułgarska, nowela ukraińska trącą tak silnie rosyjskim zapachem, że mimowoli je czytasz jako dosłowny przekład, że wydają się nie rzeczą samoistną, lecz raczej przelewem na gwarę. Naszego języka przeciwnie z żadnym innym nie pomieszasz; nigdy samoistności jego nic nie zagrażało i wpływy obce tylko powierzchni dotykały, w głąb nie szły; na tej to odrębności urosło piśmiennictwo dawne i nowe i nic jej nie podważyło. Tej siły pewni i świadomi możemy z większym spokojem owo wdzieranie się i ścieranie cudzoziemszczyzny przegłądać.

Nie myślimy też wcale wojny jej wypowiadać. W czasach, gdy opadają przegrody, dzielące dotąd ludy, gdy najruchliwsza wymiana myśli, towarów, ludzi cały świat ogarnęła, nie miejsce na trwożliwe zaskorupianie się w własnem narzeczu i nie boimy się nazywać obcych i nowych rzeczy obcą i nową ich nazwą, nie zachamy się przed *telegrafem* czy *telefonem*, przed *torpedą* czy *balonem*, przed *patentem* czy *ankietą*, nie myślimy ich spolszczać na gwałt; to są wyrazy ogólnie przyjęte, w każdym języku od Grenlandyi do Tasmanii. A przychodzi

to tem łatwiej, że dla oznaczania tych nowych rzeczy, nie ubliżając żadnemu językowi żywemu, używa się giętkiego, choć martwego języka Homera i Pindara. Ale i łaciny poświęcać nie myślimy, *instynktu* czy *nerwu* przed każdym spolszczeniem obronimy.

I tak było zawsze; z nową, obcą rzeczą rozpowszechniała się po całej Europie nowa obca nazwa. Więc słusznie przezywamy wszelkie nowe dla nas rośliny, owoce, wyroby, od jedwabiu i papieru do perkalu i kauczuku obcemi słowami, najczęściej po całej Europie obiegającymi. Ale najniesłuszniej w świecie przejęliśmy *atrament*, *kałamarz*, *scyzoryk*, *lusterko*, *bibułę* (czy dla dowcipu, u nas możliwego: odsuń się ode mnie, bo ja bibuła, a ty żyd?) i setki innych; jak *ołówek* Bleistift tłumaczy a *leniuszek* Faulenzer (podkładka liniowana), taksamo należało się tłumaczenie i owym łacinnikom; dlaczego kopta zamiast *obłóżki* albo *fotel* ma być „dowodem cywilizacji“ (chyba niedołęstwa), którego naruszać nie wolno, nie rozumiemy.

Jeszcze bardziej nie rozumiemy niewczesnych porywów n. p. w tłumaczeniu czy naruszaniu właściwych nazw miejscowych. Po co n. p. tykać München, Regensburg, Worms i t. p.; Mnichów jest niemądrym wymysłem czeskim (co i Kopenhagę szczęśliwie, jakimś nieporozumieniem, na Kadań wyłożyli) a Monachium najzbędniejszą łaciną; przecież zatrzymaliśmy Bordeaux, Nimes, Soissons, nie zastąpiliśmy ich łaciną (Burdigala, Nemausus, Suessones), a czyż dla Bawaryi odmienne obowiązują przepisy, niż dla Francji? Nie wadzi przypomnieć, że bywa u nas wiele wahania w nazwach podobnych. Dziś spotykam coraz częściej *saksońskiego* zamiast saskiego; łacińska Saksonia wypchnęła już całkiem dawnych Sasów i dawną Saś (jak Ruś, wedle pierwowzorów słowiań-

skich utworzoną), a może nam i „Ogród Saksoński“ i „Kępe Saksońską“ z czasem narzuca. Mamy jeszcze przymiotnik duński i Dunina, ale kraj z łacińska Danią przezywamy. Jest Holandya, ale ser zowiemy z niemiecka „holenderski“, nie: holandski. To najzbędniejsze niemieckie *er* wlało nam i w inne słowa. Mówimy n. p. *komenderować* zamiast *komandować*; *maszerować* zamiast *marszować*; *spacerować* zamiast *spacyować* (mówimy przecież *studyować*, nie *studerować*); *egzycerować* zamiast *ćwiczyć* czy *musztrować* albo, jak w XVIII wieku mawiano, *exercytować*; *asenterować* zamiast *asentować*; *polerować*, ależ *politura* nam dowodzi, że dla *er* tu miejsca nie było i i. U nas jeszcze półbiedy z tym *-er*, co tylko kilka słów potwornie rozepchało, ale w rosyjskiem istna ich powódź obrzydliwa, tych wszystkich: *konstatirować*’, *charakterizować*’, *eksperymentować*’, *neglizować*’, *diskontować*’ i tak dalej w nieskończoność, gdyż tego — *irować*’u strzegli się tylko w słowach, jakie od nas wprost przejęli, n. p. *diktować*’, nie *diktiować*’ z *dyktować* i i. Otóż te wszystkie *-erować* powinniśmy raz na zawsze z języka wyrzucić; zostanie odmienne *ce-rownąć* (nie *cyrownąć*) i i.

Nie zawadzi wspomnieć i o tem, jak się nieraz z „rodzajem“ słów zapożyczonych dziwnie obchodzimy, jak go wedle naszego widzimisię odmieniamy, n. p. *turmę*, *odwach* (z niby polskiem *od*, jak *ob* — w *obstanku* albo w *obcęgach*), *bruk* i tyle innych; rzeczowniki na *-unek* męskie u nas, z niemieckich żeńskich i t. d.; u Rosyan jest podobnie i *ratusza* i *szerenga* z naszych męskich, *ratusz* i *szereg*; my jedni w Europie (a za nami dopiero inni) *bankę* (la *banque* i t. d.) w męzczyzną odmienili, podobnie *sznur* i *dyszel* z dawnej *sznury* i *dyszli* i t. d.

Rozróżniają zazwyczaj słowa obce, cudze, pstrzące język (n. p. *fatyga* zamiast *trud*, *honor* zamiast *czci* i t. p.) a pożyczone z rzeczą samą (*telefon* i t. p.); mówmy raczej o pożyczkach potrzebnych, nie gorszących nikogo, i o niepotrzebnych, kałających język; niestety, z czasem wiele niepotrzebnych przedzierzgnęło się w potrzebne (n. p. *dyszla* zamiast *oje*, *kielnia* zamiast *korzkwi*, *los* zamiast *źrebia*, *trafić* zamiast *luczyć* i tyle a tyle innych). Otóż zwalczajmy tylko całkiem niepotrzebne, istne przybłędy, a przodować w tej walce powinni pisarze zawołani; za ich przykładem nauczymy się przestrzegać czystości językowej w mowie, o co przy naszej niedbałości najtrudniej, i w piśmie, o co przy niejakim wysiłku woli nie tak już trudno. Z początku będzie to nużyć, ale z czasem włożymy się sami w tę czystość. Wdzięczne to pole szczególnie dla nauczyciela, co młodzież od tych naleciałości obcych stale odrażać winien; wdzięczne dla dziennikarza, co z szerokim ogółem w ciągłej styczności, o jakiej nawet znakomitemu pisarzowi nie myśleć. Co wprowadzania i ustalania nowotworów dotyczy, nie należy ślepo ufać własnemu uczuciu i uchu ani postępywać zbyt samowolnie, nie licząc się z czuciem i uchem innych; rzecz wymaga dalej nietylko cierpliwości i wytrwałości, lecz i dokładnej znajomości języka; przedewszystkiem zaś wymaga miary i zgody, o co u nas najtrudniej, przy wrodzonej i wiekami wypieszczonej skłonności ku liberum veto (dla tej najbardziej polskiej nawyczki niema wcale miana polskiego).

Mimo wszelakich zastrzeżeń każdy krok na tem polu, co słusznej miary nie przekracza, powitamy radośnie, jako oznakę, że zastanawiają się ludzie nad językiem, że nie poddają się ślepo nałogowi, bardzo wygodnemu, ale i szpetnemu zarazem. Nie naruszymy przenigdy słownictwa

naukowego, zawodowego, w umiejętnościach czy w rzemiośle, ale pocóż mówić o gazetach, kiedyż mamy dzienniki, o administracyi, kiedy jest zarząd, o inseratach czy anonsach, kiedy są ogłoszenia? Wypowiadając, bynajmniej nie pierwsi ani ostatni, walkę cudzoziemszczyźnie, wiemy dobrze, że i najlepszą myśl ośmieszyć można, również jak i to, że każdy początek trudny; ależ nie należy się dawać odstraszać jednym czy drugim; szczególnie o nic łatwiej, niż o kpiny; komu jednak cel dobry przyświeca, o nie ani pyta; obyśmy tylko chcieli chcieć.

II.

Zamiast dalszych biadań, wyrzutów czy przestróg wskażmyż raczej, czego się trzymać należy i jaką zachować miarę, bo rzecz widoczna, że się ani bez cudzoziemszczyzny, ani bez nowotworów nie obejdziemy.

Co do cudzoziemszczyzny rozróżniamy, jak właśnie wspomnieliśmy, dwie jej warstwy zupełnie odmienniej ceny. Jedna, nietylko nieszkodliwa, ale wręcz niezbędna, bez której się żaden nie obejdzie język, to są słowa, nazwy przeważnie rozmaitych obcych wyrobów, towarów, roślin, zwierząt i t. d., pożyczone, *pożyczki*, co wraz z rzeczą samą nas doszły. Druga warstwa nietylko całkiem zbędna, ale i wręcz szkodliwa, to te *obce*, *cudze* słowa, jakimi najniepotrzebniej własne przetykamy. Pożyczki przeciwnie, to wymowne dawnych i nowych dziejów świadectwo i wystarczy n. p. porównać nasze z rosyjskimi, aby natychmiast różnicę dwu światów, naszego, zachodniego, i wschodniego, rosyjskiego, uwidocznić; u nas panuje: poczta, lak, papier, libra, pończocha, strych, rycerz, warta, cegła, grosz, Chiny i t. d., a z wyrazów własnych: koń, żelazo, gospodarz, ołówek,

skarb i t. d.; u Rosyan zamiast tych słów zachodnich albo i słowiańskich znajdziesz tatarszczyznę samą: jam, surgucz, bumaga, dest', czułek, czerdak, bojarin, karauł, kirpicz, dieńga, Kitaj, łosząd', czugun, chozjain, karandasz, kazna i t. d. Z pożyczek wyczytasz więc sam przebieg dziejów narodowych, jakie to kolejno oddziaływały na naród wpływy obce i w jakiej mierze; tatarszczyzny rosyjskiej dowiodą same pożyczki językowe.

Bez pożyczek nie obejdzie się język, one mu też bynajmniej nie uwłaczają, jako nieodłączne od rzeczy. Komuż by się przyśniło wyszukiwać nazw swojskich dla obcych zwierząt, roślin, napojów, n. p. dla kawy, czekolady, „teu“ (nasza *herbata* najniepotrzebniej zatrzymała łacińskie herba-thea zamiast samego thea, co u Rosyan brzmi czaj, z tej samej chińszczyzny, ale z innego narzecza); te i liczne setki podobnych nazw, to są nazwy charakterystyczne, obiegają cały świat i o żadnem ich odpolszczaniu ani mowy być nie może; tylko naiwne średniowiecze, co bez namysłu liktorów rzymskich jak siepaczy własnych przystrajało, odpolszczało i takie nazwy, tygrysa ząbrzem (żubrem), dromedara orzem (koniem), onagra (osła dzikiego) łosiem przezywając; takimto sposobem niemiecka nazwa słonia, elefant — olbente, na wielbąda — wielbłąda przeszła. Nie pójdziemy za tym przykładem; mimo to zamiast kartofli ziemniaków używać się godzi.

U nas, niestety, nie skończyło się na tem wcale nie-nagannem używaniu cudzoziemszczyzny; nasze pożyczki, niemieckie szczególnie ale i niejedna łacińska, zabrnęły o wiele głębiej i dalej i z języka ich już nie wyświecimy, nie chcąc go zubożyć, i nadal niemi będziemy się posługiwać. Ułacnia nam to i wygląd tych pożyczek a często i znaczenie ich, co odbiegło już daleko od pierwotnych,

szczególnie niemieckich. Taka n. p. *budowla* z *budowni-*
czym, jakżesz odstąpiły już od Baut i Baumeister; *wdzię-*
czny i *wdzięki* (tłumaczące nie niemczyznę, zupełnie nie
znającą podobnych wdzięków, lecz włoskie grazia), jak
mało przypominają Dank pierwotny; *szlachetny* a ge-
schlechtlich nic z sobą nie mają w znaczeniu wspólnego,
choć z jednego wyszły źródła; *miarkować* jest mer-
ken, ale nabrało rysów polskich, a te *rysy* same już się
odchyliły od niemczyzny stanowczo, znaczą i *Züge*, nie
tylko *Risze*, taksamo jak *wykształcony* jest *gebildet*, nie
gestaltet. Chociaż wiemy, że *hufce* (z polskim ^{ogonkiem}),
hołdy, *cele*, *kresy* i t. d. żywcem z niemieckiego prze-
szły, że *rachunki*, *stosunki*, *kierunki* (co znaczą *Rich-*
tung, nie *Kehrung*) nie tylko pierwiastek, ale i przyrostek
niemiecki — *ung* zatrzymały, nie wypowiemy im służby.
Cóżbyśmy poczęli, gdybyśmy się n. p. chcieli *wagi*
wyrzec, dlatego że Niemka? cobyśmy wymyślali, aby
zastąpić miejsce *odwagi*, *powagi*, *uwagi*, *rozwagi* —
nie byłoby końca *wahaniom*, co również od niej wy-
szły. A *wart* (gdy *warta* zupełnie zbyteczna), *żart*
(z nierozwikłanemi dziejami pożyczki, ciemnemi jak
i *wdzięki* z Dank) i tyle innych, n. p. ów *obszar*, który
mimowoli z obszernym spajamy, chociaż obszerny do
szerokiego (niegdyś szynkiego) należy, a obszar od
Niemca „obirschar“ się wywodzi. Wszystko, co o tych
Niemcach prawimy, odnosi się poniekąd i do łaciny prze-
różnej. I tak zwyciężył u nas niemal honor starą cześć
i z słowem honoru częściej się spotykamy, niż z słowem
czci, mimoto stwierdzmy, że honorarium niepotrzebne
nam zgoła, bo polskie *czesne* (opłata czesnego znana do-
brze ze wszechnicy lwowskiej) o wiele lepiej je tłumaczy,
niż „Ehrensold“ niemiecki; ba, i bez honoru obeszlibyśmy
się szczęśliwie, boć nie dopełnia on pierwszego warunku,

jaki pożyczce stawiamy, chcąc ją uznać: nie wniósł nic nowego do języka.

Gdy pożyczki język stale zbogacają, ubożą go słowa obce, cudze, jak właśnie *honor*. Poznać je po tem, że są zbędne i późne; że nieraz znowu giną; że nie odmieniły obcego wyglądu ani znaczenia; że powołało je naśladownictwo, t. j. chętka obczyzny, odmiany czegoś niby dosadniejszego, bo nowego, nieużytego. Ma n. p. język sądowy „jednanie“ i „jednaczy“; otóż zamiast powiedzieć, że Zygmunt Stary był jednaczem królów i książąt, powiedziano ni stąd ni zowąd za jego czasów, że był ich „obermanem“. — Na szczęście o tym Niemcu zapomnieliśmy, lecz stokroć częściej zamiast niemieckich pozapominaliśmy słowa własne. Przykłady przytaczaliśmy wyżej, lecz nasuują się coraz inne. Po cóż nam n. p. mordów, mordarzy, morderców, jakby nas na zabójców nie stało? Przecież nawet do wyzwisk pozapraszaliśmy wszelkie obce języki, aż do łaciny i węgierszczyzny! Odpowie kto, że wagabunda (albo makabunda) i baciarz wykluczeni z pisma, ale pocóż się choćby po bruku wałęsają? Łotr przecież z bruku przeszedł zupełnie do pisma. Po co nam przymiotników, jak *kompletny* (*komplet* odgrywał do niedawna w szkołach warszawskich, nierządowych, ważną rolę), *kapitałny* (mówią całkiem z rosyjska o kapitałnem dziele, książce), *skrupulatny*, *uniwersalny*, *majestatyczny* i t. d.? Taką lekkomyślnością nadęci, spustoszyliśmy niejedną dziedzinę zupełnie, n. p. w rzeczach piękna. W piętnastym wieku nazywaliśmy jeszcze poetę składaczem, potem niemiecki rymarz wszedł, a teraz walczą tu wyłącznie łacina z niemieczyzną, artysta z malarstwem, kunsztem i sztuką, a polszczyzna całkiem na koszu osiadła. Pół godziny zachowaliśmy, ale dla ćwierci kwadrans i kwadrans nam potrzebny. A jak się przy-

tem z tą łaciną nieraz dziwacznie obchodzimy! To odrzucamy jej końcówki (mianowicie -us, -e, -um, por. senat, chór, Piłat, uniwersał, akt, testament, inkaust, przywilej), to znowu chowamy je starannie, n. p. animusz (raczej żartobliwie), witrykus (o tym klesze zapomnieliśmy), arkusz (zamiast ark; arch u Czechów), pulares (pugillares, zamiast pularza); kozubales (szkoła śmiechem urobiła); legumina (ależ legumy = warzywa, starczyłyby całkiem, gdyby ich potrzeba było), rudera, frazes zamiast fraza, kweres i skweres z quae res, co za rzecz, urosły.

W tem małpowaniu łaciny doszliśmy szczęśliwie do takiej niedorzeczności, że własnym słowom narzucamy „kończówkę“ łacińską, że mówimy *okręta* (słowo nasze, nie niemieckie, jak mylnie twierdzą), *urzęda*, *przyrządą*, *żywiota* i t. d. wedle łacińskiego wzoru: testamenta, instrumenta, registra, pakta konwenta, examina, volumina, elementa, fundamenta, momenta, fakta, akta (przyczem dowcipnisie zdobyli się na wyróżnianie akt, t. j. papierów urzędowych i aktów na scenie lub w życiu; owe są akta, te akty; podobnie rozróżniamy talenty greckie, pieniądze, nasze talenta domowe i t. d.). Piękny ten wzór naśladowują: numera, koszta, kursa, gusta, procesa, bileta, grunta. Wszystko to są bezceństwa, które z języka raz na zawsze wyrzucić należy. Bronić nie można ich tem, że zachodzą przecież u wzorowych pisarzy polskich od XVI. wieku począwszy, bo taki Rej, Wujek, Bielski i i., mieli właśnie formę łacińską na myśli, mówiąc sakramenta, argumenta, recepta, dekreta i t. d.; przecież w ten sam sposób mówili: Traces, pugilares, Carthaginienses, iść spaciatum = „spacerować“, margines, cretales i t. d., t. j. gotową łaciną. Dziś te błazeńskie formy (błazeńskie szaty szachowane były, jak i te formy) widocznie już z języka ustępują, należy je tylko wypchnąć ostatecznie.

Wracamy jednak do *pularesu*, następczącego pole do nowych uwag. Takie jego dzieje, jak okularów, atramentu, zegaru i t. d.; byliśmy za leniwi, za wygodni, obmyśleć dla nich swego czasu nazwy własne, choćby oczki, na co się Rosyanin zdobył, nie leniąc się tak, jak my, albo oczniki czy wzroczniki; dla atramentu czarnik (krótszy, niż czernidło, por. bielidło, sinidło albo sinka, rumienidło — dziś ruż); dla zegaru nie klepsydra dawna, lecz: czasownik, bo w wieku XVI. o całkiem nowem gramatycznym znaczeniu „czasownika“ nie było mowy (lecz i dziś można zapytać, czy nie wystarczy zań „słowo“) lub godzinnik; Rosyanin sobie „czasami“ dobrze pomógł, Czech za nim „hodiny“ urobił (zegarmistrz u Rosyanina czasowszczyk, bo czasowy przeszedł do służby wojskowej, u Czecha hodinkarz) i tak dalej w nieskończoność. Zastarzałe błędy leniństwa i niedbalstwa naszego dziś już trudno odrabiać, mimo to nigdy nie uznamy prawa jakiegogoś czy nakazu, żeby dla *każdej* nowej rzeczy i nowa t. j. obca nazwa konieczna była. Możeż być i domowa, chociaż znowu nie należy się sadzić na wymysły osobliwsze. Są n. p. chemia, astronomia i t. d. powszechne na świecie, więc ani pomyślimy o jakiejś łączbie, jak Czesi się o to pokusili (ależ chemia jest i dzielbą, nie-tylko łączbą); zachowamy nawet wbrew językowi własnemu wymowę obcą, powiemy więc filozof, filolog i t. d., co Rosyaninowi filozofem, filologiem brzmia, jak u nas Piłat, stuła i t. d.; dawniej kołacya, nie kolacya; buła, nie bula.

Na usprawiedliwienie naszej obczyzny możemy jednak przytoczyć niekłamane trudności w tworzeniu nowych słów. Dla Niemca niemaż żadnego tu usprawiedliwienia; bajeczna łatwość składania dwu i więcej pni wyklucza wszelkie obce nazwy. U nas inaczej; zamiast

złożeń dwu- lub więcejpniowych urabiamy tylko od jednego pnia nowe słowo, co przez to traci na wyrazistości i dokładności. Niemiec n. p. powie Federmesser, Federhalter, Federkasten i t. d., rozróżnia więc w złożeniu rzeczy jak najściślej; nie tak nasz piórnik, co może być tem wszystkiem, chociaż ograniczyliśmy go do Federkasten; był jednak i osadką pióra niegdyś. Niemiec powie Messerschmidt, Messerschleifer, Messerheld i t. d., myśmy do nożownika niedawno dopiero nożowca dorobili. Nasze więc jednopniowe słowa są nadzwyczaj w urabianiu dogodne, lecz wieloznaczne, i przez to znowu mniej dogodne. Niemiec n. p. zrozumie łatwo, że Funkenspruch to telegram (właściwie chyba Funkenschrift!), ale nasz iskrowiec? Kolej konna Rosyaninowi konka a żelazna (u ludu) czugunka (niby żelaźnica u nas; zostaniemy przy kolei, choć tłumaczonej z niemieckiego). Tak urabiał Słowianin zawsze nowe słowa, n. p. piaskowiec = Sandstein, jabłoń = Apfelbaum, albo połączył rzeczownik z przymiotnikiem, Piaskowa Skala. Przenigdy nie myślimy naśladować Czechów, co niemieckie złożenia ślepo naśladując, najspokojniej: knihtiskarna, knihkupectwi i t. d. wedle: Buchdruckerei, Buchhandlung i t. d. tworzyli, grzesząc podobnymi dziwolągami przeciw duchowi języków słowiańskich, nie znoszących żadnej takiej składanki*). Da-

*) Z tymi potworami czeskimi, knihvazacz = introligator, knihkupectwi = antykwarnia i pod., nie należy kłaść na równi n. p. naszego zegarmistrza (już w XVI. wieku tak), bo nie myśmy utworzyli to słowo, jak Czesi swoje, lecz gotowe, całe wzięliśmy z niemieckiego, taksamo jak burmistrza, wachmistrza, rotmistrza i t. d. Raczej przypominają one nasze dziękczynny, nie dziękoczynny; albo Bogdana, ależ tego skrócono przed wiekami jeszcze. Język unikał wręcz złożeń, prawił n. p. Wielka noc, wielkiejnocy, Wiele pole, z wielego pola, swawola, z swej woli, biała głowa, białej głowy i t. d. i dopuszczał się ich do-

wniej zapełniali jeszcze w inny sposób niedostatek językowy, przywłaszczając sobie żywcem słowa rosyjskie przeważnie, wyjątkowo i polskie; my w podobny sposób nie myślimy języka zbogacać. Lecz wróćmy od brzydkiego wzoru czeskiego, dziś już, jak słusznie, nie popłacającego więcej, do naszego języka i jego zabiegów o pełność.

Najbardziej odpowiedni, to omówione właśnie jednopniowniki, z czego dotąd stanowczo za mało korzystaliśmy. Scyzoryk byłby najtrafniej piórnikiem, gdyż nim pióra zacinano; dziś musielibyśmy się chyba nożyczkiem zadowolić (nożyki mamy i do owoców), ależ i to mało odpowiada składanemu kieszonkowcu, używanemu dla przystrugiwania (po polsku „temperowania“) ołówków i t. p. Kałamarz był niegdyś piórnikiem; gdybyśmy, jak się godziło, zwali atrament czarnikiem, bo czernidła do obuwia używamy, byłby czarnicą. Z bibułą trudniej się nam rozstać, bo słowo znacznie się rozrosło; już papiery i dzienniki niem przezywamy, acz dotąd raczej żartobliwie czy pogardliwie, ależ od wsiąkania płynu należało swego czasu przezwąć ją czy wsiąkaczem, czy wsiączką. Albo fotel, dlaczegoż nie było go nazwać n. p. poręcznikiem (Ärm- czy Lehnstuhl), skoroż od krzesła odróżnia go oparcie dla rąk? Dziś naraża się na pusty śmiech,

piero w dalszym ciągu: wielkonocny, Wielopolski, swowolny, białogłowski i t. d. Wielkopolska, Małopolska, białogłowa zastąpiły tylko dawniejszą Wielką (albo wielką) Polskę, Małą Polskę i t. d.; Czarnolas był Czarny las, a Starogród Stary gród, zanim się wedle czarnoleskiego i starogrodzkiego poodmieniały. Potwornemi można nazwać niektóre złożenia czy skupienia, jakie Kopczyńskiemu zawdzięczamy, n. p. imięśtów, co tylko na urągowisko językowe zakrawa (należałoz partycipium przetłumaczyć, jak u Rosyan przicastije) i dawnym *noclegiem* usprawiedliwiać się nie da bynajmniej, i i.

kto podobne wprowadza rzeczy, jakby i Jacka Przybylskiego nie wyśmiewano z jego wszechnicą = uniwersytetem albo księżnicą = biblioteką; dziś Niemcy zmądrzeli i w Lipsku *Bücherei*, nie Bibliothek sobie wystawili. Więc podobnym nowotworom wadzi tylko, że nie zawsze od razu zrozumiałe; szczególnie zaś nie udawałyby się, gdzie ich miejsce już zajęte przez inne znaczenie. N. p. parasolki tylko dlatego słonecznikiem nie nazwiemy, ponieważ to już nazwa roślinna (Niemcowi wygodniej z *Sonnenschirm*, *Sonnenblume* i t. d., nam źle), a język unika z zasady wszelkiej dwuznaczności, rozбивa nawet jedno słowo na dwa, aby ją wyminąć, rozróżni n. p. działo i dzieło, chociaż to jedno (składacz polski w XV. wieku wzywał, nie Mużę, lecz Boga, by mu pomógł „to działo złożyć“), biedę i biada, na czele i na czole, rządem i rzędem, a najczęściej zapomni całkiem o drugim znaczeniu, n. p. czyn wyrażał mu niegdyś i zbroję i narzędzia (stąd jeszcze nasze „naczynie“) i wiele innych rzeczy, o czym wszyskciem doszczętnie zapomnieliśmy, ograniczając go do „uczynku“. Możliaby ją ochrzcić słonecznicą, porokiennica, ależ na malutką parasolkę nazwa to przyciężka, więc raczejby słońcówka się godziła? Dziś przywykliśmy do dentysty, okulisty; parsknęlibyśmy śmiechem na ocznika czy zębника (albo zębiarza, boć nowe wstawia), chociaż to wcale nie śmieszne. Rosyanin, co od złożeń swoich, urobionych wedle greckiego wzoru (n. p. żywopis = malarstwo, bogosłów = teolog i t. d.) bardziej do nich nawykł, zawahał się przed zubowraczem, chociaż posiada zuboczystkę (szczoteczkę) i zuboczysta nawet, jak i truboczysta (kominiarza), ma tylko zubnoy wracz; na zębolekarza nawet Czech się nie zdobył, zadowolając się lekarzem zębnym, jak i ocznym; zębolek zaś byłby lekiem (na zęby), nie lekarzem. Nawet kiedy złożenie cał-

kiem prawidłowe, bo przymiotnikowe, mimowoli odczuwamy jakąś jego niedogodność; nie swojsko nam jakoś z *dalowidzem* (*dalekowidz* całkiem zły, bo niepotrzebnie rozciąga słowo, przecież w złożeniu wystarczy samo *dal-*, por. dalszy) i ludowa *widza* o wiele rażniejszą się okazała.

Pomijamy z umysłu słownictwo zawodowe, n. p. chemiczne, gdzie bez sztucznych słów ani na krok nie stąpisz, gdzie z góry z nich rozgrzeszamy, owe węglanowodany (*Kohlenhydrate*) i t. d. znosimy; tu właśnie miejsce i dla zatrzymywania słów obcych. Prawnicy n. p. niemieccy wręcz biją na „purystów“ nieogłędnych; twierdzą, że im się ani obejść bez wyrazów łacińskich z owymi odcieniami, trudnymi do ujęcia dla niewyćwiczonego mózgu, (por. uwagi lipskiego prawnika, profesora Sibera w *Deutsche Juristenzeitung* 1916, nr. 1 i 2, str. 110 i nn.). My tylko język potoczny wzięliśmy na pytki, ale sami przyznajemy, że granice dozwolonej cudzoziemszczyzny nieraz trudno ująć. Co n. p. począć z cygarem? Niemiec żartem wyłożył, jak n. p. *smoking* przez *Rauchjacke*, tak cygaro przez „*Glimmstengel*“, ale Czech doutnika (od dęcia) na dobre używa, my jednak bez dętek się obejdzimy, zważając, że „cygaro“ świat obieгло. I ten wzgląd rozstrzygnie chyba zawsze, więc dlatego i termoi barometrom przepuścimy, choć ciepłomiar (ciepłomierz) wcale dobre słowo.

Nigdy nie należy zwracać uwagi na zarzut, że to „tłumaczone“; bez tłumaczeń nie ruszymy się przecież na krok z miejsca, rozchodzi się tylko o to, czy dobrze tłumaczono. Tak zabierali się w pocie czoła dawni, średniowieczni jeszcze pisarze do podobnych tłumaczeń, *substantia* wypadła im na podstawę a *firmament* na utwierdzenie — czyż podmiot (*subjectum*) a przedmiot (*obiectum*) lepsze? Cóż słownictwo nasze, n. p. gramatyczne

(gramatyka byłaby mównicą, gdyby to miejsce było jeszcze wolne), albo filozoficzne, tylko w ten sposób powstało i uważać je za wykończone, gdzie nic dodawać, nic odmieniać nie wypada, byłoby błędem — język, skoro tylko nie martwy, nieruchomym nie jest. Powtarzamy więc: tłumaczmy śmiało a dobrze, naśladowmy Czechów, co w ten sposób język zbogacili. Ponieważ n. p. francuskie *ordre*, niemieckie *Orden* oznacza i zakon i order, to oni własnemu rząd (rząd, porządek) oba nadali znaczenia (czyż zostaniemy w przyszłym Królestwie przy obcych orderach?).

Należy tylko pytać, czy dobrze tłumaczono i dlatego *ziemniaki* nienaganne; taksamo *pociąg* (co Czechowi włokiem, a Rosyaninowi pojazdem), albo *dworzec kolejowy* (kolejowy zresztą stale odpada i słusznie), albo *dziennik*, *tygodnik*, *miesięcznik*, gdy *czasopismo* a nawet *rękopismo* (już „rękopis“ lepszy nieco) obcym przesiąkły duchem, niepolskim.

Obok urobień jednopniowych i tłumaczeń gładkich możnaby wyjątkowo wznowić i jakie słowo zupełnie zapomniane, przestarzałe, a więc wolne. Części ubrania męskiego obywają się niemal bez polszczyzny, owe surduty (Rosyanin w swoim siurtuku francuszczyznę dokładnie zatrzymał), tużurki, bluzy, fraki (dla nich szkoda polskiego słowa), kamizelki, rajtuzy, krawaty, mankiety, bundy (węgierskie), saki i t. d., ale n. p. w miejsce „Überziehera“ (wedle lwowskiej polszczyzny) stary *nasuwień* aż się naprasza; „Überziehera“ ani płaszczem, ani okryciem, ani zarzutką, skoroż one bez rękawów bywają, nie zbędziesz, chyba równie obcem palto zastąpisz. Oddawna znamy już tylko obce barwy (farby) i kolory, ależ jeszcze w połowie szesnastego wieku o maści, nie koni, lecz sukna mówiono; dziś ograniczyliśmy zna-

czenie wyrazu i na to już nie poradzimy. Lecz napróżno panna, w towarzystwie (łacińskiej z pochodzenia) koszuli się sromając, gieżłko wskrzeszała; za to udało się wiecu odzycie, chociaż skrzywdziliśmy je; ni stąd ni zowąd rodzaj tu męski zamiast nijakiego (dawna polszczyzna ma tylko: to wiece). Termin należałoby rokiem oddawać, por. odroczyć, jak dawniej bywało zawsze, ale rokowi odmieniliśmy znaczenie, lato odnosząc wyłącznie do pory letniej i zastępując je rokiem, tylko nie w liczbie mnogiej (ale rocznik i roczniak obok dwulatka i t. p.). Właśnie język prawniczy odwojował niejedno, co utracił.

Tu wdzięczne pole popisowe dla poety i istotnie Młoda Polska niejedno nam odwojowała, żertwę t. j. ofiarę i t. p.; wymagamy tylko od niej, aby nas nie zarzucała błędami, niepolskimi „archaizmami“, n. p. chram, co cerkiewne, nie polskie (po polsku byłby chrom, ależ istotny polski *trzem* o wiele lepiej służy); gontyny zmyślił ktoś, co chyba o gontach myślał, ależ to były kąciny — kucze na Pomorzu słowiańskim; wiczowie, choć Skarga o nich prawi, to „junacy“ serbscy, nie polscy (ci zwali się wiciędzami, por. robociądz); znicz, co po litewsku znachora oznaczał, odwróciliśmy całkiem błędnie na prze-nośnię dla ognia i t. d. Nakoniec można i do narzeczy sięgać i z nich słowa wydobywać raczej, niż z słownika Lindego; *jeno* n. p., którego Chmielowski stale używał, jest narzeczową, acz odwieczną formą, inne wprowadzali Żeromski i inni młodopolscy pisarze, n. p. zuchetek (mazowiecki, zamiast zuchetek) i i. Lecz to drobne wy-jątki i daleko im do dostatniego z bogacenia języka, szczególnie dla oznaczania rzeczy czy pojęć nowych.

Krakowskim więc targiem, pół na pół, pogodzimy nowotwory z tłumaczeniami i słowami obcemi, wymagając tylko uwagi przy wprowadzaniu nowych wyrazów. Z naj-

większem zdziwieniem usłyszeliśmy n. p. o loteryi klasycznej w Królewstwie, zamiast jedynie możliwej klasowej; klasycznymi bywają gimnazya, gdzie klasyków czytają. Lecz to drobiazgi. Nasz język nie może tak, jak romański lub angielski, przywłaszczać sobie wszelkich słów łacińskich; nie może tak, jak niemiecki, w sążniste bawić się złożenia. Ależ i my czujemy się spadkobiercami kultury łacińskiej, i nam więc wolno z jej zasobów językowych korzystać (jak ubogim jest język rosyjski w porównaniu z naszym w latynizmy!), a greckie całemu służą światu. Ależ i my możemy posługiwać się złożeniami i właśnieśmy umyślnie spadkobiercę nadmienili; on jak i świętokradca a nawet i dziękczynny śmiało ostać się może. Nam uprzykrzyli złożenia dawni poeci, a raczej wierszokleci, co po Kochanowskim na Parnasie polskim rej wiedli (od Klonowica począwszy, szczególnie Rybiński, Petrycy i inni; prawdziwi poeci, Morsztynowie, W. Potocki i inni od tego się uchylali, zato Jacek Przybylski znowu wszystkich prześcignął) i w niezdarnych złożeniach krasę stylu poetyckiego upatrywali. I z nadmiaru latynizmów w dawnym języku dziś się natrzą samy, mimo to udało się tej łacinie skrzywić stos pacierzowy naszego języka, narzucając mu szyk słów całkiem nienaturalny, innym językom słowiańskim zupełnie obcy (a nie tylko słowiańskim). W dawnej szkole właściwe następstwo słów przy czytaniu Owidego lub innego poety oznaczano liczbami; przy czytaniu Samuela Twardowskiego czy Wacława Potockiego mimowoli narzuca się nieraz takasama chęłka. Ależ i dzisiejsza proza nasza, szczególnie w uroczystym nastroju, rzuca tok polski, słowiański, a chwytą się łacińskiego, nader wolnego, wsuwa całe części zdania między rzeczownik a przymiotnik, kładzie przymiotnik po rzeczowniku zamiast przed nim i t. d.

A ileż nam brózdzi niemieckie słów następstwo, mianowicie owo odsuwanie czasowników na sam koniec zdania i t. p.; nie oskarżajmyż samej łaciny o takie niepożądane wcale wpływy.

Należałoż i to podnieść, szczególnie wobec utartego u nas mniemania, jakoby kładzenie przymiotnika po rzeczowniku było pierwotnem jego następstwem. Nic mylniej. Nie znają takiego następstwa inni Słowianie; Rosyanin lub Czech mówią o polskich dziejach, o słowiańskiej wzajemności i t. d., gdy my się sadzimy na dzieje polskie i wzajemność słowiańską. Taką rzecz pospolitą przecież żywcem z łacińskiej *res publica* wyłożono, *pacta conventa* nawet nie tłumaczono, *senatus romanus* senatem rzymskim zostawał i za tym przykładem wkraść się ów wcale niechwałebny zwyczaj do mowy szkolnej, a potem i ogólnej.

Następstwo słów łacińskie a złożenia niemieckie pobródziły w języku niemało. Gotów jednak ktoś stanąć w obronie słów złożonych, gotów wskazać, że przecież język obfituje w tyle dawnych i własnych złożzeń, że wszelkie napastywania listonoszów, wodociągów (dawny język to *rurmusem* nazywał), korkociągów (grajcarki strzelbom zostawmy), deszczochronów, cichostępów i t. d. są raczej bezpodstawne. Mamy przecież sianokosy, sianożęci, kołodziejów (i tyle innych -dziejów), bałwochwalców, muchomorów, konowałów (a w nazwach miejscowych *Konotopy*, *Konopady* i t. d.), Igołomię (t. j. gdzie się iga, jarzma, łomią), kołowrotki, kraso- i brzuchomowców, ludojadów i t. d., i t. d., że na ich podstawie i za ich wzorem możemy śmiało coraz nowe tworzyć i nie pozbawiać się samochcąc tak wygodnego środka dla z bogacania języka.

Ależ nazwy miejscowe idą torem własnym i co

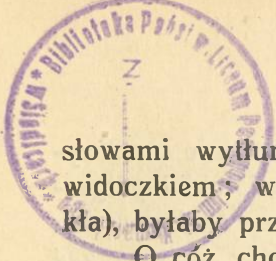
w nich uchodzi, nie uchodzi gdzieindziej; znają one n. p. Dębogłę, Dębogóry i t. p., czego poza niemi niepodobna naśladować. Powtóre, należy z słów przytoczonych powyżej znaczna liczba do późnej warstwy językowej i sama raczej usprawiedliwienia wymaga. Potrzebie, takiego „listonosza“ mylnie urobiono, powinienby raczej brzmieć listonosem; chciał widocznie twórca złożenia uniknąć wszelkiej spółki z nosem (krzywonos i t. p.) i dlatego nieusprawiedliwione niczem sz wybrał. Poczwarte, byłby listonosz albo nawet poprawniejszy listonos zupełnie zbyteczny, bo listowy (lub listowiec) wystarcza całkiem. Nie bez przyczyny więc uciekamy się do złożzeń, od których Niemiec wszystko zaczyna, tylko w ostateczności. „Glashütte“ będzie hutą szklaną albo o wiele lepiej szklarnią; w innych nazwach możemy sobie radzić urobieniem od drugiego pnia, n. p. żelazko = Glätteisen; Niemiec mówi: Vaterhaus, Vaterland, Vatererbe, Vatermörder, my: dom ojczysty, ojczyzna, ojcowizna, ojcobójca — tylko ojcodom czy ojcokraj niemożliwy u nas i dlatego potępiamy wszelkie złożenia, na coś podobnego zakrawające, więc nie pochwalimy kręgosłupa (kręgowiec poprawny); kościotrup jest nam taksamo obcy, jak i szkielet — po polsku kościec.

III.

Upaństwowienie Królestwa Polskiego podnieciło widocznie wyobraźnię naszych „purystów“, zabiegających o czystość językową. I słusznie. Należy przecież oczyścić n. p. Warszawę z śladów jarzma rosyjskiego i chwalić Radzie miejskiej, że wyznaczyła nagrodę za spolszczenie poprawne „gościnnego dworu“, t. j. dworca kupieckiego, jeśli rosyjskie wyrazy oddamy polskimi. Rada przychyliła się ku „kra-

mnicom“, co nam od Niemców przysły; swoją drogą, Niemcy swój „kram“ Słowianom, ich chramom — chorobom zawdzięczają (?); dawny język nazywał to szmatruzem całkiem po niemiecku. Niestety, nie pomoże nam wiele ów język dawny, co właśnie sam obczyznę stale przyjmował; jego ceklarz n. p. nie zastąpi nam policyanta, skoro obaj równie obcy (ceklarz niby z cyrkularza, właściwie z niemieckiego Zirkeler poszedł). Zasada więc, z jakiej urząd warszawski wyszedł, najśluszniejsza; gościnny dwór należy do muzeum niewoli rosyjskiej, ale nie na ulicę polską, bez względu, czy właśnie „kramnice“ dobre.

Podobnie wyznaczono przed laty nagrodę za najlepsze spolszczenie „korespondentki“. Zły przykład galicyjski niczego bowiem nie stanowi; tu tłumaczą bez namysłu, jak najdokładniej, nazwę niemiecką — najniepotrzebniej, bo „Korespondenzkarte“ niemiecka „korespondentką“ (w gwarze potocznej wyłącznie używaną) po polsku brzmieć winna, nawet z narażeniem się na pewną dwuznaczność („korespondentką“ może być i pani z nami „korespondująca“); u Rosyan odkrytoje piśmo, odkrytka (i tak ją Litwini przejęli). Ponieważ słowa list—listy wyłącznie do oznaczenia wymiany pisemnej ograniczyliśmy (dawniej list był liściem), więc słusznie Włodzimierz Plater „korespondować“ przez „listować“ zastąpił i „listówka“ byłaby najodpowiedniejszą korespondentki nazwą, lepszą niż n. p. pocztówka (t. j. Postkarte). Nie zapominajmyż tylko o tej najogólniejszej naszego słownictwa zasadzie, że co Niemiec złożeniem dwu pni, my urobieniem od jednego (zazwyczaj pierwszego) wyrażamy, więc pocztowy lub pocztowiec byłby Postmeister, leśniczy lub leśnik (z tego słowa miała wyjść nazwa Lessing, co powszechnie twierdzą, a czemu przeczę) albo gajowy = Waldheger i t. d.; taksamo więc i Korespondenzkarte niepotrzebnie dwoma



słowami wytłumaczono. Natomiast Ansichtskarte bywa widoczkiem; widokówka (skoro sama widówka niezwykła), byłaby przyciężka.

O cóż chodzi? Nowe państwo polskie, z urzędami i t. d. własnymi, prostem tłumaczeniem wyrazów obcych nie zadowoli się tak, jak to w Galicyi po r. 1867 popłacało. Nic więc dziwnego, że pojawiają się coraz nowe pomysły, dążące n. p. do wprowadzenia polskiej nazwy i do mennictwa przyszłego; przedłożono, nie na żarty, wedle francuskich Luisdorów i Napoleondorów albo niemieckich Joachimstaler (skąd dawna ruska nazwa jefimków) jakiegoś Piasta (przypominającego, jak słusznie zauważono, raczej piastry tureckie, niż rodzinę, niegdyś panującą). Trudno jednak nie zastrzec się przed podobnymi zakusami. Przecież istniało przez dziewięć wieków państwo polskie i do niego chyba wypadałoby się odwoływać w pytaniach podobnych, a wtedy nie pozostanie nam nic innego, niż pożegnać się z Piastem, bo mennica czy myńca polska prócz „złotych“ (co wcześniej już raczej „srebrnymi“ bywały) nazw rodzimych nie znała; był portugał, taler (co później talarem został), grosz („gruby“ niegdyś, i dlatego z łacińskiego grossus, t. j. gruby, przezwany), były wiardunki (niby czworaki), skojce, orty, halerze i t. d., nazwy obce (pomnożyliśmy je w Galicyi o reński — ryński, grejcary, szóstaki czy szóstki, z Sechser przetłumaczone); rodzimych używano dla myńcy podrobionej, owe piorunki, klepacze a choćby boratynki i tymfy; albo dla nazw żartobliwych, n. p. dudek (zamiast orła białego; powędrowała od nas ta nazwa do Niemiec, Düttchen), babka i t. p.; niezrozumiały jest częsty dla dukata. Otóż zostanie chyba nowa stopa pieniężna polska przy „złotym“, chociaż srebrnym będzie, odpowiadającym „marce“ niemieckiej

lub „koronie“ austriackiej i podzielonym (nie na trzydzieści, lecz) na dziesięć groszy = dziesiątaki i półgrosze = piątki, po dziesięć czy halerzy czy szelągów czy groszyków, czy jak tam pieniądz najniższy nazwą: zaś piątki, dziesiątki i t. d. będą liczyły złotych pięć, dziesięć i t. d. obok czerwieńców i półczerwieńców dla monety złotej. Jedyna przecież nazwa słowiańska monety, to grzywna (naszyjnik niegdyś, później dopiero waga kruszcowa), ale u nas dla kary pieniężnej już wyłącznie używana, przeto nie myślimy jej w odmiennem zupełnie znaczeniu wznawiać. Należy więc dzieje dawne, państwowe czy językowe, badać, zanim się przystąpi do nowotworów i do rozstania z niejedną nawyczką. Było nam tak wygodnie, nie siląc się ani kusząc o nic własnego, obcemi słowami zatykać i łątać mowę własną. Umyślnie wymieniliśmy wyżej n. p. antykwarnię, intrologatora i nie pytaliśmy, czyżby nie można tych przybyszów zastąpić rodakami? Jeszczeż antykwarnia po całym obiegu świecie, czego przy równie naszym „bukiniście“ już nie powtórzymy; ależ intrologatora nieznanego na całym świecie, istniejącego tylko u nas, nie sposób zatrzymać, skoroż zawsze o oprawianiu czy oprawie książek, nigdy o ich „intrologowaniu“ nie mówimy, więc i oprawiacz (skoro oprawca nabrał innego znaczenia) i jego oprawnia nam się należą. Zamiast antykwarza i antykwarni prawić o starzyźniaku i starzyźnie wyda się dziś każdemu dziwactwem, chociaż i antykwarz nic innego niż starożytnika nie oznacza; ależ nie ruszamy obcych z ich miejsca zasiedzanego i nie odbieramy praw obywatelskich włóczęgom łańskim, arkuszom (zamiast listom), atramentom (czarnikom; czerwony i t. d. czarnik nie gorszy niż czerwony atrament, bo u obu kłóci się przymiotnik z rzeczownikiem), sulejakom (bo tak dawni buty przezywali), okularom, marginesom

i wszelkim innym ruderom. Wolnoż mimochodem zagadnąć, czyż nie nadto tej uprzykrzonej cudoziemszczyzny? czyż nie wymieść trochę tej stajni Augiaszowej? Bo czyż nie grzeszył jawnie przeciw tej zasadzie, „że Polacy nie gęsi, że język *swój* mają“ (jak ją Rej wygłosił), kto bezmyślnie do języka okulary (zamiast oczników, skoro okuliści — oczniacy o wiele później nastali, lub wzroczników) i t. d. wstawiał. Obowiązkiem było, nie wstawiać ślepo obczyzny, lecz ją bacznie tłumaczyć.

Zachają się najniesłuszniej przeciw tłumaczeniom, od których tylko wymagamy, żeby były dobre, t. j. zrozumiałe i nie kłóciły się z duchem językowym. Więc nie pochwalimy dawnego tłumaczenia morgi czy morgu przez jutrzynę, bo nam jutro, nie ranek przypominała, ale zamkom (grodom), pokojom (komnatom), sklepom (kramom) i t. p. nic nie zarzucimy. Wojują u nas nieraz zarzutem: to niepolskie, to tłumaczone; podobnie zarzucają niejednemu prapolskiemu słowu, że obce, niemieckie (n. p. okrętowi zmyślono jakiś niemożliwy początek niemiecki, albo gapie t. j. wronie albo tłumaczowi albo gmyraniu albo chaźbie i wielu, wielu innym). Ależ jeżeli i Polak i Niemiec używają tego samego zwrotu, to stąd nie wynika jeszcze wcale, że go Polak od Niemca dostał, boć mogli doń obaj dojść samoistnie, niezawisłe od siebie, n. p. „to stoi w biblii“ nie jest niemieckim „das steht in der Bibel“, lecz odwiecznie polskim zwrotem. Podobnie: zejść na psy, śmiać się w kufak, wisieć na włosku, być na nogach, spuścić nos, jak pięść do nosa, obiecywać złote góry i t. d.

Gdybyż to nawet były tłumaczenia, toć nas o to głowa nie zaboli, bo każdy z nas to zrozumie. Co innego, gdyby kto przetłumaczył dosłownie francuskie „il n'est pas dans son assiette“ = „on nie w swoim talerzu“ u Rosyan!

(istotnie: on nie w swajej tarelkie); Polakby tego nie zrozumiał, mówimy chyba: on nie w swoim sosie. Albo jeżeli w Prusiech modrzew słowikiem nazywają, niemieckie Lärche (modrzew) z Lerche (słowik) mieszając — takie i podobne tłumaczenia usuwamy z góry jako niemożliwe. Natomiast nie wahamy się: śledzić za kim, nie tylko: kogo, bo i tropić i szukać możemy tak łączyć, i niemczyzny („nach jemandem forschen“) w tem nie uznamy.

Nowo powstałemu państwu polskiemu życzymy, aby tej nadmiernej pstrocizny językowej nie cierpiało, nie hodowało dalej, aby dbało i w życiu codziennem, nie tylko w piśmie (którego wysłowienie o wiele schludniejsze bywa), o jaką taką czystość i poprawność, aby szkole własnej tę pieczę gorliwie zlecało, co z szkoły i w życie wejdzie, czy prędzej czy później. Na tem bowiem polu zgrzeszyliśmy już tyle, że więcej grzeszyć nie sposób. A kiedyż naprawdę czas ku poprawie lepszy, niż przy rzucaniu podwalin pod nowy ustrój?

Wady naszej pisowni.

Jak nie zdajemy sobie wcale sprawy z zanieczyszczania mowy różnymi przybłędami i wstawkami niepotrzebnymi, taksamo obojętniśmy na zanieczyszczanie pisowniowe. Na słowa cenimy język, nie możemy się go do syta nachwalić, walczymy o jego prawa, biadamy nad wszelkiem ich krzywdzeniem — w istocie krzywdzimy go sami na każdym kroku, bo czyż stałe nasze niechlujstwo pisowniowe nie jest krzywdą językową?

Biorę pierwszą lepszą w r. 1916. wydaną książkę, nie wymieniając umyślnie bliższych o niej szczegółów. Na kilku jej stronicach znajduję: stróże (t. j. struga), oddecham, wdechac i t. d. (t. j. oddychać, wdychać), w podatnych dla się medyach, w bok się (t. j. siebie), w dal okołosiebu (t. j. otoczenia); opozycya z jednym *p*, ale suggestya, terror z podwójną spółgłoską; dzielenie zgłosek niestałe, raz takie, drugi raz owakie i t. d. I mimo-woli pytam, czy Francuz lub Anglik, Niemiec lub Rosyanin mogliby się podobnej samowoli czy niedbałości pisowniowej dopuścić, a gdyby tak, jakby tam o to skarcono i pisarza i drukarza. U nas o to nikogo i głowa nie zaboli.

Pisownią nazywamy, rozszerzając umyślnie znaczenie bieżące, wszelki sposób oddawania brzmień i słów, poczynwszy od znaków abecadłowych i dzielenia wyrazów a skończywszy na przeróżnych postaciach mowy i słowach; wadami jej nazywamy wszelką nieodpowiedniość jej znaków, chwiejność w używaniu znaków i słów i niejednostajność w urabianiu postaci — jednym słowem, wszelką dowolność, nielicującą z wymaganiami, jakie stawiać winniśmy wobec języka wielkiego, bo z górą dwudziestomilionowego narodu, o bogatym a dawnym piśmienictwie.

Wymagania odnoszą się przedewszystkiem do pisma, co winno przestrzegać stałych prawideł czy przepisów, którego nie należy zdawać na dowolny wybór czy domysł czyjkolwiek; natomiast mowie żywej większą swobodę przyznajemy i tu jej na myśli wcale nie mamy. Wymagamy więc jednolitości i zgody powszechnej tylko w pisowni; czy to za sobą z czasem pociągnie większą jednolitość i zgodę u mówiących samych, czyli nie, na tem nam nic nie zależy, gdyż dbamy tylko o ustalenie pisowni, jako rzeczy dla szkoły i prasy wagi pierwszorzędnej, nie zaś o wyplenienie rozmaitych dowolności mowy ustnej. Zasada nasza brzmi: piszcie wszyscy na jeden i ten sam ład, nie znoście żadnych odmian wedle ziem (n. p. inaczej w Królestwie, a inaczej w Galicyi), albo wedle widzimisię jakiegoś, pokrywającego nieraz pod pozorami naukowymi i pod najnowszem słownictwem umiejętnem tylko nieznaną tego, co w języku istniało, zastępującego tę wiedzę próżnymi domysłami. Mowie ustnej ujdzie natomiast zupełnie niejedna, nawet znaczna odmiana; Litwina n. p. poznajemy po wymowie tylko, nie dopuszczając w piśmie różnicy najmniejszej — wymawiaż jeden Niemiec *stand*, inny *schtand*, ale obaj piszą taksamo.

Usuwamy więc z pisma wszelkie właściwości nierzeczowe, nie dopuszczamy n. p. żadnego w niem mazurzenia*); nie napiszemy nigdy *jezdem*, chociaż większość Polaków od XVI. wieku tak to wymawia (a dawniej i pisała je nawet w drukach dawnych); mówimy: imię, ciełe, książe, bydle, pietnaście, dziewiętnaście i t. d., tylkoż pisać tak nie wolno przenigdy.

Do tego wstydu bowiem, że nasz język niby owa wrona z cudzem, lecz wcale nie cudnem upierzeniem, po cóż dodawać dalszy: że pisownia nasza taka niestała i chwiejna (zawyrokowałby złośliwy dowcipniś), jak my sami. Wstyd bierze przecież, jeżeli porównamy naszą pisownię n. p. z czeską albo choćby z rosyjską, mającą o wiele znaczniejsze trudności do zwalczania. Co za jednolitość pisowni czeskiej wobec naszej! Ależ tam przeprowadzono jedną zasadę, do niej się wszystko nagina i żaden Czech nie wyłamie się z pod jej prawideł, wcale uciążliwych, ale przynajmniej stałych, gdy nasze prawidła przypominają nieraz koła, jakie pijany zatacza, n. p. każą nam pisać przyimki razem: *popod most* czy *ponad brzegiem*, ale rozrywają je: *z pod mostu*, *z nad brzegu*! Niżej przyto-

*) Wobec tego, że przeważna część Polaków od dawien dawna mazurzy, zastanawia niemal stała odporność pisowni przeciw wszelkiemu mazurzeniu. Ledwie, że w kilkunastu odosobnionych nazwach i słowach „mazurzymy“ i w pisowni, jakoto: cacko zamiast czaczko (od czadzu lub czaczu, nagrody wyścigowej), cwał (zamiast czał), cyranka, cebr, dzban (właściwie czber, czban), zarzewie (z żarem przecież pokrewne, a dziwnie w dawnym już języku poplątane słowo, pierwotne żerawie, jest nawet „w rzeżarku“ u Clementinusa r. 1630); racuszki i recuszki z mąki hreczanej; kucnąć obok w kuczki i kuczeć; cupnąć obok czupnąć; roślinę domową cząbr pomieszano w wymowie z cąbrem pieczeni (z niemieckiego Ziemer) i z babami czombrowemi krakowskimi (z niemieckiego Schamper); może i cuchnąć obok dawnego czuchu, od czucia, „mazurskie“, nie „polskie“ (t. j. wielkopolskie).

czy my więcej podobnych „urozmaiceń“, szpecących naszą pisownię; wszelkie nasze wywody godzą w pierwszym rzędzie w to widzimię, panujące w niej wszechwładnie, w tę pstrocinę, w której może kto inny właśnie jakiś przymiot osobliwszy, jakąś szczególną malowniczość odkryje; dopiero w dalszym stopniu myślimy o odwojowaniu niejednego, co utracono, boć jeżeli wolno jednym psuć pisownię, toć sprawiedliwość wymaga, żeby innym wolno było ją naprawiać.

I.

Zaczynamy od czcionek, nie z myślą o jakiegokolwiek odmianie, lecz aby u samego wstępu pisowni jej niejednolitość jako rzecz najbardziej dla niej znamionną wykazać. Zdawałoby się bowiem, że nic łatwiej, niż wymagać, aby brzmienia tego samego rodzaju tym samym wyrażać sposobem, lecz o tem pisowni naszej ani się nie śniło. Jedno i to samo brzmienie *ń* piszemy tak i inaczej, *koń* i *konia*, nie *końa*; brzmienia *cz sz rz* wyrażamy całkiem umownym sposobem przez złożenie *z z* (ależ n. p. Niemcowi albo Węgrowi *sz* całkiem inne wyraża brzmienie; Niemiec dla naszego *sz* równie umownego znaku *sch* używa, acz ten ma dawne dzieje za sobą), więc i takie same brzmienie *ż* należałoby dla jednolitości złożeniem, tu więc zdwojeniem przez *zz* wyrazić; albo odwrotnie: jeżeli *ż* kreskujemy, toć należałoby koniecznie równem kreskowaniem i *ć* *ź* *ś* wyrażać, ależ my takie same brzmienia raz kreskowaniem, raz złożeniem *z z* oznaczamy. Nie dziw więc, że sąsiedzi nasi, Litwini, a raczej Litwomani, dawną pisownię polską dziś zarzucili, że piszą jednolicie *c* *ź* i t. d., a nawet i białoruski Homan (wydawany w Wilnie, Swar czy Gwar po naszemu?) kusi

się, acz nieśmiało, o wprowadzenie przynajmniej dla sz znaku czeskiego, jednolitego š, bo Biała Ruś od swych modlitewników do polskich czcionek przywykła. Podobnie ma się rzecz i z ś w zaś, a z *sianem*, zamiast *śanem*, *ćatem*, *dżatem*; dalej piszemy brzmienie c t. j. t + s, jednym znakiem, *ręce*, ale spółrzędne mu d + z dwoma oddajemy, *nodze* — więc nierównomierność zupełna. Jakżeż powstała i co ją wytłumaczy?

Gdy zaczęto pisać po polsku, nie troszczono się bynajmniej o to, jakie język polski „posiada głoski (dźwięki)“ (to czytaliśmy w niedawnej rozprawie uczonej); troszczono się tylko o to, jak kilkunastu znakami łacińskimi oddawać kilkadziesiąt brzmień polskich. Z trudności wybrnięto najłatwiej: jeden znak łaciński, n. p. d, służył trzem (lub więcej) polskim brzmieniom, d, dż i dz, n. p. *idziesz* pisano przez *ides*. Cierpiała na tem nadzwyczaj zrozumiałość pisma, lecz czytelników było nieskończenie mało i tyleż wymagali, tylko zrozumiałości, bo sama czynność czytania zaprzętała ich zupełnie, czego dowodem najlepszym straszna rękopisów niepoprawność. Gdy się wzmożła liczba piszących i czytających, rosły ich wymagania co do jasności pisma i radzono sobie tak, że składano kilka łacińskich znaków dla jednego brzmienia polskiego; s, c i t. d. pisano i sz, cz, albo zdwajano je, ss, pisano je i ssz albo *sch*, zz i t. d., dodawano i lub y; teraz pisano *idziesz* przez *idzyesch* lub podobnie. Najdawniejsze rękopisy czeskie udoskonaliły te złożenia nadzwyczaj; nasze, jak zawsze i wszędzie, mniej o jakąś prawidłowość dbały. Zamiast tych złożzeń wprowadził w Czechach Hus, wielki języka narodowego miłośnik, dbały o jego czystość i szatę, ponownie znaki pojedyncze, ale je punktami rozróżniał, *ň* było *ň*, *č* było *cz*, *ž* było *ž* i t. d. Gdy nasi pierwsi drukarze wyprowadzali z zamieszania

rękopiśmiennego prawopis, nie przejęli całej zasady Husowej, lecz pomagali sobie i sposobem tamtym, do którego przez półtora wieku nawykano, i tym nowym; tak powstała dwoistość naszej pisowni, posługującej się i znakami złożonymi (cz sz rz dz ni dzi i t. d.) i kropkowanymi (*żak*, *łan* przez odmianę kropki lub kreskowanymi (*dziś*, *dzień*). Tak ustalili drukarze krakowscy pisownię i mieli słuszość, że nie trzymali się jednej zasady tylko, bo wyłączne użycie kresek i kropek nadzwyczaj pstrzyło druk, czyniło go wręcz nieprzyjemnym dla oka (razi nas to już w czeskim, choć on mniej spółgłosek kreskuje, niż nasz język); wyłączne zaś używanie znaków złożonych (n. p. *ll* dla *ł* i *t*. p.) zbyt rozwlekło pismo; niepotrzebnie tylko podwójne *w* (co właściwie *vu* znaczyło, *wj* = *wuj*) dla brzmienia pojedynczego zatrzymali (Litwini dzisiejsi je też odrzucili), ponieważ i *i* przez znak podwójny (*y* t. j. *ij* właściwie) oddawali; joty nie mieli, pisali ją przez *i* na początku zgłoski, *ia*, przez *y* na końcu, *moy*, Zamoyski; później rozróżniali i nasze brzmienia *i*, *y* w sposób dzisiejszy. Oni też wprowadzili nasze zamieszanie w oznaczaniu nosówek; dawniej obie nosówki jednym znakiem, *ą*, wyrażano, pisano *ręka* i *rąka* = *rąk*; oni zatrzymali dawny znak *ą* dla brzmienia, które przez *o* właściwie pisać by należało (francuskie *on*), a dodali nowy znak *ę*, *ręka* — *rąk*. Byli więc bardzo ostrożni, usuwali tylko rażące braki, nie zrywali, ile mogli, z ustalonym paru wiekami zwyczajem. I tę to pisownię piastujemy do dziś, niemal niezmienioną. W siedmnastym wieku odrzucono kilka jej szczegółów, n. p. zaprzestano pisowni *śi* *ći*, w *śiano*, *ciało*, jako niepotrzebnej i słusznie: natomiast zamiast dawnego *szcz* *ści* i t. p. (*szczyt*, *ściek*, gdzie brzmienie następne określa przyrodę poprzedzającego *s*) wprowadzono *szcz* i *ści*. I jedno i drugie nie bardzo szcze-

śliwe, szczególnie zaś pierwsze ; ta zbitka czteru spółgłosek pismo raczej szpeci, a obejść się bez niej można było znakomicie. Pomijam, że i wymowa bez niej się czasami obchodzi (słyszemy i wymawiamy: cudzoziemsczyzna, polsczyzna, Szczakowa, płasczyzna), ależ zasada każdego prawopisu brzmi: nie łożyć więcej znaków na to, co i mniej znakami wyrazić zdołamy; Rosyanin ma na to jeden znak, więc jemu dobrze; nam źle, ale już przy tem pozostać wypadnie.

Na przełomie dziewiętnastego wieku zapelniono na koniec dotkliwą naszego abecadła szczerbę. Dla brzmienia, najczęściej w języku zachodzącego, dla joty, nie posiadano wcale osobnego znaku. Teraz *j* pomnożyło zasób naszych czcionek — nie bez walki. Nowinka ta wywołała w dalszym ciągu gorące spory (czem rzecz blahsza, tem spór gorętszy), bo nie wszędzie jotę stawiano, mianowicie nie w słowa obce, gdzie pisownię obcą przez *ia* (teologia i t. p.) albo polską przez *ya* (gdyż niektóre brzmienia polskie, n. p. *r*, *t*, *d*, *c*, *z* i się nie zgadzają), zadržmano. I wybuchł spór, czy pisać Marja czy Marya? Spór ten nie ma najmniejszej podstawy ani znaczenia ani jakiegoś z umiejętnością związku; pisownia Marja odbiega od pierwowzoru, mniej potrzebnie, skoroż to słowo (i wszelkie inne podobne), nie polskie; pisownia Marya i z pierwowzorem i z znaczeniem polskiego *y* kłóci się zawzięcie; najlepiej byłoby zachować pisownię pierwowzorową, *Maria*, *Szwecia*, *Asia* i t. d., przecież to słowa obce i nikt ich *Szweća*, *Aśa* i t. d. czytać nie będzie, taksamo jak *Dania* lub *linia* nie czytamy *Dańa*, *lińa*, lecz *Danja*, *linja*. Ponieważ jednak pisowni najodpowiedniejszej i zarazem najdawniejszej: *Asia*, *patriota*, *Triest* i t. d. chyba nie osiągniemy, więc dla miłej zgody trzymajmy się już pisowni równie dawnej, przez *ia* i *ya*, *Dania* i *Marya*,

pomni, że na zgodzie, nie na pisowni zależy. Piszmy więc raz na zawsze Marya, Asya, ale akademia, Dania, linia — chyba wedle ogólnopolskiej zasady: wolność Tomku w swoim domku, boć wszelkie zakusy, inaczej, niby w jakiś umiejętny sposób, pisownię Marya i t. d. uzasadniać, są tylko zawracaniem głowy.

Na oburzenie jótowców, t. j. broniących uparcie pisowni: Marja, Asja i t. d., odpowiemy snadnie, żeć sami już krzywdzą jotę, pisząc *nadziei, moi* i t. d., choć wymawiamy wyraźnie *nadzieji, moji*, więc joty nigdy przed i nie piszą, choć ją wymawiają. Dalej, że sami z sobą się kłócą. Austrya, tryumf, patryota brzmią jednako, ale jótowcy piszą je trojako: Austrja, tryumf, patryjota; piszą dalej najniepotrzebniej hijenę, klijenta, fijołek, Syjon (por. pisownię moi) i muszą najrozmaitsze smażyć przepisy, aby wybrnąć z zamieszania, wpadając w coraz gorsze; każą przecież pisać: Austrja, ale: austryjacki!! Niechżeż się nie dziwią, że na takie zamieszanie my znowu nie myślimy się pisać. Piszemy więc Austrya, tryumf, patryota, Tryest, klient, hiena, fiołek, fiolety, biografia, dyeta, Syon, gimnasyum, Mesyas, Dyana, dyabeł (choć to słowo zupełnie zpolszczało, mówią nawet dziabeł; możnaby je niemal i diabeł, diasek już pisać), dyalog i t. d., więc i historia, poezya, komedia i t. d. Ponieważ zaś piszę klient, hiena, fiołek, nie myślę równie obcego chrześcianina odmiennie pisać (pisownia chrześcijanin zbyt-czna), natomiast rodowitego pijanego (wedle pijaka) przez *ij* pisać należy, chociaż go często dwugłoskowo wymawiamy — ależ, jak wiadomo, pierwsza naszego prawopisu zasada: nie pisz tak, jak wymawiasz.

Zwykle twierdzą przeciwnie: pisz, jak wymawiasz, ale to do bajek należy. Wymawiamy w Krakowie i Lwowie *jezdem*, tylko pisać tak się nie godzi; wymawiamy:

bliski, niski, wąski, Francuska, lucki, tylko pisać tak nie wolno; wymawiamy; leść, gryść, wieść (wiozę) i t. d., atęz tak nie piszemy. Więc nie wolno też przeciw jedynie poprawnej pisowni: Maria, Austria, triumf (bo i całe wieki nasze tak pisały, zawsze konstytucia i t. p.; i pochodzenie obcego słowa tej pisowni wymaga) podnosić zarzutu, że tak nie wymawiamy, jakbyto nasza pisownia kiedykolwiek o wymowę dbała! Jedyne zarzut, jaki przeciw pisowni Maria i t. d. wystawić można, to ten, żeśmy od pisowni poprawnej i dawnej odwykli a do mylnej przywykli, a nawyczka góruje w prawopisie (łacinnicy mówią: usus tyrannus). Zarzut inny, że wiersze wymagają nieraz tej pisowni (Marya), równie błędny, bo dla nich należałoby Maryja i t. d. pisać, chcąc niejeden rym naocznie uwydatnić, a my im przecież i innych wolności rymowych dozwalamy, n. p. rymować *ę z e, ą z o* i t. d. Więc radzilibyśmy pisać Maria, Austria, triumf, bez najmniejszego na to względu, jak to kto wymawiać myśli, czy Austryja czy Austrja i t. d., boć wymawiajcie, jak się wam żywnie podoba (granic pewnych i tak nie przekroczycie), lecz piszcie jednym ładem. Ponieważ się jednak nie łudzimy, żeby najstosowniejszą pisownię z *ia* przyjęto (nie powołujemy też przykładu czeskiego, boć tam stosunki głosowe odmienne), więc ze dwu tych pisowni, przez *ja* czy przez *ia* — *ya*, wybieramy mniej złą dlatego, że po *n, m, k, g, f, p, b, w, l, ch*, z ową najstosowniejszą się zgadza. Uwaga, że pisownia: Marya, łatwiej tłumaczy urobienia dalsze, jak Maryjny, niezrozumiałe przy pisowni Maria czy Marja, zaważyłaby tylko przy pisowni Maryja. Wracamy do przerwanego wyżej toku, do wykazania, w czym dziś odstąpiliśmy od dawnego druku, dodając, że po rękopisach pismo przedstawiało się jak najdłuższy czas inaczej, o wiele gorzej, niż

w druku; dopiero nauka szkolna języka polskiego ten rozdzźwięk między drukiem a pismem usunęła.

Jeszcze bowiem jedna odmiana zaszła w ciągu wieków; z końcem ośmnastego zaczęliśmy kreskować ó (i é, ale tego nieproszonego gościa szczęśliwieśmy się po r. 1890. znowu pozbyli). Kreskowane ó jest równie zbyteczne, jak kreskowane é, skoro nasz prawopis nie samego brzmienia, lecz jego właściwego pochodzenia się dierży, więc nie znosi pisowni *bur*, boć *boru* i t. d. dowodzi, że *bor* pisać należy. Wszystkie też dawne wieki obchodziły się najspokojniej bez kreskowanego ó i nikomu to nigdy nie wadziło; wie przecież Polak i bez tego, gdzie *o* jak *u* wymawia, a obcych prawopis własny nigdy nie uwzględnia (i Rosyanin pisze dawne *ie*, gdzie *io* wymawia, pisze idesz, wymawia idiosz). Drobiazgowość uczonego, przewodzącego nad językiem, obdarzyła nas tem kreskowaniem (dalszych jego zakusów w tym samym kierunku ogół nie przyjął, i słusznie — dał mu się jednak w tym jednym zbałamucić) i dziś nie dadzą już sobie ludzie wmówić, że mogliby się w wieku XIX. i XX. bez tego obejść, bez czego się od XIII. do XVIII. obchodzili szczęśliwie. Więc kreskujemy i nadal ó; wymagajmyż tylko jednego: rozróżniamy ó i *u* jak się należy, nie wedle pierwszego lepszego widzimi się, a przedewszystkiem nie ustalajmy przepisów mylnych.

Wątpliwości być nie może; nasz prawopis uwzględnia pochodzenie brzmienia, więc nie uchodzi pisać z warszawska protokuł ani też doktor, bo cóż z tego, że tak wymawiają? Pisz więc: protokoł, doktor, boć to ani nasz kół ani wór, lecz przybysz łaćński, więc tylko *o* w nim uprawnione. Piszą nawet odór i fetór, ale z kreskowaniem *o* czy bez kreskowania należy obu wyświecić, jako niepotrzebne wlaży łaćńskie. Przejdźmyż do słów własnych. Jasz-

czur i jaszczurka mają i w innych językach słowiańskich — *ur*, więc i my je tak piszmy; to samo dotyczy dłóta, które przez dłuto (niby dłubać?) pisać jest grzechem przeciw słowiaństwu (ruskie dołoto; to *oło*, *oro*, odpowiada naszemu *ło*, *le*, *ro*, nigdy naszemu *łu ru*); takim samym grzechem z tej samej przyczyny jest pisać *plukać* zamiast poprawnego *plókać* (ruskie połoskać) albo *kłuć*, *pruć* (ruskie kołot', porot'); przecież o posiadamy sami w *kołę* (kół, kołek) i *porzę* (rozpór, rozporek), a że dziś *klóję*, *próję* odmieniamy, zamiast właściwego *kolę* (wykalam), *porzę* (rozparam), rzeczy nic a nic nie zmienia. *Tulić*, pisano dawniej i *tolić*, ale wedle innych Słowian *u* mu przyznamy, zato przy *zasuwce* rzecz wątpliwa, boć i od zasowy pochodzić może, ale dla miłej zgody piszmy ją przez *u* wedle *zasuwać*.

Nie należy pisać: tłomaczyć (albo tłomaczyć, boć i to znajdziesz), ani tłómok, ani ogórek, ani półk, półkownik, ani obowie, ani stróna, bo z tem samem prawem (wilczem) moglibyśmy i *dłógi* i *tlósty* i *tlóm* pisywać (to samo brzmienie), ogurek zaś, to obce słowo z pierwotnem *u* (por. Gurke niemieckie); ani *dwóch*, boć wyszło od *dwu*, którego przecież przez *dwó* nie piszemy nawet w złożeniach, dwudniowy i tylu innych. Błąd jest dawny, ale pomimo to pozostaje błędem. Odmieniało się niegdyś dwa, dwie, dwu, dwiema — później dwiema ograniczono do rodzaju żeńskiego, a do męskiego wprowadzono dwoma; unikając liczby podwójnej, wychodzącej z używania, przystawiono do dwu dla celownika i t. d. wedle końcówek liczby mnogiej *moich*, dwum, dwuch; ani dla *o*, ani dla *ó* nie byłoż tu miejsca; „wymowa pochyłona“ — wobec stałej otwartej w tej końcówce (panom i t. d.), dowodzi, że tu było *u*, nie *o*. Gorzej obeszli się z *pułkiem*, który już Kopczyński kazał pisać przez *ó*, niby od pół koła (pi-

sownia tak samo trafna, jak wywód pochodzenia) i autor *Dziejów Wojen* zeszepeczył jeszcze 1912. r. piękne dzieło pisanną półkownik i t. d. Żadne tu nie pomogą wymysły, żadne odwoływanie się do dawności podobnej pisowni, ogurek już w 16. wieku pisano ogólnie przez o (t. j. ó), a obuw, dzisiejsze obuwie, już od czternastego wieku tak piszą, niby wedle czasownika obuć, obuwać. i nicbyśmy takiemu wywodowi zarzucić nie mogli (t. j. nic, coby niezawodowiec zrozumiał, bo zawodowiec wie, co o tem sądzić), gdyby nie wszystkie inne języki słowiańskie, których zgoda polską pisownię jako mylną usuwa. Natomiast bardzo późnym błędem jest pisownia *ogół*, gdyż jeszcze za czasów sejmu wielkiego poprawna *ogul* popłacała. Odwrotnie nie należy pisać: pruchno (od prochu przecież nazwane), bruzdzić (od brózd — ruskiej borozdy) i t. d. W dawnych zapiskach podobnych błędów więcej, piszą Gury (i imię stąd Gurski) i t. p.

Osobno jednak stawia cały szereg słów obcych, pisanych przez u mniej lub więcej stale w rdzennej zgłosce (nie jak doktór i t. d. w końcowej), chociaż im się ze względu na ich pochodzenie ó należy, więc: buty (botta łacińskie), jakbyśmy o obutym myśleli, kluski (Klosz niemieckie), ślusarz (Schlosser), marmur, nuta nucić (nota), ludwisarz (Rotgiesser), rura (Röhre), łut (Loth), luźny (loos), stuła (stola); Jakubowi przywróciliśmy na piśmie ó, ale imię własne do dziś Jakubowskim piszemy i tak samo Kubę; furta (Pforte), złożenia z -ulec (niemieckie Holz, jak budulec, strychulec i t. p.) i i.; przy niektórych zatrzymaliśmy kreskowane ó, róża, śrót, Józef (ale Juza), próba; przy innych, pisownia waha się, jest i nóta, i słó-sarz, bywa i śrót; jeszcze inne napoły pozapominaliśmy, kót (u nogi końskiej), kluba; przy innych dawny język dziwnie postępywał, pisał n. p. stale poł (t. j. pół), ale

puł w złożeniach, n. p. w pułmilu, w pułbeczce i t. p. — przyczyny podać nie umiem. O innych kreskowaniach, niedawnego é i dawniejszego o wiele á, dziś na szczęście słów tracić nie trzeba.

Takich to zmian, w istocie drobnych, dopuściła się pisownia nowsza w porównaniu z dawną krakowską (na inne nie zważano, n. p. na Seklucyanową w Królewcu, choć nie źle radziła), w wieku XVI. ustaloną, a następnie aż do gramatyki Kopczyńskiego (z jej kreskowaniem) i do Felińskiego (z jotą) powtarzaną. Przechodzimy od znaków pisarskich do zagadnień dalszych pisowni, chociaż już sama różnica między ó a u właściwie do tych dalszych zagadnień należy.

II.

Jakaż główna naszego prawopisu zasada? Oto: pisać nie wedle „ucha“, lecz wedle „oka“, patrząc na inne tego samego słowa postaci, na pochodzenie jego właściwe, tak jak się to dzieje we wszystkich językach świata, boć słowo czy zgłoska, zmieniając najbliższe otoczenie, odmienia i brzmienie. Wymawiamy więc: kłatka, kłótką, wóska, gryść, leść, wieść i t. d., ale bacząc na: kładę, kłodę, wózek, gryzę, lezę, wiozę i t. d., piszemy: kładka, wózka, gryźć, leźć, wieźć; wymawiamy: proźba, koźba, ale piszemy: prośba wedle prosić a kośba wedle kosić; piszemy: Francuzkę wedle Francuza; wążki, nizki, blizki, rzeźki, wedle zwęzić, z nizu, blizu, rzeźwy; ścieżka, nie ścieszka, łezka, nie łeska, kózka, nie kóska; róg, wedle rogu, nie rók; dług, wedle długu, nie dłuć i t. d. Tylko wyjątkowo poddajemy pisownię uchu; piszemy dziarski zamiast dziarzki, por. rosyjskie derskij; dech, ale tchu; dychać, ale tchnąć, tchórz; deszcz (i dorabiamy doń de-

szczu), zamiast deżdż, dżdżu, dżdżysty. Albo ułacniamy wymowę i do tak ułacnionej stosujemy pisownię, n. p. pierwotne *Królestwo* skróciliśmy najpierw w wymowie, a od 16. wieku i w pisowni na wygodniejsze *Królestwo*, również lenistwo od leniwy piszemy bez *w*.

W tej naszej pisowni dla „oka“, wzrokowej, pozwodziły nas różne mylne „widoki“. Piszemy n. p. wedle ucha: boski, bóstwo, męski, męstwo, nie oglądając się na: boży, mąż, coby (całkiem pozornie) raczej: bozki, męzki, wymagały; natomiast piszemy: ludzki, zamiast lucki, oglądając się (mylnie) na lud, chcąc jego *d* ocalić czy wyrazić w urobieniu z przyrostkiem *-ski*, że w: świecki, to *t* i *-ski* (świat-ski) dla oka równie giną, nic nam nie wadzi. Otóż: ludzki, jest niemożliwe; chcąc uwydatnić pochodzenie słowa na piśmie, należałoby pisać, jak Czesi piszą, ludski, podobnie bożski, mężstwo; jeżeli zaś przy pisowni: boski, męski, zacieramy powinowactwo z bóg, boży i mąż, toć i lucki taksamo pisać wypada, nie ludzki, co ani wymowie, ani pochodzeniu (gdzież *s* od *-ski*?) nie odpowiada. Piszemy dalej męski wedle ucha, ależ od tego samego męski urabiamy przyrostkiem *-izna*, zamiast męszczyzny albo mężczyzny, *mężczyznę*; i tu nagle pojawia się ni ztąd ni zowąd owo *ż*, któregośmy się w *męski* właśnie pozbyli — bardziej wszystkiego poplątać chyba już nie można. Piszemy napoły wedle ucha, zwycięzca (zamiast *s* wstawiamy jednak *z* ze względu na zwyciężyć), ale polecają pisać łupieżca, drapieżca, poco? Czyż nie lepiej pisać wedle: zwycięzca, i: łupieżca? poco tworzyć coraz nowe wyjątki? — Przypominają się przy tych na *-sca* mimowoli owe na *-rca* od *-erz*, n. p. szyderca od szyderza (nie szyderzca), morderca od morderza, bluźnierca i t. d.; swoją drogą należałoby koniecznie wedle zwycięski zwycięstwo pisać i zwycięsca, po-

dobnie krzywoprzysięsca, ciemięsca i t. d., ależ to u nas zawsze jeden sasa, drugi do lasa. Od radzić urabiamy dziś: radca (niegdyś radźca, a z tego rajca, raić, rajfur), ależ od takiego samego: wychodzić, nie: wychodca, lecz ni stąd, ni zowąd: wychodźca; od dowodzić: dowódzca, ale od jeździć, jeźdźca.

Zobaczmyż na innym przykładzie, co znaczy niejednostajność pisowni, jej sprzeczność i bezład i jak temu zapobiegać można — przynajmniej na piśmie, nie znoszącem bezładu. Rzeczowniki na *-stwo* i przymiotniki na *-ski* urabiamy w ten sam sposób, piszemy zaś w przeciwny, bo piszemy *królestwo*, *synostwo*, *ojcostwo*, ale *królewski*, *synowski*, *ojcowski*! Wymowa, i słusznie, różnicy nie zna, wymawiamy króleski jak królestwo, żydowski jak żydostwo, ojcoski jak ojcostwo, i to od dawna. Malczewski podpisywał się Malczeski, „Kochanowski“ rymował już w XVI. wieku z „boski“; odwrotnie wstawiano na piśmie *w* nawet tam, gdzie go nigdy nie było, n. p. zaporowski (od Zaporozża, zamiast zaporoski), ostrowski zamiast ostroski (od Ostroga). Zmyślono nawet jakiś przepis, żeby zakryć listkiem figowym tę widoczną sprzeczność, i orzeczono: spółgłoskę *w* pni dzierzawczych (ojców-, królew-) opuszcza się przed przyrostkiem *-stwo*, królestwo, żydostwo i t. d., lecz zachowuje się spółgłoskę *w* w osnowach nie dzierzawczych, n. p. plugawstwo, rybołówstwo, marnotrawstwo i t. d. Ten przepis między bajki należy, bo oto w leniwy, myśliwy *w* nie jest dzierzawcze, mimoto urabiamy od nich lenistwo, myślistwo (świeżo wydała Akademia Krakowska książkę obszerną o „Myślistwie“, r. 1914., nie o „Myśliwstwie“), i plugastwo wyraźnie słyszeć i tylko u takich jak: szewski (szewska pasya), szewstwo, rybołówstwo, marnotrawstwo, prawodawstwo, warszawski (ale lwoski, krakoski)

można na pewne *ws* liczyć. Wymowie nie zakreślamy żadnych granic: *wstw*, cztery spółgłoski, dopraszają się ułaczenia bardziej, niż *wsk*, trzy spółgłoski. Więc wymawiajcie: królestwo, króleski; żydostwo, żydoski, ależ piszcie: leniństwo, myśliństwo, królestwo, żydowstwo, prawodawstwo i t. d., taksamo jak królewski, żydowski. Pisać królewski, ale królestwo, jest bezrządem w pisowni, co się szczyści zasadą pisania wedle pochodzenia słowa. Powie kto, że gwałcimy język, że narzucamy mu jednostajność koszarową, że tłumimy malowniczy w nim nieporządek, wprzegając go w jakieś karby i przepisy. Otóż wymowy ani tykamy, wymagamy tylko od pisma zachowania jednomierności w pewnych granicach przynajmniej. A ponieważ nie wypada po prostu pisać lwoski, krakoski, więc rozszerzamy poprawną pisownię *-wski* na wszystkie podobne utwory, królewski, wujowski i t. d., a ponieważ od tego nie można oddzielić królestwa, wujowstwa, sobkowstwa i t. d., więc i te wszystkie przez *wstw* wypisujemy, prawodawstwo, myśliństwo i t. d.

Dziwnie więc kręte bywają ścieżki naszego prawo- albo raczej krzywopisu. Gdy prawopis słuchowy zawsze istotę oddaje, wzrokowy t. j. zerkający w stronę pochodzenia czy pokrewieństwa słowa, stale na manowce zbacza. Potwornego wręcz figla spletał nam przy pisowni: módz, biedz, strzydz, strzedz, poledz, zaprządz, dosiądz, a jeszcze na początku XIX. wieku było tych figlów więcej: bydź, iżdź, kładź. Możliwa jest tylko pisownia: być, iść, ale zerknąwszy w stronę: będę, idę, domniemano się, że nie należy tego *d* lekceważyć i wstawiono je tam, gdzie go nigdy a nigdy nie było, w bydź, iżdź, podczas gdy to takie formy tylko, jak szyć (porównaj bywać — wyszywać) lub bić. Ten figiel rychło wyświecono, ale ów pierwszy, strzedz i t. d., sięgał już XIV. wieku i uparcie

się trzymał, aż zupełnie zwyciężył. Zerknąwszy bowiem w stronę: strzegę, mogę, domniemano się mylnie, że to g należy przy poprawnej pisowni uwzględnić i wedle wzoru noga — nodze „poprawiono“ jedynie możliwą pisownię: mogę — móc na: mogę — módz, jakby tu g cokolwiek miało do czynienia, chociaż już rzeczowniki, jak *moc*, *pomoc*, urobione taksamo, jak owe bezokoliczniki *móc*, *pomóc* (toć to odmienne postaci tego samego słowa), przestrzegały przed podobnymi zakusami; wkraść się zaś ów figiel najpierw przy czasowniku *strzedz*, który pisownią przez *dz* chciano odróżnić od czasownika (*rozpo*)-*strzeć* w tych jeszcze czasach, kiedy *ć* i *c* nie różniano wcale na piśmie, a *strzec* było jednym i drugim.

Jakież z tych uwag wywody dla pisowni samej, czegoż się trzymać? Pisownię: módz, biedz, strzedz i t. d. jako całkiem dowolną i najmylniejszą należy raz na zawsze wyrzucić. Podobnie należy odrzucić męczyznę czy Chorążczyznę, bo do: męski (choręskiego niemamy), męstwo, należy jedynie jak do: polski — polszczyzna, tak męszczyzna, chorąszczyzna (z *szcz* lub *szc*). Tak i z mylną pisownią *ludzki*; wzrokowa winna być: lud-ski, słuchowa: lucki (jak świecki, co wedle wzrokowej świetskimby wypadł); ludzki nie jest żadną, lecz prostą dowolnością, którą potępiają męski (męż-ski), boski (boż-ski wedle „wzrokowej“) i t. p. Powtarzamy: jedynie rozumną pisownią jest lucki, ale ponieważ w pisowni nie rozum, lecz nawyczka, choć zła, góruje, więc, kiedyśmy raz ludzkiego pościelili, toć się tak i wyspać wypadnie. Natomiast ujednostajniamy pisownię: zwycięzca (wedle zwycięski, zwycięstwo), łupiesca, krzywoprzysięzca (krzywoprzysięstwo przecież!); dalej radca, wychodca, najezdca, bez względu na pisownię dalszych przypadków jak bodźca od

bodziec, jeżdźca od jeżdżiec. Natomiast nazwiemy poprawną pisownię schadzka, zasadzka i t. p. od schadzać, zaszadzać, której nie wolno kłaść na równi z ludzka i t. p., boć mylnie ludzka jest lud+ska, poprawne schadzka zaś schadz+ka.

Inne wątpliwości prawopisowe nie mają znaczenia zasadniczego, odnoszą się do szczegółów wątpliwych. Jak ó i u ucho nie odróżniało już wcześniej, podobnie rz i ż spadły się w jednym brzmieniu od dawna. Więc piszemy *upiększyć*, gdy jeszcze wiek siedemnasty o *upiękrzyć* pamiętał; piszemy *mrzonka* odwrotnie, gdzie tylko *mżonka* (od mżyć) poprawna; przywykamy do gorzkiego, zamiast poprawnego gorzkiego, a odwykamy od skarżyć (błędne oskarżony nie raz już napotykamy); pasorzyt walczy z mylnym pasorzytem. To znowu mylimy ż z sz, piszemy: nie masz (go w domu), jakby tu druga osoba miała co do mówienia, zamiast niemaż (przecież tu tylko skrócone, jak zawsze, że) — błąd ten należy usunąć. Nawykliśmy do próżnego i różnego, ale nie zawadzi zaznaczyć, że próżny (por. prąznik ruski, nie prąznik, jakby od prązenia!) w wymowie słusznie się ostał jak i różni, co zresztą zupełnie przed różnicą i t. d. ustąpili. Przeciwnie ustąpiła dziś pisownia jedynie poprawna i trafna *źródło* całkiem dowolnej (wobec wszelkich naszej pisowni zasad!): *źródło*; piszą powszechnie i *źrebię* zamiast *żrebię* — jak te słowa pisać należy, można się choćby z ruskiego żereło i t. d. przekonać. Nigdy i nigdzie nie było tu innej spółgłoski, prócz ż, nie znają też żadnej innej dawne nasze druki, a z tego, że dziś wyraźnie *źródło*, *źrebię* wymawiamy, nic a nic wobec najgłówniejszej zasady pisowni nie wynika dla pisma, które *źródło*, *żrebię*, *żreć* i t. d. wymaga koniecznie. Przecież wymawiamy najwyraźniej *ziobra*, a każą je nam pisać *zebra*, chociaż i ta pisownia już pomyłona, boć pierwot-

na była *rzebra* (por. ruskie *rebro*, niemieckie *Rippe*)! Węć stokroć rychlej źródło, nie źródło pisaćby należało, gdyby nie pobródziła ulubiona nasze zasada, t. j. brak wszelkiej zasady. Natomiast przy drażnić i drażnić wahają się wszystkie języki słowiańskie oddawna i obie pisowni są słuszne; zostańmy przy „łatwiejszej“ drażnić. Że żmija od ziemi nazwana, zatarliśmy mylną jej pisownią przez żmiję; wymyśliliśmy jakiegoś niesłychanego żmudnego, gdy istniał zawsze tylko z-mudny z-mudzić, (mudzić t. j. zwlekać, czasownik z mądrym i z myślą pokrewny). Domyśliliśmy się i jakiegoś żubra, nigdy niewidzianego, boć istniał zawsze tylko zubr albo ząbr; stąd nazwy miejscowości Zubrza albo Ząbrów.

Pisownia nosówek (ę, ą) nie nastęrcza trudności czy wątpliwości. Należy jednak pamiętać, że słowa obce jej nie podlegają (oprócz prastarych pożyczek, jak *kołęda*, *Jędrzej* — *Andrzej*, *wędrować*, *dzięki*, *ład* i t. p.); więc maść będzie zawsze ponsową, przenigdy pąsową, bronz nie będzie nigdy brązem a klomb kląbem; więc i trenzle i frenzle tak napiszemy (pisownia z *dz*, trędzla, frędzla, ulubionem zamiast z — por. nowsze: dzwon, dźwięk, śledziona i t. d. zamiast dawnego: zwon, żwięk, śleziona i t. d., jest całkiem mylna), chociaż fręzle już w XVI. w. napotyamy; a więc i penzel, nie pęzel ani pędzel. Pozbyliśmy się szczęśliwie całego szeregu błędnych ę, nie piszemy już więcej: mięszać, mięszkać i i., ale zatrzymaliśmy błędne ę w: szczęka, pielęgnować, stębnować (częściej i stębnować), Trębowla albo Trembowla (ależ ona od trzebienia nazwana!), nadwerężyć i i.; o częstowaniu i uczestniku rozprawiamy niżej. W: śmieć, umieć, rozumięć, wkraść się ę całkiem niepoprawnie, za przykładem wszelkich innych postaci na ę, zamiast poprawnych: śmiem, umiem, rozumiem, które swoją drogą, wedle: wiem, wiesz, wie

(umiem, umiesz, umie) inne dawniejsze zastąpiły (umieją, rozumieją, śmieją zachowały dawne prawidło, ale dziś można już śmiać a nawet umiać i rozumiać słyszeć; postaci tych do pisma nie dopuszczamy).

III.

W dziedzinie zgłosek panuje u nas najdziwniejsza pstrocizna, dowolność i sprzeczność, z którą raz jużby pokończyć wypadało. Dzielono niegdyś jak bądź, n. p. *świat* dzielono na *ś* i *wiat*, jeżeli wiersz tego wymagał; mędrkując, najniepotrzebniej zabrnęliśmy tak dalece, że nawet całymi przyimkami, *w* lub *z*, nie wolno nam kończyć wiersza i przenosimy je do następnego, na co jedyna odpowiedź: masz w wierszu jeszcze miejsce na *z* i *w*, pisz je i na samym końcu wiersza tak, jak każdy inny przyimek piszesz. Ponieważ nie lubiliśmy nigdy zgłosek zamkniętych, t. j. kończących się spółgłoską, i dobijaliśmy się nawet różnymi manowcami, wyrzutnią, przestawką i t. d. zgłosek, zakończonych samogłoską czyli otwartych, kończymy i przy dzieleniu wyrazów wiersz zawsze zgłoską otwartą, dzielimy więc: brzy-twa, po-spółstwo, przykry, pa-trzyć, wą-tpić, prze-szłość, je-dna, księ-stwo, bóstwo, da-wszy (w XVIII. wieku zaprzeczano wyraźnie takiemu dzieleniu jako nieprzyzwoitemu; również nie przyzwalało wstydliwie na dzielenie: de-szczy i t. p.), czy-sty, su-knia, piso-wnia, wyobra-źnia, pra-lnia, pope-dliwy, możliwy, da-wny, głó-wny, ja-sny, ró-wny, pro-śba, gro-źba, gro-źny, zgry-źliwy, bra-ctwo, dziedzi-ctwo i t. d. Tak osiągamy zupełną jednolitość i unikamy nieskończonych sprzeczności, w jakich się wszyscy gubią, co dotąd o tem pisali i stanowili. Twierdzili n. p., że należy przy dzieleniu uwzględniać „budowę“ wyrazu, dzielić więc pień

od przyrostka, n. p. Francuz-ka; pytam, po co? Skoro w Francu-zek lub Francu-zica z pniowe od pnia odrywamy i do przyrostka łączymy, więc to samo możemy i dla Francu-zki uczynić.

Wyjątek od tego prawidła, wymagającego bezwzględnie dzielenia na samogłoski, stanowią wyrazy ze spółgłoską podwójną, n. p.: senny, wyssać, wyższy, niższy, i t. p.; dzielimy je: sen-ny, wys-sać i t. d. Wymagamy bowiem mimowoli, żeby zgłoska, co przez dzielenie powstała, nie raziła zbyt oka i tylko dlatego nie podzielimy se-nny, de-nko, spo-jrzyć, przy-jmę, wo-jna, pó-jdę i t. d., boć nie zna język zgłosek podobnych nigdy i nigdzie w żywej mowie, więc i na piśmie ich nie zniesie; dla tej przyczyny dzielimy: cór-ka, wiel-ki (ale wielgi, wilga możemy dzielić wie-lgi, wi-lga, por. lgota, u-lga), tyl-ko, mar-twy, dzierz-gać (ale dzie-rżawa, dzie-rzyć, bo rzyć), koń-ski, cier-pliwy, cheł-pliwy.

Zaznaczamy jednak wyraźnie, że dzielenie zgłosek w piśmie, jako rzecz zewnętrzna i przypadkowa, nic z językiem, t. j. z postaciami i znaczeniem słów, niema spólnego, że byłoby więc zupełnie obojętnem, czy dzielimy: mat-ka, pew-ny, pral-nia, czy: mǎ-tka, pe-wny, pra-lnia, i-zba, czy iz-ba, ale strzel-ba, hań-ba, mar-ny i t. p. oku lepiej dogadzają. Dzielimy więc wedle ogólnej zasady: o-bumarły taksamo jak o-buwie, o-bejść, o-dejść, na-dejść, chociaż -bumarły jak -bejść czy -dejść dziwacznie wyglądają; kto je chce ominąć, niech o- przeniesie i zgłosek nie dzieli. Jeżeliśmy więc podali prawidło dla dzielenia zgłosek, uczyniliśmy to tylko dlatego, aby, jak wszędzie, tak i tu niepewności i dowolności kres założyć; druk unika i tak dzielenia zgłosek, i słusznie; nie unika go osobnik piszący, którego podane powyżej prawidło (kończ zgłoskę samogłoską, bez względu na budowę

słowa, uwzględniając tylko możliwość wymowy rozdzielonych zgłosek) z każdej wywiedzie wątpliwości.

Nam idzie wyłącznie o ustalenie pisowni dla szkoły i druku. Ponieważ przy dzieleniu zgłoski otwarte znacznie przeważają (rzut oka na byle stronicę przekona o tem) — słowa jednozgłoskowe nie wchodzą wcale w liczbę — więc mniejszość winna większości ustąpić. Dlatego podaliśmy takie prawidło z owem jedynem ustępstwem dla oka (pan-na, nie pa-nna i t. d.), ale możnaby jeszcze jeden wyjątek dopuścić, mianowicie: nie rozrywać przyimków — przedrostków, dzielić więc bez-ład, nie be-zład, mimo zły i t. p. Wyjątek ten można usprawiedliwić; *odrązu* składa się z dwu słów, więc wypada je wedle nich i dzielić: *odrązu*, nie: *o-drązu*. Potrzebnem to nie jest jednak bynajmniej; widzimy to najlepiej przy złożeniach z *roz-*: *rozum*, *rosół* (t. j. *rozsolony*) dzielimy *ro-zum*, *ro-sół*; *ro-strzygać*, *rostajne drogi*, dzielimy w mowie: *ro-strzygać*, *ro-stajne* i tylko dlatego, że w piśmie zachowaliśmy przedrostek *roz-*, dzielimy je: *roz-strzygnąć*, *roz-stajne*.

Prawidło jakieś należało zaś ustanowić, aby pokonać z samowolą osobniczą, o której rzut oka na byle druk przekonać może; w jednym łamie kłóć się coraz te dzielenia, i wyławiać można najosobliwsze kwiatki, n. p. dzielenie: *posz-czególny* i t. p. Jeżeli dzielimy *stanowi-sko*, toć słuszną dzielić tak i *zgłoski*, bo z tego, że to *sk* w obu razach odmiennego początku, nic a nic dla dzielenia nie wypływa. Więc i *dziećmi* wypada dzielić *dzie-ćmi* (por. *ćmi*), nie *dzieć-mi*, *ko-śćmi*, nie *kość-mi* ani *koś-ćmi*, ale *cer-kwi*, boć samoistnego brzmienia *rkw-* niema; wedle *koń-ski* *pań-ski*, i t. p. dzielimy i *rym-ski*, *pol-ski* i t. d.

O wiele ważniejsze i ciekawsze zagadnienie, niż to całkiem mechaniczne dzielenie zgłosek, stanowi dzie-

lenie całych wyrazów; czy pisać je razem czy nie? Właściwością mowy polskiej jest łączenie przeczenia z czasownikiem, z orzeczeniem, przyimka z rzeczownikiem lub przymiotnikiem i t. d. U nas zrastają się słowa łatwo, mówimy dobranoc; jedenaście (już nie jedennaście), z jeden na dziesięcie, byłem z był jeśm, dawno już podobnem urosły łączeniem pod jednym głównym przyciskiem. Więc nic dziwnego, że piszą razem: napróżno, naprzeciw, naczczco, naraz, nakoniec, nazbyt, nazawsze, nawspak, nawznak, nanowo, napotem, napewno, nanic, naprędce, narazie i t. d., skoroż niema wątpliwości, że wymawiamy te złożenia pod jednym przyciskiem, jednym tchem. Co bardziej dziwne, że prawidła, jakie o podobnej pisowni obiegają, między sobą się coraz kłócą: pozwalają pisać: codzień, zabraniają: conoc lub corok; albo pozwalają pisać: tyżeśto, ale zabraniają: jestto (skoroż w obu razach to samo *to* do takich samych postaci czasownikowych dodano!). Dawna pisownia nie krępowała się przenigdy uwagą na samoistość słowną; ulegając słuchowi, pisała zawsze przyimek z rzeczownikiem i t. d. razem, przeczenie z czasownikiem i jeszcze druki XVI. wieku nieraz to zachowywały; wszyscy nasi wydawcy dawnych rękopisów i druków mylili poprostu czytelnika, rozrywając (bez ostrzeżenia zazwyczaj) ich razem, i słusznie, pisane słowa; zachowując rzeczy bez znaczenia, pomijali tę o wiele ważniejszą. Dawniej więc zawsze pisano: zemną, welwowie, niebył, pocichu, cotchu, coprędzej; dziś tylko ślady pozostały tej dawnej pisowni, wzorującej się na wymawianiu, n. p. pomału, pociemku, wkrótce, nienawidzić (od dawna uświęcony błąd zamiast: nienawidzieć, nienawidział, dziś nienawidził), niedomagać i t. d. Jedni piszą: zblizka i zdaleka, zdawna i zrana, naczczco i nazawsze, odrazu i oddawna; inni dzielą nawet

te wyrazy, pomimo, że wymawiamy je pod jednym przyciskiem, razem. Jeżeli piszemy : poza dom, toć i zpoza domu koniecznie należałoby pisać, zzewnątrz, zpośród tłumu i t. p.

Chodzi więc o to, czy pisać oddzielnie czy łącznie: z rana czy zrana, z blizka, z daleka, czy zbliżka, zdaleka? zgóry, czy : z góry (zgóry ci powiem, idę z góry), zawiele, czy : za wiele? Przeczenie dzielą dziś stale : nie byłem w domu, jedyne *niemaż* (najmylniej *nie masz* pisane, ale cóż tu porabia druga osoba? *niemaż* go w domu, toć takie same, jak : byłoż tu to i to) z dawnego sposobu pisania ocalało. Jeżeli jednak *że, ż* piszemy razem z słowem, do którego je doczepiamy, n. p. ponieważ, pocóżże, zróbże, dajże, tamże, tenże i t. d., toć taksamo należy i *to i by* łączyć z poprzedniem słowem, więc pisać : było to dawno, jest to prawda, ileż to minęło, jak to? pocóż to? ktoby widział, nacoby patrzył i t. d. O pisowni nademną czy nade mną, patrz niżej.

Skoroż nasza pisownia nie słuchowa, lecz wzrokowa, więc należy poza owymi nielicznymi wyjątkami, pisać wszelkie słowa, nie razem wedle ucha, lecz oddzielnie, wedle ich właściwego znaczenia; a więc i: on nie ma grosza (lecz *niema* go w domu); *że* lub *by* jako spółki odrębne i t. d.

IV.

W pisowni słów obcego pochodzenia zabrnęliśmy dla naszego niedbalstwa i leniństwa na manowce i bezdroża, z których *niema* wyjścia. Przedewszystkiem obaliliśmy ni stąd, ni zowąd najgłówniejszą zasadę naszej pisowni. Piszemy przecież słowa nasze wedle ich pochodzenia, więc to samo należałoby się i obcym; na całym

świecie piszą też tak słowa obce. Niemiec n. p. pisze: Chaussee, Toilette, Bourgeoisie, Chevauxlegers. Nam sprzykrzyła się widocznie ich pisownia właściwa, etymologiczna, i zabawiliśmy się w fonetyczną, bo piszemy je, jak je wymawiamy, nie tak, jak je wedle ich pierwowzorów pisać należy, więc piszemy n. p. szwoleżer. Że to pisownia barbarzyńska, nic nam nie wadzi; nie pomoże nam odwoływanie się n. p. do przykładu rosyjskiego. Kto nie chce pisać chevauxlegerów z francuska, niech ich lekkokonnymi napisze, ale francuskiej nazwie należy się i francuska pisownia. Czyż my chłopci nieokrzesani, którym wsuwają na kartce wymowę polską, bochy się w chevauxlegerach nie połapali nigdy? Czyż to nie barbarzyństwo, co wręcz na obrazę zakrawa? Więc nie pisz szwoleżerów, lecz albo chevauxlegerów, albo lekkokonnych, bo to jest słowo obce, którego żadną pisownią na Polaka nie przekabacisz.

Co innego szosa, choć i to nie mądre, ależ to raczej pożyczka, niż słowo obce, a w pożyczkach, odmieniając im i wygląd nieraz i znaczenie, rozrządzamy się jak w własnym majątku. Więc może nam ująć, że w pożyczkach, n. p. łacińskich, zastępujemy ich *i* naszym *y*; mówimy i piszemy krytyka — dawniej, gdyśmy miękkości nie poświęcali, odmieniliśmy na pacierz łacińskie pater, na Dziwisza Dionis, na Marzę Maria, na kościół castellum i t. d., ależ to było tak jeszcze w XI—XIII. wieku. Jak z krytyką, postępujemy z rytmem, Sylwestrem, Sylwanem i z niezliczonemi innemi słowami i nazwami; wedle języka własnego, nie znoszącego żadnych *ti*, *di*, *ri*, *si* i t. p. poprawiamy łacinę. Ale na tem nie koniec. Bo oto pisze łacinnik (a za nim Niemiec i t. d.) *s*, ale wymawia je między samogłoskami przez *z*, otóż my go „poprawiamy“ i wstawiamy *z* wymowy do pisowni. Więc

piszemy muzyka, nie musika, z poprawką podwójną; decyzya i wszystkie inne na -yzya, -ozya (animozya, wirtuoz), niezliczone czasowniki, jak organizować, ekonomizować (i z e początkowem miasto oe) i t. d.; niezliczone -izmy i -azmy od „rumatyzmów“ (z prawdziwie polskim u, nie z pogańskim eu) i spazmów i Erazmów poczynawszy aż do humanizmu i marazmu, i nic nam nie wadzi, że to samo s piszemy raz s w humaniście, ale z w humanizmie („rdzenni Polacy“ piszą jeszcze: w humaniźmie, jakby w takiej maskaradzie humanizm istotnie polszczał!); i stąd powstały te wszystkie nasze pisownie, kłójące się z europejskimi, jak Azya (prawdziwie azjatycka, zamiast jedynie europejskiej Asia), Izrael, Izabela, Izak, Euzebiusz, Dyonizy, dywizya, improwizacya, mobilizacya (zamiast uruchomienia!) i t. d. Dla zaokrąglenia tych „poprawek“ pisowni europejskiej wymyśliliśmy i pisanie wszelkich podwójnych spółgłosek jedną, więc: masa, kasa, klasa, klasyk, arasy, sufit (z włoskiego soffitto), Madona, fontana, akwarela, hala, rekolekcye, kolega, bula, Helada, iluminacya, ilustracya, balada, nowela, apelacya, opozycya, Apeniny, Filip, korekta, komisya z komisarzem, gramatyka, afekt i efekt, idyla, Achil, pesymista i t. d. Nie śniło się dawnym o takich wybrykach przeciw dobremu smakowi, pisali stale konstitucye, grammatika i t. d., jeszcze w XVII, wieku. Że się przy tem ciągle błędy popełnia, nic dziwnego, więc: los, losu, zamiast lozu z niemieckiego Loos (por. lozunek, zluzować, z błędem u) i t. d., a nawet wygluzować z łacińskiego glossare (z takimż u) i t. d. Nawet w rozprawach filozoficznych piszą łacińską suasorię przez swazorję, co już na niedorzeczność jawną zakrawa.

I wprawiwszy się w takie pisownie, zadziwiamy potem świat „naszymi“ wynalazkami w rodzaju: portfelów,

kwefów (coiffe), toalet (a może tualet; jednoż takie ładne, jak drugie), biur (a piszą je i ze rdzennem polskiem ó, bióro! niby pióro?), burżoazyi (ale nasz burżuj z burżuazyi urósł), kinkietów, woksarów, nyż (niche, nisza), kurtuazyi, jakby dworność albo wydwarność dosłownie jej nie tłumaczyły i t. d.

Oceniwszy taką pisownię wedle jej zasług istotnych, nie myślimy nawracać czy nawoływać do poprawy, do przeistoczenia jej wedle ogólnej zasady — niech tak już zostanie na pamiątkę naszego zbytniego i zbędnego popufalenia się z obczyzną. Ale czego możemy i dziś jeszcze zawsze wymagać, to jednostajności pewnej i stałości; a powtóre, nie przyzwalamy na coraz większe szerzenie się błędu, na coraz nowe jego zwycięstwa. Bo oto n. p. spierają się, czy nie pisać przez polskie *gie*, *kie* obcego pierwotnego *ge*-, *ke*-? Ani na chwilę nie można wątpić, co obrać: geniusz czy gieniusz, geografję czy gieografję, legendę (legiendy nikt nie pisze), Genewę, Genuę, Ganges, Gertrudę czy Giertrudę (ale spolszczoną Gierkę nieraz natrafić można i to samo dotyczy innych słów zupełnie spolszczonych: magiel, gietda i t. d.); więc pisz tylko: kelner, dżokej, kefir (ale w zupełnie spolszczonych znowu *kie*, *kiel*, *kielnia*, *kielich* — liker do nich nie należy); o imionach obcych, Keppler, Keller, Gellert i t. d. nie masz co i mówić. Możnaż jak najdokładniej Frańciszek czy geńjusz wymawiać, tylko pisać tak nie wolno; wymawiają przecież nieraz gięba, gięś, gięsty (wcale często), ależ w piśmie precz z niemi! Więc i gesty i ewangelia, geneza i wegetacya i t. d. zostaną przy pierwotnem *ge*, mimo polskiej pisowni *ge* przez *gie*, n. p. Bogiem, ubogie. Obok niemożliwej na piśmie jeografii, jeometryi, jeodezyi i t. d., coby chyba dla Eskimosów czy Botokudów się godziły, nie dla narodu oświeconego, mamy w piśmie oddawna

rejestr (a nawet jednozgłoskowe rejestr już w wieku piętnastym) obok rejestru, jenerał (sejmik jenerał) obok generała, rejenta (adwokata) obok regenta, regencyi, ajenta obok agenta. Wyświecamy je z pisma, nie z wymowy, taksamo jak do pisma niedopuszczamy harmaty, harbaty, hanyżu, Jawama, Jawy (Ewy), jaratyka (heretyka), jancykrysta (antychrysta) i tyle innych postaci, istniejących w języku od wieków, spolszczonych zupełnie, bo względ na pierwówzór usuwa wszelkie podobne „poufałości“ z pisma, chyba, że ich umyślnie dla określenia środowiska użyć zechcemy, n. p. kozaka „łejstrowym“ nazwiemy (bo tak się sami zwali).

Najniepotrzebniej narzucamy pisownię z *gie-*, *kie-*, nazwom Litewskim; Gedymin, Olgerd, Keistut, Jagęto, Swidrygęto, Skirgęto, Gedroję, Geraniony i t. d. są jedynie poprawne, ale niestety, u nas właśnie nazwy litewskie najpotworniejszym uległy skazom, zatłoczyliśmy ich dwugłoski (Żmoję, dziś Żmudź zamiast Żmódź; Jagaił, Skirgaił, Switrygaił), pozmienialiśmy ich *ou*, *au* w jakieś niemożliwe *ol*, zrobiliśmy Witolda jakiegoś z Witowta (choć w Towciwile to samo towt-, co lud po litewsku znaczy, zachowaliśmy, taksamo w Gintowcie i i.); rosyjscy dziejopisarze piszą te nazwy o wiele poprawniej; przynajmniej *ge* ich właściwe zachować winniśmy.

Wkradł się u nas nawet haniebny wręcz zwyczaj, nie tylko słowa, lecz niektóre **imiona** obce pisać wedle „słuchu“, nie wedle „oka“, chociaż pisownia nasza temu stanowczo się sprzeciwia; piszą n. p. Wolter, Szekspir i i., dlaczego nie Jum (Hume) i i.? Że Rosyanin tak postępuje, toć wina w tem jego abecadła, nie mającego wielu znaków n. p. dla *h*, *ü*, *ö* i t. d.; on też w nawiasach dodaje pisownię pierwotną, bo z jego własnej nieraz nie dowiesz się, o kim mowa. Czytałem n. p. w dziennikach

rosyjskich „Juz“, ale dopiero ze związku, po wymienieniu Wilsona, dowiedziałem się, że dziennik Hughes miał na myśli. Ten straszny „Juz“ usuwa wszelkie przekręcania nazw obcych na ład polski i na żadnego Gete, Szekspira i t. d. zgody niema. W tym związku powstaje inne pytanie, a cóż ze czcionką *x*? czy zatrzymać ją czy odrzucić jako całkiem zbędną i zastąpić ją przez *ks*? Piszą dziś powszechnie imiona i słowa greckie i i. przez *ks*, Ksenofon, Kserkses, Aleksander, Bruksela, Ksawery, egzamin, egzemplarz, heksametr, tekst i t. d., coż o tem sądzić? Otóż niewątpliwie jest *x* dla *ks* znakiem zupełnie zbędnym, skoroż nie uznajemy żadnych innych węzłów podobnych (n. p. dla *ps*); ależ obce języki, którym on również zbędny, mimoto zatrzymały go ze względów na dziedziczość pisowniową, nie zrywającą z pierwowzorem grecko-łacińskim. Nic łatwiej, niż pisać Aleksander i t. p. ale zakrawa bardzo na jakąś zaściankowość (na parafianiszczynę czy partykularyzm, mówiąc po polsku), takie wyłamywanie się z pod prawidła europejskiego. Znak *x* nie wyrzucimy i tak, bo jakżeż napiszemy n. p. Auxerres? (Okser?), więc i przy Oxfordzie możnaby wytrwać jako przy ogólnoswiatowej pisowni, z którą zrywać w imię zasady, najzupełniej sprzecznej z zasadą naszej pisowni, nieco na widzimisię zakrawa. Bo jakżeż można podwójną miarą mierzyć? Nasze piszemy wedle pochodzenia, obce natomiast wedle wymowy! Nad takim przeczeniem samemu sobie nie można przechodzić do porządku dziennego. Natomiast wykluczamy z tej pisowni każde własne słowo, a więc nigdy nam *x* ani księdza ani książęcia oznaczać nie będzie. Zatrzymując w nazwach i słowach obcych ich obce *x*, usuwamy i inną sprzeczność; dlaczegoż rozróżniamy egzamin albo egzemplarz od heksametru, dlaczegoż piszemy to samo obce *x* raz *gz*, drugi raz

ks (kto się tej sprzeczności sroma, pisze też hegzametr, ale naśladowców nie znachodzi); egzystencya, egzekucya, egzaltacya, egzekwie (ale są i eksekwie), egzorta (eksorta) pokazywałyby, że słowa bardziej utarte (heksametr niem nie jest) *gz* wybrały, czemu się jednak znowu aksamit (imię własne Aksamitowski), Aleksander, Aleksey i t. d. jawnie sprzeciwiają. Używanie pierwotnego znaku *x* usunęłoby te sprzeczności zupełnie, a przytem niejednegoby od używania tych słów (*exystencya*, *exaltacya* — dawniej tylko tak pisano) wstrzymało, coby tylko pochwalić można, bo szczególnie bez *exystencyi* wcale dobrze egzystować możemy. Zarzuci kto, że egzystować już dlatego z polska pisać się godzi, ponieważ z polska *y* zamiast pierwotnego *i* wymawiamy i piszemy, ależ to *y* wymawiamy istotnie, papieża Sixtusa Syxtusem wyraźnie wymawiamy, podobnie jak Chrystus, Benedykt i t. d., natomiast pisonia *x* z wymową się nie kłóci i tylko dziejowej świadczy łączności z dalszą Europą; że i Rosyanie *x* wyrzucili, chociaż znak ten posiadają w abecadle, toć nam nie przepis.

Wracamy na chwilkę do Shakespeara i Byrona. Bo, oto wymyślili nasi krzywopisarze następną pułapkę. Piszą Shakespeare wprowadzie i Byron, ale „wyrazy, od nich utworzone, piszemy z polska: bajronizm, szyllerowski, szekspirowski i i.“. Jak zawsze u nas: pierwsza zasada naszej pisowni: brak wszelkiej zasady. Piszę albo: Szekspir, Bajrn, Szyler — szekspirowski, bajrnowski, szylerowski, albo piszę: Shakespeare, Byron, Schiller — Shakespeareowski, Byronizm, Byronista (Kaczkowski „Bajronistę“ wypisywał), byronowski, schillerowski i nie zgadzam się ani pojmuję takiej dowolności, pisać inaczej rzeczownik a inaczej urobiony od niego przymiotnik! Tym wynalazkiem, jedynym chyba w Europie, szczycić się nie-

mamy przyczyny. Precz z tym wymysłem! I taksamo przymiotnik od Rousseau czy Hume będzie rousseauwy czy rousseauwski; humowy, nie jumowy; od W. Hugo, hugowy, nie hugonowy, boć Hugon po francusku Hue, Huon, Hugues, nie Hugo.

Z powodu słów obcych dodajemy rozmaite uzupełnienia. Najpierw co do pisowni *z*, *s*; kłóci się u nas wymowa-pisownia z pochodzeniem, t. j. z pierwowzorem. Wymawiają sensacya, piszą wedle łaciny sensacya (dawna pisownia znała tylko sensata i sęsata) piszą uniwersytet i uniwersalny poprawnie, również jak balsam, konsolacya, konsola, konsul, konsylium, Persowie, insurekcyja (insurgent), intensywny i t. d., ależ ni stąd ni zowąd piszą nie: censor, censura, recensent, recensya, chociaż tu takie same *ns* jak w: konsul, lecz: cenzor, cenzura, recenzent i t. d. Jeżeli piszemy subsystencya, subsydia i t. d., dlaczegoż taksamo nie pisać egsystencyi? ale raz *gz*, to znowu *bs*, to nie pisownia, lecz rozgardyasz. Więc czyż nie lepiej byłoby, wedle ogólnej naszej pisowni zasady, zostawić łacińskie *s*, nawet w asyłu, nie azyłu, a przedewszystkiem w imionach osobowych, jak Aspasia, Jason, Kresus, Desydery, Cesar i t. d.?

Podwójne spółgłoski (obce naszemu językowi, prócz kilku okazów, jak ssać, mełł, pełł; są częstsze przy *nn*: inny zamiast dawnego iny, panna i t. d. i przy złożeniach jak oddać i t. p.) zachowaliśmy w wyrazach umiejętnych, n. p. annały, annaty, w imionach, jak Anna (ale Anusia, Hanusia); Otto, dawna polszczyzna znała tylko Otę (Ota); Mekka, ale Bruksela, Asyryja, Ilirya, Hunowie (Hunnowie częściej), Szkot (ale Scott). Jak u nas zawsze i wszędzie, tak i tu niema śladu zasady, jednolitości; piszą apelacya, opozycya, atak, masaż i t. d., ale suggestya, terroryzm, terrakota, terrytorium i t. d., Tesalia

ale Hellespont i t. d. Kładziemy nacisk na tę właściwość pisowni naszej, aby tem bardziej przestrzegać przed nieuzasadnionem niczem *wstawianiem* podwójnych głosek w słowach naszych i obcych. Wymawiają przecież *szklanny* i inne na *-anny*; piszą stale *męczenników* i *uczennice*, chociaż tamci od męczonych, nie od męczonnych jakichś pochodzą, a uczennice tylko rodzaj uczenika (od uczony) odmieniły (przyrostek brzmi przecież *-ik*, jak w grzesznik od grzeszny, nie *-nik*); oczekiwania nasze są *płonne*, choć winne być *płone* (*płonnego* zmyśliliśmy chyba wedle *plennego*, ależ ten od *plonu* pochodzi, a z płonym porównaj połoniny!). W imionach własnych piszemy nawet Kossów, Ossolineum i i., co jest jawna niedorzeczność. Gorzej obeszliśmy się z imionami litewskimi, narzucając im niemożliwe *łł*: Radziwiłł, Jundziłł, Skirgiełło i t. d., a już najbardziej skrzywdziliśmy ród, któremu Polska właśnie czasy największej świetności zawdzięcza, Jagiełłów, bo nie tylko narzuciliśmy mu ułudne *gie* i *łł*, ale co nierównie gorsza, tym prawym Litwino-Polakom sprawiliśmy szaty łacińskie, jakby polskich dla nich nie było; mówimy o przenigdy niesłychanych jakichś Jagiellonach (nie Jagiełtonach!), Jagielonkach albo Jagielonkach, czasach jagiellońskich! Należy mówić dobrze po polsku, nie kiepsko z polska po łacinie (przecież nie przybyli Litwini z Latium, choć sami stale to twierdzili!), jak: Piastowie, piastowski, Piastówny, Piastowicy (nie Piastowicze, co jest po rusku, nie po polsku), taksamo: Jagielowie, Jagielówny, jagielowskie czasy, Jagielowicy, ależ głównie odrzucmy niemożliwe w Polsce *-on* — nie każdy szlachetnego rodu szatą błazeńską, bo szachowaną.

Tak wstawiamy podwójne *nn* do włoskiej sutanny i do swojskiej dziewanny (zamiast dziwany pierwotnej), a zachowanie tego *nn* w wannie (niby jak w pannie) wy-

wołało odmianę: tych wanien, wanienska, o czem się jej w jej ojczyźnie ani śniło; mów raczej: wana, wan, wanka.

Ale *konsul* a *cenzor* przypominają jeszcze inne znakomite dziwactwo. Czytamy w prawidłach akademickich, że imiona własne słowiańskie „piszemy według prawideł (!) pisowni polskiej: Sołowiew, Milutynowicz, Jelaczyc, Brankowicz“. Ależ Jelaczyc i tamci obaj, toć synowie jednego szczepu, chorwatoserbskiego, więc jakim cudem można jedną i tęsamą chorwatoserbską postać *-ić* pisać raz *-yc*, drugi raz *-icz* i dlaczegoż akademia członka swego tej samej narodowości Jagića nie pisze według swego prawidła (jak: Jagicz? czy Jagic?), lecz jak słusznie Jagić; taksamo pisz, nie zważając na to prawidło: Branković, Milutinović, Jelaczić (jeśli niema czcionki dla Jelačić albo nie chcesz nią druku polskiego pstrzyć). Przecież *Miklosicha* piszemy jak się pisał, nie jak się wymawiał! Taksamo pisz: Murawiew, Potemkin, Sołowiew i t. d., chociaż wymawiasz ich: Murawiuw, Patiomkin, Sołowiuw i t. d.

I jeszcze uwaga. Jeżeli już nie możemy się obchodzić bez słów obcych, toć piszmy je przynajmniej po ludzku, t. j. tak jak się należy, a nie wedle naszego widzimisię. A więc *reparować*, bo tak na całym świecie, nie: reperować, reperacya (czy może wedle: temperować zmyśłone?); *intendant* i intendantura, nie: intendent (tak w Warszawie piszą, chyba wedle włoskiego intendente); *weranda*, nie: werenda (tak znowu Warszawa pisze); natomiast ogólnie włożono się w fałszywą komendę zamiast komanda, komandować, komandant (jakby: dowódcy, dowództwa, dowodzić nie istniały), przecież komenda, komendatariusz, rekomendacya całkiem co innego znaczą; więc pisz: komando, nie komenda; *kompliment*, nie: komplement (skąd to środkowe *e*? czy wedle: suplement, ele-

ment i t. d.? albo może to nasza domowa francuszczyzna w rodzaju: kury palić i t. d.?); czekolada, nie czekolada; korytarz, nie kurytarz (starofrancuszczyzna nie wchodzi tu w grę, na całym świecie jest corridor i t. p.); marmelada, nie marmolada (czy nie wedle czekolady pomylona?); kurtyna, nie kortyna; jest tylko *kwarc* z niemieckiego (a to miało z twardcu uróść, jak powiadają), niema: kwarzec. Te i podobne wątpliwości pisowniowe usuwamy łatwo, uwzględniając pierwowzory. Porównywanie więc obczyzny bywa dla poprawienia naszej pisowni czasami niezbędne; lecz warto o tem i obszerniej nieco pomówić.

V.

Nawet jawny wróg panslawizmu politycznego, nie stroni od panslawizmu językowego, t. j. od uwzględniania czy porównywania języków słowiańskich z polskim dla usuwania wszelakich wątpliwości pisowniowych. Powołaliśmy wyżej nieraz te języki; że n. p. okonia mylnie piszemy zamiast dawnego okunia, i one nas o tem pouczą; taksamo co do pisowni: obuw (nie obówie), oguł (nie ogół). Albo słomka, co mimowoli do słomy (niby wydłużony dziób słomkę przypomina!) odnosimy, chociaż i z dawnej pisowni i z ogólnej zgody słowiańskiej wiemy, że to słąka. Albo czytam ze zdziwieniem w słowniku prawopisowym: „miżdżyć się — pisownia prawidłowa, ale nie używana, (zamiast niej:) mizdrzyć się“ — słownikarz porównał widocznie miazdżyć od miazgi i połączył „miżdżenie“ z umizgami; gdyby się rozejrzał w językach słowiańskich, nigdyby tego błędu nie popełnił; obok umizgu była mizdra, mizdrzyć, jak obok miazgi, miazdra. Piszemy dziś *kapłon*, ale jeszcze u Krasi-

ckiego *kapłuna* znajdziesz, bo kapuna z Kapaun, wszystkie języki słowiańskie poświadczają (nawet Ruś od nas tylko kapłuna wzięła²; my to od wieków wstawili *ł* pod wpływem kapłana), a włoski cappone tu w grę nie wchodzi. Taksamo uczą nas języki słowiańskie, że pisownia: gomułka (n. p. u Krasickiego) mylna, że tylko gomółka słuszna.

Właśnie odwoływanie się do języków słowiańskich i obcych usuwa wątpliwości co do pisowni *ó* i *u*. Zwiedzionym przez niemieckie równobrzmiące Saite (struna) i Seite (strona), zdaje się, że i naszą strunę poprawnie stroną pisaćby należało; otóż struna innych języków słowiańskich dowodzi, że między struną a stroną (storona ruska) żadnego niemaż związku. I z biórkiem można się nieraz spotkać (tylko w biurokracyi *ó* dotąd nie widydano), ależ Francuz, bureau, *ó* usuwa.

Od innych Słowian, od Rusi najczęściej, przejęliśmy *h* i nie umiemy z nim nic począć dla braku wzorów; jedyny polski błahy (w stopniu wyższym błąwszy, błahszy), w liczbie mnogiej nie zmieniany (błahy ludzie), ich nie nastroczał. Więc ruskiego Sapiehy nie umiemy odmieniać; każą pisać Sapieże, w Sapieże, i przy tych błędach, wywołanych przez sapieżyński, już zostaniemy, chociaż po polsku brzmiałoby poprawnie: Sapiedze, po rusku Sapizie (i tak się dawniej pisało istotnie). Co do *h* zachodzi inna, znaczniejsza trudność.

Liczni bardzo Polacy nie rozróżniają wcale nie albo słabo *h* i *ch* i prawopis o ich używaniu rozstrzyga. Wobec tego wyłonił się nawet raz pomysł, abyśmy rozróżnianie to porzucili i wszystkie te słowa przez samo *h* pisali, a więc i: harakter, hór, mni*h* i t. d., pomysł (wobec zasady naszego prawopisu, rozróżniającego ściśle między *ó* i *u*, *rz* i *ż* i t. d.) tak dziki, że nań więcej słów nie tracimy.

Nie przeczymy, że już dawniej pisownia niepoprawna (bo nie oparta o jakikolwiek przymus szkolny) nieraz się chwiała, że pisali n. p.: chardy, ale Herubim, ależ z tego nie wynika nic innego, niż żądanie należytego przestrzegania granic jednej i drugiej pisowni. Nie pozwolimy więc na pisownię hory zamiast chory (na niej to polegał ów dla Lwowianina mniej zrozumiały dowcip warszawski, z Momusa Żółtowskiego, o Kuriaciuszach, pobijających dziś, inaczej niż w Rzymie, Horaciuszów), ale zostaniemy już przy harmiderze (zamiast dawnego charmideru, bo tak się zwał dół zbójceki przy drodze posłów polskich do Stambułu). Otóż właśnie i z języków słowiańskich dochodzimy (gdyby nam świadectwo własnego podejrzanego było), że należy pisać ohyda, ohydny; hoży, ale chyży; hodowla, nie chodowla; błaży; bohater; czyhać; hasło; hołota; huczeć; wahadło; hołd; hojny; Podhale; hańba; hardy; harować (od haru! haru!) i t. d. Są od tego spisy wyrazów po naszych słownikach prawopisowych i gramatykach, ale zawieruszyło się tam niejedno całkiem mylne. Więc piszemy mylnie haracz zamiast characzu (tureckie słowo, wszędzie tylko z *ch*, nie z *h*); Hazarowie(!!) zamiast Chozarów; druh zamiast druch, por. druchna — przecież to słowo polskie i nie śniło się Polakowi zapożyczać go od Rusi; hałastra zamiast dawnej chałastry (a jest i halastra), czeska chatra to samo; puhar zamiast puchar (z niemieckiego Becher); puhacz zamiast puchacz; hurgot zamiast churkot. W dawnej polszczyźnie było tych wahań więcej, pisywano chaja i haja (zawierucha); chabina i habina (pręt); krew lali chustem (zamiast hustem — gęstem); my mówidy hujdać, huścić, zamiast chujdać, chuścić. Najzabawniejsza pomyłka, której już nie poprawimy, zaszła z huzarem, bo tak go wszędzie piszą. Należy mu się jednak raz *s*, jak

dawni polscy husarze dowodnie świadczą; dalej *ch*, gdyż *chusar* = zbój od *chusy* = rozboju t. j. naszej *chąsby* (= rozboju) urobiono; to słowo słowiańskie, nie madiarskie (niby od *huz* dwadzieścia, jakoby do huzarów dwudziestego chłopca ze wsi wybierano, ależ to bajka wierutna), dziś w obcej postaci po świecie się tuła.

Językom słowiańskim brzmienie *h* było niegdyś obce, wymieniały też w pożyczkach najdawniejszych niemieckie *h* na *ch*, z czasem jednak do *h* nawykły; my je często w nagłosie przysuwamy: herb, harmata, hałun, Hanusia, Halszka (Elżusia), jak w innych *jotę*, n. p. Jędrzej, Jewka i t. d. Wedle głosowni słowiańskiej ani *ch* ani *h* z następem *i* nie mogłyby się przeniżyć zgodzić; wynika więc z tego, że po *ch*, *h* należy pisać *y*, nie *i*: chyba, chybić, chytry, chyłkiem, pochyły i t. d.; głuchy, muchy, zuchy i t. d. Ależ taksamo *k*, *g*, nigdy się z następem *i* zgodzić nie mogą, nasz *kij* powstał przecież z pierwotnego *kyj*, *wielki* z *wielky* i Czesi stosujący o wiele dokładniej i poprawniej niż my zasady prawopisu historycznego, nigdy inaczej nie piszą, chociaż wymawiają taksamo jak my, niż: *kyj*, *velky* (stąd nazwy nasze na *-ski*, *-cki* u nich zawsze, a za nimi i u Niemców, przez *-sky*, *-cky* się piszą). Przeciw tej zasadzie ogólnej dla *k* i *g*, nieznoszącej po nich żadnego *y*, nawet w słowach obcych, por. gimnazium, ginekologia, po obu drugich gardłowych, po *ch* i *h*, nie znosimy *i*, zostajemy przy dawnym *y*, jak to właśnie wskazaliśmy, tak, że nasza pisownia pierwotnego brzmienia *y* po gardłowych zupełnie się rozszczepiła; *ki*, *gi*, ale *chy*, *hy*, *wielki*, *nagi*, ale *cichy*, *bląhy*. Gdy jednak przy *ki*, *gi* żadnych nie znamy wyjątków, są takie przy *chy*, *hy*: piszemy ogólnie *chichotać* zamiast *chychotać* wedle *chi! chi!* (nie mówiąc o nazwach obcych, *Chiny*, *chimera* i t. p.); dalej

czasowniki częstotliwe, wymachiwać, wydmuchiwać i i., tak, jak wykrzykiwać, wyskakiwać i i., przeciw innym na -*ywać*, pokazywać, odpisywać; tu więc pisownia ustąpiła wymowie, podobnie i *hi* — zamiast *hy* — w słowach obcych piszemy, stosując się do obcej tego *y* wymowy; więc wszelkie złożenia z hidro- i higo- (bidropatia i t. d.), hipnoza, histeria, hiena, złożenia z hipo- (hipoteka, hipoteza, hipochondria, hiperbola), nie mówiąc o tych, gdzie *hi-* już w pierwowzorze istnieje, hipodrom, historia, hierarchia, hieroglif i t. d.

Takito w naszej pisowni rozgardyasze, boć przecież hymnu nie pozwalają pisać przez *i*, chociaż jego *y* takie same jak *i* w hipoteka: jeden sasa, drugi do lasa; Rosyanin wyświecił znak *y* z własnej pisowni i pisze wszelkie te słowa przez *gi-*; Czech stosuje pisownię etymologiczną (hymn i t. d., gymnasium i t. d.), tylko u nas rozgardyasze całkowity.

I tego rozgardyaszu u nas pełno i należy się odwoływać do języków obcych, aby nasz poprawiać. Więc ubrdał sobie niejeden pisownię: drzymać, drzymka; z języków słowiańskich wiemy, że tylko nam: drzemać wolno. Inny zdobył się na: kaszleć, ależ one dowodzą, że tylko kaszlać się godzi. Mówimy o chuciach nieokiełzanych, ale chuci (nie chucie!) bywają kiełzkie, t. j. śliskie (nie ślizgie, por. odwieczne wielgi, obok jedynie poprawnego wielki), bo kiełzać = śliz(g)ać się, i dlatego należy je chęłzać albo chęłzać. Mamy: knować, knuję (jak psować, psuję, od psa) — otóż nie, zachciało nam się knucia (ależ knucie było niegdyś liczbą mnogą od knuta!) zamiast knowania. Piszemy: chrzest, chrztu, chrzcić (wymawiamy: krzest i t. d.) poprawnie, boć to od greckiego chrío, namaszczenia, (Chrystus, u ludu Kryst, por. Krystyna), ależ takie same *chrzyżmo* piszemy nagle: krzyż-

mo! Gdybyśmy mieli Towarzystwa Przyjaciół Języka Polskiego, jak je mieli Francuzi i Włosi u siebie, nie szpecilibyśmy tak języka, nie mówilibyśmy *rzeń* zamiast *rzać*; nie pisalibyśmy *kawioru* zamiast *kawiaru*; *kalafonii* zamiast kolofonii; *karafiolów* zamiast kalafiorów; *tretuaru* zamiast trotuaru; *tytoniu* zamiast tytoniu, a raczej tiutiunu i t. d.

VI.

Czem starszy język piśmienny, tem bardziej odbiega od wymowy dzisiejszej, skoro wszczął się o liczne wieki wcześniej; odpowiada więc dawniejszemu stanowi rzeczy, który przez pismo utwierdził i jego się dzierży niezmiennie, gdy przeciwnie wymowa posunęła i rozwinęła się dalej. Stąd ten rozdzźwięk między pisownią a wymową francuską albo angielską. U nas, wobec nadzwyczajnej zachowawczości językowej, znamiennej dla wszystkich Słowian, nie tylko dla nas, niema większego rozdzźwięku między pismem a mową, mimoto odzwierciedla i nasza pisownia dawniejszy stan językowy, a co za tem idzie, i „poprawniejszy“, t. j. pierwotniejszy.

Mowa dzisiejsza pozbywa nosówki, szczególnie w wygłosie słowa, ich dźwięku nosowego, podstawia im czyste, wymawiamy wszyscy *książe*, *pietnaście*, *dziewietnaście*, *bydle*, *imie*, *ciele* i t. d., piszemy zawsze poprawne *ę*. I nasuwa się mimowoli pytanie, czy nie należy pisowni dzisiejszej błędnej poprawiać wedle dawniejszej prawidłowej, najniestuszniej zapomnianej? czy nie należy odśmieczać języka piśmiennego od naleciałości dowolnych a niemądrych? Inne narody poprawiają pisownię odwieczną, n. p. Niemiec potop pisze dziś nie Sündflut, lecz Sintflut (do słowa tego wkradł się *grzech* = Sünde

taksamo niestusnie, jak do naszego *rozgrzeszyć*, co z grzechem nic a nic niema do czynienia, boć to jest: *rozrzeszyć* = *rozwiązać* i *rozdrzeszyć*; w języku sądowym dawnym było i *wrzeszyć* = *wwiązać* i i.); -selig w trübselig i pod. pisze trübsälig. Piszemy n. p. *uczestnik*, *uczestniczyć*, popełniając najspokojniej grzech przeciw językowi, wymagajacemu koniecznie *uczestnika* i *uczestniczenia*, jak dawniej dobrze pisano; dla czegoż więc nie wrócić do pisowni jedynie słusznej i nie wyświecić dziwołaga z pisma? od części przecież uczestnik nazwany, nie od cześci. Naodwrot prawimy o częstowaniu i (z przyrostkiem niemieckim, u nas już zadomowiałym) o sutym poczęstunku, ależ ucztą nas uczy, że tylko o częstowaniu mowa być może — może nawet Częstochowa wilczem prawem ę zdobyła (nazwana pierwotnie od Czestocha, nie od Częstocha). Jej nosówki nie myślimy naruszać, skoro od XV. wieku istnieje, ale wymagamy koniecznie, aby uczestniczyć wróciło do dawnego stanu posiadania, zaś częstowanie częstowaniu znowu ustąpiło.

Inny dziwołag naszej pisowni: tętent (albo i tentent), co końcówką atrament i testament chyba przypomina, chociaż to prawy Słowianin, wedle wzoru: bęben (por. bębnić od bęben, taksamo tętnić od tęten; por. tętno, tęt-nica), i od tego narostu — wilka -t koniecznie go okrzesać wypada; dawny język innej prócz tęten pisowni wcale nie znał.

Powyrzucaliśmy, przynajmniej w piśmie, liczne nosówki — przybłedy w: mieszkac, mieszać i t. d., ależ moglibyśmy powyrzucać przybłędę z wstrzemięźliwego, którego sromięźliwy, bojaźliwy i i. o nieprawość oskarżają, wstrzemięźliwy jest poprawny jeszcze u Krasickiego tak; dalej z pielegnować, co z pielegnować (a to z plegen,

por. szaragi z Schragen) urosło. Nie tykamy natomiast innych przybłędów, n. p. *ę* w pieczęć (Niemiec Petschaft od naszej pieczaci, ruskiej peczat', przejął) dla dawności i ogólności; albo *ę* w nadwyreżyć (mylnie zamiast nadwerekzyć; wstawiliśmy tu z prostego niedorozumienia przyimek *wy*, jak i w zwyciężyć, zamiast zwyciężyć; wiciądz był bohaterem przecież) dlatego tylko, że niema słowa o co oprzeć w rodzimym języku (przybłęda to z Rusi, poweredyty i t. p.); albo w między (obok między poprawnej), co się już od XVI. wieku wkrađło; albo w warzáchwi zamiast warzechy lub warzochy i t. d., ponieważ poprawiamy z zasady tylko to, co poprawić można i należy; nie narzucamy natomiast pismu dzisiejszemu form i słów przestarzałych.

Nie zamierzamy przenigdy sztucznie „archaizować” języka, więc zostawiamy mu, co przywrzało; nie myślimy więc poprawiać krewkiego na krechkiego, skoro odmieniwszy spółgłoskę i znaczenie zupełnie odmienił, od krechkiego t. j. kruchego przeszedł na — krwistego. Ależ wolno zapytać, czy nie należałoby wznowić łączności między wiotchym (pisanym dziś stale a mylnie wiotkim) a wiot-szeniem, wietszeniem, zwietszałym, pisanym przez *rz*, jakby od wiatru pochodziły, chociaż od wiatru mamy tylko wietrzyć: pies zwietrzył zwierzynę; suknia zwiotszała od starości czy wilgoci. Zostaniemy natomiast przy jeńcu albo przy przekleństwie, nie odnowimy jęcica ani przekłętwa; zostaniemy przy natręctwie, co w XVII. wieku przez natrństwo zastąpić chciano; zostaniemy przy żrenicy od żrzenia niby nazwanej, chociaż to tylko zienica; nawet przy: wyżej, i równie mylnem: wyższy, podwyższyć, chociaż wysoki, Wyszogród bardzo się z taką mylną pisownią kłóca. Nie wyrzucimy już niezbędnego, chociaż go tylko myłka drukarska do życia powołała i zamiast

niezbitego czy niezbytniego nam narzuciła (dawny niezbędny oznaczał zupełnie coś innego, brzydkiego i t. p.). Zostaniemy przy poczcie (a są i śliczne forpoczty!!), chociaż jeszcze w XVIII. wieku prawidłowsza poczta z europejską tegoż słowa postacią lepiej się zgadzała (od nas Rosyanie to *cz* zamiast *sz* przejęli); poczta przecież to tylko dar poczesny, por. ucztą i t. p., ale przenigdy posta. Ani myślimy wielbłąda poprawić, chociaż jego *ł* to tylko wielki błąd mówiących; on się przecież wielbłądem (z „elefantu“) nazywał. Nie odmienimy już sędziwego, co nam sędzię najniestuszej, bo całkiem przypadkowo tylko, przypomina, w pierwotnego szedziwego, t. j. szadego, siwego i t. d.

Wyrzekając się więc z zasady wszelkiego sztucznego i gwałtownego „odświeżania“ języka, nie myślimy mimoto przypatrywać się z założonemi rękami jego psowaniu; wystąpimy więc przeciw pisowni *jeżli* jako błędnej (przecież z jest-li powstało słowo, więc *jeśli* pisać należy); przeciw *poszlę* (pisz poślę, skoro piszesz myślę, nie myszlę); *przyšli* (!). Moglibyśmy śmiało obrać Czechów za wzór, co jednolitą pisownię narzucili ogółowi z wcale uciążliwemi prawidłami, n. p. z rozróżnianiem: *y* i *i* (choćby wymowa żadnej różnicy między nimi nie uznaje), przyimka *s* i *z* (co również w jednym brzmieniu spływają) i *i*; ich metodyczność i systematyczność (cnót tych Słowianin własnymi słowami nigdy nie wyrazi), przez które cały naród od jawnej zagłady ocalał, i językowo t. j. w pisowni jawnie się okazały.

Występujemy więc dla zasady przeciw wszelkim zakusom wprowadzania na miejsce pisowni „etymologicznej“, niby wzrokowej, owej drugiej pisowni „fonetycznej“, słuchowej; uważamy ją za zbyteczną nawet tam, gdzie nauka ją najwyżej ceni, w zapiskach gwarowych. Wy-

dają dziś całe tomy bajek i t. d. fonetycznie zapisywanych, marnując znaczne na to nakłady; parę próbek zupełnieby zamiast tego starczyło. Mniejszym znacznie wydatkiem możnaby wiele więcej osiągnąć: na płytach fonograficznych wymowę wszelkich okolic, od Podhala aż do wymierających Pomorzan-Kaszubów (Słowieńców) utrwalić i w muzeum fonograficznym, choćby tylko w zbiorach Akademii Krakowskiej, te płyty umieścić. Nieskończenie to od druku ważniejsze i cenniejsze, pomimo, że ograniczenie do jednego miejsca zbiornego korzystanie dla badaczy bardzo utrudnia (druk nie liczy się z takim warunkiem); dziś powstają jednak podobne muzea fonograficzne (n. p. w rozmiarach wręcz olbrzymich przy akademii berlińskiej, niemal dla wszystkich języków świata, na podstawie dostarczanej przez jeńców wojennych) i namby czas był najwyższy o czemś podobnem pomyśleć. Przecież coraz bardziej ginie wymowa odrębna; wymiana ciągnęła ludzi, a jeszcze więcej wpływ szkoły, niweczącej, jak słusznie, wszelkie oznaki gwarowe; wpływ pisma docierającego do ludu usuwają stanowczo byłą pstrocinę gwarową; pokolenie młodsze mówi coraz bardziej „z szlachecka“ czy „z waszecia“ i samo się z mowy ojców natrzęsa. Rozwój to całkiem prawidłowy i nic go nie wstrzyma; życzymy przyspieszenia jego wszelkimi środkami — mimo ceny przesadnej, jaką nauka osobiowościom gwarowym przypisała. Tylkoż z pisowni starannie wszelką „fonetykę“ usuwajmy; najmniejszej niema w tem szkody, jeśli się „wymowa“ a „pismo“ różnią, choćby znacznie niż u nas bywa; od tego jest szkoła, aby pisownię poprawną wpajała. Do większej karności w sprawach pisowni pora nam nawykać, tem bardziej, że nadto wielkiej trudności nie nastęrczają, że ta nawet u Słowian (nie mówiąc o innych narodach) bywa znaczniejsza.

Dla przeprowadzenia tej większej jednolitości w pisowni stoją, niby wiechy wytyczne, zasady, z których jako pierwszą i najgłówniejszą wysunęliśmy: wzgląd na pochodzenie słowa. Ten też najpierw rozstrzyga wszelkie wątpliwości; a więc pisz: pergamin, nie pargamin, boć od Pergamu nazwany; pisz: paznogieć, paznogcia (a dawniej był i sam nogieć, t. j. urwisz, bo tak to słowo pisać należy, nie urwis, jak mili Mazurowie mówią i piszą, boć mamy słowa podobne na -sz lub na -ś, przybysz, strojniś, nie mamy na -s), nie pisz natomiast wedle słuchu: paznokcia, a wedle tego potem i: paznokieć (przecież on od nogi nazwany); pisz łebski, od łba (ale żartobliwie mówią łepeta, łepak — podobnie waha się łapa i łaba). Pisz swora, przynigdy słora, niesforny, skoroż *f* przeważnie w obcych słowach się zjawia (czasem obok *chw* istnieje, krotofila i krotochwila, zaufały i zuchwały, skąd potem nowy zuch urósł, nieznany zupełnie dawnemu językowi) i z małymi wyjątkami niepolskie jest brzmienie, co lud prosty nieraz w *p* odmienia, mówiąc n. p. lucyper zamiast lucyfer; Litwini zawsze tak robią.

Do pisowni poprawnej nawykaj w szkole, nawykaj z szkoły i w dalszem życiu; nie wymawiaj się, że trudna. Obok tej pierwszej zasady uwzględniaj inną. Nie pisz więcej znakami, co mniejszą ich liczbą odbędziesz. Wspomnieliśmy wyżej, że dawna pisownia, co nie odróżniała samogłosek pochylonych od otwartych, ó, é od o, e, co pisała *szcz* nie *szcz*, *sci* nie *ści*, była dogodniejszą. Nie byłoby dziś żadnego wahania, jak pisać n. p. szkolny czy szkólny; stos czy stós; kościółek czy kościołek; mówca czy mowca, mównica czy mownica; sójka czy sojka; mórg czy morg; przednówek czy przednowek; kółczyk czy kolczyk; ból, bolu czy bólu; mól, mola czy mola; swór czy swor; wskroś czy wskroś i t. d.; pisalibyśmy

je wszyscy przez o, a wymawiałby je każdy, jak mu się podoba. Nie dochodzilibyśmy też do takich sprzeczności, że n. p. każą pisać: pójść, pójde i t. d., ale zabraniają pisania: dójść, dójde i t. d., chociaż jedno takie samo jak drugie. Że krótsza pisownia: polszczyzna, zaleca się sama wobec dłuższej polszczyzna, angielszczyzna wobec angielszczyzny i t. d., o tem wątpić nie można. W imię tej samej zasady unikaj zbytecznego pisania znaków miękczenia: śpiew i t. d., śpisz i t. d., ze wszelkimi podobnymi, więc pisz: spichlerz (niemądra to postać zamiast dawnego spichrza = Speicher), przenigdy śpichlerz (cóż z tego, że tak wymawiamy? przecież taki dowód dla naszej pisowni najmniejszej niema wagi); spiża albo dziś spiż, nie śpiż, nie śpiżowy; pospiech, nie pośpiech i tak samo spieszyć się i t. d., nie śpieszyć — co innego pisownia: świat, śmiały, ślepy, śledź i t. d., gdzie „miękkie“ w, m, l i t. d. poprzedzającą syczącą zawsze i stale „miękczy“. Tu można zaznaczyć, że wymowa nasza ś nieraz przez sz zastąpiła, mówią nawet wyraźnie szlub, szlaz, ale piszą poprawnie ślub, ślaz; mówią szron i piszą tak nawet, chociaż wedle środy, śron pisać należy; bywa więcej wahań przy pożyczkach niemieckich, śluz albo szluz, śruba albo szruba, śrót (śrut) albo szrut, ślochać, albo szlochać, śmigus albo szmigus (z Schmeckostern przekreścony na nasz ład), śpic albo szpic (wilczem prawem spiczastego zamiast poprawnego spicastego urobiliśmy, przecież to c niemieckie, nie polskie c niby jak w końcu i t. d.) W innych pożyczkach sz zupełnie się zamiast ś ustaliło, n. p. szpieg, szpik, szpetny, szpilka (wyjątkowo raczej śpilka, przyśpilić); Śląsk, Ślązak dziś odwojowaliśmy przeciw Szlązakowi; najniepotrzebniej zaś piszą Sztokholm zamiast Stokholm, Sztutgart zamiast Stuttgart, sztempel, (sztempłować) zamiast stempel, sztrajk,

szport, szprycha (sprycha z bałamutnem *r*, niemieckie *Speiche*); w innych pożyczkach, szczególnie przy *st*, zachowaliśmy *s*, stos, ster i t. d., ależ nieraz i w własnem słowie zastąpiliśmy *sp-* przez *szp-*, szpona albo szpon, to tylko dawniejsze spona, por. i błędną szpinkę (i szpona i szpinka od spinania przezwane).

Nie przeczyśmy bynajmniej, że tu pełno tej sprzeczności, tak znamiennej dla naszej wymowy i pisowni; nawet do łaciny i romańszczyzny z nią dotarliśmy, mówiąc: szkopuł, zamiast: skopułu (a słyhać nawet i szkrupuł!), szkaplerz zamiast skaplerza, muszkuł (!) zamiast muskuł, szkrofuły, szkieleł, paszkwil, fraszka, maskara, biszkot (biskopt z biskoktu) i t. d. W słowach niemieckich zamieszanie najpełniejsze: smary, smarować, z schmieren; smak, smakować; smaragd, nie szmaragd, ale szmelc i szmelcowany (piszą jednak i smalc, smalec), szmuklerz; snycerz, ale sznur; stal, stos, struś, stelmach, ale sztuka, warsztat, sztaba, sztych, sztywny i t. d. W całym tym rozgardyaszu (przecież nikt u nas nad językiem nie czuwał, w szkole uczono tylko łaciny, przenigdy — aż do czasów Konarskiego — polszczyzny) trudno się i połapać, więc mówią jedni szkarpetki, sztaluga i t. d., drudzy skarpetki, staluga i t. d. Ani mowy niema o tem, aby te sprzeczności pousuwać, zostaniemy przy tem, co *usus-tirannus*, jedyny w sprawach językowych bez odwołania stanowiący sędzia, uchwalił.

Lecz wracamy od tych wahań między *st* a *szt* i t. d. do żądania, abyśmy skąpili ile możności znaków pisarskich miękczenia i t. p., więc w imię tej zasady piszemy bez względu na stan dawniejszy zawsze tylko: bolesny, radosny, miłosny, wczesny, sprosny, krasny, mięsny, cielesny, zazdrosny, żalosny i t. d.; *ś* piszemy dopiero w licz-

bie mnogiej i przed urobieniami z *-ik*, a więc: miłośnik, miłośni, żałośni, cielesni i t. d.; taksamo przyjazny, żyzny i i., ale żyźni, przyjaźni; piszemy: ojczyźnie, ale prze-nigdy: w romantyzmie (choć niejednak tak to wymawia), reumatyzmie i t. d.

Jak znakami pisarskimi, taksamo nie szafujemy i przyrostkami bez potrzeby, więc piszmy króćiej i lepiej: prowincyalny, prowincyalizm, nie: prowincjonalny, prowincjonalizm (przecież to nie żaden racjonalizm od ratio, lecz od prowincya); podobnie gimnazista, nie gimnazyasta, a tem mniej gimnazyalista (niby jakiś gracyalista!). Dalej, jak germanizm, anglizm, italianizm, podobnie wystarcza najzupełniej: rusyzm (nie rusycyzm!) i galizm (galicyzm będzie nawyczką galicyjską, nie galską, t. j. francuską!); bohemizm w tym związku nie jest wcale poprawniejszy niż czechizm, bo wolno słowa własne urabiać obcymi przyrostkami (por. opatrunek, poczestunek i t. p.). Krótkości uczy nas własny wzór, n. p. mówimy: bałwochwalca, nie bałwanochwalca i i.

W imię pożądaney krótkości odrzucamy ulubiony dla słów obcych przyrostek *-iczny*. Uprawniony on u słów jak muzyka, krytyka, logika, krynica i t. d. — muzyczny, krytyczny, logiczny, kryniczny i t. d., ale od nich nawykliśmy do *-icznego* i wstawiamy go, gdzie go nie posiano. Więc telegraficzny, czyż nie lepiej telegrafowy? skąd wziął się do skandalu („szkandał“ postać chyba chłopska; ale i paszkwil i pod. nie wiele lepsze, pisz paskwil), skandaliczny? są balneologowie i jest balneologia, ale pocóż balneologiczny? zamiast: satanicznego, diabolicznego, faunicznego i t. d. wystarczy: sataniński, diabolski, faunowy. Skąd: satyryczny, reumatyczny, mikroskopiczny i t. d.? czy nie lepiej mikroskopowy, satyrowy (jak od róża — różowy), reumatowy?

Rosyanie używają w takich razach równie pięknej postaci: -iczeskij, ale nasz „metalowy“ znacznie lepszy niż ich „metaliczeskij“ — czy metaliczny byłby piękniejszy? Kruszcowy chyba ocalił metalowego, ależ jasny to dowód, że się bez -icznego obejść można znakomicie, czyż koniecznie każde niemieckie -isch a francuskie -ique -icznym parodyować? Więc: liturgijny, nie liturgiczny; histeryjny, nie histeryczny, jak koteryjny, nie koteryczny, loteryjny, poezyjny i t. d.

Wymagamy więc, aby wrócić do pisowni, od niej: poprawności, t. j. uwzględniania pochodzenia słowa; dalej możliwej krótkości; наконец stałości, jednostajności; pisać, co równo brzmi, równymi znakami.

Miłośnicy n. p. pierogów piszą je nieraz pirogami, ależ pirog, to czółno indyjańskie (pozostajemy przy różnieniu indyjańskiego, t. j. amerykańskiego — krótsze amerykański wyszło z użycia, w przeciwieństwie do indyjskiego); natomiast tylko pieróg może być wyrobem naszej kuchni, boć z najrzadszymi wyjątkami (n. p. *wir*; *mir* zdaje się świeżo z Rusi wrócił, inaczej byłby mierzem, por. Mierostawskiego albo Kazimierza i t. p.), dawne *ir* u nas zawsze w *ier* przechodzi, ale żeby i pieróg był Rusinem, na to niema dowodu. Więc wedle sierota i t. p. piszemy pieróg. Taksamo piszemy: gderać, gmerać, nie gmyrać, bo *y* ustąpiło naszemu *e* (niegdyś *é*) przed *r* wszędzie, więc: pasterz, terać się, zterany, cztery i t. d., nawet w słowach obcych: ster, sterować, bohater i t. d., gdzie wszędzie pisownia z -y- starsza, ale od XV. a najdalej od XVI. wieku nowszej z *é* (*e*) ustąpiła; dlatego piszę i: czerak, nie: czyrak (jak wymawiam).

Oto główne zasady pisowniowe i prawopisowe; ich się dzierżąc rozstrzygniemy łatwo wszelakie wątpliwości. Drobne szczególiki (n. p. o pisowni wielkich znaków —

tych jak najmniej; o znakach pisarskich, przecinkach i t. d. — tych jak najwięcej) pomijamy.

VII.

Przechodzimy od pisowni rozmaitych brzmień i zgłoszek, do samych postaci językowych; o niejedynej już wyżej wspominaliśmy; zaczynamy odmianą słów rzeczowych.

Język posiada dwojaką odmianę, inną u przymiotników (biały, białego i t. d., biała, białej i t. d.), inną u rzeczowników (stół, stołu; ryba, ryby). Odmiana rzeczownikowa nie różni się w liczbie mnogiej, *stoły* odmieniamy tak, jak *ryby* (oprócz przypadku drugiego, *stółów, ryb*; dawniej i tę różnicę wyrównywano, *trosków* czytamy jeszcze w „Maryi“ Malczewskiego, *wsiów* i t. p. były niegdyś ogólne); różni się natomiast w liczbie pojedynczej *stół, stołu*, a *ryba, ryby*, i rozróżniamy odmianę męską (wraz z nijaką) a żeńską. Niegdyś było tych odmian o wiele więcej i mimo ich spłynięcia pozostały ślady dawnej jej wielorakości w tem, że nieraz dla jednego przypadku mamy kilka postaci, n. p. *wołu* i *woła, pisarzów* i *pisarzy*, nieraz nawet z pewnym odcieniem znaczenia, *chłopi* i *chłopy*, najczęściej bez niego, *Bogu* i *królowi*; o tej różnolitości pomówimy nieco niżej.

Rozróżnia więc język stale obie liczby, a w liczbie pojedynczej przynajmniej oba rodzaje, lecz zdarzają się wyjątki. Oto n. p. przyjęły zdrobniałe imiona żeńskie postać męskiego wołacza na *-u*: babuniu, ciotuniu, jak wuju i t. d. i zachodzi pytanie, czy nie można, jeżeli się społem znajdą Józio i Józia, Stasio i Stasia, odróżniać ich wołaczy; Józiu, Stasiu należy do Józi, Stasi, ale Józio, Stasio zostaje (słyszeć to nieraz) niezmienny w wo-

łączu, podobnie jak Jerzy, Wincenty i i. Lecz to drob-
nostka; ciekawsze są inne odstępstwa od rodzaju grama-
tycznego; mylną jest postać, dziś tylko w uroczystej prozie
czy poezji używana: w mem, twem ręku — zamiast je-
dynie poprawnej: w mych, twych ręku, skoro ręku, jak
i ręce, to nie liczba pojedyncza (w mym domu), lecz po-
dwójna. Pytają nieraz, skąd się *tą razą* wzięło, skoro
raz tylko istnieje, nie *raza*? *Raz* jako nic nie znaczący,
niesamoistny dodatek doczepiano do innych wyrazistszych,
bez względu na rodzaj; mówiono stale (w wieku XVI)
drugieraz (niby raz nijakie), ale taksamo i do jedną, wtórą,
trzecią (bo tak bez *razu* brzmiały) doczepiano tożsamo
raz: jedną raz, drugą raz, a w końcu to *-ą* doczepiano
i do raz: jedną razą; *teraz* jednak nie powstało z *tęraz*,
jak sądzono, lecz *tenraz* skrócono w wymowie potocznej
na teraz i to do pisma weszło, podobnie jak *pono* skró-
cono z *ponno*, *podno*, *podobno*, albo *snadź* (tak je pisać
należy, nie *snać* ani *znać*, skoroż od *snadny* poszło) na
sna skracano (dziś tego nie używamy więcej).

O wiele dalej, niż w nierozróżnianiu rodzajów, za-
brnął język w nierozróżnianiu liczb. Nie razi nas dziś
bynajmniej, że nie rozróżniamy tej mszy, wsi i tych
mszy, wsi (dawniej mszów, wsiów powszechnie pisano);
podobnie studni (prawidłowe studzien rzadziej zachodzi),
rękojmi, warowni, komisyi; rozróżnianie *komisyi* w licz-
bie pojedynczej a *komisyj* w liczbie mnogiej słusznie
zarzucono, bo nikt tak nie mówi. Również nie wadzi ni-
komu, że *świeży*, *duży* i t. d., lub *gorący*, *świecący*,
obcy lub *roboczy*, *ochoczy* i t. d., nie wyróżniają liczb,
godzą się w równej mierze dla obu; *boży człowiek* i *boży*
ludzie, chociaż pojawiały się zakusy (już w XVII. wieku),
-i liczby mnogiej ze stratą dla spółgłoski przenieść i *duzi*,
świezi, *obci* wprowadzić. Co się dla *ż*, *c*, *cz* nie powiodło,

powiodło się jednak dla sz i zamiast jedynie poprawnych i jedynie możliwych *starszy panowie, nasz ojcowie, gorętszy ludzie* (jak *gorący ludzie*), *bliższy krewni* i t. d., skoczył język do nieprawdopodobnych i niesłychanych *starsi panowie, nasi ojcowie, gorętsi (!) ludzie, bliżsi* czy *insi krewni* i t. d. Im należy się jedno — wyrzucenie. Ta chętką przeprowadzenia owego, nieco arystokratycznego -i liczby mnogiej, wywołała postaci jak *mnisi, Włosi, cisi, głusi, susi (!)* zamiast dawniejszych *mniszy, Włoszy, cisy, głuszy, suszy* (porównaj *musze, pysze* *) i t. d., co się taksamo nie zgadzają z *ręce, nodze*, jak się nie zgadzały *mniszy z Polacy, wrodzy*), chociaż nikomu się nie śni przeprowadzać owo miękkie *i* w jakimś *Polaci, wrodzi*, i tu to -y prawidłowe nikomu nie wadzi. Sadzenie się na to -i wywołało i poza odmianą równe dziwolaży, bo gdy *Boży, wilczy* nikomu nie wadzi, zachciało się nam wedle *kozi, sarni*, i t. d., *ptasi* (ptasiego mleka) zamiast jedynie poprawnego *ptaszy* (od ptach, por. ptaszek, ptastwo, obok ptak, ptaczek) i *mysi* (mysi królik) zamiast poprawnego *myszy* (por. mysza wieża) i tak pieszcząc się najniepotrzebniej utworzyliśmy nawet *kapelusik* zamiast kapeluszyka wedle *kozik, guzik* i t. p., chociaż *nożyk, scyzoryk, kolczyk, koszyk* bez *i* się obcho-dzą bardzo dobrze**).

*) Również *potrosze* od *trocha*, trochę, ale obok żeńskiego rzeczownika był niegdyś i męski, *troch*, a od niego to pochodzą owe formy *potrochu, trochu* i *trocha*, których zawsze jeszcze używamy. Od *Polska* (a niegdyś i od *wojska*, obok *wojsko*, co żeńską postać wyparło z używania) brzmiały te przypadki: *Polszcze, w Polszcze* (tak jeszcze w XVIII. wieku), nie sromają się dziś tej rdzennie polskiej postaci przypisywać jakieś niesłychane pochodzenie ruskie, niesłychane, skoro w ruskim takiej postaci wcale niema. Postać dziś używaną *w Polsce* późno urobiono wedle *w ręce* i t. p.

**) Coś podobnego zachodzi w urabianiu wyższych stopni od przy-słówków; mówimy n. p. *króciej, goręciej*, chcąc niby to -ie- od: le-

Zaniechaliśmy miękczenia spółgłosek wargowych (*p, b, w, m,*) w wygłosie, wymawiamy: karp, krew, gołąb, łam, bez niego, lecz z niem wewnątrz słowa: karpia, gołębia, krwią, łamie; tak w nazwach miejscowych: Radom, ale Radomia i t. d.; otóż taksamo należy pisać Oświęcimia, Zakroczymia, Okocimia, Chocimia (nie Chocima!!) i t. d.; pisownia bez *i* jest błędna, należy jej zaniechać. Natomiast odmieniamy imię Gołąb w dalszych przypadkach Gołąba i t. d., przeciw prawidłu warując nietykalność „osobistości“.

Inne odstępstwo od odmiany prawidłowej nijakiej zaszło w odmianie Tarło — Tarły (w XVI. wieku „u Tarła“, wedle znanego dowcipu Rejowego i tak jeszcze w XVIII.) i taksamo u wszystkich innych na *-o*, szczególnie w ruskich nazwach na *-ko* (Kościeszko, Hurko, Sanguszko, Szewczenko — nie Szewczenko i t. d.) i w litewskich na *-ło*: te przejęliśmy w postaci ruskiej, Jagajło i wszelkie podobne inne, jak Michajło, bo Litwinowi rodowitemu nie znającemu wcale rodzaju nijakiego, podobny pomysł był obcy. Odmieniano (Jagajło, Jagejło, a w końcu bez joty) Jageło — Jageła, Jagełu i t. d.; potem i tu wszędzie wprowadzono odmianę żeńską. Odmianę żeńską wywołała liczba mnoga, co była stale: Tarłowie, Sanguszkowie i t. d. (dowód najlepszy, że imiona nie stosują się do zwykłych

piej, mniej, bardziej (dziś bardziej) i t. d. uwidocznić. Istotne postaci język i pozapominał nieraz, i tak do: miękko (wymawianego miętko, jak lekko zamiast lekko; tak nam z podwójnemi spółgłoskami niesporo) urabiają „mięcej, miękciej, miękcej, wszystkie formy w użyciu“ (czytamy w Słowniku); wszystkie trzy postaci są błędne, miękcej należy mówić i pisać, por. miękczyć; natomiast do lekko mówimy lżej, bez *-ko*, jak głębiej do głęboko, dalej, szerzej, wyżej (dziś wyżej), niżej i t. d.; lekce w lekcewałyć piszemy jako jedno słowo, chociaż to dwa (lekce tak jak wielce). Krócej, goręcej, jak więcej, prędzej.

prawideł, por. cośmy wyżej o Gołąb — Gołąba i t. d. wspomnieli), ale obok nich byli Kmitowie, starostowie, wojewodowie i t. d., i jak tym się w liczbie pojedynczej odmiana żeńska należy, podobnie postąpiono i z Tarłem, Sanguszkciem. Jak my, odmieniają te imiona Rosyane i Biała Ruś (nie Białoruś, dopiero w dalszem urobieniu: białoruski, jak carogrodzki, białogłowski lub małopolski, o czem wyżej mówiliśmy), gdy Mała Ruś przy odmianie nijakiej pozostała.

W odmianie liczby mnogiej *e* ruchome wywołało różnice; jedni piszą *bitw*, drudzy *bitew*. Postać z *e* błędna; językowi przysłużyła tylko *bitw*, modlitw (cóż z tego, że już Skarga pisał modlitew?); on nie znosi pisowni n. p.: prawideł zamiast jedynie poprawnej: prawidł (i tak u wszystkich na *-twa*, *-stwo*, *-dło*) i nie cofa się nawet przed silnemi zbitkami, n. p. przeciwieństw, zwycięstw, sióstr, królestw, prawodawstw i t. d.; usuwa nawet ruchome *e*, gdzie uprawnione, n. p. piszemy *walk* zamiast *walek* (por. lalek i t. d., jak i ławek, matek i t. d.). Nie piszemy: *bitew*, *prawideł*, *brzytew* (*brzytewka* zob. niżej.), *prześcieradeł*, *radeł*, *wiater*, *teater*, ponieważ między *t a w*, *d a ł*, *t a r* przenigdy ani najlżejszego brzmienia nie było, coby ruchomem *e* odbić się mogło natomiast: *wicher*, *matek*, *ławek*, *córek* i t. d. piszemy (i wymawiamy) z *e*, ponieważ niegdyś między *ch a r*, *t a k* i t. d. było brzmienie samogłoskowe, zastąpione dziś (i od wieków tak) przez *e* ruchome, t. j. pojawiające się lub znikające wedle potrzeby wymowy (łeb łba, deszcz dżdzu dżdżysty — zamiast czego dziś deszczu popłaca, len lnu i t. d.). Niema jednak czego tać, że w licznych słowach obcych język, zwiedziony wzorem powyższym słów własnych, takie zbędne *e* ruchome powstawiał. Więc wszelkie nasze słowa na *-unek*, *-ulec*, niegdyś samem *-unk*, *-ulc*

kończono, ratunek — Rettung, rachunek — Rechnung i t. d.; jeszcze Rej dzieło swoje przezwiał: Wizerunk, z czego dopiero od wieku XVII. wizerunek udziałano; podobnie -ulec z niemieckiego -holz poszedł, a ganek, trunek z Gang, Trunk, taniec z Tanz, stąd tańcować (które dziś zastępujemy jakimś: tańczyć, gdy dawny język tylko tańcować znał, por. jeszcze piosenkę: tańcowała ryba z rakiem i t. d.) i taniecznica, którą w taniecznicę nie wiedzieć poco i dlaczego odmieniliśmy. Dzisiaj całkiem nieprawidłowem *e* ruchomem nadto szafują; ponieważ kresek od kreska z naszym *sk*, gdzie niegdyś między *s* a *k* było brzmienie samogłoskowe, jest słuszne, ubrdali sobie postępować tak i z obcem *sk*, gdzie o takim brzmieniu i mowy niema i urabiają dziś humoresek, arabesek, co jest nieznośne; prawda, mogą się przytem na dawny błąd powołać, bo do *fraszka* z włoskiem *sk* fraszek wczesnie urabiano, mimo to należy się do maska (niegdyś maszka, por. maszkare) tylko mask, nie masek. Natomiast maseczkę, jak brzytwkę, całkiem na ład polski urobiono i słusznie, taksamo modlitewkę i modlitewnik i t. d. Poprawnie winniśmy mówić: modlitwnik, jak świecidlnik i t. p., modlitwka, brzytwka i t. d., jak siostrka, bez wiatru i t. d., ale poszliśmy za innymi wzorami; jak od łza urabiamy łezka, do konwi konewka, do pwy pewny, do krwi krewny i t. d., od siodło sioდეłko, od miotła miotełka i t. d., taksamo urabiamy pieścidełko, bawidełko, modlitewnik, brzytwka i t. d., zacierając zupełnie pierwotną różnicę. W siodło = Sattel (niemieckie słowo wywodzą niektórzy jako pożyczkę z słowiańskiego) było, jak Sattel dowodzi (a są i inne bardziej przekonujące dowody), brzmienie niegdyś samogłoskowe między *d* a *l*, pojawiające się też w sioდეłku (ruskie siedło), natomiast w siodło (dziś przez ruskie sioде zastąpionem, ale Długosiodło

na Mazowszu, Siedlce i t. d. dawnego polskiego *dł* dowodzą) nie było żadnego brzmienia między *d* a *t*, dlatego: przysiodłki nasze a stąd przysiołki z ułatwieniem wymowy, do czego przysiołek nowo dorobiono; a na Rusi tylko: seło. Więc prawidło brzmi: od rzeczowników na *-twa*, *-stwo*, *-dło* (z wyjątkiem *siodła*), od obcych na *-ska*, pisz drugie przypadki: gardł, źródł, bitw, bóstw, arabesk, humoresk i t. d., nie gardeł, źródel, bitew i t. d., a wymawiaj jak chcesz; taksamo pisz tylko: pasm, pism, powrósł, różg, drzazg, mózg (we Lwowie mózég nieraz słyszałem), wymawiaj jak chcesz; od odaliska odalisk, ale huryska hurysek, boć to polska końcówka, taka sama, jak n. p. w Francuzka (tych Francuzek). Umyślnie przytaczamy jeszcze więcej przykładów: grzanka grzanek; wiarka, miarka, wiarek, miarek, ale obce marka, dwadzieścia mark (nie marek, *rk* pierwotne!); czółno — czółn, nie czółen, widła widł, nie widel, taksamo sidł; *widelec* nie dowodzi przeciw temu niczego, bo sam późno powstał z wyrównania odmiany pierwotnej, co brzmiała: widlec (widlca) widelca, jak *piesek* z pierwotnej odmiany psek pieska wyrównano, albo *bochenek* z odmiany bochnek — bochenka i t. p.; wiośło, wiośl, nie wiosel (wioselko, jak maselko i t. p. późne, zamiast wiosłko, masłko); mydło, mydl, nie mydel; szydło, szydl; hasło, hasł, nie hasel; od godła natomiast będzie godeł, od wydmy powinno być wydem, ale za przykładem owych pasm, pism (nawet piżm) mówią wydm; podobnie i od (może ruskiej) wiedźmy, wiedźm zamiast wiedziem; pochwa — pochw, nie pochw.

To zastępcze brzmienie sprowadza mówiących nieraz na przykre manowce, n. p. miasteczko w Prusiech Wschodnich zwało się Łek (por. Łekno), Łka, w przypadku siódmym: we Łku; do tego „wełku“ tak przywy-

knęto, że je w końcu mylnie podzielono: „w Ełku“ i zmyślono pierwszy przypadek: Ełk i tak to dziś odmieniamy, ależ niemieckie Lyck (wymawiaj z niemiecka Lyk, nie Lyc-k), zachowało lepiej pierwotne brzmienie.

Lecz wracamy od Łku do brzmienia zastępczego w drugim przypadku liczby mnogiej. Konieczne jest e, gdzie *-ka* n. p. jest przyczepką, a więc córka, matka, ławka — córek, matek, ławek; łupka, łupek, ale łuska, łusk, trzaska, trzask, różga, różg (*sk, zg* pierwotne!); denko, okienko, sukienka i t. d. dają dziś denek, okienek, sukienek zamiast dawnych: dnek, oknek, suknek i t. d. Cyfra, cyfr, mimo niemieckiego Ziffer; cytra, cytr. Przyczepka *-wa* (co innego *-twa* lub *-two*) waha się: tyżw i tyżew, zuchw, tratw (z pierwotnego traft, bo to niemieckie trift przestawione, więc tu właściwie wcale nie należy), dratw, ależ obie ostatnie, to słowa obce; co do rodzimych por. kuropatw, rybitw, makolągw, pardw i t. p.

Zastępcze czy ruchome *ie* nie podlega nigdy przegłosowi w *io*, więc nie mówimy *lon* (jak plon, kamionka), lecz *len* (Rosyanin ma: *lon*), pies (u niego: *pios*) i t. d., z tego wynika, że tylko pisownia ruchomego *ie* w takich, jak: osieł, kozieł, kocieł, wedle osła i t. d. jest poprawna, przenigdy: osioł, kozioł, kocioł, por. n. p. orzeł, nie orzoł (choć to jest w narzeczach); a więc należy pisać i: osiełek, kocietek, kozietek, chociaż postaci na *-iolek* już przeważają; wioska od wsi i dzionek od dnia nie przeczą owej zasadzie, jako w istocie „błędne“ nowotwory.

Prawidło ogólne co do drugich przypadków liczby mnogiej brzmi więc: niemaż miejsca dla wsuwnego czy ruchomego *e* (*ie*), gdzie zbitka spółgłoskowa pierwotna, więc do perła (niegdyś pierła) piszemy: perł, nie peretł (zbitka *-rl-* pierwotna, por. Perle i t. d.), więc: litr, libr (już w Biblii Zofii r. 1456. obok tej poprawnej pisowni

zachodzi równie często i mylna: liber), kwart, modł, biodr, usterk (nie usterek, przecież sterk-, dawniej styrk-, jest „pierwiastkiem“) i t. d. Dano się jednak rychło uwieść temu przykładowi i zaczęto mówić: służb, wróżb, prośb, groźb, chociaż między *b* a *ż*, *ś*, *ż* było niegdyś brzmienie samogłoskowe, por. służebny; poprawnie mówimy: wrózek, służek, klatek, pałek, kłódek i t. d., ale nawykliśmy już do: klęsk, walk i t. d., chociaż w obu razach takie same brzmienia i istotnie rozstrzyga tu wygoda wymawiania, tak zwana „eufonia“, na której karby tak wygodnie nam odliczać wszelakie usterki językowe. Więc taksamo krzywd, prawd, klechd, wróžd i t. d. i o prawdziwym (istniejącym na Rusi) już u nas i śladu niema, oprócz jednego: sprawiedliwego; izba: izb zamiast izdeb (por. izdebka); wysp zamiast wysep, (od sypania) i t. d.

Jak od: dno, den, tak podają gramatycy i dla: tło, teł (por. miotła, mioteł), słusznie, wedle zasady ogólnej. Ależ nie każde *e*(*ie*) takie słuszne, bo wstawia się je nieraz dla owej „eufonii“, dla unikania twardej jednozgłoskowości wedle podobieństwa pozornego innych wyrazów; więc jak: dzień, dnia, mówimy: ogień, ognia, zamiast jednozgłoskowego ogn; wedle: dno, den, mówimy: okno, okien zamiast jednozgłoskowego okn. Zachowaliśmy odmianę dawną u jednych: iza — łez, gra — gier, pchła — pcheł, ale u innych jednozgłoskowych pozapominaliśmy postaci pierwotnych, więc msza, nie: mesz (por. meszny), lecz: mszy, dawniej i mszów; ćma, nie ciem, raczej ćmów (w Galicyi można się i pchłów i t. p. nasłuchać dowoli). Podobnie wedle: go-dzien, winien, mówimy: pełen zamiast pełn, dostojen zamiast dostoin, wojen zamiast woin, wojn, por. wojsk. Ale najniesłuszniej w świecie wstawiamy na piśmie (co innego w wymowie) jakieś ruchome *e* w siedem i osiem; tych nie należy inaczej pisać, niż: siedm, siedmnaście,

siedmdziesiąt, siedmset; ośm, ośmnaście, ośmset, ośmdziesiąt, bo tu między *d-m*, *s-m* nigdy żadnego brzmienia nie było; wymawiajcie wyraźnie osiem i t. d., piszcie ośm, taksamo jak wymawiacie: piędziesiąt i sześćdziesiąt, a piszecie: pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Również należy pisać piosnka, chociaż wymawiać można piosenka (*sn* pierwotne), piosnek.

Mniejszej wagi jest, że wciągnęliśmy wilczem prawem do odmiany nazw geograficzno-ludowych (n. p. Słowianie, Słowian w liczbie mnogiej, ale w pojedynczej Słowianin, Polanie, Polan — Polanin; tak się Polacy jeszcze w XV. wieku nazywali i stąd pochodzą nazwy ich obce Polan, Pologne, Polen), nazwy ani z geografją, ani z ludami w żadnym nie pozostające związku, n. p. zamiast pogani, poganów — ten pogan, chrześciani, chrześcianów — ten chrześcian, odmieniamy dziś: poganie, pogan — ten poganin; chrześcianie, chrześcian — ten chrześcianin; dziś już i nazwy zakonne i i. tak najmylniej odmieniamy; zamiast jedynie poprawnych: Dominikani, Franciszkani, kapelani — Dominikanów, Franciszkanów, kapelanów (ta tylko forma stale popłaca), Dominikan, Franciszkan (porównaj n. p. Bernardyni — Bernardynów — Bernardyn), wymyśliliśmy, zwiedzieni owem *-an-*, Franciszkanina i w liczbie mnogiej Franciszkanie. Pisownia poprawna takich postaci nie znosi w żaden sposób; precz z niemi; są mylne: Hiszpanie, zamiast Hiszpani lub *-owie*.

Trudniejsza sprawa z innemi, bardzo niepoprawnemi. Rzeczowniki żeńskie spółgłoską zakończone: kość, postać, wieś, rozkosz i t. d., przybierają w liczbie mnogiej zawsze *-i*, kości, postaci, wsi, rozkoszy i t. d.; nigdy nie było to inaczej; nigdy nie istniały: wsie, rozkosze, postacie, a jeżeli wymieniają przeciwnie jakieś łódzie

n. p., to zapominają, że łodzie prawidłowo od dawnej łodzia poszły (Łódź jest bowiem świeżym wynalazkiem, jak i pieczeń, kieszeń, woń, pościel, toń, kolej i t. d., zamiast dawnych wyłącznych: pieczenia, kieszenia, wonia, pościela, tonia, koleja i t. d.). Otóż, gdy powszechnie (oprócz na Litwie) mówimy: powieści, wiadomości (i tak wszystkie na -ść), myszy, kości, wszy, rzeczy i t. d., wahamy się co do: wsi i wsie, a nie wahamy się wcale przy: rozkosze, postacie i t. d., wedle wzoru: dusze od dusza. Prawidłowości niema tu najmniejszej, sama dowolność panuje wszechwładnie i wobec tej dowolności wolnoż pokusić się o powrót do ładu w piśmie. Pisownia prawidłowa wymaga bez wyjątku jakiegokolwiek -i, wyklucza -ie, -e; rzeczowniki na -ś -sz i t. d. tworzą bowiem dział odrębny, nie mieszają się w liczbie pojedynczej z owymi na -a, rozkosz a dusza najzupełniej się różnią w liczbie pojedynczej, więc i w mnogiej we dwu przypadkach (por. tych rozkoszy — dusz) zupełnie się rozdzieliły i niema najmniejszej przyczyny pismo poddawać dowolności mówiących, jednolitość końcówki -i rozbijać dla ich widzimię.

Ci, co błędów prawopisowych nie karcą, im raczej pobłażają, wyliczają rzeczowniki z końcówką *ie*, *e* zamiast *i* (*y*): noce, moce, słodycze, twarze, gałęzie i t. d., o pisowni zupełnie mylnej (wobec prawidłowej: rzeczy, brwi, nici, ości, sieni, sieci, chęci, części, pieśni, myśli, piersi, złości, słabości, zapowiedzi i t. d.), ale jak najmylniej wliczają w zastęp tych myłek prawidłową pisownię, jak kłacze (od kłacza, język nie znał przecież innego rzeczownika!), skronie, kieszenie, łodzie, koleje i t. d. i powołują przykłady wieku XVIII., z pism Krasickiego i współczesnych; przytaczają, że i w dopełniaczu stosowała się pisownia wsi, brwi, myszy, pieśni, rozkoszy i t. d.

do pisowni dusz i t. p., że znachodzimy więc pisownię mysz, rozpacz, rozkosz i t. d. obok myszów, pieśniów, wsiów i t. d., co wszystko ma służyć jako dowód, że pisownię: noce, twarze i t. d. należy przypisać prawidłowemu rozwojowi językowemu, dążącemu do uchylenia osobnej odmiany tych rzeczowników w liczbie mnogiej przynajmniej. Zapominają, że wszelkie te formy Krasickiego i współczesnych pisarzy, w rodzaju: mysze, mysz lub myszów, pieśniów, rozkosz i t. d. są tylko błędami, których unikać należy.

Zapominają bowiem, że nierząd saski rozchwiał zupełnie poprawną niegdyś pisownię, że jałowości i gnuśności myśli odpowiadała niepoprawność, błędność pisowni i najgorsze zaniedbanie druków i że z tych grzechów przeciw poprawnej pisowni nie mogli się otrząść nawet pisarze tej miary, co Krasicki n. p.; jego pisownia jest wzorem, jak pisać *nie* należy. Oto kilka przykładów choćby z Satyr: „więc podściwych (tak zawsze pisywał poczwiych ks. biskup) aż nadto; Paweł trzech mszów słuchał“; zrucił; w koncie (t. j. kącie), skączył (t. j. skończył); zaczęło (zaczęło), aręda (t. j. arenda), ścieszki, drżwi, nicht, oczewisty i t. d. — a nie są to przypadkowe myłki pióra, lecz tak wyglądała stała pisownia w Heilsbergu; poprawiał ją Dmochowski (co nawet trafne poczestował, częstował zamiast częstował Krasickiego wstawiał), więc poznikały: Frańciszek, wińszować, podchlebiać, przysiąki (t. j. przysionki), najprzód, letki, ochyda, maszki (maski) i t. d.; on też usunął pisownię, co dla uwydatnienia rymu dla oka psuła poprawność, n. p. mieści: płci niewieści (zamiast niewieściej), kichnie: uśmichnie, chodzi: złodzi (zamiast: złodziej) i t. d., nawyczka, której dawne wiersze stałe służyły (więc pisano: gury — chmury, figory: który i t. d. już od czasów Kochanowskiego).

Prawidło brzmi więc: pisz zawsze: wsi, twarzy, rozkoszy, mocy, nocy, myszy, powieści (na Litwie powieście!) i t. d., nigdy: noce, wsie i t. d.

Gorsze nieporozumienia czy dowolności wynikły w odmianie nazw obcych, prześcigając takie dowolności w samej ich pisowni; lecz i tu należy zamiast widziemi się zachowywać prawidła ogólne, aby się nie mylić. Zaczniemy od osobowych ruskich, takich jak Gorkij, Trubeckoj, Tołstoj i t. p., gdzie polityka pokłóciła się haniebnie z gramatyką. Wiemyż, że Gorkij gorzki a Tołstoj tłusty i niesposób ich inaczej odmieniać, niż Gorkiego i Tołstego, Gorkiemu, Tołstemu i t. d.; Trubeckoj odpowiada naszym imionom na -cki i tak go odmieniamy, Trubeckiego i t. d., również wszelkie na -skij, czy wróg Polaków Dostojewskij, czy ich przyjaciel książę Wiazemskij: nie można nigdy o nich inaczej mówić niż o Dostojewskim, Wiazemskim, Gorkim i Tołstym; poczucie językowe wzdryga się poprostu przed: o Dostojewskiju, Wiazemskiju, Trubeckiju, Gorkiju i Tołstojem; Dołgorukiego nigdyśmy inaczej nie odmieniali, o: Dołgorukija nigdy nie słychiwali. W gramatykę wdała się jednak polityka i orzekła, że należy się nam odcinać od wszystkiego co ruskie, i dlatego nakazano nam nawet nazwy ruskie od naszych wyodrębnić osobliwszą, niemożliwą odmianą. Dziś, kiedyśmy politycznie nakoniec od miłych sąsiadów odcięci, moglibyśmy powrócić do jedynie możliwej odmiany: Dostojewskiego, Dołgorukiego, Trubeckiego, Wiazemskiego, Gorkiego i Tołstego i zaprzestać mieszaniny niesmacznej, gramatyki z polityką. Trudniejsza sprawa z imionami zachodniemi. Roztrząsaliśmy już powyżej pierwsze pytanie, jak je pisać; wedle wymowy czy wedle pisowni pierwowzorowej: Bordeaux czy Bordo, Goethe czy Gete (Giete?), Schiller czy Szyler (boć jeżeli z polska

pisać, toć chyba nie przez / podwójne). Poleciliśmy zachowanie pisowni pierwowzorowej, skoroż nie zamierzamy iść w ślady rosyjskie i obok spolszczonej w pisowni nazwie, kłaść w nawiasie pierwowzorową, aby się wiedziało, o kim to właściwie mowa; piszemy więc Bordeaux, Schiller, Goethe, Shakespeare i t. d. Tu o zgodę łatwiej; trudniej o nią w odmianie tych imion. Bordeaux nie odmieniamy na szczęście, mówimy wino z Bordeaux i t. d., ale cóż zawinił Rousseau lub Wiktor Hugo, żeby nie można tak samo powiedzieć: myśl wzięta z Rousseau? albo wiersz Hugo (Russa, Huga brzmi dziko, a Rousseau'a wygląda jeszcze dziczej, więc zostawmyż „Rousseau“ i „Hugo“, nie odmieniamy wedle naszego widzimisię, piszmy podobnie „u Percy“ a nawet „u Goethe“; kogo sumienie gramatyczne nadto trapi, niech dodaje -go, -mu i t. d. bez apostrofa, Goethego, Percygo i t. d., przyczem nieme e na ołtarzu polskim poświęcić wypadnie, Voltaira, Shakespeara a Zola wedle żeńskich na -a, nie wedle sędzia, odmieniać wolno. Ależ Rosyanin w każdy sposób mądrzej, bo Goethe wcale nie odmienia, Czech znowu odmienia to inaczej, niż my, Geta, Getowi, Heina, Heinowi, Börna i t. d. Nie należy naruszać imienia obcego, jeżeli polskiego nawet nie naruszamy i odmieniamy: Gołąb, Gołąba, Kocięł, Kocięła, i t. d., nie Gołębia ani Kottła, taksamo więc Schiller, Maier i t. d. nie odmieniamy Schillra, Maira i t. d., podobnie nie odmieniamy Hegel, Hegla, ani Luter, Lutra, lecz zatrzymajmy Hegela, Luterą, boć to -e- nienasze ruchome! Co obce jest, niech obcem zostaje; zbytnie polszczenie, niby poufale po ramieniu klepanie, nie zawszeż na miejscu. Co innego, jeżeli całkiem na polskie przełożę imię, n. p. Michał Anioł, ale wiek XVII. mówił: u Dante! Sporą wiązanke nazw obcych i tak wcale nie odmieniamy, nietylko Bordeaux

czy Monako, ale nazwy wschodnie, jak Naum, Kapernaum, Jeruzalem (co innego z Jerozolimą); dalej kakadu, kakao (mówią jednak: porcyka kakau) i i.; wszelkie łacińskie na *-um*, tylko że, jak to już u nas bywa, sprawę pokpiliśmy. Bo skoroż stale, jak słusznie, odrzucamy końcówki łacińskie *-us*, *-um*, (wyjątek: Chrystus obok Chryst, Jezuchryście; nimbus zamiast nimb, tyfus, zamiast tyf — łożnica po polsku); skoro znamy tylko: testament, instrument i t. d., toć nie było najmniejszej przyczyny właśnie w gimnazyum, gremium, museum, seminaryum, akwaryum, album, liceum, sanatorium, archiwum i t. d. to *-um* pozostawiać, w dalszych przypadkach liczby pojedynczej jego nie tykać (do gimnazyum i t. d., natomiast z prawdziwie polską konsekwencyą: do albumu zamiast: do album; albo wedle testamentu i t. d., do alba od alb, jak mawiano), i dopiero w liczbie mnogiej sobie przypomnieć, że mamy jakąś własną odmianę, do gimnazyów (do albumów, zamiast: do albow). Nie śniło się Francuzom zachowywać *-um*, i Rosyanie trafniej postąpili (mają gimnazija, seminarija, musej; Czesi to po części naśladowają), tylko myśmy utknęli najszeptniej, bo zamiast radzić się własnego języka, poszliśmy ślepo za Niemcami (naśladujemy ich zawsze niemądrze), bo ci Gymnasium, Museum i t. d. nie odmieniają w liczbie pojedynczej wcale, dopiero w mnogiej (Gymnasien, Museen i t. d.), ale skądżeż nam Niemcy przepisywać mają, jak mamy łacińskie słowa odmieniać?

Jakżeż powinna brzmieć polska, nie niemiecka odmiana owych łacinników na *-ium* lub *-um*? Odrzucamy je stale, więc: cmyntarz*) z coemiterium; konsystorz z con-

*) Z cmyntarza zrobiliśmy cmentarz, bo nieraz obce *i* (*y*) w *e* odmieniamy, n. p. subtylny w subtelnym, cybuła w cebula; ale cmentarza dalej tykać nie wolno, więc ani cmętarz ani smętarz (niby od smę-

sistorium; lektwarz z electuarium; seminarz z seminarium (w uniwersytecie inaczej nie mówią); w nowszych słowach nie zdobyliśmy się na tę odwagę (por. audytorium, kolokwium, akwarium, sanatorium, ambulatorium, i t. d.); nie mogliśmy zaś odrzucać *-ium* w takich, jak kolegium, gymnasium, liceum, museum, bo cóżby zostało? Mielibyśmy do wyboru dwie drogi: albo zmienić *-um* na *-a* (jak kontubernia z contubernium, ordynarya z ordinarium, kapituła z capitulum) już w pierwszym przypadku, gimnasia, kolegia raczej niż męskie, gimnasyj, kolegiij, musej, licej; w liczbie mnogiej gimnasye, musee, licee, gimnasyów, liceów, museów i t. d., lub wedle odmiany żeńskiej: gimnazyi, licei, musei, jak idei, statui. Druga, prostsza droga była robić jak Czesi, t. j. zostawić *-um* w pierwszym przypadku, gremium, museum, gymnasium, kolegium, ale w dalszych zaraz je odmieniać jak męskie (lub nijakie), musea, gremia, gimnasya; gimnasju, gremiu (albo gremiowi); liczba mnoga bądź męska: gimnasye gimnasyów, gremie gremiów, musee museów (por. musealny, gremialny), kolegie kolegów (kolegialny), licee liceów (licealny albo liceowy); bądź nijaka: gimnasya gimnasyi, musea musei, licea licei, kolegia kolegiij i t. d. Swoją drogą należy niejednego z tych przybyszów wygładzić ze szczerem; czesne lepsze niż honorarium, a pracownia niż laboratorium; o kapitole czy kapitule w piśmie już zapomnieliśmy dla rozdziału (dawnego „położenia“ nie znamy dziś wcale; starzy Prusowie je od nas wzięli, palazinsna). Wcale nie należy odmieniać skróconych auto (zamiast samochodu), zoo, foto i t. p., albo bordo, palto, panama, korso, chociaż cy-

tnościł). Zupełnie zaś niezrozumiałe, dlaczego nie odmieniamy, jak Czesi albo Niemcy czy Francuzi: archiw, archiwu, liczba mnoga archiwy, archiwów i t. d.

garo odmieniamy jak wszelkie nijakie. Żeńskie: idea (myśl) i statua (posąg) ich miłośnikom bywają niedogodne; ujdzie im przymiotnik ideowy i statuowy, ale odmiana? w liczbie pojedynczej, a taksamo i w mnogiej, tej lub tych idei, statui, ideę, statuę i t. d., w liczbie mnogiej idee, statue i t. d.

Jeszcze słówko o odmianie imion obcych. Odmieniamy je, gdzie żadnych niema trudności, a więc Schillera, Voltaira, Addisona (wymawiamy z, nie s, ale piszemy poprawnie) i t. d., natomiast u zakończonych na samogłoski i niektórych innych unikajmy ile możliwości odmiany, a więc Wiktora Hugo, Augusta Comte, w Augustie Comte (męczą u nas pozytywistę w niesłychany sposób; przecież zdobywano się na pisownię: w Augustie Comte'cie, niby jak w siedemnastym wieku pisali niektórzy: w punkt'cie!); u Goethe lub w Goethe i t. d.; przyimek uchyla wszelką potrzebę odmiany, u Percy i t. d. Monitor Bohomalców nie odmieniał nazw własnych nawet tam, gdzie to najzupełniej uchodzi. Również nie sadźmy się na odmianę nazw miejscowych, więc do München, do Reims, w Marseille, w Lyon i t. p.; tylko zupełnie spolszczonym należy się odmiana (Wiedeń, Paryż, Londyn i t. d.), jak i wszelkim słowiańskim, więc nie: w Valevo, lecz: w Valewie, w Białogrodzie (nie Belgradzie!!), jak i w Nowogrodzie i Carogrodzie, ale bez Piotrogradu najzupełniej się obejdziemy, zostaniemy przy dziejowym Petersburgu, co nam się dał dosyć we znaki.

O odmianie łacińskiej, nie polskiej, koszta, expensa i t. d. mówiliśmy wyżej; o biały, biali zob. niżej.

VIII.

Na granicy odmiany rzeczownikowej i przymiotnikowej stoją rozmaite nazwy, n. p. miejscowe i osobowe

na *-in (yn)* lub *-ów*. Co do męskich niemaż żadnej wątpliwości, odmieniają się rzeczownikowo, Modlin, Brzozów i t. d., z Modlina, Brzozowa i t. d.; są natomiast u żeńskich. Częstochowę, Dąbrowę i pod. odmieniamy jak matka, z Częstochowy, w Dąbrowie i t. d., ale inne, acz takie same z istoty, odmieniamy przymiotnikowo, Bobowa, z Bobowej (dawniej tylko z Bobowy) i t. d. Weżmyż rzeczowniki jak królewna, królowa (zamiast królewa, porównaj królewic), hrabina, szewcowa; dawniej odmieniały się wszystkie rzeczownikowo: królewny, hrabiny; królewne, hrabinę, królowę, synowę, bratową, szewcowę; w wołacz: królewno, hrabino, królowo, bratowo. Ale dziś coraz rzadziej usłyszysz bratowy, a już nigdy więcej bratowie (jak hrabinie, królewnie, pannie, sędziance i t. d.); mówią i piszą wyłącznie bratowej, a stąd dochodzą w mowie, nie na piśmie jeszcze, i do hrabinej, tak, że dziś, jako prawidłowa, uchodzić winna tylko u hrabiny i panny i t. p. odmiana rzeczownikowa, gdy u szewcowej i pod. już tylko wołacz szewcowo i biernik szewcowę z tej odmiany pozostały, inne przypadki (i cała liczba mnoga) do przymiotnikowej przeszły: bratowej, bratowe, bratowych, jak dobrej, dobre, dobrych.

Przymiotnikami były najliczniejsze dostojeństw czy urzędów nazwy, woźny, chorąży, podczaszy, podstoli, leśniczy, podkomorzy i t. d. i odmieniały się jak przymiotniki, woźnego i t. d., a pociągnęły za sobą i sędziego i hrabiego i nazwy obce, jak Goethe albo Linde, co jednak e zachowały z Lindem i w Lindem, Goethem (przenigdy Lindym, Goethym). W liczbie mnogiej pozostają również przy odmianie przymiotnikowej: woźni, woźnych; podstoli (bez różnicy od liczby pojedynczej), podstolich; łowczy, łowczych; budowniczy, budowniczych i t. d., lecz do innych wkradła się postać imion męskich na *-owie*, pod-

skarbiowie, podkomorzowie i t. p., a sędziowie i hrabiowie całkiem do rzeczowników przeszli, sędziów, hrabiów, margrabiom (obok dawnego grof, grofowie i t. d.). Tylko nazwy „martwe“, n. p. złoty, luty, pozostały przy odmianie przymiotnikowej zupełnie: złote, złotych, lute, lutych i t. d.

Odmiany zaimkowej nie odróżniamy od przymiotnikowej, oprócz biernika żeńskiego liczby pojedynczej, tę, onę, owę, tamtę, innę, naszą, waszą, swoją, moję, twoję (ale ściągnięte swą, twą, mą; dobrą i t. d. jest również ściągnięte), wszystkę, jedną; mowa potoczna tylko tę jako tako zachowała, ale u wszelkich innych postać przymiotnikową przewiodła, nawet moją, tamtą, oną, jedną i t. d. dziś już ogólnie, acz całkiem mylnie piszą. Skoro tę nie poświęciliśmy, więc i tamtych (moję i t. d.) bronić wypada w piśmie, chyba, że miłej zgodzie poświęcimy znowu prawidłowość.

Tej miłej zgodzie poświęcamy nietylko prawidłowość, ale wszelką logikę językową i wygodę piszących — boć wielką sprawia trudność piszącym rozróżnianie rodzajowe we dwu przypadkach liczby pojedynczej, a w jednym mnogiej. Przepisała nam bowiem mylna drobiazgowość gramatykarzy, abyśmy rozróżniali ściśle między: dobrym mężem a dobrem dzieckiem (taksamo: w dobrym mężu, ale w dobrem dziecku), a w liczbie mnogiej: dobrymi mężami, ale dobrymi żonami, dobrymi dziećmi. Że to przepis całkiem dowolny i mylny, dowodzą tego dalsze przypadki, nie znające wcale takiej różnicy, więc dobrych, dobrym w liczbie mnogiej dla wszystkich, a dobrego, dobremu w pojedynczej dla męskich i nijakich. Wymyślili ten arcy niemądry przepis Szylarski i Kopczyński, a szkoła go nam narzuciła i dzięki jej możemy się poszczycić, że wyróżnia się tym wymysłem nasza pisownia od każdej innej. Od szkoły nawykliśmy do niej

tak, że i w wymowie jej przestrzegamy, że n. p. potem, wtem, natem, przedewszystkiem, czem i t. d. wydają się nam jedynie poprawne i możliwe. Że to bajka wierutna; że się jeszcze w ośmnastym wieku nikomu o niej ani śniło (w pismach Krasickiego dopiero Dmochowski tę pisownię przewiodł), nie mówiąc o czasach dawniejszych; że samo *im*, *nim* (im rychlej, nim albo zanim przyjdiesz) dowodzi, że i *tym* pisać należy (tym lepiej), przynigdy *tem* (por. nimi — tymi), a więc i czym i potym i t. d. — na te i inne dowody głuchy ten, co włożywszy się raz w pisownię mylną, od niej ustąpić nie chce, a ponieważ na upór, jak na błoto i t. d. wedle przypowieści staroszlacheckiej niemaż rady, więc i my przeciw lepszemu rozumieniu, nałogowi ulegamy i piszemy, jak każą, przeświadczeni, że mylnie każą, dla miłej zgody jedynie. Powtarzamy to z takim naciskiem, ponieważ znaleźli się jeszcze świeżo językoznawcy, co podają to w wątpliwość. Czytamy n. p. w „Szkołe polskiej“ 1916, nr. 5 („O ogólnopolską pisownię“) str. 24.: „Dowolność zaś z jego strony (ks. Kopczyńskiego) wydaje się tem bardziej nieprawdopodobna, że nawet i dziś dadzą się wskazać pewne momenty w języku literackim polskim, które dowodzą, że mogło zająć rozszczepienie jednolitej dawnej końcówki VI. przypadku na dwie, różniące się właśnie rodzajem, t. j. na ym, ymi przy męskim, zaś em, emi przy nijakim i żeńskim“. Jest to tylko bałamucenie ludzi; nigdy podobnego rozszczepienia przed Kopczyńskim nie było i niema go też nigdzie między ludem, co używa obie postaci, lecz nigdy ich wedle rodzajów nie wyróżnia.

Miano niegdyś dwie odmienne postaci dla dwu przypadków: dobrym mężem, dzieckiem i w dobrym mężu, dziecku; od XV. wieku zaczęto obie postaci przymiotnikowe mieszać i przeniesiono w końcu to zamieszanie i na

liczbę mnogą do przypadków zaczynających się od *m*, a więc mówiono: dobrym i dobrem mężom, dzieciom; dobrymi i dobremi mężami, dziećmi. Na te dwie postaci natknęli się gramatykarze i zamiast wyboru między nimi, rozdzielili je całkiem dowolnie między dwa rodzaje. Oto i całe ich dzieje, a dowolność tłumaczy się zapatrywaniem ówczesnych gramatykarzy na język, narzucających mu rozmaite zamiary i cele, o których się językowi ani śniło. W podobny sposób rozwikłał spółcześnie rosyjski gramatykarz (Łomonosow) podwójną postać przymiotnikową, dzieląc ją również, wbrew językowi samemu, między rodzaje.

Cóż pozostaje wobec tej jawnej dowolności i trudności, jaką za sobą powlekło правило gramatykarzy? Powinniśmy oczywiście to zrobić, co oni zaniedbali, t. j. ujednolicić pisownię, wybrać dla niej jedną postać, przykazać pisać albo: dobrym mężem, dzieckiem i w dobrym mężu, dziecku; dobrymi mężami, dziećmi, żonami; albo też: dobrem mężem, dzieckiem i w dobrem mężu, dziecku, dobremi mężami, dziećmi, żonami. To znaczy: wybrać w każdy sposób jedną postać dla obu rodzajów, taką czy owakę. Ktoby chciał obie pisownie jakoś pogodzić, mógłby na liczbę mnogą wedle: dobrych, dobrym, i: dobrymi wstawiać, a na pojedynczą wedle: dobrego, i: dobrem, albo i odwrotnie. Wszystko ujdzie, oprócz rozróżniania rodzajów, co się nigdy i nigdzie w takich przypadkach nie dzieje; na całym świecie aryjskich języków polski jedyny takie susy wyprawia! Ale ponieważ w prawopisie ani rozsądek, ani dzieje nie rozstrzygają, tylko przyzwyczajenie; ponieważ dalej wolimy nedorzeczną zgodę, niż mądrą niezgodę, dlatego tylko, wbrew wszelkiej słuszności, uznalibyśmy ukaz Kopczyńskiego, uświęcony wiekowem podaniem — jedyną jego podstawą prawną, z żalem największym.

IX.

I w odmianie czasownikowej nie obeszło się bez sporów i wątpliwości. Wyżej już wyświeciliśmy pisownię: biedz, módz, strzedz, jako niczem nieusprawiedliwiony zamach na dzieje i wymowę zarazem, tem niemożliwszy, skoro pozbyliśmy się dawno równie pięknej i równie uzasadnionej pisowni: bydź, kładź, iżdź. Zapisaliśmy dalej odstępstwo od prawideł ogólnych w pisowni: wysłuchiwać, wymachiwać i pod., zamiast: wysłuchywać i t. d. Pozostaje niewiele. Odmieniamy mylnie, z ruska, nie po polsku: depczę, depczesz; kłopcę, druzgocę i t. d. zamiast jedynie poprawnych: depcę, depcesz i t. d.; innych postaci dawny język nigdy nie znał i mylnie przytaczają mniemane dawne przykłady, gdzie cz poprostu zamiast c myłka pisowni, czy druku, co cz i c nie rozróżniały; i dziś jeszcze szczebioce mówią, nie szczebiocze, trzepoce, klekoce, nie klekocze. Jeżeli w słowniku prawopisowym o postaciach depczę i t. d. napisano: „są to formy poprawne!“, a gramatyk na ich usprawiedliwienie całkiem im obce przytacza: chłoszczę, skaczę, pieczesz, tłoczę, co z nimi nic a nic nie mają wspólnego, zamiast jak najsilniej się im sprzeciwiać, to uznajemy w tem tylko słabość, pobłażanie narowowi czy nałogowi, zamiast jego zwalczania. Pisownia (o wymowę ani dbamy, ani pytamy): depczę, depczesz, bełkocze, szamocze, kłopcze, klekocze, szczebiocze i t. d., jest zupełnie mylna i należy się jej tylko wyświecenie; toć dobre dla Rusi, nie dla nas, bo Rusin *t* w *cz* odmienia, my w *c*, on: kołocz, my: kłóć, on: topcz, my: depcę. A kiedyśmy raz już przy *cz* — *c*, to nadmieńmyż, że i ruszczenie nazwisk polskich, n. p. robienie z wielkopolanina Klonowica jakiegoś niesłychanego przenigdy Rusina Klonowicza, jest tylko psowaniem pisowni jedynie poprawnej. Jeżeli Staszyc, księ-

życa, nie przerabiamy na Staszycza, ani księżycza, ani starościca, dziedzica, sędzica i t. d. na starościcza, dziedzicza, sędzicza i t. d., toć i Klonowica, Szymonowica, Zimorowica winniśmy przy ich polskiej zostawiać pisowni, a nie narzucać im ruskiej; dość złego, żeśmy sobie ruskich królewiczów i cesarzewiczów narzucić pozwolili, ale i im należy się tylko: fora z dwora. Całkiem co innego nazwy rodzin niegdyś istotnie ruskich, Woroniczów, Chodkiewiczów, Zyblikiewiczów, Tyszkiewiczów, Mamoniczów (wileńskich), Kuncewiczów, Mickiewiczów i t. d., te winny pozostać przy ruskiem *-icz*, ale pisownię Klonowicz, Szymonowicz i Zimorowicz jako ruską, nie polską, z podręczników szkolnych raz na zawsze wyrzucić należy. Również błędny zjednoczony zamiast zjednoczonego od jednocić, a to od jednoty; żadnego jednoka przenigdyż nie było.

Wracamy do czasownika. Postaci, jak cierpiemy, widzimy, siedzimy i t. p., są wcale częste w wymowie, niemożliwe za to w piśmie. Beźładowi umysłowemu, zaniedbaniu straszному wszelkiej nauki i myśli za czasów saskich zawdzięczamy i te śliczności; jeszcze Krasicki, tych czasów wychowanek, pisał stale: widzimy, cierpiemy i t. d., co mu Dmochowski poprawiał. Pisownia nasza, taksamo jak rosyjska, ma pewny sposób na usuwanie wszelkich wątpliwości, każe radzić się postaci innych, jeżeliś co do jakiej nie pewien; wedle: cierpi, siedzi, widzi, spi, leży, dzierży, grozi, straszy i t. d., pisz: cierpimy, siedzimy, widzimy, spimy, leżymy (ale: połężemy wedle połęże), łazimy (ale: leziemy, wedle łązi i lezie) i t. d. Taksamo w odmianie rzeczownikowej radzimy się dalszych przypadków, jeżeliśmy co do pierwszego albo innego jakiego niepewni, róg wedle rogu, trwóg, warg (składacz XV. wieku *wark* napisał i taka

słuchowa pisownia w całym XV. wieku była wcale częsta, dopiero drukarze ją usunęli); więc nie wolno pisać: kłótką (Krasicki stałe tak pisywał), bo kłoda kłódki dowodzi; różdżka z powodu różgi, nie róższka. Takie to uwzględnianie innych postaci rozstrzyga ostatecznie, i Słownik prawopisowy byłby się ustrzegł błędów, gdyby wedle tej zasady postępował. Czytamy tam n. p. pod śmiać się „śmiali się, będziemy się śmiali“ (mniej powszechne: śmieliśmy się, śmieliście się, śmieli się i t. d.), podobnie pod siać, „sieli obok siali“; pod rozlać „rozlał, rozlali (rzadko: rozleli)“. Toć to sprośne błędy; nie wolnoż pisać: śmieli się, bo śmieli jest liczba mnoga od śmiały i taksamo nie wolno pisać czy mówić: rozleli, sieli. Dlaczego? przyczynę wykażą inne postaci: śmieli, śmiele, śmielszy, wymagają koniecznie i: oni nie śmieli; natomiast śmiać się, lać, siać, wiać, chwiać, dowodzą svojem *ia* przed *ć*, że ono i przed *l* ostać się musi, więc: śmiali się, chwiali, lali, siali, wiali; że w rozkazniku mamy *ie*, lej, chwiej, siej, śmiej się, wiej, toć należy do: leję, chwieję, śmieję się, wieję, sieję, t. j. do czasu terażniejszego; z nim zaś imiesłów na *ł* (łał, lali) nic nie ma wspólnego, natomiast łączy się z bezokolicznikiem (łać). Nie można przeciw tej zasadzie wystawić czasownika: podziać się, podział się, gdzieście się podzieli, bo obok *dziać* się (w dawnej polszczyźnie *dziejać* się) jest i *dzieć* się, a do tego słusznie podzieli się należy.

Błędnie piszą w bezokoliczniku: *dzierżyć*, i *dzierzył* nawet, zamiast jedynie poprawnego: *dzierżeć*, *odzierżał*; dziś ustępuje prastare słowo, por. *dzierżawa*, *nowszemu*: *trzymać*; *nienawidzić* (i *nienawidził*) zamiast jedynie poprawnego *nienawidzieć*, *nienawidział*; odwrotnie zmyślono od nie tak dawna jakieś: *musieć*, *myśleć*, *lubieć*; *musiał*, *myślał*, *lubił* zamiast jedynie poprawnych: *musić* (od

musu), myślić (od myśli, jak kupić od kupia i t. d.), lubić (od luby, więc lubił, lubiony, nie lubieliśmy, nielubiani); to poprawne i zachowały złożenia: zmyślić, przymusić, polubić. I z tej chropowatości możnaby język ogładzić a nic prócz błędnej nawyczki nie stoi temu na przeszkodzie.

Spierają się dalej, jak pisać: upadłszy, czy upadszy? Spór to właściwie bezcelowy, chociaż obu postaci używano dowolnie; postać: upadłszy obok upadszy jest wymysłem pisowni, co istniał w języku, chociaż zawsze piśmie, nie w mowie żywej już od początku XVI. wieku przez cały czas aż do XIX., póki gramatyka nie odrzuciła dobrej postaci: upadszy, a przepisała mylną: upadłszy. Jak dziś pisać należy, o tem nie można wątpić wedle zasady ogólnej, że nie należy nigdy więcej znaków kłaść, gdzie mniejsza ich ilość starczy, a więc upadszy bierze górę, nie dlatego, że prawidłowe i starsze, lecz dlatego, że krótsze. W dzieje tych postaci, jakiem się nieporozumieniem *upadłszy* zamiast *upadszy*, do pisma wkradło, nie wchodzimy; wystarczy napomknąć, że jak wymawiano: ukradł, a pisano wedle ukradła i t. d. zawsze: ukradł, taksamo mniemano, należy mówić i pisać: ukradłszy, chociaż słyszano tylko ukradszy; wniosek był mylny, ponieważ ukradł a ukradszy nic nie mają z sobą do czynienia. Należy więc pisać: upadszy.

Natomiast istotny błąd zaszedł w naszej pisowni, jak zgnieceni, zwiedzeni i t. p., gdzie liczba mnoga od pojedynczej odbiegła; mówimy przecież: zgnieciony, zwiedziony, niesiony, wieziony i t. d., więc niesieni (zniesieni), wiezieni, zwiedzieni, zgniecieni — tu jednak zaniedbujemy „miękczenia“ i wedle całkiem odmiennych wzorów (zwodzony, zwodzeni i t. d.) mówimy i co gorsza piszemy zgniecenie, zwiedzenie i t. d. Przecież to nie dla nadmiaru miękczeń, mówimyż zniesienie, zwiezienie, więzienie i t. d.,

więc dlaczegoż nie pisać zwiedzenie i zgniecienie? Noszeni nie oddziałało na niesieni, bo sz i ś różnią się znacznie, niż *dz* i *dż* w zwodzeni i zwiedzieni. Błąd szerzy się, dziś można już usłyszeć zgniecony zamiast zgnieciony; o wiele dawniej powstał zjedzony zamiast zjedziony, albo posiedzenie zamiast posiedzenia.

Zaprowadzono odróżnianie przymiotnika i czasownika, chociaż to jedna postać, n. p. osierociali synowie, ale synowie osierocieli, ci zniewieściali mężowie, ale żołnierze zniewieścili w tym kraju, oni osiwiali, ale osiwiali starcy i t. d. Cóż o tem sądzić? Przymiotnikom osiwiali i t. p. przyświeca widocznie wzór biali, jak dziś zamiast bieli mawiamy. Kilka słów najpierw o tem zjawisku, co dziś jeszcze liczne ślady w języku pozostawiło, chociaż warunki jego zjawienia oddawna wszelkie znaczenie utraciły; wywód bowiem logiczny, jakoby po ustawianiu przyczyny ustawał i skutek (*cessante causa cessat effectus*) nie ma zastosowania w „gramatyce“, t. j. w języku, gdzie przeciwnie po ustawianiu przyczyny pozostaje skutek, skoroż rozstrzyga dziedziczność postaci. Otóż język odmieniał wedle „twardych“ czy „miękkich“ brzmień otaczających *ia*, *io* i *ie* (przyczem z dawnej „miękości“ już i śladu nieraz niemaż), biały, bielić, biel-szy, na bielenie; wiatr, na wietrze, wietrzny; ściana, ścienie, ścienny; siostra, siostrze, siostrzeniec; miotła, mietle; biore, bierzesz; lażę, leziesz; gwiazda, gwiezdzie, gwiezdziasty; miara, mierze, mierny; wiara, wiarka, wierze, wierny i t. d. Od dawnej prawidłowości uchyliłiśmy się znacznie; mówimy już na ścianie (zawsze tak), gwiazdzie (gwiazdziasty), w miotle, siostrze, siostrzeniec (zawsze tak), leżę (zawsze tak) i t. d. To znowu wedle biore, bierzesz, mawiają nawet najmylniej w świecie: wlokę, wleciesz, zamiast jedynie poprawnego: wlekę, wleciesz,

gdyż przed *k*, *g*, *ch*, odmiana ta niema miejsca, *ie* pozostaje stale, piekę: strzegę, nie piokę, więc i ćwiek, nie ćwiok!! Zresztą przestrzega czasownik dosyć stale zasady pierwotnej; wyjątkowo: czesać, wedle: czeszę, mawiamy, zamiast: czosać (por. niewyczosany; czosnek) ale u przymiotników i rzeczowników stan ten już się bardzo zachwiał. Więc mówimy biali, w nabiale i t. d.; śmiali ludzie; dział, w dziale, w udziale i rozdziale (choć poprawne: w rozdziele, zawsze jeszcze piszą), a działo i dzieło rozdzieliliśmy, całkiem dowolnie, jedno słowo na dwa znaczenia; podobnie: na czole (guz), i: na czele wojsk; miara, wiara prawidło zachowały, ale ściana, zamiana i t. p. je zarzuciły, jak i siostra, ciota i t. d.

Na tem więc polega owo dzielenie jednego i tego samego wyrazu na dwie postaci: zgrzybiali starcy, ci ludzie wcześniej zgrzybieli, t. z. wyraz użyty czasownikowo zachował postać prawidłową; gdy jest przymiotnikiem, utracił ją wedle wzoru przymiotnikowego: biali. Jest to dziwactwo językowe, ale skoroż istnieje, możemy się wedle niego stosować, chociaż miejsce mu na śmietniku.

O pisowni innych postaci czasownikowych nie myślimy rozprawiać; bezokolicznika: wziąć (i w złożeniach, przedsięwziąć i i.) nie znosimy w piśmie, zawsze tylko: wziąć (dosyć mamy na błędnem iść zamiast ić); jak należy poprawiać błędne: cierpiemy i t. p., o tem mówiliśmy wyżej.

X.

Ruchome czyli wsuwne *e* nasuwało piszącym w odmianie rzeczownikowej wątpliwości (bitw czy bitew i t. p., patrz wyżej); jeszcze liczniejsze napotykamy u przymiotników, mianowicie *z* i *w*, rzadziej (albo raczej wcale już

nie) u innych, kończących się spółgłoskowo, jak *bez*, *nad*, *przed*, *przez* i t. d. Kiedy mamy pisać *ze*, *we*, i t. d., a kiedy *z*, *w*? Że zbieg spółgłosek tu nie rozstrzyga, jest widoczne; przecież piszemy: zdrzemię się, ale przenigdy: zdrzeć, chociaż spółgłoski te same, lecz zawsze tylko: zedrzeć; w dzwonie, w strumieniu, ale: wezwać, we zdrowiu. Przyczyna tego pojawiania się lub znikania ruchomego *e* zupełnie inna; ono zawisło od tego tylko, czy w następnej zgłosce było podobne ruchome *e*, n. p. mówimy: we Lwowie, ponieważ między *L* a *w* (por. *lew*) było niegdyś ruchome *e*, a ze dwu po sobie następujących ruchomych *e* zawsze pierwsze pozostawało, drugie zanikało. Piszącym dziś nie sposób już narzucać pierwotnej prawidłowości; bo któryż z nich wie cośkolwiek o przyczynach znikania czy zjawiania się takiego *e*; mimo to można dać im nieomylną niemal wskazówkę. W razach wątpliwych przy jednym przyimku wystarcza bowiem uwzględnić drugi; jeden należy drugim „poprawiać”. N. p. nie napiszemy nigdy: we wodzie, we Warszawie, boć tylko z wody, z Warszawy się pisze i mówi; nie piszmy: we Włoszech, boć mówimy i piszemy: z Włoch; nie: wewlekać, bo jest: zwlekać; zebrać, ale z bratem (w bracie); we sto ludzi, ze stem; we wtorek, ze wtorku; w środę, z środy; w sobotę, z soboty; we dnie, ze dna; w stolicy, z stolicy; we dwu, ze dwu; w trzech, z trzech; w który, z którego (powinno brzmieć we który, ze którego, ale nawykliśmy od dawna do mylnej postaci); we młynie, ze młyna; we zbiorach, ze zbiorów; zespolić, współ; w znaku, z znaku. Że wyznaczamy dla wygody: zeszywać, ze znakiem, zeszedł; zsunął się, wewlec, we dworze, we wodzie i t. d., zamiast prawidłowych: zszywać, z znakiem, zszedł, zsunął, wwlec, w dworze (z dworu, nie ze dworu), nie dowodzi

niczego dla pisma. Na tem to zjawisku polega owa stała wymiana, n. p. bezecny, ale bezczęścić kogo; wpychać, ale wepchnąć; wezbrać, ale wzbierze, westchnął (zamiast wezdchnął), ale wzdychać i t. d.

Dziś ulega prawidło licznym wyjątkom, wspomnieliśmy właśnie o takich, jak: z którym, w którym, zamiast ze-, we- (boć między *k* a *t* było niegdyś brzmienie samogłoskowe, a na takież kończyły się i *w*, z samo, ze dwu zaś po sobie następujących brzmień głuchych: zę którego, pierwsze tężeje ku pełności: ze którego, drugie całkiem nikiem); z dnia (zamiast ze dnia, por. dzień); dziś mówią już z Lwowa, w Lwowie. Po naszych gramatykach i prawopisach łączą to zjawianie się *e* z „utrudnieniem wymowy, ze zbiegiem kilku spółgłosek“, co jest wierutną bajką; niemiłe zbiegi ułatwia się w wymowie wyrzutnią: nie mówimy przecież: rozestęp się, lecz: rostęp się, piszemy tak nawet: rosół (z roz-sół, rozsolony); przyczyna istotna, zupełnie inna, jak właśnie widzieliśmy. U innych przyimków, z taką samą końcową głuchą, przewiódł język jednolitą ich postać, więc nad lub pod lwem; bez skazy, przez wtorek lub czwartek; obok: we drzwiach, lub: ze drzwi, mówimy już: przed drzwiami, nad drzwiami; zpod Lwowa lub nade Lwowem, należą już raczej do wyjątków.

Tu nasuwa się ciekawa uwaga prawidłowa. Owo natężenie pierwszej głuchej (ze mną) następuje tylko w obrębie jednego słowa, nie we dwu oddzielnych; więc stanowią oba słowa całość i należy je pisać razem. Piszemy też: przedewszystkiem, nadewszystko, ale ode mnie, nade mną, pode mną, chociaż to *e* wisi zupełnie w powietrzu, przecież ono takie samo, jak w: odebrać, nadebrać, podebrać; kłóci się wręcz pisownia rozdzielna z nierozdzielnością zwrotu. Poza *z* i *w* już nieznaczące dawnego stanu ślady;

bezemnie, przezemnie zachowaliśmy jeszcze, ale mówimy już tylko: bez wszystkiego, przez wszystko i t. d.

Aby z chwiejnością w używaniu *z*, *ze* i *w*, *we* pokończyć, wystarczy prawidło, że uwzględnia się oba przyimki czy przedrostki, zanim się włoży do pisowni poprawnej. Ponieważ mówimy wszywać, winno się pisać zszywać, przenigdy zeszywać, a więc i zeszyt zamiast zszytu winienby paść ofiarą w pisowni (co innego w wymowie). Uzupełnić je można drugim, że używamy *ze*, *we*, gdziekolwiek czujemy złożenie, a więc *we* zbiorach, nie w zbiorach, bo *z*-biór złożone (niegdyś *zē*-biór); w znawstwie, w znamieniu, w znaki, bo *zn*- pierwotne, złożenia niema, ale *we* zniszczeniu, *we* znęcaniu i t. d.; *we* zrazie, *we* zrębie, por. *wezwać* (*zowę*) i t. p.; *zwlec* (nie *zewlec*), *z* włosienia, *z* włości; *z* Włoch; ale *ze* włożenia, *ze* wnętrza, *ze* wpajania, *ze* wręczenia i t. d. Lecz rozśmiałem się, nie roześmiałem, pisać należy, por. rozśmieszyć kogo; *rozezbroić*, *rozezbrojenie* (nie *rozbroić*, *rozbrojenie*, gdzie całe *ze* połknęło, przecież od *zbrojenia*, nie od *brojenia* poszło), *rozebrzmieć*, nie *rozbrzmieć*; *wedle*: *rozetrę*, *rozepnę*, mówimy i *rozetrzeć* i *rozeprzeć*, co jest mylne, zamiast: *roztrzeć*, *rozprzeć* (por.: *roztań*, *rozparł*, i: *rozpiąć*, *rozciąć*, ale *rozepnę*, *rozetnę*).

Pisownia samego przedrostka i przyimka *z* nasuwa jeszcze jedną uwagę. Dziś służy on nam przy ruchu trojakim: przy połączeniu (*iść z kim*), przy zchodzeniu (*zszedł*, nie *zeszedł*, *z góry*), przy wychodzeniu (*idąc z lasu*, *z pola*); spadły się w nim dwa niegdyś zupełnie odrębne przyimki, *s* i (*iz*) *z*, które Czech wierny swojej pisowni „historycznej“, „etymologicznej“, t. j. uwzględniającej stan pierwotny, pochodzenie, nie wymowę, stale różnia; pisząc: *s nami*, *s wczera*, *se mnou*, ale: *z lesa*, *z rana*, *z pamięci* i t. d. U nas bez najmniejszej różnicy:

z nami, z wieczora, ze mną, z lasu, z rana, z pamięci. Oddzielnego tego z nigdy też inaczej nie piszemy: z tobą, z siostrą i t. d., bez względu na wymowę. Przeciwnie, skoroż to z jest przedrostkiem, najniepotrzebniej w świecie rozróżniamy dwie jego postaci; piszemy jedną przez s przed pewnemi spółgłoskami; drugą przez z przed niemi; więc: skraść, spaść, stopić, schodzić (ale zejść!), ściągnąć, szesać, ściąć, scedzić i t. d.; natomiast: zbić, zwalić, zdać, zgnieść, zlać, zmiąć, zniszczyć, zhańbić, żółknąć, zziębnać. Dotąd możnaby różnicę pisowni od biedy uzasadnić (przeciw najogólniejszej naszej pisowni zasadzie) wymową, ależ: zszyć, wymawiamy jak: zczesać; zsadzić jak scedzić; zsiaść jak ściąć, mimo to piszemy je również przez z. Jedyne z tej niejednostajności wyjście polega na tem, aby stosując się do ogólnej zasady pisać każde z, przedrostkowe jak przyimkowe, przez z, a więc: z tobą, zkąd, ztamtąd, zpaść, zkraść, zpiąć, ztarty (wedle zetrzeć, my dziś jedno starty, drugie zetrzeć, piszemy!), zejść i zchodzić (a więc i zchody, nie schody) i t. d. To samo dotyczy przedrostka *wz* lub *wz*, który również wszędzie przez z pisać należy, wzruszyć, wezbrać, wzrost, wzdąć, wzkrześć, wchodzić (wzejść), wskazać, wskazówka; co innego wskoczyć, gdzie zs w s przeszło (por. męski i t. p.), wspomnieć, wspomóc, wztręt, wztrząsnąć (ale wstać z z + s; stać się pisano jeszcze w XVI. wieku zstać się, ruskie sostojać, myśmy złączyli zupełnie złożone zstać, sstać, z niezłożonem stać). We wszcząć zamiast wcząć, wściec się zamiast wziec się, posunęliśmy pisownię jeszcze dalej. Rozróżnianie pisowni z- i s-, wz- i ws- niema najmniejszej zasady, skoro n. p. bez, roz, zakończone na to samo z, zawsze przez z piszemy: bezpieczny (a więc i zpaść), a już przed roz uginamy chyba kolana, tak starannie je

zachowujemy: rozstrzygać, rozstrój, rozkaz (a więc i zka-
zać, wskazać, przecież jedno tak dobre jak drugie). I u in-
nych przedrostków ani nam się śni o jakimś różniczko-
waniu; piszemy: odrącić, odpaść, odpisać (jedyna otchłań
i otwór ocalały pierwotną tego przedrostka postać, da-
wniej było i otemnie i t. d.); taksamo: przedpiekle, przed-
ślubny, przedtem, chociaż *-t* wymawiamy: nadtluc, nad-
stawić i t. d. Więc dlaczegóż dla jedynego z z ogólnej
zasady robić wyjątek?

XI.

Jeżeli się znalazł czytelnik, co aż dotąd cierpliwie
wywody moje śledził, toć teraz przynajmniej — jeśli nie
o wiele wcześniej — zawoła: cóż to za sposób obchodze-
nia się z językiem? jakżeż można narzucać ogółowi, t. j.
temu, kto język wytwarza i przechowuje, wbrew jego
poczuciu językowemu, czy nawycze jego (a ta w języku
o wszystkim stanowi) jakieś prawidła czy pęta? Jeżeli
wszyscy mówimy wyraźnie: częstować, szczeka; noce,
wsie, twarze, rozkosze, straże; jedną czy inną czy tamtą
osobę; gimnazyum — gimnazyów i t. d.; jeżeli wszyscy
piszemy i to nieraz od wieków: ogórek, ogół; upadłszy;
módz, biedz i t. d., toć nie przyznamy nikomu prawa
narzucać nam pisownię odmienną od tej, do którejśmy
nawykli i przyniewalać nas do jakiegoś obcego nam czesto-
wania i szczeki, do: nocy, wsi, twarzy, rozkoszy, straży i t. d.
Język przecież, to nie organizm, którego żadnej części
naruszać nie wolno; to nie budowla, jaką filolog wystawił
i w niej się dowolnie rozrządza; to wytwór stopniowy
różnych miejsc, czasów i wpływów, którego nie obowią-
zuja zasady czy prawidła — te przecież z języka naszego
wywodzimy, nie na odwrót; wystarcza też zgoda ogólna;

prawdłem jest, co ogół uświęcił i dla liberum veto filologicznego nie ma tu miejsca.

Wszystko szczerą prawdą i chętnie uznajemy prawomocność tego, do czego się ogół mówiących przyznaje; mimo to twierdzimy, że wolno język odmieniać czy „naprawiać“, t. j. zniewalać go do porzucania wadliwych postaci czy pisowni, nawet wbrew ogółowi mówiących, choćby ich cały lud nawet popierał. Oto n. p. postać *se*, zupełnie prawidłowo z *sobie* powstała, jak n. p. człek z człowiek; „niech *se* pójdzie“ słyszał i mówił już każdy z nas; za czasów saskich używano tego *se* ogólnie, i w wierszu i w prozie; jest to postać ludowa i mimo to miejsca dla niej w piśmie nie ma, nie zniesiemy jej, obstając przy prawidłowym: *sobie*. Czyż to nie poprawianie języka? A te tak wygodne postaci: *wsiów*, *mszów*, *oknów*, *myszów*, *komisyów* i t. d. (powszechne u ludu i w całym XVIII. wieku), czy nie wyświeciliśmy ich tak z języka, że tylko: *Jegomościów* ocalało (i to dzięki znaczeniu swemu). A od czegoż uczymy się prawopisu? czyż i on nie gwałci naszego poczucia (czytaj: widzimi się) językowego? Znałem filologa-modernistę, co wszelki prawopis znosił; wymagał, aby każdemu pozostawiono do woli jak pisać chce (nie pytałem, czy to się tylko do listów osobistych, czy też i do druku odnosi?).

Jeżeli wolno każdemu pisać, jak mu się zamarzy, nie wiem, dlaczego i mówić tak nie mógł? Litwin mówi: ja przyjechawszy, on odszedł; może się nawet na króla Leszczyńskiego powołać, co taksamo zdania łączyl — czyż i to płazem puścimy? i każde inne psowanie polszczyzny? (nie psucie, zepsucie, boć od psa, por. psotę, nazwane i tylko psowaniem, zepsowaniem być może; patrz, cośmy wyżej o knuć zamiast knować powiedzieli). Błędem należało się opierać przy pierwszym

ich zjawianiu, gdyż zakorzenionym trudniej, albo wcale nie podołamy, ależ u nas przez cały wiek XVIII. nikt się nie sprzeciwiał najazdom gwałtowników, ruskim i pruskim, cóż dopiero najazdom słownikowym i gramatycznym! Byliż ludzie dobrej woli, co poczynawszy od XV. wieku bronili języka, sarkali na jego zaśmiecanie cudzoziemszczyzną, na jego poniżanie wobec niej, na dziwactwa wkradające się do niego — taki n. p. Górnicki, co braki większego uzdolnienia troskliwością o język zastępował, ale ich usiłowania dorywcze (Ostroroga, Fredry i i. w XVII. wieku) nie zastąpiły celowej pracy; na brak jej i dziś jeszcze utyskiwać musimy. Może Niemcy czasami śmieszni z zabiegami o tworzenie wszelkich możliwych związków i towarzystw, ale i tu nie zawadziłoby nam wcale pójść za ich przykładem, otrząść się z niedowierzania pracom zbiorowym i założeniem Towarzystwa Przyjaciół Języka Polskiego, iść w zawody z ich „Sprachverein“ i jego pożyteczną zabiegliwością.

Język jest z przyrody swej zachowawczy (bo inaczej nie spełniałby zadania swego, służyć narzędziem porozumiewania się); mimo to mówiący lubią odmianę, chwytają się różnych dróg, sami porzucają jedne, obierają inne. Mieliśmy n. p.: szczekę, zachowaliśmy ją w: paszczece, ale z szczeki zrobiliśmy w wieku XVII. szczokę (mienając przeciw zasadzie ogólnej e w o, jak w wlokę, macocha, pożoga, ożóg i t. d., zamiast jedynie prawidłowych: wlekę, macecha, pożega, ożeg), lecz inni obrali: szczekę i tą drogą, a raczej manowcem, poszliśmy wszyscy. Bywa tak wszędzie, u nas jednak więcej, niż gdziekolwiek indziej. Jak o młodszości naszej cywilizacji, co słuszna, tak prawią i o młodszości naszego języka („język to w swej fazie twórczej, w okresie młodości, za nadto wolnościowy, zbyt bogaty“), co całkiem niesłuszne —

język n. p. rosyjski, nie starszy od naszego, mimo to w znacznej mierze (n. p. w odmianie słów rzeczowych) nie podziela wcale naszej „wolnościowości“, jest bardziej skrępowany w postaciach. Więc jeżeli mówiący sami kroczą różnymi torami, miałożby być zabronione ich wytykanie, przestrzeganie przed mylnymi, polecenie tych, co do celu prowadzą?

Czytamy n. p. „w podatnych dla się medyach“, albo „nie bierzemy na się i t. d.“; kto tak pisze, mógłby się nawet powołać na: przedsiębiorca, przedsiębiorstwo (por. odbiorca, ale spadkobierca uczy, jak słowa te właściwie brzmieć winny, przedsiębiorca, odbierca!), na przedsięwzięcie, na dawne przysłowki zaś (z zasię) i przecie (z przed się) — mimoto przywykliśmy dziś do tego, aby: mię, cię, się, nie kłaść po przyimkach, aby mówić: na ciebie, nie na cię i t. d., więc skarcimy owo wznawianie dawnego zapomnianego sposobu mówienia. Z się grzeszymy i w innych razach, szafując niem aż nazbyt przy czasownikach zwrotnych i rzeczownikach od nich urobionych, n. p.: przy rozporządzaniu się, zamiast samego: przy rozporządzaniu.

Te i podobne, to błędy osobnicze i te karamy. Co innego wolności językowe, n. p. wybór albo raczej wolność wyboru między rozmaitemi „końcówkami“, t. j. postaciami słownymi, znamieną dla języka polskiego bardziej, niż dla jakiegokolwiek innego. Pytamy n. p. jak pisać: pisarzów czy pisarzy? uczniów czy uczni? wymędrkowano nawet jakąś między nimi różnicę znaczenia; pisarzów polskich, ale pisarzy gminnych, uczniów w szkole i uczni rzemieślniczych, co wierutna bajka. W innych razach zachodzi istotnie różnica znaczenia, zbiega-jeńca rozróżniamy od zbiegu-przypadku, druta (pończochy) od drutu (telegrafowego — czy to nie krócej

i lepiej, niż: telegraficznego?). Jakież damy piszącemu wskazówki co do wyboru różnych postaci?

Obfituje w nie język polski nierównie więcej, niż n. p. rosyjski; najbardziej w liczbie pojedynczej rodzaju męskiego; u żeńskich i nijakich tego niema wcale, bo u nich nie było więcej odmian rozmaitych, stapianych w jedną. Więc drugiego przypadku postać jest z *-a* lub *-u*, druta i drutu, bez początku i końca i t. d.; правило znane: nazwy martwe obierają *-u*, żywe (zwierzęce, osobowe) *-a*, zbiegu i zbiega; syna, woła, ale: domu, miodu; lecz prawidłu najogólniejszemu bróddzą rozmaite „wyjątki”; nazwy rzeczowe na *-k* lub *-c* przybierają *-a*, wedle więk-szości rzeczowników na *-k* lub *-c*, jako nazw żywych, więc piórnik piórnika wedle grzesznika, stolca wedle szewca, odwrotnie: naród, narodu, wedle: ród, rodu; sejmu wedle: rozejmu, najmu i t. d.; ponieważ zakoń-czenie *-a* czasowo starsze, więc zatrzymały je nazwy miesięcy, miar, gier i monet. Zresztą nawet w nazwach geograficznych wahamy się między liczniejszemi, dawniej-szemi na *-a*, a rzadszemi i nowszemi na *-u*, Rzym we-dle wszystkich innych na *-m* (dom, tram, kram, Krym, prom, srom, rym, rum, dym) *-u* otrzymał; Dunaj zaś od wszelkich innych na *-aj* (kraj, rodzaj, zwyczaj, liszaj i i.) *-u* przejął; nie należy jednak zapominać, że Śląsk, Gdańsk, Lipsk, Płock i inne na *-sk*, *-ck* bywały niegdyś nijakimi, Śląsko, Płocko, Gdańsko i t. d., i jako nijakie *-a* obierały (Rypino, nie Rypin, niegdyś i tak bardzo liczne).

I postać trzeciego przypadku dwojaka, na *-u* i na *-owi*. *Owi* należało wszystkim nazwom-imionom (Rosya-nie *-owi* dziś wcale nie znają, ale po ich kronikach nazwy osobowe zawsze *-owi* przybierały); za osobowemi poszły i urzędowe: królowi, hetmanowi i t. d., chociaż niejedna

z nich nazwa ocalała dawniejsze *-u*: panu Bogu, księdzu, bratu, mężu (obok mężowi, co pospolitsze), chłopu i chłopcu, ojcu i t. d.; *-u* widocznie ustępuje przed dłuższą, więc wyrazistszą postacią; jeżeli natomiast do: Lwów, Kraków i t. p. zawsze urabiamy: Lwowu, Krakowu i t. d., to przyczyna widoczna: unikamy przykrego (*-owowi*) następstwa; co dziwniejsze, język nie korzysta z *-owi* dla odróżniania 3. od 2. przypadku: snu, stołu, brogu i t. d. są oboma.

Czwarty przypadek u wszystkich Słowian bądź pierwszemu bądź drugiemu równy, pierwszemu u rzeczowych, drugiemu u żywych (jedyne u nas wyjątki zastarzałe: iść za mąż, na koń siadać, na św. Jan) i to samo przeniesiono do liczby mnogiej (tu Rosyanin nas prześcignął wyjątkowo, my kupujemy ryby, on ryb i t. p.).

I wołacz podwójny; wołacze na *-u* od „miękkich“ (kraju, rodzaju, królu, gościu, mężu, wężu, nauczycielu i t. d.) są odwieczne; używamy ich również przy gardłowych, aby unikać miękczenia: duchu, grzechu, Wojciechu, ziomku, wrogu i t. d. (tylko Boże, człowiecze, księżu i „żywe“ na *-e*, chłopcze, ojcze i t. p. ocalały); zresztą *-ie*, przed którym wymiana dawna *io-ie* już ustała, Piotrze (Pietrze u ludu i w żartobliwym: nie pieprz Pietrze i t. d.), miodzie i t. d. Siódmy przypadek podobne przybiera postaci, utracił już jednak dawne: w Bodze (por. w nodze), człowiecie (por. w ręce), dusze (por. w musze), co jednak u przymiotników, używanych przysłówkowo ocalało: wielce, na prędcie (por. źle, wcale, omale, nie male, co w omal, niemal skróciliśmy), wysoce, wkrótce. Dziś używamy *-u* wyłącznie po gardłowych i po miękkich, jedynie niemal: w panu (Bogu) przypomina, że niegdyś i po innych spółgłoskach to *-u* się zjawiało.

Pierwszy przypadek liczby mnogiej męskiej dosiłąt

szczytu, gdyż nie mniej, niż sześć postaci przybierać może: osobowe -i: Polacy (chłopi, żydzi, Litwini, Rusini, Niemcy, Włosi, hetmani, cygani — nie cyganie, przecież drugi przypadek cyganów, nie cygan, Hiszpani — taksamo, młodziani — taksamo); osobowe -owie: panowie (królowie, wszelkie nazwy urzędowe i osobowe nawet od żeńskich i nijakich: sędziowie, Kmitowie, Tartowie i t. d.); osobowe -ie z -ije: ludzie, goście, kmiecie, a wedle nich: męże, oracze, pisarze, lekarze, stróże, króle, przyjaciele i t. d.; osobowe -ie z pierwotnego -e, Polanie, Rzymianie; tu należy i dnie, z pierwotnego dne albo dnię, tygodnie (zamiast tegodnie, a raczej tydzie, co u ludu istnieje), postać: *dni*, jest błędna, należała do 2. i 4. przypadku, nie do pierwszego. Rzeczowe -y albo po miękkich -ie: stoły, psy, wilki, początki, środki, dachy, stogi, brzegi, i t. d.; konie, niedźwiedzie, ołtarze, pieniądze, miesiące, końce, strumienie, cienie (ta cień, w liczbie mnogiej cieni, dziś już tylko narzeczowe); nakoniec rzeczowe twarde -e w romanse i t. d., sekwense już w r. 1658. — przyczyna tego -e niejasna. Postaci rzeczowej używa się i dla osób, czy to z odcieniem lekceważenia co bardzo znamienne dla nas samych: żydy, chłopcy, Polaki, Rusy, katy, wrogi, Mochy; czy od imion ludowych dla oznaczenia ziem: Węgry obok Węgrzy, Włochy obok Włosi, Czechy — Czesi, Prusy (obok dawnych: Prusowie, dziś Prusacy), Niemce — Niemcy; dziś jak najmylniej „Niemcy“ i dla ziemicy występuje zamiast jedynie poprawnego: Niemce.

Postać drugiego przypadku trojaka: bez wszelkiej końcówki, do tych czas (pisane od dawien dawna razem), do Węgier, do Czech, do Włoch, do Niemiec, niegdyś i do Turek; przyjaciół, Polan, mieszczan (ale poganów, Chrześcianów, cyganów, młodzianów, Hiszpanów, boć to nie nasze -ianin, -ianie, lecz *an* łacińskie). Postać ta dla braku

wyrazistości (zachowana w odmianie żeńskiej i nijakiej: tych ryb, pól) dawno ustąpiła miejsca dwom innym, na -ów lub -i, pisarzów i pisarzy, ci uczniów i uczni, słuchaczów i słuchaczy, wielbicieli i wielbicieli i t. d. Istotnej między nimi różnicy niema; jest ta, że -ów pospoliczsza, znacznie góruje, nieraz wręcz prostacka wobec „delikatniejszej“ na -y, o czym łatwo się przekonaasz, porównywając stróżów i stróży, strusiów i strusi, śledziów i śledzi, talerzów, nożów, widelców i talerzy, noży, widelcy, sążniów i sążni, groszów i groszy, uszów i uszy (oczów rzadsze znacznie), strumieniów i strumieni (kamieniów rzadsze znacznie); pieniędzy, tysiący, miesiący, zajęcy (ale i zajmów), liści, paznokci (ale i paznokciów), dni (tygodni, ale suchedniów) i t. d. Postać -ów za czasów saskich groziła zalaniem powszechnem, bo docierała i do mszów, wszów, wsiów, oknów, ognisków; przysłowiów — dziś równie mylnie, ale w przeciwną stronę, przysłów — poprawne byłoby przysłowi, czego wcale nie używamy, ponieważ wiele nijakich na -ie z -ije spadło się z dawnymi na -je; znaczenie, powtarzanie, ściągnięcie i t. d., odmieniamy jak: morze, pole; więc: znaczeń, powtarzań i t. d., jak pól, mórz i t. d. — tak u wszystkich na -nie i -cie, podczas gdy u innych i jeszcze ocalało: narzędzi, narzeczy, przymierzy, podziemi, bezprawi, przedmieści (ale często i do przedmieść, do podziem, tych bezpraw).

Tu wyjątkowo i w odmianie żeńskiej, odznaczającej się zresztą znaczną stałością (oprócz wahania owego co do: twarze czy twarzy, wsie czy wsi i t. d., zob. wyż.), pole dla dowolności, wolnoż mówić: piekarń (i tak u wszystkich podobnych) i piekarni, wieczierz i wieczery, sukien i sukni, studzien i studni, kropel i kapel (właściwie kropł i kapł) i kropli, kapli, czapel i czapli,

grobel i grobli, szabel i szabli, wiszeń i wiszni, trzeszni i trzeszeń (zamiast poprawnych postaci z sz wkradły się do pisma i mowy mniej poprawne z ś, trześnie, wiśnie), luteń i lutni, ale tylko: łaźni, kłótni, zbrodni, pochodni, wyroczni, rękojmi i t. d. Przeróżne to postaci i nie myślimy ich wedle właściwego pochodzenia rozdzielać, dawne i prawidłowe od późnych i mylnych (n. p. wieczery, mszy i i.), skoro już język XV. i XVI. wieku wahał się w obieraniu jednych i drugich. Nie rozstrzyga bynajmniej, jak i w innych razach nie, względ na odróżnianie od tegoż przypadku liczby pojedynczej; spalni, kopalni, spiżarni, stajni (obok stajen), jest jedno i drugie; baczyć należy na znane i z innych języków słowiańskich, n. p. z rosyjskiego, stwardnienie końcowego *ń*, studzien, nie studzień, sukien, nie sukień i t. d.

Szczytu dowolności osiągnął język w odmianie rzeczowników sędzia i hrabia (margrabia, burgrabia). Skuszony odmianą nazw urzędowych przymiotnikową (woźny, chorąży i t. d.) porzucił w liczbie pojedynczej dawną żeńską dla: sędziego, sędziemu, zatrzymał ją w wołaczu i w przypadku szóstym (sędzio, z sędzią), a w liczbie mnogiej przeszedł zupełnie do rzeczowników męskich, sędziowie, sędziów i t. d. Jakżeż siódmy przypadek liczby pojedynczej? Gramatyki uczą: w sędzim, hrabim (tak było w XVI. i XVII. wieku), albo: w sędzi, hrabi (tak było jeszcze dawniej) — ale my tak nie mówimy, mówimy z męska: w sędziu, hrabiu i to już od XVII. wieku napotyamy. Gramatykom naszym nie zawsze dowierzać można — jedna z tego nauczka, a druga: dowolności językowej granic nie zakreszlisz.

Inny przykład. U czasowników wzoru: schnąć, bladnąć (na jego miejsce wkrada się blednąć do blednieć; a odwrotnie zamiast: bledziutki, bledszy, bledzi,

wkrada się: bladziutki, bladzy, bladzi, szczególnie ten dziś przeważa; jednak mówimy dotąd bez wyjątku poprawnie: zbladł, zbledli i t. d., ich *-ną-* pozostaje albo odpada przed *t* i *szy* (mniej często odpada przed *-szy*). Wedle dawnego prawidła utrzymywało się zawsze to *-ną-* po samogłosce pierwiastkowej, więc tylko: stanął, stanawszy, usunął, zwinął, utonął, minął, lunął (zamiast linął), płynął, słynął i t. d.; natomiast odpadało po spółgłoskach: ogłuchł, oślepl, uschło, zwiędło, zziąbl, zmarzło, ukląkł, zabłysło, zakwitło, umilkł, ochłódł, ochrypl, zmókł, znikł, zasłabł, wystygło, schudł, zgaśł i t. d. (mylnie wstawiają tu gramatycy urobienia na *-ł*, co wcale nie od *ną-* poszły, n. p. zakwitł od zakwiść, ukradł od ukraść, pobiegł od pobiec; przysiągł od przysiąc, poległ od polec, ugrzązł od ugrząźć i i.); w języku pospolitym można więcej tego znaleźć: kopła, dmuchła, udźwigła, szarpla, prysła, stukła — mniej w rodzaju męskim. Tu waha się pismo nieraz między jedną a drugą postacią: zniknąwszy i znikszy, uklęknał i ukląkł i t. d. Dalsze wahanie widzimy u tych samych słów w trybie biernym między postacią *-iony* a *-ięty*: natchniony i natchnięty, ciągnięcie i ciągnięcie, ciśnienie i ciśnięcie, dościgniony i doścignięty, ogarnienie i ogarnięcie, zamknięcie i zamknięcie (zamknięto posiedzenie, nie: zamkniono; pociągnięto do odpowiedzialności, nie: pociągniono; wyrznięto, nie: wyrzniono i t. d.); pozostaje to w związku z ogólnie polską dążnością do rozszerzania postaci *-ty* w miejsce *-ny*.

Szczycimy się językiem, coś jak państwowością naszą, t. j. ofiar nie chcemy dla nich ponosić, jakby bez ofiar i trudów czegośkolwiek wielkiego i trwałego dosięć można. Na szczęście nie wymaga od nas poprawność językowa ofiar czy trudów zbytnich; nieco uwagi i pilności wystarczy, aby odwiać plewy od ziarna i z naleciałości,

jakiemi przeważnie nieuwaga, niedbałość, leniwość, mędrkowanie niepotrzebne pisownię i język upstrzyły, oboje odczyścić. Niejednemu czytelnikowi wyda się może mowa moja zbyt twardą, wymagania zbyt wygórowanemi, naprawa zbyt uciążliwą, ale jak przyzwyczailiśmy się do pisowni mylnej, tak się też od niej odzwyczaić możemy. Język niewzruszonym nie jest; właśnie w ustępie ostatnim zebraliśmy przykłady znacznej dowolności, umyślnie, aby wykazać, jak swobodnie język sobie poczyną; jak wybiera to i owo; jak nas niby upoważnia, abyśmy za jego wzorem rozpatrywali się w skarbie odziedziczonym i ze wszelką dla niego cziłą należytą pytali i badali, czy nie na czasie rozstrzygnąć ostatecznie rozmaite wątpliwości, usunąć rozmaite niedokładności, uruchomić rozmaite zasoby, odnowić i oczyścić niejedno, u kolebki nowego państwa, w przededniu zmian stanowczych, stać się choćby z drobną poprawą językową, z ustaloną bardziej pisownią. Czy innym sposobem ściślej dowiedzimy, jak wysoko cenimy nasz język?

Wyrazy obce i ich znaczenie.

I.

Pomniki dziejowe ludzkości spoczywają w archiwach naziemnych i podziemnych. Pierwsze — to budowle i ich zwaliny, drogi i mosty, mury i okopy; dalej zabytki piśmienne po skałach i kamieniach, na skórze i papierze, a w nich podania i dzieje, przepisy wiary i prawa, inwentarze i rachunki; wszelkie zabytki sztuki wielkiej i małej; wreszcie, najprostsze i najtrwalsze, nazwy gór i rzek, ludów i miejscowości, a choćby i słowa pospolite. Z takich to archiwów korzystało wyłącznie dawniejsze dziejopisarstwo, od Herodota do Rankego.

W archiwach podziemnych, w jaskiniach i kryjówkach, mogiłach i kopcach, kości ludzkie i zwierzęce, broń i narzędzia, ozdoby i monety, resztki koczowiska, mieszkania, miejsca obronnego czy ofiarnego, zamulone, porośnięte, zapadłe, czekają wydobycia przypadkowego, przy orce, karczowaniu, trasowaniu dróg i nasypów; albo umyślnego, gdy starożytnik bada ich zawartość, albo gdy, nieraz tysiąc lat przed nim, złodzieje skarbów zakrytych szukali!

Tajniki i tych archiwów były również od dawna wszystkim dostępne, lecz czytać w nich nie umiano. I tak

n. p. wykopywano kości zwierząt „przedpotopowych“, lecz uważano je przez najdłuższe wieki za ludzkie kości naszych praojców, jakichś bohaterów, wielkoludów:

Podobnie pleban mirski zawiesił w kościele
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Takie same zawieszano na wrotach u św. Szczepana w Wiedniu i po innych świątyniach lub domach, n. p. w Berlinie przy uliczce Piotra. Również od najdawniejszych czasów znachodzono krzemienne siekiery, młoty i groty, lecz uważano je (aż do XVIII. wieku) za piorunowe i chowano starannie w celach nie archeologicznych, lecz leczniczych i zabobonnych. Wydobywano i gliniane naczynia z ziemi, ale zamiast ludzi pomawiano przyrodę, że to ona jakimś dziwnym popędem, jakąś osobliwą siłą plastyczną, sama je wytworzyła. Zapisujący podobną bajkę Długosz tylko ogólny przesąd powtórzył, co jeszcze w XVII. wieku panował.

Rozczytał się w tem archiwum dopiero wiek dziewiętnasty; odróżnił za Cuvierem resztki zwierzęce (od ludzkich) i odtworzył z nich zaginione typy, a pozbywszy się nakoniec przesądu o późnem zjawieniu się człowieka na ziemi, ułożył i uporządkował warstwy, świadczące o powolnym postępie człowieka przez okresy bezkruszcowe (z narzędziami z drzewa, kamieni, rogów i kości), do kruszczowych (miedzi, bronzu i żelaza); lecz poza tę całkiem zewnętrzną, a do tego wedle miejsc i czasów bardzo niepewną i chwiejną klasyfikację, dotąd nie postąpił. Innemi słowy: archiwa podziemne tajemnicy swej nie wydały zupełnie; mowa ich, tak wyraźna, pozostała dla nas dotąd „niemą“.

Przedewszystkiem nie udzielają odpowiedzi na najpierwsze, najciekawsze zagadnienia: do kogóż należą właściwie wszystkie te zabytki, do jakich ludów, żyjących

czy wymarłych? Dalej, skąd ta wielorakość typów ludzkich, nie po całej ziemi i przez wszystkie wieki, lecz w byle jakiej dzielnicy i w tym samym okresie czasu? I tak n. p. dzisiejszą wielorakość fizycznych typów francuskich stwierdziła antropologia już we Francyi epoki kamiennej; nie rozwiązawszy więc zagadki, cofnęła ją wstecz o lat trzy lub cztery tysiące. Archeologowie znowu nadużyli naszej łatwowierności, łącząc zmiany samych epok, samej kultury, bezpośrednio ze zmianami ludności, z jakimiś fantastycznymi wędrówkami, najazdami i podbojami; nawet na tak odrębnej, odosobnionej ziemicy, jaką jest Skandynawia, archeologowie, n. p. Hans Hildebrand, z czterech jej epok (kamienia, bronzu, żelaza — starszej i nowszej), czterokrotną zupełną zmianę ludności wywodzili, laponskiej, celtyckiej, południowo - germańskiej i wschodnio - germańskiej, czyli szwedzkiej, jakoby z Rosyi w szóstym stuleciu po Chrystusie przybyłej, podczas gdy z innych źródeł wiemy, że Szwedzi już od wieków w Szwecyi siedzieli!

Zawodzą i wszelkie inne zasady archeologiczne, n. p. przywiązują wielką wagę do rozmaitych sposobów chowania zwłok, przypisując je rozmaitym ludom i wiekom, lecz wiemy przecież, że nieraz u jednego ludu równocześnie używano wszelkich możliwych sposobów, n. p. paleńca całkowitego lub częściowego, grzebania samych szkieletów lub całych trupów w ziemi lub w trumnie z drzewa albo kamieni i t. d., wedle rozmaitych odłamów czy warstw ludowych. Dość wskazać Słowian, Litwinów i Rzymian.

O odtworzenie dziejów i wędrówek przedhistorycznych na podstawie zwyczajów grzebalnych pokusił się generał Pothier w dziele p. t. „*Les populations primitives*“, Paryż 1898 r.

Rozważając typy grzebalne i rozmieszczenie ich na karcie, rozróżnił trzy grupy etniczne w dobie przeddziejowej starego kontynentu: ludy megalityczne, chowające w tak zwanych dolmenach kościotrupy, obnażone z mięsa i mięśni; są to ludy koczujące, pasterze i rybacy, odważni żeglarze, z religią nader pierwotną; zjawiają się najpierw w Azji, Europie i Afryce, szczególnie na wybrzeżach. Za nimi idzie grupa ludów, palących zwłoki, wcześniej osiedli uprawiacze roli, oddani rzemiosłom, produkujący w sposób fabryczny; pojęcia ich religijne są już uduchowione, gdyż w dymie zgłiszcza unosi się dusza w niebiosy. Najpóźniejsza grupa ludów, grzebiących trupów w ziemi, to najeźdźcy i handlarze, ujarzmiający lub rozpyływający się w grupach poprzednich. Jest to cały romans archeologiczny, w szczegółach bardzo ciekawy. O ścieraniu się rozmaitych typów grzebalnych w obrębie jednego plemienia pouczają nas mity litewskie o Sowim i jego synu najmłodszym (grzebanie w ziemi, w trumnie i palenie), mity tybeckie o pierwszym człowieku i jego synach (grzebanie, palenie i wystawianie na żerdziach dla ptactwa drapieżnego). I Ruś normańska, paląc zwłoki umarłych, wyśmiewała obrządek mahometański grzebania.

Archeologia poucza nas, jak w czasach przedhistorycznych ludzie żyli, czem się żywili, bronili, zdobyli, ubierali; jak mieszkali, jak chowali zmarłych; jak leczyli żywych (trepanacją, dziurawieniem czaszek, przeciw epilepsji); jak łowili zwierzęta w owych słynnych łapkach na bobry, wydry, czy ptactwo wodne, o które dotąd uczeni spór toczą, o czas ich i przeznaczenie; jak psa najpierw, potem inne zwierzęta oswoili; jakie zbierali zboża; w co wierzyli (w życie zagrobowe z powodu czci zmarłych; w siłę amuletów i fetyszów); jakie uprawiali sztuki, rysując n. p. na kościach zwierzęta i ludzi lub sceny to-

wiekie, ozdabiając symetrycznymi liniami narzędzia, garnki, urny — chociaż w owe rysunki zamieszał się nieraz spryt handlarzy, fałszujących nie tylko tiary scytyjskich królów i wszystkie inne starożytności, lecz i skrobaniny „przedpotopowe“. Wiemy nawet, jak rozczesywano włosy na głowie. Domyślamy się dalej, jakimi drogami kroczył ówczesny handel wymienny, pierwotnie niemy, odbywający się na migi, używający później tłumaczy, sprowadzający kruszce, muszle, bursztyny do krajów, które ich nie miały. Do najważniejszych zagadnień archeologii należy wyszukać ów wschodni zakątek ziemi, gdzie wynaleziono technikę błyskotliwego bronzu, co w pochodzie zwycięskim krzemień i róg w narzędziach, broniach i ozdobach zastąpił; dalej owe kraje, gdzie najpierw sine żelazo kuto, aby niem później najechać, podbić i wytępić szczepy bogatsze, starsze lecz słabsze. Ale o wszystkich tych rzeczach, stosunkach i zmianach, opowiada archeologia zawsze bezimiennie, jak jaka stara baśń: był sobie król i królowa, albo dziad i baba — kto, kiedy, gdzie? nie pytaj.

Archeologia kreśli więc wedle wykopalisk stan ówczesnej kultury, lecz czyją była ta kultura, o tem rozstrzyga język. Nazwisko lub słowo, trafnie wytłumaczone, rozświeca nagle mgły i ciemności; groby scytyjskie n. p. może archeolog rozkopywać, całą ich zawartość porządkować, lecz że należały one do szczepów — nie jakichś fińskich, tursko-tatarskich, ale do aryjskich, a więc nam pokrewnych, tego jedynie na podstawie języka dowiedziono z całą ścisłością.

Przy badaniu dziejów pierwotnych język nadzwyczajną odgrywa rolę; pierwotne rozsiedlenie n. p. Litwinów, Niemców i Celtów, tylko lingwista — a nie antropolog ani archeolog — oznaczyć zdoła. Antropolog n. p. opisze

najdokładniej znaleziony szkielet; powie jakiej płci, wieku, wzrostu, był niegdyś ów osobnik; wymierzy indeks czaszki, wykazujący długo-, średnio- lub krótko-głowość; rozezna, czy pochowano wszystkie kości, lub tylko niektóre (czaszkę i piszczele), czy ich nie obnażono wprzód z mięsnych części i t. d.; ale czy to czaszka Słowianina czy Niemca, Aryjczyka czy Fina, tego już nie rozstrzygnie wiedza jego. Taksamo archeolog; z inwentarza kopalnego oznaczy czas jego wcale nawet dokładnie, chociaż, gdy monet niema, już z wnioskami bywa kruch, bo nawet warstwa, z której zabytki wydobyto, nieraz niczego nie dowodzi: w torfowiskach n. p. zapadają przedmioty, leżące pierwotnie wyżej, po wiekach na samo dno, zmieniają więc położenie. I archeolog nie rozstrzygnie, do jakiego narodu owe zabytki należą; stwierdzi naprzykład, że Słowianie urny lub garnki nie ręcznie, lecz na kole lepili i pierścieniami skroń ozdabiali; ależ nie przyszli na świat już z kotłem garncarskim i pierścieniem skroniowym — przecież istnieli przedtem?

Za to lingwista odgraniczy najściślej wedle nazw miejscowych, dajmy na to, pierwotne siedziby litewskie albo wywnioskuje: w kraju nadłabskim są wyraźne ślady prastarych nazwisk niemieckich (n. p. nazwy rzek: Łaba, Hawola, lub szczepów: Sillingów — Ślęgów, od nich Śląsk nazwany), nad Wisłą takich śladów niema; więc siedzieli niegdyś nad Łabą Germanie, nie nad Wisłą. Albo wyginęli Słowianie nadłabscy i nadodrzańscy, lecz zostały po nich do dziś tysiące nazw pól, lasów, bagien i t. d.; wynika więc z tego, że nikt tych Słowian odrazu do szczętu nie tępił, ani tępić nie myślał, że mijały całe wieki, wśród których przybysze-koloniści od tubylców nazwy te przejmowali i ustalali. Wobec takich i podobnych za-

gadnień wiedza antropologa, archeologa i etnografa żadnych wskazówek pewnych nie dostarcza.

Na podstawie języka, wedle imion własnych, miejscowych i osobowych, nie tylko o przynależności etnicznej ludu jakiegoś wnioskujemy, lecz z zasobu słów jego i stan jego kultury odtwarzamy, chociaż tu nigdy dość ostrożnym być nie można. Jeżeli n. p. jakieś ludy mają osobne nazwisko dla konia, to z tego jeszcze bynajmniej nie wynika z pewnością, że go już oswoiły i hodowały: mogły konia znać i w stanie dzikim, tylko dla mięsa na niego polować — wiemy przecież, jak koninę niegdyś ceniono, jako największy przysmak dla bogów i ludzi, jak dopiero chrześcijaństwo wytępiło ten zwyczaj, jak koniojadów karało. Dawniejsze badania bywały pod tym względem nie dosyć ściśle, wnioskowały zbyt pośpiesznie, kreśliły istne sielanki przedhistoryczne, schlebiały nadto czasom i ludziom; spostrzeżenia archeologiczne i paralele etnograficzne wykazywały nieraz niedokładność, niezupełność wniosków lingwistycznych.

W badaniach dziejowych, obok imion miejscowych, ludowych, osobowych, obok zasobu własnych słów pospolitych, dowodzących pewnego stopnia rodzimej kultury, należy nieraz główną uwagę zwracać na *słowa obce*, zapożyczone powierzchownie, lub zeswojszczone zupełnie, przetrawione i przetopione tak, że je od własnych i odróżnić trudno. Im starszy i znaczniejszy naród, im różnorodniejszym wpływom ulegał w następstwie wieków i we zmianach siedzib, tem więcej w jego słownictwie będzie obcych domieszek, jedynych śladów nieraz owych zamierzchłych czasów i zanikłych związków. Weźmy n. p. Niemców. I oni niegdyś sąsiadowali z Grekami i przyjmowali od nich aryaństwo; — od 1300 lat i śladu po tem

nie pozostało — lecz w języku żyją po dziś słowa greckie i aryańskie, jak: *Kirche, Taufe, Samstag* i inne.

Ubiegło dwa tysiące lat, odkąd po raz pierwszy Niemcy z Rzymianami się zetknęli; o wiele dokładniej, niż dzieje zapisał sam język na niestartych żadnymi wiekami tablicach, co Niemcy Rzymianom zawdzięczają. Żywioły romańskie w języku niemieckim nie istnieją bowiem dopiero od przewagi francuszczyzny w jedenastym lub dwunastym i znowu siedmnastym i ośmnastym wieku; wszczęły się o tysiąc lat wcześniej. Najzwyklejsze wyrazy, bez których żadnego języka dziś wyobrazić sobie nie możemy, poszły z rzymskich, n. p. w rzeczach połączonych z czynnością myślową — takie, jak *Brief, Schreiben, Dichten*; w zakresie budownictwa od budowy dróg (*Strasse*) do cegieł i murów; w uprawie i przemyśle winnym, od *wina* do *octu* i *lury*, od *prasy* do *piwnicy* (*Keller*), od *kufy* do *kielicha*; wszystko, co do *kuchni* i *kucharstwa* należy; rośliny ogrodowe wszystkie, warzywne (*Kohl, Rettig*), lecznicze, drzewa owocowe (n. p. *Pflaume, Kirsche, Birne*); nazwy miar, wag i monet (n. p. *Meile, Scheffel, Seidel*); nazwy produktów gospodarczych (*Käse, Butter* i t. d.) — nawet dla konia, ciała i głowy przestali Niemcy używać własnych słów, *Ross, Leichnam, Haupt*, a zastąpili je łacińskimi: *Pferd, Körper, Kopf*. Cóż mówić o terminach chrześcijańskich, kościelnych, przejętych żywcem z łaciny (od krzyża i papieża począwszy, a skończywszy na mszy, bierzmowaniu, kaplicy i trumnie, *Sarg*), lub tłumaczonych (jak *Ge-vatter* i t. d.); o nazwach miesięcy, o nazwach dni tygodniowych naśladowanych z łacińskich, n. p. *Donnerstag, Sonntag* z *dies Jovis, Solis* i in.; o nazwach zwierząt i roślin obcych *Esel, Maultier, Löwe, Strauss, Maulbeere, Pfeffer* i t. d.; o nazwach ludów *Grieche, Mohr* i t. d.

W pobieżnej tej wzmiance nie wyczerpaliśmy nawet odnośnych kategorii, cóż dopiero poszczególnych pozycji; dodajmy choć słowa takiej doniosłości, jak *Kauf*, *Karren*; wszystkie niemal słowa na *pf*: *Pfund*, *Pfosten*, *Pfahl*, *Pfalz*, *Pfanne* i t. d.

Znaczącą i bogatą warstwę rzymską w słownictwie niemieckiem poprzedziła jednak inna, o wiele dawniejsza, a niemniej znacząca i ciekawa. Za Cezara potęga *celtycka*, niegdyś groźna dla całej środkowej i południowej Europy, zupełnie osłabła, ustępowała już wszędzie rzymskiej i germańskiej, lecz podania narodowe głosiły o czasach, kiedy wojowniczy Celt napadał i zwyciężał tak sąsiada Germana, jak i dalekie narody.

Wspomniat Cezar o tych podaniach, o tem rozmięczeniu siły Gallów, którzy sami nie ważyli się równać z przodkami; lecz moglibyśmy podanie odrzucić, przypisać chętności narodowej, porównać je n. p. z wymysłami kronikarzy, rozciągających panowanie polskie na Danię, Lubekę i Bremę — gdyby nie język niemiecki, dowodzący tego, o czem w dziejach głucho panuje milczenie, że panował niegdyś Celt nad Germanem. I znowu szereg najważniejszych wyrazów, nierozłącznych z językiem niemieckim, a mimo to zapożyczonych od Celtów, dowodzi dawnej przewagi wojskowej, państwowej, społecznej, jaką jeszcze w jakimś szóstym stuleciu przed Chrystusem Celtowie piastowali.

Reich (państwo) i *reiks* (pan); *Burg*, *Dorf*, *Town* (miasto, po angielsku; *Zaun*, po niemiecku, z celtyckiego *dunum*, jak *Lugdunum* i t. p.). Dalej słowo takiej wagi, jak *Amt* (z *ambactos* — sługa, poseł): stąd później *ambasciata* — zlecenie, a to dzisiejsze ambasada i ambasador; *Eid* i *Geisel*; *Eisen* i *Lot* (ołów, Blei und Loth) — wreszcie inne nazwy urzędzeń, stanów, broni, wzięli

Niemcy od Celtów; arystokracji celtyckiej zawdzięczamy wynalazek mydła, nieznanego zupełnie starożytności; wypychanie pierzyn i duchen puchem gęsim; polowanie z sokołem. Nawet nazwa *Germanów* jest celtycka, bynajmniej nie niemiecka; nawet nazwa bogini Swewów, *Nerthus*, o której tajemniczym kulcie Tacyt takie dziwy opowiada, z której fałszywie Herthę zrobiono i Herthasee na Rugii zmyślono, jest pospolitem słowem celtyckiem. Z języka niemieckiego możemy nawet wywnioskować, który z licznych szczepów celtyckich niegdyś tak nad Germanami zaciężył.

Byli to dzielni Wolkowie. Próżno siliłby się archeolog jakieś pomniki epoki halstadzkiej, czy la-Tène, do tych Wolków odnosić, których niegdyś tak groźne imię („dziarscy“) po dziś dzień jeszcze o uszy nam się odbija, gdyż i nasze *Włochy* i *Wołochy* właśnie od owych Wolków poszły. Niemcy bowiem przewali wedle nich *Walhami* wszystkich innych Celtów, a później i wszystkich Rzymian (Welhe, Welschland), a od nich Słowianie tę nazwę dla szczepów romańskich przyjęli.

Oto przykład, jak daleko wstecz świadectwa językowe dzieje wyświecają. Lecz może zarzuci kto, że nie należy badać tak dokładnie słów obcych, nie należy wykazywać ich zapożyczenia, gdyż ucierpi na tym duma czy godność narodowa; ależ dążenie do wyświecenia prawdy podobnych granic i obaw nigdy nie uznaje. Zdejmując zasłonę ze słów obcych, wykazując ich pochodzenie, służymy nauce dziejowej i językowej zarazem. Nawet w czasach rozświeconych kronikami, aktami, pamiętnikami, wykaz słów takich uwydatnia miarę wpływu, rodzaj związku czy wymiany, zachodzących między narodami, objaśnia je dokładnie, a bezstronnie; z ilości i jakości tych słów możemy oznaczyć dziedziny, war-

stwy, koła, jakich te wpływy sięgały, a czego my nie zrobimy, zrobią za nas inni, może nieproszeni, nieżyczliwi.

Pod względem językowym słowa te również ciekawe.

Języki słowiańskie są wcale zachowawcze, o wiele więcej, niż n. p. germańskie lub romańskie; zwierzchnia ich szata zmienia się nieznaczniej, wolniej, łagodniej: mamy liczne słowa, które brzmią jeszcze dziś tak samo, jak przed tysiąc pięciuset laty (chyba, że ich akcent się odmienił) — słów takich ani Anglik, ani Francuz, ani Niemiec nie wykaże ani jednego. Tempo zmian przyspiesza się nieraz przy imionach, szczególnie miejscowych: one to znaczeniem występują poza obręb zwykłych słów a tem samem jakby i poza obręb zwykłych „praw“ głosowych; w nazwach miejscowych znajdziemy też nieraz zmiany, którychbyśmy próżno u słów pospolitych szukali. W słowach obcych potęgują się te zmiany; obcy przybysze nie stawiają oporu miejscowym, że tak rzekniem, nadużyciom, które narzucają im domową szatę; na łożu Prokrusta wyciągamy je lub kurczymy do tej naszej miary, obcinamy i łątamy, jak nam się podoba. A szczególnie znaczenie tych słów rozwija się nieraz w szalonych skokach: nie trzymane na wodzy przez żadne czucie językowe, zbaczają na rozmaite dziwaczne manowce.

Język polski obfituje w wyrazy obce, dawne i nowe, przydatne i niepotrzebne, miejscowe, przywiązane n. p. do pewnych rzemioł, i ogólne, zbogacające język rzeczywiście, lub tylko wyływające z lenistwa umysłowego, z mody; z owej ksenomanii, z „cudzobiesia“ słowiańskiego. Lecz gdy inne języki, lub narzecza słowiańskie, n. p. łużyckie i kaszubskie, słowieński a choćby czeski, obce wyrazy z jednego źródła (niemieckiego lub

włoskiego) czerpią, przyjmował język polski wpływy ze-
wsząd, z zachodu, południa i wschodu. Gdy tamte języki
samymi obcymi wyrazami jednostronności, a więc i ogra-
niczoności życia umysłowego, dowodzą, niby z okrucichów
i odpadków jednego stołu się żywiąc, dopuszcza język
polski, jako świadek i wyraz bogatej i dawnej oświaty,
przeróżne wpływy, przerabia i przetapia je do niepo-
znania, obiera między przybyszami, wciela sobie jednych
na zawsze, drugich pozbywa się rychło; jednych nie tyka,
drugim narzuca znamiona własne, polską szatę zewnętrzną,
wewnętrzną odmianę znaczenia.

Otóż warto się przypatrzeć, jakimi to warstwami
słowa obce w ciągu wieków w języku polskim osiadały;
bogactwa słownictwa całego wyczerpywać nie myślimy,
wskażemy raczej główne wytyczne, pobieżniej dla czasów
przedhistorycznych, przedpolskich, dokładniej dla później-
szych. Zamiast przytaczania wielu przykładów bez braku,
wyberzemy co ciekawsze, rzadsze, trudniejsze. Chodzi
głównie o ustalenie czasowe; o kształcie bowiem, jaki
obce słowo w polszczyźnie przybierze, rozstrzyga czas
przyjęcia, n. p. niemieckie *helm* pojawia się w polskim
i jako *szłom* i jako *helm*, wschodnie *kalpak* i jako *kło-
buk* i jako *kołpak*, łacińskie *ferula* i jako *berło* i jako
feruła i t. d.; różnica zawisła od tego, że n. p. *helm* —
szłom datuje z trzeciego wieku po Chrystusie, *helm* —
helm zaś z piętnastego. Ustalenie pojedynczych warstw,
wedle czasu ich następstwa, usuwa z góry wiele mylnych
przypuszczeń; n. p. twierdzono nieraz, że polskie *bez*
(przyimek), dla twardości swego *e* z małoruskiego się
wzięło; twierdzenie upada natychmiast, skoro pokażemy,
że *bez* istniało u nas już w XII i XIII w., t. j. w czasach,
kiedy ruskich pożyczek jeszcze nie było. Albo przypu-
szczano, że polskie *czacz* (*caco*, *cacko*) wzięte z tureckiego;

lecz słowo to zachodzi u Czechów już w XIV w., kiedy o pożyczkach z tureckiego i mowy być nie mogło. O niejednym polskim słowie twierdzono, że przeszło do nas z litewskiego lub z „ukraińskiego“, lecz nigdy nie zapożycza się słów od szczepu, stojącego niżej co do kultury i siły, chyba że w pogranicznym pasie znajdziemy jakąś miejscową wymianę pewnych słów; wiek i rozszerzenie wrzekomych pożyczek litewskich wykluczają z góry ich możliwość, a pożyczki z „ukraińskiego“ są po największej części późne i miejscowe, nie stare, ani ogólne.

Do wyrazów obcych można zaliczać i rodzime, jeśli używanie ich w pewnem znaczeniu odpowiedni obcy wyraz spowodował, jeśli go jakby przetłumaczono. N. p. słowo *gaj* jest rodzime, słowiańskie; lecz *gaić sąd*, albo jak dziś mówimy, *zagaić posiedzenie*, przetłumaczono żywcem z niemieckiego *hegen* od *Hagen* (gaj); niegdyś tworzone na miejscu ofiarne i sądownicze sztuczny gaj, zasadzano drzewem i wiązano sznurem, a biada temu, ktoby niepowołany w taki gaj się wdierał, czekało go wywołanie (banicya). Są mieszkańcy, n. p. *bawetna*; jej *wetna* rodzima, lecz *ba* dowodzi, że w niemieckim *Baumwolle* drugą część złożenia przetłumaczono dobrze, co do pierwszej już się nie trudzono, przejęto ją żywcem; podobnie zrobili Czesi z *Weihnachten* swoje *vanoce* i i.

Po czemżeż poznajemy słowa, choć obcego pochodzenia, lecz przyswojone zupełnie językowi? Rozmaite względy rozstrzygają. Najpierw rzeczowe: z obcym towarem, urządzeniem, warstwą ludności, wchodzą równocześnie i ich nazwy i słowa — owoce czy materye wschodnie, urządzenia kościelne; Niemieccy mieszczenie i rzemieślnicy zatrzymują w Polsce i w Rumunii, w Czechach i na Węgrzech, własne utarte nazwy i słowa. Powtórę głosowe: wygląd słowa ujawnia obce żywioły, jego brzmie-

nia nie polskie, n. p. *h* lub *f*, następstwo ich nie polskie, artykulacja nie polska, inne nieprawidłowe zjawiska, n. p. Władysław, zamiast polskiego Włodzisława, Włocława i t. p. Po trzecie, rozszerzenie wyrazu: słowo znane tylko na zachodzie słowiańskim, u Czechów i u nas, obce zupełnie Rusi i Bałkanowi, z góry wznieca podejrzenie co do swej rodzimości; wątpliwość zmienia się w pewność, skoro słowo to da się wytłumaczyć n. p. z niemieckiego, lecz nie z polskiego. Nakoniec zupełne odosobnienie słowa, niewiązanie się z czemkolwiek innym, rodzimem — a wobec tego bogate rozgałęzienie na obczyźnie, każe się również w takim słowie przybysza domyślać.

Mimo tych zasad, nie zawsze łatwo wyśledzić zbiega, dać jego rodowód, wskazać jego kolebkę. Któżby n. p. zwiertzył w pocziwym „obszarze“ Niemca: *Überschar*? I brzmi tak pięknie po polsku i wiąże się pozornie z „obszernym“ i da się niby z polskiego wytłumaczyć — a mimo to, przybłąda, co rozpanoszył się u nas dopiero w XV wieku, gdy go jeszcze „zbytkiem“ tłumaczono (co po wymiarze powierzchownym roli na oko, później przy mierzeniu dokładnem zbywa).

Inny znowu, widoczny przybłąda, wkradł się do nas z łaciny, czy z niemczyzny — lecz jaką drogą? czy wprost, czy na Czechy? Jeśli na to zważać nie chcemy, jeśli wszystkich podobnych przybyszów wprost do Niemiec czy Rzymu przypiszemy, ubliżymy bardzo Czechom i ich niegdyś wcale znacznemu wpływowi na nas. Cóż mówić o takich przybłądach, po których w ojczyźnie własnej ani śladu nie pozostało, których i tam nie znają, skąd prawdopodobnie wyszły. Bywają więc różne trudności i zawikłania i nie zawsze z nich wybrnąć można; szczególnie u nas podobne badania mało dotąd postąpiły, chociaż są ciekawe i ważne.

Uwagi te i spostrzeżenia tłumaczą stanowisko, z jakiego wychodzimy; chcemy ze słów obcych wyczytać to, co się do dziejów kultury polskiej odnosi.

II.

Już kiedy Daryusz perski pochód bajeczny przeciw Scytom podejmował, w szóstym wieku przed Chrystusem, siedzieli Polanie nad Wisłą i Polanie nad Dnieprem, jak i dzisiaj siedzą; był to w kilku odłamach szczep jeden, jednego języka, jednej kultury; sąsiadowali z nim od południa Dakowie-Trakowie (za Karpatami) i Scytowie (na stepach), od wschodu Finowie, od północy Litwa i morze, od zachodu Niemcy; wspólnota z Litwą szczepowa i językowa nie od tak dawna była zerwana. Stosunków i wpływów, jakieby od Daków, Scytów i Finów wychodziły, nie myślimy badać; są ciekawe słowa je wskazujące, n. p. *konopie*, *chmiel* i inne, pomijając nazwy rzek wielkich, Dniepru, Dniestru, Donu. Lecz gubią się te poszlaki w pomroce dziejowej, gdyż zbyt mało ocalało z języka Scytów i Daków; fińskie nazwy miejscowe, liczne na Rusi wschodniej i północnej, siedzib polskich wcale nie dotyczą, mimo wszelkich modnych mrzonek, co polskie nazwy i słowa (n. p. kobieta), a nawet mazurzenie naszych Maćków i Kubów z fińszczyzny wywodzą!

Jaśniej i silniej występują wpływy od zachodu; chociaż „niemym“ dla Słowianina był zarówno Dak czy Scyta, Fin czy Litwin, przecież „Niemcem“ on tylko zachodniego sąsiada nazywał; widoczna, jak często i długo się z nim ztykał. Najbliższym „niemcem“ dla niego był Got nadodrzański; lecz przyszedł czas, gdy Got ten, party poczuciem siły, żądzą zdobyczy i przestworu, opuściwszy własne siedziby, rzucił się na wschód (jak przed

nim przed wiekami Celtowie) i ujarzmiając ludy nadwiślańskie i nadnieprzańskie, okrążając Karpaty, na Wołyń i Podole ku południowi, nad Dunaj i Czarne morze, podążył. Jak niegdyś przewaga Wolków nad Germanami, tak teraz przewaga Gotów nad Słowianami uwydatniła się w szeregu nazw, urzędzeń, zbroi, narzędzi, jakie Słowianin od Gota przejął i tak przetrwał i przetopił, że tylko rozbiór lingwistyczny te obce żywioły wydzielić zdoła. Że gocki Hermanrich (w czwartym wieku po Chrystusie) od Słowian daniny wybierał z ludzi i bydła, z kun i miodów, to nie tylko przechwałka gockiej tradycji; dzieje językowe to samo stwierdzają.

Przedewszystkiem przejął Słowianin od Gota uzbrojenie: zamiast pierwotnego noża i maczugi, procy z kamieniem, krótkiego oszczepu i strzały zatrutej *ciemierem* (nasza ciemierzycza), używał teraz *miecza* (meki), a głowę *szłomem* (hilms) zakrywał. Nad słowiańskich starostów, gospodnów i wojewodów wzbili się rychło *Konungi-knięgi* (kniazie, księżdy, t. j. König, king, od „kuni“, rodu, nazwani, *Kunigasy* na Litwie) i tamtych o *dumę* (radę) pytali; Goci i oni wybierali od Słowian, od smardów i czerni, daniny. Monet pierwotnych nie znali: płacili, gdy prosta zamiana nie szła, płatami cienkiego sukna*) i grzywnami, naszyjnikami i obrączkami z żelaza lub miedzi, ze złota lub srebra, które w razie potrzeby i łamano, zresztą wazono; obrączki te przezywano i *bugami* (z gockiego). Teraz zaś nastały rzymskie *pieniądze* (nordyjskie *penningr*, Pfenning), *cęty*, jakie i zawieszano lub naszywano

*) Płaty owe cienkiego sukna służyły ogólnie za monetę, tak, że od nich poszedł czasownik słowiański *płacić*; gockie *plats* płat, również z słowiańskiego wzięte; na Rugii jeszcze w XII. wieku „cokolwiek na targu kupić zechcesz, płatkami lnianym zapłacisz“; toż wiemy o Czechach w X wieku.

(cętki, gockie *kintus*, drobna moneta), *usieręgi* (kolczyki, *ausahriggs*, *Ohrring*, czyli siergi później na Rusi, znane i w Polsce, n. p. *serga* nausznica w dziełku Tucholczyka z r. 1607); całe mienie ruchome zwano *skotem* (gockie *skatts*, *Schatz*).

Mylnie przypuszczają, że *skot* pierwotnie wołu oznaczał; *skot* mienie, dostatek, przeniesiono później na to, co najcenniejszego posiadano, na stada i trzody; podobnie przesunęło się i znaczenie naszych wyrazów *dobytke* lub *bydło* od być, był, albo *wardęga* (oznaczające w starych psalterzach i bibliach *bydło*, chociaż pierwotnie oszacowanie tak nazywano); albo *zboże*, które wszelkie bogactwo oznaczało, zanim je do plonów rolnych ograniczono.

Niebawem nie starczyły dawne domy i dwory z płotami; od Gotów uczono się stawiać *chyz* (hus), później *chyżą* zwany, grodzić *tyny* (niemieckie *tun*, sąd Tyniec; *tynina* = *parkan*). W *istbach* (*Stube*, później *izdbach* i *izdebkach*, jeszcze później *izbach*, por. *przyzba*) nowych *chyzów*, znalazły się niebawem drogie *ścćła* (szkła, gockie *stikls*, od *stechen*) najpierw do napojów, zastępujące dawne rogi i czasze (z czaszek ubitych wrogów albo własnych ojców, oprawnych nieraz w złoto, pito najchętniej miodu i piwa); dalej inne przybory i narzędzia, jak *bludo* (misa, gockie *biuts* — *stół*), *kotły* (*katils* z łaciny), *pity* (*Fila*, *Feile*).

Od Gotów uczono się i nowych *leków* (leczenia, lekarzy), zastępujących dawne zamawiania ran i uroków nowemi. Zjawiali się coraz częściej *kupcy* z wieloraką *kupią*; nabywano od nich *wina* i *octu* (*akeits*, z łaciny), korzeni i soli, *mieczów* i *sztłomów*, *szołków* (jedwabiów) i *pstrocin*, w zamian za niewolniki (towar, którego Słowianie niebawem w takiej ilości dostarczali, że na targach zachodnich i wschodnich Słowianin a niewolnik, *sclavus*,

jedno znaczyli), koże i łupieże i za inny *skot*. Kupcy ci okupywali *mytem* mir, a wszelkie ubytki ich wynagradzała *lichwa*; przywozili może i tkaniny, lecz uprawę lnu, dla tłuszczu (oleju), jak i dla przędzy, znał Słowianin oddawna; sama nazwa rośliny jest zdaje się rodzimą, jeśli nie przysłała od południa, od Tracyi i Grecyi, gdzie ją najpierw wspominają.

Nawet w przyrodzie nie obeszło się bez pożyczek, n. p. *buk*, a od niego *bukwy*, litery później; dalej *osieł* (asilus, z łacińskiego asinus) i z ulbandus (a to z elephantus) *wielbąd*, z którego w większy błąd wpadając, dawno już *wielbłąda* i *wielbrąda* (po narzeczach) zrobiono; do leśnych jagód, korzonków i grzybów przybyły teraz obce *owoce* (obaz); co do *chleba*, (gockie hlaißs, *Laib*), można przypuszczać, że osobliwsze, nieznane dotąd, pieczywo tak przezwano, co obok dawnych krowajów (korowajów), kołaczów i pokręt obrzędowych, bogom obiatowanych i spożywanych na ucztach wspólnych, najpospolitszem zostało pieczywem.

Nie wymieniamy innych słów, szczególnie takich, których w polszczyźnie już nie używamy; cośmy przytoczyli, wykazało dostatecznie, ile pojęć i rzeczy a z nimi i słów Słowianie wtedy od Gotów przyjęli. Odwzajemniali się i oni: od nich to może i niejedyn termin bartniczy przyjęli Goci — bartnictwo było odwiecznym i nadzwyczaj cenionym przemysłem słowiańskim, a „robotę pszczołą“ zwał jeszcze wiek XVI „świętem brzemieniem i rosą niebieską“ (Klonowic). I płasy Słowian uwagę zwróciły — Germanin znał chyba igrzyska mieczowe; płasy obu płci, lub „koło“ samych dziewcząt, dopiero u Słowian zoczył i ich nazwą własny język zbogacił; nawet i nazwę srebra od Słowian przejął, podczas gdy nazwy złota i tysiąca obu szczepom są wspólne, nie zapożyczone.

Lecz, co najważniejsze, od Słowianina wzięł Niemiec nazwę pługu i grządzieli: Pflug i Grindel niemieckie pochodzą od Słowian*). Wojowniczy Niemiec niechętnie oddawał się uprawie roli, kopali ją dla niego niewolnicy; robił na niego i Słowianin z pługiem, miasto dawnej uprawy ręcznej. O gockim plats ze słowiańskiego płatu już wspominaliśmy; może i średniołacińskie platena z płótna wyszło, w daninach od Słowian ciągle o niej mowa; również i humulus z chmielu poszedł.

Taki to plon**) wydało pierwsze zetknięcie się Słowian z Niemcami; słowa tej warstwy należą wszystkie do najstarszych, są prasłowiańskie; widnieje w nich kultura jeszcze całkowicie barbarzyńska.

*) Zwykle twierdzą przeciwnie, że Słowianie od Niemców nazwę pługu otrzymali; słowiańskiego pochodzenia *pługu* dowiódł J. Peisker w „Zeitschrift für Social- und Wirtschaftsgeschichte“, Weimar 1896, str. 1—92, który i inne nazwy pługu niemieckie słusznie od Słowian wywodzi (Arl z oralo i t. d.). Nazwa pługu urobiona od *płu* — (płynąć, pług płynie po polu, mówi Rosyanin), jak n. p. *śluga* od *ślu* — (słuchać), *struga* lub *strug* od *stru* — (płynąć, strumień i t. p.). Baśń, jakoby Słowianie nazwę pługu od Niemców przejęli, tak zdawała się ustaloną i pewną, że najznakomitszy badacz dawnych dziejów agrarnych europejskich, Aug. Meitzen („Siedelung und Agrarwesen der Westgermanen“ i t. d.) uważałby raczej Finów i Lapończyków (!!) za wynalazców pługa gdyby nazwa ta niemiecką się nie okazała.

**) Słowom tym poświęcono całą literaturę; mamy o nich znakomitą pracę Miklosicha i inne. Zapyta kto, gdzież oznaka, rozstrzygająca o pożyczce słowiańskiej lub na odwrót? Rozstrzygają tu prawa głosowe; najwidoczniejsze z nich owo, wedle którego każde słowiańskie *ch* (lub *sz* z niego), odpowiadające niemieckiemu *h*, przez to samo zapożyczenia z niemieckiego dowodzi, n. p. *szłom* — *helm*, *chyz* — *hus*, *chleb* — *hlaiſ* i t. d.; w słowach bowiem, które Słowianom i Niemcom wspólne, jako aryjskiego pochodzenia, nigdy sobie słowiańskie *ch* i niemieckie *h* nie odpowiadają, lecz inne brzmienia, porów. n. p. *słoma* — *halm* (łac. culmus), *sto* — *hundert* (łac. centum) i t. d.; słowiańskie *ch* wynika z pierwotnego *s* (najczęściej), niemieckie *h* zaś z *k*, por. n. p.

III.

W napływie ludów od wschodu runęła przewaga Niemców (Gotów, Herulów, Gepidów i t. d.) na zawsze; plemiona ich opuściły wschód, kierując się na szlaki, wydeptane oddawna ku obu imperyom, głównie zaś ku zachodniemu; opanowały Italię, Galię, Hiszpanię i Afrykę; a gdy burze, wichrzące po całej Europie, наконец uciły, wyłoniła się w szóstym wieku nowa postać wschodniej Europy. Po Celtach i Germanach przyszła kolej na Słowian. Jak tamci, z pierwotnych, stosunkowo szczupłych siedzib, niepowstrzymanym pędem szerzyli się na wschód i południe, później na zachód, wypierali lub podbijali ludy i zagarniali ziemice, tak zerwali teraz i Słowianie dotychczasową spólność szczepową, językową, społeczną; wypadali z pól i łąsów nadwiślańskich na zachód, okalając Karpaty, wdzierając się do pustej ziemi niegdyś (celtyckich) Bojów i (niemieckich) Markomanów, t. j. do Czech, szerząc się za Odrę po Łabę i Salę, zajmując wybrzeża bałtyckie, od Gdańska do Szleswiku, sięgając wgląd do ziemi Turyngów i Franków; z nad Dniepru znowu ciągną na południe, stają nad Dunajem, którego nazwę od Niemców przejęli, i na własne rzeki (Dunajec albo Dunawiec) i wody i ludzi (stąd Dunajów nazwany) przenosili; idą w górę rzeki, przeprawiają się

mech — *Moos*. Twierdzono, jakoby słowiańskie *gaj* z niem. *hag*, *hac*, „zagroda“, przejęto; lecz gdyby słowo *gaj* z *hag* pochodziło, musiałoby brzmieć *chaj* a nie *gaj* — dla tego *g* wykluczamy *gaj* więc z pożyczek, uważamy za rodzime. I samogłoski odgrywają tu znamienne rolę, szczególnie *u* wyrazów *buk*, *duma* i in. Dawniej poczet tych pożyczek pierwotnych był o wiele większy; wykazałem sam i wykażę niebawem, że cały szereg słów odwiecznie słowiańskich (mleko, chęlm t. j. wzgórze, por. Chęlmno i i.) najmylniej za pożyczki germańskie wydawano; pominąłem je tu wszystkie.

przez nią, napadają ludzi i ludy półwyspu, aż zupełnie się przesiedlili i prowincye ilirskie i trackie na zawsze posiadli.

Wobec tego gwałtownego wylewu na zachód i południe, nie zmieniały się znacznie dawne granice na wschodzie i północy; puszcze, trzęsawiska, jeziora dzieliły ich zawsze jeszcze od fińskich i litewskich rybaków i strzelców, pasterzy i rolników; i na stepie, nad Dunajem i Czarnem morzem, gościli Słowianie tylko w przełocie, ustępując coraz nowym koczownikom ze wschodu. Wspólna, prasłowiańska doba, przetwarza się w pierwszą dobę historyczną poszczególnych szczepów, a treść jej wypełniają pierwsze zawiązki państwowe, przyjęcie chrześcijaństwa, walka o niepodległość z cesarstwem rzymskim i bizantyjskim. Jakim wpływom ulegała wtedy, a głównie w trzech wiekach, od 910 — 1250, kultura polska?

Ponad wszystkim góruje wpływ chrześcijaństwa, chociaż całe stulecia mijały, nim „niemiecki“ Bóg polskim został, nim wpływ ten wszystkie warstwy narodowe ogarnął i przeniknął. W języku odbił się wcześniej i pełniej i zawarł w nim wskazówki, nie godzące się z tem, co dzieje przekazały. Z kronik i dokumentów wiemy niemal wyłącznie o germańskich i romańskich początkach polskiej hierarchii, duchowieństwa świeckiego i zakonnego — język zaś wskazuje bezpośrednio Czechy, jako rozsądnik chrześcijaństwa, te same Czechy, zbyt ubogie w ludzi i zasoby, aby własnym potrzebom starczyły. Jak pogodzić obie sprzeczności?

Średnie wieki odznacza ciągłość pracy umysłowej, stałe posługiwanie się jednym dorobkiem cywilizacyjnym drugich, zadziwiające wobec braku komunikacji, szkół, wymiany piśmiennej; migocą jakieś światelka, a ręce

tajemnicze, niewidzialne, podają je sobie nawzajem; przerw nie ma. Najlepszym dowodem posłużą dzieje chrześcijaństwa u Słowian. Jako apostołowie zjawiają się dwaj Grecy soluńscy, ze swą własną południowo-słowiańską gwarą i pismem, u Słowian zachodnich, u Morawian, aby ich, a za nimi i wszelkich innych Słowian, zdobyć dla Wschodu, dla Carogrodu. I cóż się okazało? Zamiast burzyć i budować na nowo, nawiązali dwaj bracia do tego, co już wyrosło z posiewów, rzucanych od kilkudziesięciu lat przez duchowieństwo niemieckie Regensburga i Salzburga; język Cyryla i Metodego obfituje w wyrazy, wyrobione i ustalone przez owych nielicznych misjonarzy zachodnich. Toż samo powtarza się przy nawracaniu Polan; nie stać wprawdzie samych Czechów na wywóz sił duchownych do Polski — mimo to, nikt nie zaczyna tutaj jakiejś osobnej nowej językowej pracy; jakby za umową, przenosi się cały na Morawach i Czechach w ciągu półtora wieku powstały dorobek językowy nad Wisłę i praca misjonarzy salzburskich i regensburskich ósmego i dziewiątego wieku przenika na Ruś i do Polski, chociaż oni sami o ziemiach tych ani kiedykolwiek słyszeli. Tak samo dostał się w r. 988 na Ruś język bułgarski.

Z tego pierwotnego słownictwa chrześcijańskiego — czeskiego i cerkiewnego, jeśli najbliższe, niemieckiego, łacińskiego i greckiego, jeśli dalsze źródła wymieniamy — nie jedno już utraciliśmy. Wyrazy *cerkiew* (Kirche) i *pop* (Pfaffe), u nas niegdyś wyłącznie używane, a jeszcze w XV wieku dobrze znane, zastąpiliśmy, jak Czesi, wyrazami *kościół* (castellum, obwarowane, omurowane miejsce w grodzie, kastelu książęcym) i *ksiądz* (t. j. pan, tytuł nadawany pierwotnie dostojnikom, n. p. dominus archiepiscopus — książdz arcybiskup; uogólniony na wszystkie duchowne osoby, zanika u świeckich zupełnie, chociaż

jeszcze w XVI wieku stale mawiano: wielki ksiądz litewski; już Bolesław Chrobry zwał duchownych „księdzami“, jak kronikarz opowiada). Na to słownictwo chrześcijańskie składają się nazwy osób duchownych, od papieża (Pabes), biskupa, ardyakona (tak jeszcze w XVI wieku n. p. Rotundus w r. 1564, zwali archidyakona), dziekana, proboszcza, kapłana, opata i przeora, a skończywszy na mnichu, żaku (dyaku, dyakonie), kleryku (klechą też zwanym) i kmotrze (z *compater*). Dalej nazwy cerekwie, kapły i kaplicy, klasztoru i ich części, ołtarza, chóru, kruchty, cmyntarza (cmentarza, smentarza, *coemeterium*); nazwy świętości (sakramentów): chrztu, bierzmowania (firmen, firmare), mszy i opłatka; chrzcić, *kristenen*, jest to czynić „Chrztem“, Christem (porównaj chrześcijanin); narzędzie męki Pańskiej krzyżem (od chruzi, *Kreuz*, a to od *cruci*, *crux*) zowiemy*). Dalej nazwy modlitw: pacierza, żołtarza i żałmu (*saltari*, *psalterium*; *salm*, *psalmus*); jałmużny (*Almusan*, z greckiego); żegnania (*segnen*, *signare*, tłumaczyło dawniej i błogosławienie, n. p., pożegnał temu stworzeniu w biblji z r. 1455); żegnanie niebawem i czarom służyć miało. Wyrazy dogmatyczne, jak angieł, angielei (z tego angioł, angielei, anjoł, anioł); djaboł (djabeł, djacheł, djas, djasek); nazwy świąt: kolęda czyli Nowy Rok, wilia; nieszpory albo, jakby od mszy, mieszpory; post (*Fasten*). Wiele innych wyrazów przetłumaczono mniej lub więcej gładko, n. p. popielec, czyścić i t. d.; inne wyrazy przybrały nowe

*) Działy tu jednak i jakieś wpływy romańskie, nie tylko germańskie, czego romańskie ż dowodzi, por. nazwy, jak: żak, żyd, kależ (kielich), papież i i., wszystko romańskie (włoskie? weneckie?). Na całym wschodzie i południu przeniesli Słowianie imię Pana pierwotne (Chrystus powtarza ponownie grecko-łacińską postać) na narzędzie męki, chrest jest u nich krzyżem tylko, nie Chrystem więcej.

znaczenie, n. p. grzech (od grzania, t. j. pieczenia, palenia w sumieniu), albo pkieł, piekła, pkielny (postaci jeszcze XV wieku, później zastąpione przez piekło, piekielny), oznacza pierwotnie tylko smołę, co później na smolne miejsca potępienia wiecznego odmieniono.

Wyrazy te wskazują po największej części język Cyryla i Metodego, a więc pierwotny obrządek słowiański, i w Polsce niegdyś, przynajmniej w Małopolsce, nieco żywotny, chociaż nasze źródła dziejowe tylko niewyraźnie o nim wspominają*). Ten obrządek słowiański był jednak więcej rzymskim, niż greckim: najdawniejszy pomnik tego języka słowiańskiego, przechowany do dni naszych, tak zwane ułomki kijowskie, zawiera przecież tłumaczenie łacińskiego „officium“. I oto znowu przechował język świadectwo nadzwyczajnej wagi, gdzie historia milczy zupełnie lub tylko słabo napomyka.

Pod wpływem nowej wiary zmienił się niebawem

*) Z tych to wyrazów „cerkiewnych“ przytaczamy jeszcze dwa dla odrębności ich znaczenia i kształtu; oba złożone, *mięsopust* i *błogosławić*. Pierwszy przesunął się już oddawna z oznaczania postu (mięsopust odpuszcza przecież, pozbywa się mięsa; rzeczywiście też w najdawniejszych pomnikach mięsopust post oznacza, jak n. p. *dielopust* niedzielę), na oznaczenie zapustu („mięsopusty, zapusty“ zaczyna się stara piosenka; podobnie carnevale zapusty znaczy). Lecz języki słowiańskie nie całkiem tu stałe, gdyż syropust oznacza tydzień, w który ser jeść wolno. Co się błogosławienia tyczy, to już ciągle wahanie się źródeł dawnych między niem a bogosławieniem, wskazuje wędrowkę wyrazu; jeszcze wyraźniej odbija się to w drugiej części tego złożenia. Winna przecież brzmieć *błogosławić* „benedicere“ i w cerkiewnej formie brzmi tak rzeczywiście; „benedicere“ próbowano tłumaczyć i przez „dobrorzeczyć“ (por. *złorzeczyć* „maledicere“, do dziś używane), lecz dobrorzeczenie nie wyparło bardziej utartego, starszego błogosławienia, które już w ustach czeskich, mylnie na błogosławienie (od sławy !!) przerobiono. „Bogiem sławiona“ Marya Bogurodzicy (zwrotki pierwszej, najstarszej) zastąpiła tylko „błogosławioną“ Maryę.

i wygląd kraju i sposób życia. W niesłychanej dotąd mierze zaciężył kościół nad jednostką, swobodną w pogaństwie; wymagał zmiany pożywienia w pewne dni i pory, a niektórych mięs zabraniał na zawsze; odrywał w pewne dni od naglącej pracy, niedzielą i świętami. Najsilniej krępował wolę: mógł przedtem ojciec swe nowonarodzone i do wody wrzucać, lub w lesie zwierzom zostawiać, dzieci sprzedawać, brać żon, ile środki pozwalały, mogła żona męża opuszczać — wszystko to nagle ustało, we wszystko wmieszał się nadzór kościelny; on zabraniał porzucania niemowląt, sprzedaży dzieci, nawet swadzieb i godów w pewne pory roku, lub w pewnych stopniach pokrewieństwa; wymagał „oddawania“ w kościele i ślubów dozgonnych; żony przetwarzał na *małżony* (*Mahal*, umowa ślubna?).

A co najboleśniej było, nawet zmarłym nie przepuszczał: zamiast prastarych żalów i zgłiszcz nad rzeką, w dąbrowie, na polu, około których wieszały się cienie dziadów i pradziadów, błagane obiatami na wiosnę i jesień, szczodre i łaskawe, zmuszał do grzebania zwłok w drzewie około cerkwie lub kapły, gdzie zmarłym i obiat należycie znosić nie było można na miejsca, od których nienawistne ramiona krzyżowe duchów miłych przodków odstraszały. I mieszał się kościół do wszystkiego, do obrzędów, pieśni i piasów nawet, a nadto wymagał dla siebie samego ciągłych i znacznych ofiar, opłat i danin. Nie dziw, że praca misyjna utykała bardzo, że źle uprawiana gleba owocowała mało. Tymczasem, z ramienia i pod opieką władców, nie znoszących oporu, obok drewnianych, rzadka podmurowanych izb, trzemów, chyzów, wież (namiotów), wznosiły się po kasztelach cerkwie i kapły, zrazu również drewniane, później, im hojniejszych i bogatszych przybywało dobrodziei, z ka-

mienia ciosowego i z cegły; krzyże zatykano po wzgórzach i przy drogach, po uroczyskach i gajach, skąd *pogaństwo* wydalano i *pogan* (paganus); *pielgrzymi* w *kukłach* i *kapeluszach*, przetykanych muszlami, o długim kiju, przewijali się coraz częściej po pąciach (drogach), dążąc do Rzymu i innych świętych miejsc; klasztory z mnichami czarnymi, szarymi, białymi, z mniszkami, na Tyńcu, na Łyścu, w Trzemesznie i t. d., po i przy grodach, nadawane coraz obszerniejszemi włościami i wolnościami, przeobrażały powoli całe okolice, przez karczunek, troskliwsze gospodarstwo, rozmaite ulepszenia, wprowadzanie nowych drzew, warzyw, ziół i kwiatów. Przy cerkwiach i klasztorach pojawiły się, najpierw w Krakowie i Gnieźnie, potem i dalej, rozsadniki dla duchowieństwa, w pierwszych szkołach, wywołanych potrzebami kościoła, wystawnością nabożeństwa, wymaganiem świeckich, gdy coraz więcej spraw, niegdyś ustnie załatwianych, piśmiennemi świadectwami stwierdzać należało.

Ze szkołą przyszli *mistrzowie* i ich *lokaci*, później *bakalarze* z przyborami: ferułą, inkaustem i t. d., z szkolnemi opłatami, z obiecadłem (abecadłem) i z pierwszemi książczynami, z Katonem, Donatem i Aleksandrem, utraپieniem żaków polskich. Chwilowa reakcja pogańska (od Mazowsza do Pomorza), spłądrowanie zachodniej Polski przez czeskiego Brzeclawa, znacznie późniejsze wschodniej przez Tatarów, zjawienie się moru, stawały przeszkody szerzeniu się życia chrześcijańskiego i duchowego, lecz fali nie zatrzymały; religijne uczucia wybuchały w obchodach biczowników, z pierwszą pieśnią nabożną polską na ustach — gdyż dotąd lud i woje tylko *kierlesz* (kirie eleison) powtarzali.

Powoli zaczynał się naród pozbywać, jak innej spuścizny po przodkach, tak i bogatego imiennictwa słowiań-

skiego. Bolesławy i Kazimierze w panującym rodzie, Stanisławy, Sędziwoje, Dobrogości i Przemyśli w rodach chorągiewnych i włodyczych, Mileje, Czarnoty, Radomy, Cierpische między starostami, smardami, łazekami, nie zachowywały równej miary: u książąt i panów zwyczaj powtarzania imion ojcowskich u synów, zapewnił im istnienie jakieśkolwiek; u niższych przeważały w końcu starania duchowieństwa, obojętnego niegdyś dla imion, lecz później nalegającego na wybór imion, zapisanych w „księdze żywota“, a więc świętych, starozakonnych i t. p.; z obcym Piotrem (patronem rybaków słowiańskich), Pawłem i Janem, z Jakóbem i Michałem, z Pilgrzymem, postąpił język całkiem jak z własnym Stanisławem w nawoływaniu rodzinnem, czułem i szorstkiem, powstały owe Piechniki, Pasie i Jaški, Jaksy, Kuby i Mikory, Grzymki, całkiem jak Stachniki, Staški i Sławki. Inne tłumaczono żywcem, jak Ignacego na Żegotę a Sylwestra na Lasotę; znowu inne przekształcano, z Egidyusza Idziego, Dziwisza z Dyonizego, Jarosza z Hieronima (Jeronima), Nawojkę z Natalii, Tworzyjana z Floryana (dzisiejsza Floryańska brama w Krakowie zwała się jeszcze w XVII wieku Tworzyjańską).

Wybierano imiona najdziwaczniejsze, najrzadsze; stąd owe Parysy, Jaktory (Hektor), Jaracze (Horacy), Białdamy, Fenenny i t. p. Niewyczerpane niegdyś zasoby imiennictwa słowiańskiego zeszczuplały dziś do kilku okazów — a i między niemi są fałszywe, n. p. Wanda, która to nazwa ani w tej ani w żadnej innej formie nigdy w Polsce przeddziejowej nie istniała.

Lecz obok głównej, chrześcijańskiej treści, nabiera kultura tej epoki i innych rysów, czerpiąc i te prawie wyłącznie z zachodu, od Czechów, Niemców i Romanów. Zapowiadają się znaczne zmiany polityczne i społeczne;

obszernym włościom Bolesławów nie starczy już „ksiądz“, choćby go i „wielkim“ dozywano — miano *króla*, od Karola Wielkiego urosłe, jak niegdyś cesarza od Cezara, władcy Polan się należało.

Dziwnym trafem od tego samego Karla (Kerl) urosła nazwa i dla karłów. Króla z *berłem* (ferula) w ręku, z *koroną* na głowie, na *tronie* w *pałacu*, otaczali *kmieciowie* (comites), dostojnicy *pałacowi* i inni, który tytuł każdej starszyźnie, w końcu i wiejskiej przydawano; rody, *szlachta* (słahła *Geschlecht*) z dziedzicznym (*erb*) znakiem, *herbem*, garnący się około króli i książąt, w różnych stopniach, wedle zamożności i znaczenia, przejmują wyłącznie trudy służby wojennej; *rycerze* zyskują nagrody i przywileje, zapewniające im z czasem wyłączny wpływ na państwo i wyłączne używanie wolności.

Broń była cudzoziemska; jak dziś Anglicy, tak w XI wieku uzbrajali frankońscy handlarze barbarzyńców *brnią* (Brünne z celtyckiego) frankońską*) przeciw własnym ziomkom — mimo surowych zakazów Karola. Lecz handlarze ci, a między nimi coraz liczniejsi żydzi, sprowadzali wszystko możliwe: korzenie, *pieprz* (i *pieprzem* zwany, stąd *pierno*, *pierzno*, *piernik*), *szafran*, *imbier*, *cukier*. Ważniejszymi artykułami po targach bywały: *olej* (niemieckie olei), *piżmo*, *pierty* (dziś perły), *jedwab*, (nie „wabiący jad“, lecz czeskie hedwab, z Götawebbi, t. j. przędzy boskiej), *bursztyn* (t. j. palący się kamień); z ryb przedewszystkiem *śledzie* (północno-niemieckie sild), niegdyś obficie w Bałtyku łowione; z broni między innymi i miecze z *jelcami* (u rękoności, zwanymi później

*) Język polski nie zna już słowa odpowiadającego czeskiemu *brnye* (n. p. w Aleksandreidzie wiersz 1395: a sen tepruw usypa *brnye* — a ten dopiero wdziewa kolczugę), z gockiego *brunjo*; nasze *broń*, *bronić* i t. d. zupełnie odmienne, rodzime słowo.

i *jedlcami*, czeskie jilce, niemieckie helza); od handlarzy nauczono się rozróżniać *barwy* (Farbe) u jedwabiu i tkanin, *białą* (blau, porównaj bławat), *bruną* (brunatny), *błękitną* (z łacińskiego blanketus, z niem. blank). Towary *ważono* na *wagach*; od handlarzy dowiedziano się i o *lwach* (Löwe), *strusiach* i o innym piactwie, o papugach, pawiach (Pfauo) i *bażantach*.

Szczególnie znacznym był przyływ nowych rzeczy a więc i nazw z niemi, do kuchni i piwnicy. W *kuchni*, gdzie później *kucharze* i *kuchty* gospodarowali (czeskie kuchynie, z niemieckiego chuchinna, a to z łacińskiego *coquina*), dodawali *szafarze* wszystkiego; z naczyń drewnianych i innych stały tu *konwie* (Kanne), *wębor* (Eimbar, Eimer), wiadro o jednym ujęciu), *spądy*, *panwie* (Pfanne), *kubki* (Kopchin), *gbeł* (też nazwa miejscowa) i *kubel* (Kübel), *stągwie* (ze *stądwie*, Standa), *łagwie* (Lage), *bednie* (bednarze je wyrabiali, butin, z łacińskiego butina), *stępy* (Stampfe), *puszki* (czeskie, niemieckie buhsa z greckiego), *skopy* i *skopce* (Scaf, Schaff, a z tego później znowu szafy i szafliki do nas się dostały), nawet plecionki, jak *kobiel*, *kobiałka* (Kobel); *skrzynia* (scrini, Schrein) i *pudło*. Obok tych nazw niemieckich, z których niejedna z łaciny wyszła, n. p. Kübel z *cupa*, Eimer z *amfory*, Schrein z *scrinium*, rozpoznał się szereg grecko-łacińskich, nieraz nawet starszych, niż wymienione niemieckie; przedewszystkiem *misa* (*półmisek*, z *mensa*, *mesa* — nazwy stołu i misy stale się spadają, mieliśmy wyżej toż samo u *bluda* misy, z gockiego biuts = stół), dalej *deska*, albo jak dawniej odmieniano, *cka*, t. j. *dska*, w liczbie mnogiej *desk* (z *discus*, niemieckie *tisc*, Tisch); *kadź* (łacińskie *cadus*); *krobia*, *króbka* (łacińskie *corbis*, Korb); *beczka* (nie z Bottich, lecz z łacińskiego i greckiego buttis, jeśli to

nie myłka). Do nazw naczyń i t. p. należy przyłączyć nazwy budowli rozmaitych, poczynawszy od *budy* (u nas nadzwyczaj rozrosłej, *budować*, *budynek* i t. d., z niem. bude), *kotu* i *koćca* (niemieckie Kathe, u nas później kojec, kojca), a skończywszy na *murze* i *murowaniu*, *kominie*, *komnacie* lub *kownacie*, *komorze*; tu należy i *stodoła*, niemieckie Stadal.

Ogniskiem, skąd te rzeczy i nazwy szerzyły się po ziemiach polskich, były głównie gospodarstwa klasztorne benedyktyńskie i cysterskie: Tyniec, Łysiec, Łąd, Mogiła i inne. Z ich sadów i ogrodów warzywnych rozeszły się również *brzoskwinie* (dosłownie: perskie jabłka, Pfersih); *czrześnie*, albo jak je dziś piszemy *trześnie* (*Chirsa*, z *cerasus*, z czego może już prasnawiańskie *czercha*, urobione potem przyrostkiem -nia) i *wisznie* (nazwa po całej Europie znana, lecz z kąd wyszła?); *pigwy* (z niemieckiego Figa, podczas gdy *figus* fikiem, fikowem drzewem przezywano) i *gdule* (czeskie gdunie, niemieckie chutina z łaciny; gdule i grdule, lub grule, służyły później i innym owocom); *agrest* (agresta). Z kwiatów i ziół wprowadzili mnisi, wyłącznie w celach leczniczych, nie dla barw ani woni, *róże* i *lilie*, *rutę*, *lubszczyk* (jakby od lubego nazwany, lecz to niemieckie lubestecco, z łacińskiego *levisticum*), *miętę*, *rumianek*, który przecież nic rumianego nie ma ani z „romanus“ poszedł, lecz jest rmankiem i rmenem, ostatecznie z kamomili powstałym. Z warzyw i t. p. uprawiali pierwsi *łodygę*, lub *łocykę* (z łacińskiego *lactuca*); *łuk* (Lauch), *kmin* (Chumin, później Chumil, Kümmel, z greckiego), *piotruszkę* (Peder-silli), *trzebułę* (Kerbel), *chrzan* (Kren), *rzodkiew* lub *rzot-chwę* (Rettig z *radix syria*), *cybulę* (Zibolle, łacińskie *caepula*), *marchew* (Morha, Möhre), *broskiew* i *wrzoskiew* (brassica), *kapustę* (kampustę, *composita*); od po-

łudnia i wschodu przysły *ogórki* i *ćwikła* (obie z greckiego); *bukszpanem* i *barwinkiem* (pervinca) wysadzali grządki, a z lauru, choć go nie szczepiono, zrobili (w Czechach) *wawry*, *wawrzyny* (porównaj Wawrzyniec=Laurentius). Czy już im przypisywać uprawę włoskiego grochu, *cieciorki* (łacińskie cicer, niemieckie Kichererbse)?

Dziwne, że dla niektórych swojskich drzew zjawiają się obce, łacińskie nazwy, n. p. dla topoli z populus; coś podobnego widzieliśmy w dawniejszej warstwie dla buka. Również pomijamy same uszlachetnienie domowych grusz (krusz), jabłoni i śliw, jak i wprowadzenie uprawy (niezbędnego dla ofiary mszy św.) wina, czego choćby różne Winiary dowodzą, ponieważ język dokładniejszych śladów nie zachował. Lecz nie tylko kwiaty i zioła, warzywa i owoce rozchodziły się z gospodarstw klasztornych po kraju; z nich poszły może i *koty* (cattus, a od pazurów kocich i *kotwice* przezwano; ale ta pożyczka kota bardzo stara); z drobiu znane (i hodowane?) od najdawniejszych czasów gęsi, kury i ąty czyli *kaczki* (*kachny*, czeskie, t. j. Katarzyna; miano osobowe nadawano często zwierzętom, tak Filipem zająca, Marciszkiem kockodana, a księdzem Wojciechem bociana nazywano, szczególnie u Niemców; z ich Reinharta n. p. poszedł renard i t. p.); wreszcie gołębie; czy i *króliki*, których niezręcznie z niemieckiego Kunigel (jakby*od niemieckiego Kunig — król) przetłumaczono, choć niemiecka nazwa od łacińskiego *cuniculus* (Kaninchen) pochodzi? Ryby nabierały dla postów szczególnego znaczenia; nie dziw, że łacińsko-niemieckimi nazwami odróżniano coraz liczniejsze gatunki, n. p. *wyzy* (huso, Hausen), *karasie*, *karpie* i inne.

Z ubiorem duchowieństwa szerzyły się i obce jego nazwy; wspominaliśmy o *kukłach* na głowie (Kugel, cu-

cullus); należy dodać *kapę* (*kapice*, *kaptury*), *koszule* (habity z *casula*), *żupy* (*żupice*, *żupany*, z Joppe, łacińskie *jupa*, z powstało na ziemi romańskiej, jak w słowie żyd z *judeus*), *gunie* (łacińskie *gunna* — kozuch, angielskie *gown*) i t. d. Inne nazwy materyi i części ubioru pomijamy, nie mogąc ich ze wszelką pewnością do tych wieków odnosić. Niektóre słowa, dziś w polskim nieznane, pomijamy.

Ważny postęp zaznacza wprowadzenie młynów (wodnych), gdy dotąd na żarnach ręczną robotą zboże kruszono i mielono; *młyn* (niemieckie *mulin*, z włoskiego *mulino*) kobietom i niewolnikom sporo pracy ulżył; czy wraz z młynem i nazwa *krup* (*Graupe*), dalej, czy już wtedy rozmaite pieczywa, jak *żemla* (*Semmel*, z *simila*), *całta* (*Zelten*, *Lebzelten*), *buła* (i *bułka*, później *bułarnia* piekarnia, od kształtu pieczywa, niemieckie *bull*), do Polski się przedostały, nie rozstrzygamy.

Wpływy te nie ograniczają się wyłącznie do podobnych nabytków; i moralne pojęcia i stosunki niejednokrotnie w nich się odbiły. Więc zapoznał się „niemądry“ Polak — nie z rzeczą, lecz z jej nazwą, ze *szkodą* (słowo to u nas nadzwyczaj się rozrosło: szkodliwy, szkodnik, szkodować, przeszkoda i t. d., oznaczało pierwotnie nie tylko stratę, lecz i niebezpieczeństwo i zgorszenie).

Gdy nie wypełniał należycie zleconego *orędzia*, gdy źle *orędownał* (*arunti* — zlecenie), gdy nie słuchał mądrej *radę*, chociaż sam innym chętnie *radził* (*rad*, *Rath*; stąd wyszły i *rajca* i *raić* z *raiffurem* i zdrada i t. d. wedle *Verrat*), nie potrzebował czekać długiej *chwile* (lecz słowo to mogłoby i do pierwszej warstwy należeć, gockie *hweila*, niemieckie *wile* z *hwila*; później *krotochwila* = *Kurzweil*), aby szkody dopytał. Kto mu z niej wybrnąć pomagał, temu oddawał gorące *dzięki* (*Dank* od *denken*;

znowu bardzo rozrosłe w późniejszym języku; czyniono komu w dzięk — stąd wdzięczny — i przez lub bez dzięki, wbrew jego woli; dziękczynienie; później wzięto powtórnie z niemieckiego dank*), w nazwie herbu Abdank, w czasowniku abdankować żołnierzy).

Jak gdyby rodzime czary i czarownice nie wystarczały, słuchał Polanin chciwie przywoźnych opowiadań o *strzygach* (łacińskie *striga*), że nabiął odbierają i słabości nasyłają; ze strzyg urosły mu później i *strzygonie*. Wspominamy jeszcze, że do domowych narzędzi muzycznych, do rogów, do gęśli, które palcami przebierano i do skrzypek (smyczkowych), przybyły najpierw u wojska *trąby* (trumba); *lutnia* (lute, Laute) zdaje się być późniejszą. Rolę wymierzano *łanami* (laneus); chleb krajano *skibami* (sciba, Scheibe, z czego później *szyba* poszła); zbierano coraz częściej i gorliwiej *skarby* (scerf drobna moneta, Scherflein); zapożyczono też nazwę *łądu*. Z chrześcijaństwem przyszły wreszcie i nazwy dni i miesięcy. Polanin rozróżniał pierwotnie tylko pory roku i liczył

*) *Dank* dostało się do Polski nie wprost od Niemców (brzmiałoby bowiem w takim razie *dęk*), jak mylnie twierdzono, lecz na Czechy, staroczeskie *diek* i *dieka*, *dzięka*, *diekczynienie*, *bezdieky* niechętnie, *wdieczny* wdzięczny, *wdiek* i *wdieka* wdzięk i t. d.; ostatnie naśladuje włoskie *grazia*, francuskie *grace*, z *gratus* — wdzięczny. Górnicki jeszcze *grazia* przez „przystalość“ tłumaczył. Rozrósł się więc niesłychanie obcy ów temat. Po stuleciach przedostał się jeszcze raz do języka, ale wyglądu obcego już nie zmienił więcej; *dank* różni się od *dzięki*, jak *sztom* od *helmu* lub *berło* od *feruły*; używało się go w zwrotach: *dank* odnieść lub mieć nad kim, przyznawać *dank* komu, w czym i t. p., t. j. nagrodę odnieść, pierwszeństwo; w tem odcieniu znaczenia poszedł język znowu własnym torem. Staroczeskie *diek* mogło na gruncie polskim przybrać brzmienie nosowe, zjawiające się nie-raz w pożyczkach, n. p. w pielęgnować, kręgle, trębka, krępować i innych wyrazach.

dnie miesiącami; obok tego oznaczał, od zajęć gospodarskich, od zjawisk przyrody, w świecie roślinnym i zwierzęcym, krótsze przeciągi czasu. Chrześcijaństwo dopiero przyniosło podział dwunastu miesięcy i dni tygodniowych; nazwy miesięcy przyjmowali Słowianie bez zmian łacińskie, a nazwy dni tłumaczyli z łaciny i niemczyzny (środa — Mittwoch), zachowując naturalnie sobotę niezmienną, urabiając do niej, n. p. w Polsce i *sobótka*, t. j. wile świąt, obchodzone uroczyściej; przykład czeski (częściowo cerkiewny) obowiązywał niedzielą, tygodniem i t. d. i Polan. Wcześniej jednak zaczęto łacińskie nazwy miesięczne zastępować domowymi terminami, odpowiadającymi mniej więcej czasom, na jakie łacińska nazwa przypadała; stałego, określonego nie było w tem nic, słownictwo chwiało się całkowicie nawet w obrębie jednego plemienia.

Niemcy (jak i Rosyanie) pozbyli się później ponownie terminów ludowych, uznając tylko łacińskie; Czesi, wystrzegający się bojaźliwie każdej obcej etykiety, odrzucili wszystkie łacińskie; w naszej stałej niestałości choć dwa łacińskie zatrzymaliśmy. Lecz dopiero w XVI wieku ustaliły się te nazwy i następstwo ich, dowolne w czasach dawniejszych. Zaczynano bowiem rok *lutym*; drugi miesiąc zwano *strąpaczem* (strzępiącym, ścinającym mroźnie pola i łęgi); kwiecień nazywano słusznie *łykwiałem* (u Czecha kwiecień trafniej na maj przypada); zamiast czerwca i lipca, istniały nazwy *czerwień* i *lipień* — urobione na modłę dalszych miesięcy; *sierpień* bywał i *stojaczką*, niby zastanowieniem przyrody; wrzesień i *pajęcznikiem* nazywano; październik i listopad mieniali następstwo; krakowscy Niemcy wprowadzali niejakiś czas i siennik (Heumonat) i winnik (Weinmonat) z niemieckiego, lecz daremnie; pierwszy miesiąc nazwano

w końcu styczniem, nie dlatego, że się ze starym, nowy rok ztyka (boć i w grudniu toż samo się dzieje); zwał on się dawniej tyczniem od tyk (które wtedy rąbano?). Nazywano też miesiące całkiem z chrześcijańska, od głównych świąt, n. p. luty gromnicznikiem i t. d.

Wobec tego nadmiaru pojęć, rzeczy i nazw, płynących od zachodu — umyślnie, aby uwagi zbyt nie rozrywać, nie rozbieraliśmy pytania, które z nich czeskie, niemieckie, łacińskie; wspomnijmyż mimochodem, że n. p. wszystkie wyżej przytoczone nazwy botaniczne, niby niemieckie, poszły z łaciny. Od wschodu nieliczne przybywały słowa, kilka greckich wymieniliśmy wyżej, do nich i *korab* (okręt) dodać należy. Żywej i stałej wymiany z Rusią, oddzieloną wyznaniem, nie było, tem mniej wprost z dalszym wschodem i południem. Na Rusi rozplątywał się tymczasem strumień normański w słowiańskim morzu; niejedno, co po nim w ruskim pozostało, przeszło, lecz znacznie później, i do Polski (jaszczyk, knut, ciwun i t. p.). Na stepie, od Azowskiego morza do Węgier, zmieniały się po kolei szczepy Obrów (Awarów, srogich ciemężycieli Słowian, stąd czeskie obr, nasze obrzym, później olbrzym, dla wielkoluda), Węgrów, Pieczygów, Kumanów czyli Połowców, Mongołów — Tatarów; nie rozróżniał ich naród polski, tak jak ruski, lecz nazywał ich wszystkich Kunami, t. j. terminem węgierskim, oznaczającym Kumanów; stąd nazwy miejscowe: Kunowo i inne.

W ciągu wieków przeniknęło jedno i drugie słowo wschodnie, perskie i t. d., za pośrednictwem tych koczowników, do ust najdalszych Słowian, przedewszystkiem *topór*, *kłobuk* na głowie, *kord* u boku i kilka innych, między niemi najważniejsze: żupan, wysoki urzędnik, u Czechów i u nas skrócone w żpan (stąd madyarski

ispan i niemiecki Gespan), a dalej pan = kasztelan, co później gospodzina zastąpił.

Tak zwierciadła się w języku nabytki kultury tej epoki; wyrazy jej są jeszcze po wielkiej części wspólne dla Słowian, chociaż z czasem tylko wędrówką od szczepu do szczepu się dostawały; niektóre sięgają ósmego wieku — inne, późniejsze, już tylko do Czechów i Polan należą. Względnej ich starożytności dowodzą silne zmiany, jakim, zeswojszczone zupełnie, ulegały; wygląd ich obcego pochodzenia prawie jeszcze nie wykazuje. Stopień osiągniętej teraz kultury państwowej, społecznej, religijnej, o wiele wyższy od poprzedniego; wprowadzenie rzymskiego chrześcijaństwa i wzorowanie się wedle starszej w kulturze braci rozstrzygnęło; odtąd wpleciona Polska w grono społeczeństw zachodnich i kierunek dalszego jej rozwoju tem samem jest już ustanowiony na zawsze.

IV.

Tymczasem, w ciągu dwunastego wieku, dokonała się nowa, walna zmiana, która, począwszy od następnego stulecia, na dziejach Polski i jej cywilizacji silnie zaważyć miała. W poprzednich wiekach Polanie i Niemcy nigdzie bezpośrednio ze sobą nie graniczyli; jednych dzielił od drugich prastary, szeroki, potężny wał słowiański; on to właśnie wytrzymywał napór rzeszy od czasów Karola Wielkiego do Fryderyka Rudobrodego; za tem przedmurzem nagabywana tylko przelotnie, mogła Polska siły swe skupiać i rozwijać. Lecz wał ten, podkopany zewnątrz i wewnątrz, runął na zawsze w dwunastym wieku, i ziemice, osłaniające dotąd Polskę, nad Łabą i Odrą, przeszły w ręce niemieckich panów, a jeśli się nawet na Pomorzu, Rugii i w części Meklenburga, „księdzowie“

słowiańscy utrzymali, to już tylko same nazwy owych Bogusławów, Kazimierzów, Wyszestawów, przypominały i późnym pokoleniom ród ich pierwotny.

Lecz za niemieckim i za zniemczonym panem zalewały fale niemieckiej ludności, Fryzów, Sasów, Holandów, Flamandów, Franków, nawet Szwabów, opustoszałe doszczętnie, lub zaludnione lichy, ziemice słowiańskie; już z końcem dwunastego wieku docierały fale do granic polskich, a w następnym cała niemal zachodnia Polska, prócz wąskiego pasu czeskiego, okolona jest nowym żywiołem. Do trzynastego wieku nie było więc bezpośredniego wpływu niemieckiego, szedł on niemal wyłącznie na Czechy, faktycznie albo idealnie; od trzynastego wieku natomiast działał wprost.

Nie zatrzymały się bowiem fale niemieckie u granic polskich; książęta, duchowieństwo, panowie wzywali sami i popierali nowe osadnictwo, skierowane więcej ku gromom, niż na pola i puszcze. Jak w poprzedniej epoce główną treścią kultury było prędkie zewnętrzne przyjęcie chrześcijaństwa i powolna asymilacya jego z życiem i duszą narodu, tak samo góruje w teraźniejszej epoce, od 1250 do 1550, wytwarzanie się życia miejskiego. Bo polskie grody i podgrodzia dopiero od napływu niemieckich osadników przekształciły się w miasta, w znaczeniu zachodniem; dopiero odtąd liczymy się z nowym, osobnym stanem miejskim, bogatym materialnie, zabiegliwym i pilnym, garnącym się ku oświacie, posiadającym samorząd, wyodrębniającym się językiem, obyczajem, skłonnościami, od innej ludności, co się staje powodem nieporozumień, waśni i walki, w której stan ten w końcu, chociaż z narodowością zlał się już zupełnie, pokonany, osłabiony, ustąpił, z największą szkodą dla całego kraju. To jedna główna strona rozwoju.

Obok mieszczan-Niemców, nabierają jednak i Czesi nowego znaczenia dla Polski. Wcześniej i stalej w zachodni ruch dziejowy i obyczajowy wciągnięci, dobijają się już w trzynastym wieku wysokiego stopnia oświaty, a w czternastym, za Karola, stają na czele Europy.

Wprawdzie wysiłek ten kosztuje ich wiele; sama ich narodowość wydaje się zagrożoną; niemczyzną przesiąka szlachta, duchowieństwo i miasta; słyhać głosy niemieckie już za Przemysłów, że przyjdzie czas, gdy na praskim moście Czecha widać nie będzie. W grożącym niebezpieczeństwie uświadamia się jednak i ukrzepia narodowość; literatura w ojczystej mowie, choć na obcych wzorach powstała, wspiera ją silnie; niebawem ogarnia obie silny ruch religijny i w imię jego odślawiańszczyły się po raz pierwszy zniemczałe już Czechy.

W walce o wolność sumienia wyrobiły ich wojska nową broń i taktykę, i ci sami, którzy w czternastym wieku służyli w Polsce za wzór urządzeń państwowych, na których literaturze i szkole polskie się kształciły, udzielali teraz nauk nowej wojskowości. Jak Kazimierz Wielki na Karola, tak zapatrywał się Kraków na Pragę, a Polska na Czechy; stąd brano wszystko, od monety aż do pisowni.

Przewaga ta starszej oświaty czeskiej przetrwała późno, aż do szesnastego wieku, przynajmniej w dziedzinie językowej, gdzie „gładkie czeskie słowo“ stare polskie wyrazy rugowało, gdzie niby za dowód ogłady uchodziło w mowie mieszać — jak dziś francuszczyznę — czeskie okruchy, gdzie literatura, szczególnie teologiczna, górująca produkcją nad wszystkimi innymi gałęziami, nie wahała się terminów czeskich używać i wprost się do tego przyznawać.

Ogółem uważać należy, że poczucie językowe

XIV—XVI wieku od naszego zupełnie było odmienne. Ówczesnym ludziom pstrocizna językowa nigdy nie wadziła; bezmyślnie niemal przetykali wyrazy rodzime obcemi, czeskiemi, łacińskimi (całymi frazesami), niemieckimi, za leniwi, żeby własne obmyślać lub tylko zastosować; mowa potoczna ówczesna roi się od tancmantlików, szturmhaubów, kryksmanów, szancknechtów i t. d.; piszą n. p. „ani na *fancz* (Feindschaft), ani na przyjaźń nic się nie oglądając“ i t. p. (list Wojny do Sapiehy z r. 1604). Z dziedziny umiejętności język narodowy był ogółem wykluczony; językiem szkolnym i teraz pozostała wyłącznie łacina: gdy chciwy wiedzy Dymitr (Samozwaniec) na ojców Jezuitów (Czyżowskiego i Ławickiego) nalegał, by go czegokolwiek uczyli, choć po łacinie nie umiał — wystawiali mu obaj usilnie, jak nadzwyczajnego truduby wymagało, gdyby kto reguły jakiegokolwiek nauki po polsku wyklądać zamierzał (w Putywlu 9. maja 1605 r.).

Wobec takiego zapatrywania na język, cóż za dziw, że zalewały go obce fale, domieszki łacińskie, czeskie, niemieckie, wprowadzane oddawna, i włoskie, węgierskie, ruskie, tureckie, wprowadzane świeżo; w falach tych zaginęło wiele staropolskich, słowiańskich wyrazów. Lecz z tą samą łatwością, z jaką wchodzili, ginęli ci przybyśsze; widoczne to szczególnie na licznych wyrazach niemieckich, podtrzymywanych przez mieszczaństwo jeszcze w XVI wieku i już w tym samym wieku na zawsze wychodzących z użycia.

O tym nadmiarze obcych żywiołów w mowie XIV do XVI wieku spisy ich, istniejące dotąd w naszej literaturze, nie dają pojęcia, gdyż opierają się na słowniku Lindego, uwzględniającym język dopiero od r. 1550, t. j. gdy główna fala obcych słów już stanowczo ustępowała.

Lecz i my nie możemy myśleć o wyczerpaniu ich — nie dajemy przecież słownika obcych słów — musimy nawet zmienić wykład: jeśli dotąd staraliśmy się dokładnie obliczyć, co z obczyzny weszło, zadowalały się teraz kreśleniem głównych kierunków rozwoju.

Rozwój ten szerzył się od niemieckiego mieszczaństwa, czeskiego państwa i szkoły łacińskiej.

Grody i przygrodzia słowiańskie, obronne przekopą i zabrodłem, gdzie chyba „kasztel“ i „cerkiew“ z kamienia się wznosiły, gdzie życie wrzało tylko podczas targów, sądów i wieców, gdzie z otaczającego pola ludzie kolejno na „stróżę“ wychodzili, a okoliczne zduny, piekary, koniary i t. p. potrzeby załogi grodowej i książęce opatrywały, przemieniły się dopiero za przybyciem osadników w „miasta“ (i w czeskim, wedle niemieckiego Ort; miasto znaczyło przedtem tylko miejsce, jak to jeszcze w zamiast lub natychmiast widzimy), a ich mieszkańcy w „mieściców, miejskich synków“ lub „mieszczan“. *Gminą* zarządzili *rajcy*, a sądzili w niej *ławnicy* (przysiężnicy) pod *burgmistrzami* obieralnymi i stałym *wójtem* (*rychtarzem*), po wsiach pod *sołtysami*, wydając *wilkierze* (uchwały), uchwalając *szosy* (*Schosz*, pobory, *szosować*), znachodząc *ortyle* w sprawach spornych i przestępstwach, wedle prawa miejskiego, majdburskiego; nad porządkiem w mieście czuwali *ceklarze* (*Zirkler*), *firtelsleute*, po domach *usnachci* (*Hausknecht*). Ulice nie moszczone już drzewem, jak dawniej, lecz *brukowane* (*bruk*, *Brucke*, mówiono i *burk*, jak *durk* obok *druk*, *druszlak* i *dur-szlak*), z *rynsztokami*, prowadziły na *place* i *rynek*; obok *ratusza* (ktorej nazwy polska wietnica nie wyparła) i sukiennic, „wznosiły się *smatruzy**), *kramy* i *budy* na

*) Miejsca, gdzie przekupki, iglarki, kaletniczki, paśniczki i t. d. siadywały, nie darmo od „papłania“ (*schmettern*, *garrulorium* po ła-

tretach; na *mikszacie* (Miethstatt) czekali *mikszatnicy*, *tragarze*, *szrotarze* (Bierschröter, co *szrotowali*, *ładowali* beczki i t. d.), aby ich najęto — *lonarzy* (lunary, Lohnherren) dozorowali; o zamożności i pobożności mieszczan świadczyły ich *fary* i *tumy*, w których Polak nieraz trafił na „niemieckie kazanie“; wieże zastępowały turmy.

I zmienił się zupełnie wygląd grodu — miasta. Po bokach ulic wznosiły się wysokie, murowane, wąskie domy, pod *strychem* i *dachem* z *łat* i *szkudeł*, z *rurami* (albo *rynnami*, *dachówkami* i *szachtami*), z *gankami* albo *banerami*, z *gmachami* i *gmaszkami*, *alkierzami* (Erker) i *indermachem*, z *szybami* u okien, z *furtkami* u wychodu; *mury* były *tynkowane*, *filary* i *gzymse* nadawały im piękniejsze pozory; domy i mury miejskie (z *wykuszami* wystającymi i z *blankowaniem*) budowano z cegieł, które wyrabiali *strycharze* i *żumpiarze* u *żumpiów* (żapiów, rzapiów, z Sumpf) za miastem.

W tyle i po bokach domów, szczególnie na *forwarku* (folwarku) budowano *szopy*, *lamusy*, *spizarnie* dla rozmaitej *spiży* (Speise), *śpichrze* (Speicher z łaciny), *gruby*. W izbach nazbierało się dowoli nowych *gratów*, jako *almaryi* i *almaryjek* (szaf) lub *spidwasków* z *szufladami*, *trun*, *zedli* lub stołków, stołów w rozmaite *fladry*, *lichtarzy*, Meluzyn u *półapu*, *antfosów* i t. d. Lecz mężczyźni, jeśli ich rzemiosło nie przykuwało do warsztatu, nie długo w domach gościli; wywoływały ich sądy, sprawy miejskie i handlowe.

Cały przewód sądowy, pełen kruczków i sideł, szczególnie dla nieopatrznych, odbywał się w niemieckim języku, więc wsiątko stąd wiele terminów do polszczyzny, poczynawszy od *gajenia* sądów i od *fordrowania* przez *fol-*

cinie) *przezwane*, więc czytamy w Kiermaszu na Zawisłu: „na smatruzie (kto świadom) własny *sejm niewieści*“ (około r. 1615).

drownika (skarżenia, prawienia), — zamiast *fordrować* (*fordern*) mawiano później *fołdrować*, omijając następstwo dwóch r, jak w słowach *molderz* (*morderca*, *mordarz*, *Mörder*), *mularz* *Maurer*, *kiemlarz* (*Kämmerer*, podskarbi miejski), *Małgorzata* *Margareta*, *Malbork* *Marienburg* *Kluczbork* (*Kreuzburg*), *Kielsztrank* (*Kirschtrank*) i t. d.

O niektórych z prawnych terminów oddawna zapomniano, n. p. *szepszelink* (*Schöppenschilling*, za świadectwo przysiężnikom płacony), *wargielt* (zapłata człowieka), *ochtować* albo *bańtować* (*ächten*, wywoływać), *frysz* (odwłoka) i *frystowanie*, *szperunk*, *szperować* (taksować, brać w zakład, nasze szperać od tegoż), *lotunk*, *lotować* (ponere *taxam*), *luprować*, *luprunk*, *lupr* (wysłowienie, wniesienie skargi, *lautbaren*); *gwar*, który z naszym gwarem, gwarzeniem, nie ma nic wspólnego. Jest to bowiem *Gewähr*, upewnienie skargi, n. p. *gwar* się stał, aby więcej albo wyżej nie żałował — *die gewere geschah*; jeśli *gwaru* nie umiesz palcem wydać słusznie, pisze stary M. Bielski. Tu nadmieniamy, że *ge* — słów tej warstwy przechodzi zawsze w *g*, n. p. *gbił*, *Gbiet*; *gweśny* (*gewisz*, pewny; stąd w języku sądowym, n. p. w rocie z r. 1395, *ugwesić*, *upewnić*, *ugwieszać*; jeszcze w biblii Leopolicy czytamy: „*gweśne a pewne jest królestwo Twoje*“); *gwałt* *Gewalt*; z *Gestalt* powstaje *kształt*; *glejt*, *glejtowny* z *Geleit*; *gwicht* (*waga*) z *Gewicht* i t. d.

Wyjątkowo pozostaje *ge* n. p. w *gerada*, t. j. wyprawa kobiety, jej ruchomości, z *Gerade*. Do tych wyrazów prawnych należy i *cog* (*Zug*, *sequela*, n. p. który z takich ortelów miał większy *cog* i t. d.), którego dziś tylko u „woźników“ (koni) znamy; lecz jednym z najciekawszych jest *wet*, u nas wcale zagęszczony, n. p. *wet* za *wet*, nawet, *wety*, *odwet*, *powetować*: z *Wette*, t. j. pamiętne (*sędziego*, *pokup* lub *wina*, podczas gdy przeciw-

nej stronie *busze* uiszczano) — płaceniem wety (u Czechów), czy wetu, kończył się przewód sądowy, więc i ostatnie dania przy stole tak nazwano.

Tu należy Thaiding (właściwie Tagedink), spór sądowy, potem każdy spór, n. p. posłowie na sejmie r. 1555 nie chcieli się koło tego w długie *tadynki* wdać z księżą, to znowu chcieli coś *wytatynkować*, lub o tymże co *tradynkować*, skąd wyszedł i wyraz *trarunki*, kłótnie. Jednacza, rozjemcę (arbitra) nazywali Niemcy Obermanem, stąd barman, borman (w XV wieku), n. p. tych wszystkich sędzią i obermanem był król, lub: aż się uczynił obermanem a jednaczem niesnasek tych (Turcyka Orzechowskiego z r. 1543) i in.

Inny, acz nie prawniczy termin dla sporów jest *hadern*, stąd polskie i czeskie *hadrować*, *hadrunek*, n. p. pisze książę Sierotka w r. 1596. „przyjdzie się z nim *hadrunkować*“, inni zrobili z tego *hadrynkować* się (n. p. Wilkowiecki), a w końcu *andrykować* (Jantaszek z roku 1664.); w przeciwieństwie do tego należy się *pogleichować*, jak pisze warszawski wójt Skupieński r. 1634. Obok tych rzadszych, wymierających okazów, wymieńmyż powszechnie używane *strofować*, ganić wyrok, nie przyjmować go, n. p. ten ortel łajał go albo *strofował*, chcę to *strofować* prawo i t. d.; *rugi*, *rugować*; *basarunek* (pamiętne, pokup) i t. d. Sąd skazywał na *pręgę* (później u *pręgnerza* i *pręgierza* chłostał „niedobry“, t. j. butel lub *budel*, Büttel, *szargarz* czy *hycel*), na wyświecenie z miasta i t. d.

Majątki *szacowano* wedle *szacunku*; płacono z nich miejskie *czyże* (pobory) i *czynsze*, a ponieważ prawo kościelne lichwy surowo zabraniało, brano na domy i inne nieruchomości za roczny płać summy na *wyderkauf* (wyderkow, wyderkać, wyderki), chociaż o odkupie

ani myślano. Gospodarstwo pieniężne zmieniło się teraz w kraju najzupełniej; zarzucono dawną grzywnę lekką, surogaty pieniężne, jak krusze soli, łupieże (skórki) i *koce* kun, popielic, lisów i t. d., jeszcze dawniejsze grzywny (z których tylko nazwa została) i płatki; zarzucono dawne opodatkowanie, z licznemi, nieraz w surowcu składanemi powinnościami, z owemi staropolskiemi „narrzazem, krową, podworowem“ i t. d. Zastąpiono je z korzyścią dla panów i poddanych czeskim i niemieckim systemem monetarnym i podatkowym. Więc odmienia się całe dotychczasowe słownictwo: *mińcarze* kuja nową *minicę* (mennicę, Münze, w innem znaczeniu dziś używaną), obliczają wszystko na *wiardunki* (Vierdung), *grosze*, *szelągi*, *szarty*, *halerze*, do których później *talery* i *orty* przybywają; na *skoły*, *scołce* (skojce) i *kwartniki* liczono z łaciny, lecz słowo to z dawnym *skotem* (teraz bydłem) w żadnym związku nie stoi. Przy kupnie przychodziło do *litkupu* (Litkouf), jakim niegdyś sprawę zapijano; *borgu* i *borgowania* wcześniej się nauczono; wyręczali i *wekslarze*; końmi facyendował *rostuszar* (Rosztäuscher), z którego już w XV. wieku *rostucharza*, a później *roztrucharza* zrobiono; wszystko załatwiano na *frymarku*, przyczem już nieraz słowem i uczciwością *frymarczono*.

Obok zwykłych targów odprawiano doroczne *jarmarki* albo *jarmaki* (jak je dziś jeszcze Słowacy zowią, a u nas w XVI wieku je zwano) — już wtedy pocieszał odjeżdżający ojciec płaczące dzieci, że im *jarmark* (gościniec) przywiezie (w kazaniu z r. 1407): tu *machlowali machlarze* lub *maklerze*, bacząc pilnie własnego *fortelu*, a *oszwabiając* nieopatrnych *dubieli*, co sił stało; pieniądze zgarniano na *celbracie*.

Z wrastającym dobrobytem, z ruchem handlowym,

wzrastały jednak i przestępstwa przeciw własności i bezpieczeństwu. Minęły czasy, kiedy prócz wypraw łupieskich na morzu i lądzie, dobroduszny Słowianin tylko kradł, aby mógł gościa uczęstować, kradł w nocy, aby się za dnia z innymi podzielił; teraz rozbijała i szlachta na „dobrowolnej“ drodze, *szyndowała* (schinden) *furmanów*, rozwożących za *furlonem* towary, idących na *węder* i własną bracią. W rotach, przysięgach sądowych, XIV i XV wieku, czytamy o szyndzie, *szyndem*, nieraz; więc przysięga jeden (r. 1404) „jakom Macieja nie szyndował z swym pomocnikiem żadnym“, inny (r. 1391) „jako Jan z Gawłowic nie szyndował Mikołaja Smoka na dobrowolnej drodze“ i t. d.; jeszcze r. 1558 skarżą postowie na sejmie, że „panowie solnicy domy, skrzynie im szyndują, szukając soli“, a przestrzega M. Bielski: kobiety rozszyndują prostytutkom kalety. Mnożyło się *łotrów* i *łotrowstwa*.

Po drogach płacono prócz *myta* i *cła* (Zoll); jeśli dziś o przyjeżdżających do Zakopanego gościach mówią w tamtejszej gwarze, że przyjeżdżają na clenie, że ktoś pojechał do kąpiel na clenie, to niktby się nie domyślił, że wyraz ten, oznaczający kurację, leczenie, od *cła* poszedł.

Już Chrościński pisze o ziemi, „żeś sama wždy ucląta“, (uleczyła się; Knapiesz podaje „wyclić się — wyzdrowieć“; broszura polityczna J. Karczowskiego, z r. 1586, nosi tytuł: „Oclenie mieć“, nie Uczknienek, jak Przędziecki wyczytał); *uclicz* znaczy pocieszyciel w XV wieku; r. 1393 przysięga jeden „jako z tego mię nie wycilił i nie wyręczył“, inny r. 1396. „że ma część dziedzictwa wycilić“ — oczywiście, dopiero za opłatą *cła*, za ocleniem lub wycleniem towar i kupiec wolni od nagabywań, wyswobadzają się — stąd rozwinęły się owe dalsze zna-

czenia. Wypadałoby teraz przechodzić po kolei wszelkie rzemiosła i ze słownictwa ich wykazać zależność od obcych wpływów — lecz tu byśmy i końca nie dopytali. Wybierzemy jedno, najszlachetniejsze, *rycerskie*.

Najpierw żołd zwabiał *żołdnierza* (później *żołnierza*), potem nadzieja łupów wojennych, *butynku* albo *bitunku* (Butinge, łupy, zdobycz); r. 1393. przysięga jeden: „jako Wojciech wziął mnie i mym towarzyszom pięćnaście grzywien butynku“, w Biblii z r. 1456. „plon wojęński rozbitujesz“ (podzielisz między wojskiem), „rozbitujecie“ (złupicie); w Tarnowskiego „O gotowości wojennej“ z r. 1558. czytamy nieraz, jak na bitunku obierają bitunkarze, kto traci bitunk, jak w walnej bitwie, gdy nieprzyjaciela na głowę porażą, albo gdy już „chorągwie ziemskie roztoczą, tam bitunku nie bywa“. *Hufy* albo *ufy*, *ufce* stawały w *ordynku* swym (później *ordynek*, lecz u Tarnowskiego r. 1558 zawsze — *ordunk*, jakim ordunkiem i t. d.) albo *szyku*, *uszykowane* (już XV wieku tego słowa często używał, n. p. w Biblii z r. 1456. szykowano na bok wojskę, rozszykować, rozrządzać i t. d.); jedno wysuwał *hejtman* (hetman, etman) na czoło, na *szpicę* (w XV wieku częste w Biblii, n. p. szpicę wojęńską, lub po słowniczkach, n. p. przed szpicą wojski) albo *spicę*, ludzi niestatecznych, „straszliwych“ w tyle. Na zupełny *rystunek* lub *rustunek* (dziś rynsztunek, jak już w „Piechotnem ćwiczeniu“ Lipowskiego z r. 1660. czytamy, ale u Tarnowskiego r. 1558. zwie się to zawsze rynsztunkiem, a rustunkiem u Mączyńskiego i in.) składały się: *hełm*, *huckop* lub *hunskop* z *gehinkiem*, albo *łapki*, a na nich *pusze*; *pancerz*, *tarcza* lub *puklerz*, *wapanrok* czyli *kabat*, *szynki* (Schienen), *beigwanty* (bigwanty i t. d., wspominane wiele razy w rachunkach dworskich Jadwigi i Jagiełły); *plachy*, *brusblachy* i pót-

placia, które wyrabiali *płatnarze* lub *płatnerze* (z krakowskim płatnerzem, Klimkiem, posprzeczał się chorąży Tęczyński r. 1461, co znaną tragedję wywołało), *szable*, *spisy* i t. d. Z tych i innych części składała się *harnasz* albo *zbroja* (później rodzaju męskiego, w harnaszu i t. p. czytamy już w Biblii, tamże mowa o „harnaszowanych“, t. j. uzbrojonych).

Nie wspominamy wcale o strzelbie ręcznej, o burzących działach, z których n. p. mniejsze *szługami* nazywano, o *moździerzach* (moździerzach), potrzebnych, gdy oblegano *zamek* (zamek), gdy się *podszanćcowano*, wszystko na *szanć* sadzono przeciw nieprzyjacielowi, broniącemu się z *blanków* lub *blankowania*; *hawerze* kopali *sztoty* i wysadzali prochy, aby w murze *rum* czyniły, aby były dziury do *szturmu*. Rozkładano się w *legierze*; wysyłało *spiegierzy* albo *spieglerzy* (szpiegów), aby *wyśpiegowali* wroga; pod *fendlami* dzielnych *fendrychów* wyjeżdżano *hersztować*, *hercownicy* zwodzili *harce* (Herzu!) i jakby *szyrmierze* jacy *szyrmowali* w *srankach* i w *kreście*, w kole, niby na *turniru* czyli *turnieju* albo *burdynku* (choć *turleje* i *burdy* nie tylko rycerską zabawę, lecz wszelkie hałasy i bitki później oznaczały), aż od małych, postronnych *szyrmic* do walnej bitwy przychodziło; przy panach *drabowali drabi*.

Dla pośpiechu *krepowano* koni u *kreptuchów* (wózków z owsem); poczem dosiadali rycerze swe *hinszty*, *horze* albo *orze*, *urze* (horse, Rosz) i *drabarze* (Traber): trzymano je w *krygu* *cugłami*, okryte żelazem, *ladrowane*; nędzną szkapę przezywano *marchą* lub *merchą* (Mähre), chociaż od tegoż słowa takie zaszczytne nazwy, jak *marszałka* (pierwotnie koniuszego) i (czeskiego) *masztalerza* z *masztalnią* (Marstall) wyszły, a słowo samo celtycka kawalerya przed wielu wiekami Niemcom na-

rzuciła. U wozów rozróżniano nie tylko nowe ich okazy nazwami jak *rejnwajny* (Jagiełły, lekkie wozy, później *rydwany*), *kary*, *szrotwajny*, wozy szrotarskie, ciężkie *karwany* (później karawany i in.), lecz co do części ich zapomniano o dawnych nazwach dla nowych, n. p. zastąpiono polskie i słowiańskie oje *dyszlem*; tak i *lusznie*, *łanwy* i *lony*, *wasęgi* i t. d. wcisnęły się, szczególnie zaś *łancugi* (łańcuchy, lencuchy, Lehnzug) wyparły dawne *rzeciądze* (wrzeciądze). Pomijamy *szory*, *szle* (od nich i *szelki*), *lejce*, wyrazy, jak koń *lecowy*, *szwarclowy*, lub *szwarcowy*. Lecz gdziekolwiek się obrócimy, znachodzimy ten sam stosunek. Weźmy co na chybił trafił, n. p. inwentarz z r. 1573 po *stolarzu* (tłumaczone z Tischler) Zygmunta Augusta, Jerzym Szwarcu; znajdujemy tam *szynwę mosiądzową*, *rasple*, *heble*, *ambusy*, *klubzagi*, *winkelmosy*, *streichmodły* (modła wzór), *listwy*, *sprengle*, tablice *sztukferkowe*, *srobcwingi*, *srobstoki*, *kielbraty* i pełno innego *coigu ślusarskiego*, złotniczego i t. d.

Klonowic pisze najpiękniejszą polszczyzną, lecz gdy w „Żalach nagrobowych Kochanowskiemu“, do *warsztatu* się udaje, aby postać *mistrza* wystawić, roją się z pod jego pióra *rotgisarze* (później ludwisarze, rodgisar u Reja), mistrze *stamieckiego* (Steinmetz) rzemieślni po *formsznejdersku* *grabsztyklemf orszejdują* i t. d.; jako mieszczanin i ławnik, zna on wszelkie tajemnice Majdeburgii, więc prawi o obermanach, o lotunku i t. d.

I tak bywa w każdym rzemieśle, *szynkownem* czy nie *szynkownem*, któremu *sturarze* (Störer, partacze) przeszkadzają; u *knapa* (tkacza); *gultszlara* (goldszlara) i złotnika, któremu się *szmalc* (email) dobrze opłacał; u *kuśnirza* (później kusznierza) z *welpami*, *ślamą*, *blamami* i *futrami*; u *garbarza* i białoskórника z ich *irzchą*,

leszem i ciemcem i zamszem; u rymarza; u konwisarza, stalmacha; u bednarza albo leglarza; u malarza; u śłószarza z witrychem i ingrychem i t. d.; u drukarzy z ich kunsztem niemieckim, z prasami i buksztabami i t. d. Cóż mówić o towarach, które z zagranicy sprowadzają, mianowicie o owych suknach, z najrozmaitszemi nazwami, owych *bajach, czamletach, cwelichach, kanawacach, kapicelach, breklestach, karazyach, szychtuchach* i t. d.! Nazwy często wskazują miejsce lub kraj wyrobu (n. p. *aras* lub *haras, lundysz* i lepsze *falendysz, fein lundisch, całun, machelskie, brukselskie* i t. d., z Arras, Chalons i t. d.), które kupcy sprowadzali na własny *obentaier* (ryzyko, awantura; u Reja, Krowickiego, używane i w odmiennem znaczeniu, fałszywego kamienia).

Co o *cechach* i *gieldach*, o rzemieślnikach i kupcach, toż należy rozumieć o każdym przemyśle. Górnicstwo, czy w Wielkiej Soli (Wieliczce) i Bochni, czy w Olkuszu, przyszło z obcemi *gwarkami* — Słowianie kruszców nie kopali i na Bałkańskim półwyspie „Sasi“ dopiero byli górnikami. Więc stąd nazwy metali, *cyny, mosiądzu, stali* albo *ocelu* i in.; więc nazwy *hut, hamrów, hałd, szybów i sztolni*, z całym ustrojem *bachmistrzów* (Bergmeister), *stygarów, hawerzy* i t. d., i z ich przyrządami i t. d. Należy n. p. zajrzeć do kilku zapisek górniczych z połowy XVI wieku, wydanych w Starożytnościach Ambrożego Grabowskiego, aby się przekonać o głębi i sile tego wpływu*).

Podobnie ma się rzecz n. p. z *flisowstwem*; i tu

*) Toż samo znajdujemy u „waryczów“ soli w ziemi n. p. przemyskiej i sanockiej wedle lustracyi królewskiej z r. 1565 i 1566: *liny na oprawę kieratów, haki, wanny, achtele, losofy, bukse do rur, tańcuchy, sprengzele, szynale, lusznie do wiązania skut, halwetów* i t. d.

począwszy od *szypra* i jego *trafty* albo *tratwy* i jej *trawowania*, czekających *fryjoru* i *hysu* (dobrego wiatru), z *frochtem* i *frycami*, a skończywszy na *rudlu* i *sterze*, na *maszcie* i *żaglu*, przeważają obce terminy; dawna komenda flisowska (z r. 1604) brzmi n. p. ru bakier, ru stywbork, wasta bakier, wara stymbork — stąd pochodzi jeszcze nasze *na bakier*.

Ale nie tylko samo nasze flisowstwo, cała żegluga obfituje w wyrazy niemieckie i w późne czasy. A więc wszelkie nazwy statków, *szkuty*, *kogi*, *lichtany*, *szmagi* (czytamy n. p. u Paska, str. 38, te małe okręty kupieckie, szmagi; w pamiętniku Niemojewskiego: statki wietrsze szkut naszych, a na kształt szmak budowane) i t. d.; nazwy przyborów, manewrowania i t. d., n. p. w przekładzie „Metamorfoz“ Otwinowskiego (r. 1638) czytamy: kazał *bosmanom* wsiadać i *odcumowawszy* (odwiązawszy liny) od brzegu odkładać; *rufa* tylna okrętu; u Paska str. 40 i 41: *wyhysowawszy* (rozpiąwszy) żagle... zaraz poszli na *garugę* (ukośnie, *gary* sznury u żagli), *burtą* i t. d.

Również wszelkie nazwy miar i *wag*, n. p. *mila*, *cal*; *wiertel*, *łaszt*; *kłofta* i *łatra* (Klafter); *mędel*, *tachry* skórek i *tuziny* (stąd *tachrować*, układać tuzinami, chociaż niemieckie *decker* dziesiątkę skórek oznaczało); *drelinki*, *fodry* i *półfodry* (Fuder); *fasy*, *musy* i *kuchy* oleju; *luty*, *firacyntle* (srebra, t. j. vier achtzentel, *fanczlibru*, t. j. Feinsilber); *kłoba* i *szalki* u *wagi*, *reza* t. j. roweczek w *grundwadze*, w który wpada *blejczyk* na *sznurce*, stąd mawiano w przenośni bardzo pospolitej: trzymać w rezie albo klubie, wypadać z rezy albo kluby; *sztuka*, *szychta*, *szych*; dalej *pale*, *dyle*, *forszty* (belki), *tramy*, *teble*, *standary*, *lestry* i *wasągi* u wozów, *wańczosy*, *ramy* i *łaty* i tyle, tyle innych.

Też uwagi dotyczą wszelkich innych szczegółów życia miejskiego, dążącego z jednej strony do zlania się z szlacheckiem, a spadającego z drugiej do trybu kmieckiego. Na stroju miejskim, sposobie życia, na zabawach nawet, wzorował się znowu po części stan szlachecki. Nie myślimy tu gubić się w setnych drobnostkach toaletowych, poczynawszy od *mycki* i *słojerza* (Schleier) na głowie, a skończywszy na *obcasach botów* (butów), *trepek* (mniszych i kobiecych), *trosarzy* i *dreznarów* (toż samo), *patynek* i *pantofli* — lecz trudno pominąć owe *alzbanty*, *bramy*, *bryże* i *bryżyki* (oblamowania), *kołnierze*, *fałdy*, *bufy*, *pasamony*, *pantliki*, *zankle*; dalej owe *szuby*, *kiece*, *kitle* i *kiderle*, *mętliki*, *inderaki*, *obercuchy*, *pludry*, *junkiery*, *fartuchy*, *łoktusze*, *botuchy* (Badtuch), *punczochy* (później pończochy, Bundschuh). Tu należy i *kraniec*, niegdyś przepaska; jeszcze w Biblii Leopolicy czytamy: jako kraniec około szyje obtoczyli mnie, lecz w drugim jej wydaniu zastąpiono go już obojczykiem i dziś już nie o ubiorze go używamy, lecz o krawędzi. Od ubiorów możnaby wrócić do alkierzy i tam spotkalibyśmy się znowu z *dekami*, *kołdrami*, nawet ze *strozakami* (w XVI w.); moglibyśmy podpatrzeć niedyskretnie, jak panie *farbickami* twarze *meglują* i *wałkują*, lecz wolimy udać się do izby stołowej.

Podobnie, jak z ubiorem, bywało i z pożywieniem, *gnarowaniem* (przysłowie: bogaty się dziwuje, czem się żebrak *gnaruje*). Wprawdzie trzymały się rzeźników na *kutlofie* jeszcze dawne wyrazy, lecz w jatkach żądały kumoszki *flaków* (jakie już Jagiełło pożywał, Fleck), albo *kruszków* (Kröse), *cąbru* (Ziemer), *nyrki*, *wąpiu* (Wampe), *szpandru*, *szpiku* (Speck), *smaru* dla smarowania, *szmalcu*, *szołdry* (Schulter, szynki), *kałdunów*, *cenadry*. U mączarzy brano *krup*, *gruce*, owsianej mąki na *żur* (Sauer),

pytlowanej na *kloski* (kluski, kluchy) i *placki*; piekarze i *kichlarze* wyrabiali *begle*, *pracle*, *kreple*, *pankuchy* (lecz nie z nich chyba i *pączki* urosły); u *greplarzy* w *straganach* (szragach) kupowano naci na *jarmuż*, *brukwi*, *krocmerki* albo *kucmerki* (Kritzelmöre, słodyczka, dziś nie pojawiająca się na naszych stołach, które i ruty i innych podobnych przysmaków nie znają, tem częstsza n. p. na dworze Jadwigi i Jagiełły), *hanyżu*, *wyki*, *poru* (albo *łuku*) i t. d. Śniadano, obiadowano, *jużynowano* obficie i *smacznie*; zaczynało się od *żufek* (zup), *birembutu* (z *taźbieru* i chleba), jedzonych z *kromkami*(?) chleba; pieczone dawano z *szalszą* w *salsierce*; „poście“ lubowano się w rybach, *minogach* (*neynogi* i t. d. od XV. wieku), *strekfusach* (w rachunkach Jagiełłowych), *stynkach*, *dubielach*, *flondrach*, *certach*, *sandaczach*, *piszkorzach*, *oklejach*, *byklingach* albo *bydlinkach* i t. d. Na wety szły *rozyнки*, *datły* (daktyle), *figi*, *cukry*, *marcypany*. Jadano bardzo korzenno i „pierno“ (pieprzno), więc nie dziw, że i wiele się piło. Nie mówimy o winach, *rywulach*, *małmazyach*, *ipokrasie*, winie *reńskim* (fabrykowanem na Morawach), o ich *lurach*, *lagrze* i *fu-zach*; były różne piwa, podły *taśbir*, dobry *konwent* (piwo klasztorne), ciężkie „dwurażne piwa“ (*doppelbir*); były *moszcze*, *kielstranki* (*Kirschtrank*) i inne *tranki* albo *trunki*, przywożone w *baryłach*, *tunach*, *kufach* z *czopami* i t. d. Jak potrawy i napoje, tak i przybory kuchenne i stołowe wykazywały nazwami pochodzenie: *talerze*, *brotfanny* (później *bryłwanny*), *rynki*, *roszty*, *tegle*, *cybliki*, *kofle*, *kielichy*, *kruże* i *krugliki*, *halby*, *puhary*, *wilkumy*. W kuchni *szymowano* (szumowano), co się gotowało, a naczynia, *drybusy* i in. *szorowano* nie tylko od świąt.

Pito doma i w gospodzie lub w piwnicy, na *szepcu*,

gdzie *szynkarka* na *belce* lub *tramie* kretą zapisywała; biesiady kończyły się smutno, mniejsza o to, gdy do *apateki* po *lektwarze* i *piłuty* słano, lecz częściej przybiegał *balwierz* z *plastrami* lub zeszywał *szramy* i rany; gorsze odnoszono w *wacku*, *tobole*, *kalecie*! Lecz od kieliarów puszczano się i w *tańce*, *reje* i *firleje* (obie nazwy dostały się i znakomitym rodem w kraju: Firlejom i Rejom), *cynary* (Zeuner), *świeczkowe*, *gonione* i inne; *gamraci* (i znana nazwa osobowa, a dalej skrócona w gach) i *fryjerze* zalecali się *fryjownie* i *dwornie* (tłumaczone z hübsch, t. j. höfisch); znachodziły się i *fryjerki* w *ceplikach* (warkoczach), strojne i ładne. Kogo zaś *rańtuch* (t. j. podwika albo ruszka, staropolskie, zastłona) nie wabił, ten zasiadał do kart albo kostek; z pierwszych były „dziwne fluksy, turmy, rusze“ (wedle Reja z r. 1543), *krępy* i *druzbarty*, i nie zawsze się w *rumel trafiało*, a równie zdradliwe bywały *es*, *tuz*, *dryja* albo *zez*. Urozmaicano biesiady i inaczej; występowali *szpilmany*, *kuglarze*, *rymarze* (składacze-poeci, jeszcze Reja tak nazwano w urzędowej zapisce z r. 1546), albo żacy wyprawiali komedye; popisywali się mietelnicy w *morspręgach* (saltomortale), w chodzeniu po *linie*, rozmaitem *spryncowaniem*.

Cóż dopiero w doroczny kiermasz albo w zapusty, gdy *mumszańc* sprawiano, gdy w tłusty czwartek baby krakowskie *combrzyły* (Schampern, schempern, chodzić w maskach w ów czas i napastować przechodniów — o cząbrowych babach wspominają jeszcze Załuski w „Próbie pióra“ z r. 1753 i Krasicki). Główną zabawą, zarazem rycerskim ćwiczeniem, dla mieszczan i rzemieślników, było strzelanie do kurka, do *celu* i *malu*, niegdyś wielkim *cymbulcem*, później rusznicą; dalej gra w *kegle* albo *kręgle* (kręgle); zabawiano się i na *frywoltach* (frywoltach, biesiadach) cechowych, gdy naprzykład *majster-*

sztyk towarzysz wystawiał. Działwa i młodzież znowu Wielkiej Nocy z upragnieniem oczekiwała, nie dla walatki, gry w jajka, lecz dla *dyngusu* i *śmigusu*. Obie, rzeczy i nazwy wcale nie polskie, choć je aż do czasów pogańskich, niby jakieś igrzyska czy obchody wiosenne, odnoszono; jedna nazwana od *dyngowania* (dingen, szacować), właściwie dingnus, jakim się okupowano od nachodzenia żaków i młodzi, składając dobrowolnie, gdy za dyngusem przychodzili, do kobiałek jaja, *małdrzyki* i t. d.; śmigus zaś przerobiono z Schmeckostern, gdy śmigano palmą lub prętem i zlewano wodą, kogo w łóżku zastano; więc n. p. w „Uciechach“ z r. 1655 czytamy, że kogoś oblano: „i jak więc po Śmigorzcie w niwecz umaczano“, a ks. Woysznarowicz, pisząc kazanie na zejście Cecylii Renaty w Wilnie r. 1644, powiada, że Wilno, miasto Śmigurstu, śmierć królowej za upominek oddało. Dyngus i śmigus cofnęły się z miast na wieś, między gburów, gdzie i we zwyczajach i w mowie, wiele dawnego ocalało; więc przedrzeźniając mowę Mazurów, każą im chodzić *gasami*, strzec *wardęgi* (bydła), albo między przodkami żony Marchołtowej wardęgę wymieniać.

Na wsi też przechowała się najsilniej wiara w *skrzata* lub *skrzatka* (Schratt, leśny duch), albo *skrzabła* (wedle dyabła), którego z latawcem zmieszano; jeśli zaś przeklinając, Walantego wzywano, (bodaj cię Walanty, kiś się Walanty ma dziać, Walkać mię witano i t. d.), to nie zastąpiono świętym patronem nazwy nieczystej siły, lecz przypłątano może i niemieckiego dyabła Valanta, Volanta, do znanej nazwy.

Wobec tych i tylu innych wyrazów, całkiem specjalnych, nie wychylających się nieraz poza warsztat, niezrozumiałych poza jego obrębem, nie zawadzi w końcu wskazać i wyrazy ogólnej treści i używania, abstrakcyjne,

etyczne i inne. Tu należą *los* i *losować*, co wyrugowały słowiański żrzeb (my go tylko o udziale na roli używamy); *kawał*, kawalec, skawałkować; *wart*, wartość; *koszt*, kosztowny, kosztować; okrzyk *rata*, *rety*, stąd ratować, ratunk; *szukać*, co zastąpiło dawne iskać; *musić*, *mus*, *przymus*, nieznany Słowianom, u których z niewolą, przyniewoleniem spadał; *hamulec*, hamować, jak i *cofać*, od furmanów się rozszerzyło; *rachować*, rachunk i *brak*, brakować od kramarzy; od strzelających do kurka mieszczan *cel*, *traf* (trafiać, trafny i potrafić) i *fał* (fałować, też *szwankować*). Zamiast starania się (to znaczy właściwie zestarzenia się od trosk i kłopotów), zaczęto się teraz *frasować* rozmaitym frasunkiem, szczególnie, gdy się w prawne *folgi* (folgować, ustępować komu) i *kieraty* (przenośnia od kieratu) wdało, co na *reszcie* i zdrowiem i mieszkaniem przyplacano. *Warowano* albo *wiarowano* się też prawa ile możliwości, lecz cóż robić przeciw *anslagom* (handszlakom, hanszlakom), *sztukom* i *kunsztom* złych ludzi, co się na zgubę dobrego *zbuntują* (*bunt* znaczył jak w niemieckim tylko związek, więc mawiano n. p. na sejmie r. 1555, abyśmy się zbuntowali z królem rzymskim w ligę, albo na sejmie roku 1563, chciano ten bunt unii wcale zachować, dopiero później: spisek); przeciw ich *konszachtom* i *fortelom*; przeciw ich *fałszu* (stąd fałeszny albo fałeczny, dziś fałszywy, fałszować).

Miarkowano się też wedle tego i *stosowano*: wszyscyśmy położeni na takim stosie, wytrzymujemy go stosownie (wedle stosunku); *winszujemy* też sobie (lub winczujemy), gdy udało się zbyć go *żartem*, *kunsztem*, jeśli nie nam dano *sznypkę* (sznupkę) albo *fiszkę*. *Szonowano* (później szanowano) się; *pielegowano* (później, w XVII wieku n. p. u Simplicyana r. 1601 i u Kuligow-

skiego r. 1688, pielęgowano i pielęgowano) znajomości i zażyłość, choćby drobnymi darunkami (słowo z niemieckim ogonkiem); takim *ksztaltem* i *trybem* trybowano się wzajemnie i *forytowano*.

Są i inne ogólnie przyjęte wyrazy; z dygnitarstw i t. p. bardzo niewiele, *grof*, *ochmistrz* (hofmeister), hochmagister Jagiełły, *trukczaszy*, *burgrabia*, *herott*, *hołd* (hołdować), *leńskie* i *mańskie* prawo, *man* poddany, *podmanić* i t. p.; tu i *fraucymer* zaliczymy.

Z nazw pokrewieństwa *szwagier* wyparł *dziwierz* i *szurzę* (*surzyna*, na Mazowszu jeszcze w XVII. wieku), lecz *brutka* (narzeczona) spadła dawno do wyrazów gburskich. W najdosadniejsze przezwiska tak obli-tuje rodzimy słownik, że pozostawia daleko w tyle niemiecki, więc i pożyczek mało; zwać kogo *kacrzem*, *kacierzować* go, było ciężką winą; z *łotrem* już spotka-liśmy się, *szelma* właściwie przez Czechów i teologów-polemistów wkroczył; za to *bękart* (bąk, bęś i dla fałszywej monety) i *bastard* (bastrzę) wyrugowali pokrzywników i wylegańców; tu można doliczyć wyrazy, jak *rabować* (rabuś), *plądrować*, *mordować*; nazwy zwierząt, ryb, ziół przenoszono na ludzi głupich, niechlujnych, złych, n. p. *dubiel*, *flądra*, *grundal* (grundys, grundychwał, Gründel) i inne.

Oto główne zasoby tego rodzaju obcych słów. Jeśliby pytano, po czemżeż poznać, że one właśnie między 1250 a 1550 r. do języka weszły, nie wcześniej, ani później, to współczesne pomniki, akty, zapiski, wiek ich niemal zawsze stwierdzają; dalej przekształcenia zewnętrzne i wewnętrzne, jakim ulegają, zdradzają, że nie książką, lecz żywą wymianą, przez usta ludu miejskiego i wiejskiego przechodziły, że się z zasobami rodzimych słów zespa-lały. Nie znosi więc lud niepolskiej zbitki *ge* na początku

słowa i powstają owe gminy, gwarki, gmerki, kszele (bukszele), gmachy, o których już wspominaliśmy. Lud odrzuca też niemieckie *h* w nagłosie, n. p. aftkarz, ochmistrz, uf, ufnal, usnacht, alzbant, antfas, antaba, Olandrowie, ołd, olstro (Halfter), orz, obcęgi (pierwotnie hebcęgi, n. p. u Tarnowskiego r. 1558) i naodwrot dodaje je: hałun, hanyż, hanszlak (Anschlag), herb, herszt, hachtele, hecować (ätzen, więc mówi n. p. Rej o zbroi, że powinna być wyhecowana i t. d.), co i inni Słowianie, wymawiając niemieckie słowa, stale czynili tak, że to Niemcy dawno, n. p. u Słowian załabskich, zauważyli i słusznie się temu dziwili. Dalej zmienia niemieckie *a* na *o*, n. p. oksza z Axt, obcas, obława (Abelouf) i t. p.; zbija *an* w *ę*, węder, mędel, mętlik i t. d.

Do niektórych obcych końcówek tak nawyka, że używa ich dla nowych, rodzimych słów, n. p. — *arz* (z niemieckiego — *ari*, a to z łacińskiego — *arius*), przyjęte w lekarz, malarz, murarz, mordarz i t. d., tworzy nowe polskie słowa: garncarza (zamiast zduna), piekarza (Bäcker), stolarza (Tischler). Podobnie ma się z przyrostkiem — *unk* (dziś — *unek*); wzięty wraz ze słowami rachunk (Rechnung), gatunk (Gattung), ratunk (Rettung), bitunk (biutunge), ordunk, rystunk i t. d., tak się rozwieli, że i polskim słowom służy, pocałunek, podarunek, karczunek, sprawunek, i od niemieckich niestychane w niemczyźnie urabia, n. p. rysunek i t. p. Złożenia z *holc* tak są dawne i utarte, że odpowiedni jemu — *ulec* (ulec) za polski przyrostek uchodzić może, n. p. w budulec z Bauholz, hamulec, krępulec, strychulec i t. p., które bezpośrednio z budować, hamować, krępować, strychować, łączymy. Podobnie *nal* z Nagel powstało; już w rachunkach Jagiełłowych czytamy o brutnalach (Brett-nagel) i szpernalach, podobnie ufnale i inne. O zmianie

dwóch po sobie następujących *r* (murarz z Maurer, folwark, ruła, lubryka, Małgorzata i t. p.) już wspominaliśmy. Za to zatrzymuje się już i niepolskie *f* (funt i t. d.) i *h* (huta), których słowa pierwszej i drugiej warstwy wcale nie znały; *f* zastępują i przez *w*, jak n. p. w *wasągu* i *wachlowaniu* (ale *fasować* i t. d.).

Tym i innym zewnętrznym zmianom odpowiadają i wewnętrzne; słowa tej warstwy przyjmują się jeszcze tak znakomicie, że, choć przesadzone, bujnie się rozrastają i rodzimym nieraz wcale nie ustępują. Przypomnijmy n. p. koleje, jakie wyrazy jak waga (uwaga, odwaga), brak, dzięki, smak, węć, trać, stos, kres i t. p. w polskim języku, niezależnie od niemieckiego przychodziły. Tu wspomnijmy choć o *harapie*: dziś, to bać myśliwski, kańczug, lecz właściwie okrzyk to niemieckich łowców, odganiających (herab!) psy od napadniętego zwierza, więc i koniec (polowania i t. d.) oznacza, — już po herapie, po wszystkim, po niewczasie; i *harować* od okrzyku *haru*, którym się nawoływano (haru, haru a psy w krupy!) poszło.

Zresztą polowanie właśnie najmniej wyrazów tego rodzaju przyjęło, chyba że między przyborami myśliwskimi (*kulka*, *glot* i in.) takich przybyszów znajdziemy; strzelby nazywano od miejsca wyrobu, n. p. *guldynki*, *cieszynki* i t. d. Można by tu wspomnieć i o nazwiskach: Olbrachcie, Jadwidze, Hałźce, Jadze i tylu innych, rzadszych; o rodowych: Szembeków, Morsztynów, Worcelów (wurzel) i innych spolszczonych, jak Reje, Firleje i Fredry; o nazwach geograficznych, przejętych z niemieckiego, n. p. Szwajcaryi (*szańcarski* dawniej), Inflant (później Inflant), Holandyi, Francuzów — nie mówiąc o krainach rzeszy samej, Brunświku, Szwabii i t. d. —

lecz nie było zamiarem naszym, zasoby bogate zupełnie wyczerpać.

Czegóż dowodzi cały ten nadmiar szczegółów, z których ledwieśmy wybrnęli? Dowodzi przede wszystkim, jak szybko się przyjęła i szeroko rozwinęła ogłada miejska. Przynieśli ją do nas wprawdzie Niemcy, lecz nie oni ją stworzyli; zawdzięczali ją przecież sami innym, municypiom romańskim z ich tradycjami ogłady starożytnej; zawdzięczali owej nierozzerwalnej łączności kultury, sięgającej w swych pierwszych początkach dalekiego wschodu, a odbywającej teraz nowy, zwycięski pochód od zachodu; sam język niemiecki o zależności tej na każdym kroku świadczy.

A wypadałoby dodać i to, że i Niemcy od nas (lub od innych Słowian) niejedno przejęli, dziś zapomniane albo jeszcze istniejące; n. p. słowa jak *Grenze* z *granica*; *Dolmetsch* z *tłumacz*; *Petschaft* z *pieczęć* (*pieczać*); *Zeisig* z *czyż*; *Stieglitz* ze *szczygieł*; *Temnitz* (więzienie) z *ciemnica*; *Dornitz* (izba) z *dwornica*; *Hallunke* z *holomka*; *Talken* z *tłokno* i *Geiszlitz* (co u nas Stanko r. 1472 zapisał) z *Kisielica* i t. d., nie naszym zadaniem to wszystko wyliczać. Dalej, że wiele naszych słów najnieśluszniej o niemiecki pomawiano początek, nasza *chąźba* n. p. (kradzież, rozbój) nic niema z *Hansą* do czyniena, ani *gmerać* z *mähren*, ani *szlochać*, *gderać*, *szłapać*, *szturchać*, *rzępolić*, *mitręga*, *gabać*, *gapa* i *gapić się* (o wronie, też *glapa*) i kilkadziesiąt innych słów (nawet *kiep* między niemi), Słowian czy Polan rodowitych, jak najdowolniej i najmylniej o niemieckie oskarżano pochodzenie — co wszystko umyślnie milczeniem zbyliśmy.

Lecz nie zalały fale tej nowej kultury miejskiej niw polskich doszczętnie; istniała tu cywilizacya i przed ich

napływem czerpała a i dalej, jak przedtem, wprost ze źródeł łacińskich, chrześcijańskich i pogańskich; wchłaniała wpływy pogranicznych, słowiańskich Czech; nawiązywała bezpośrednie stosunki z włoskiem południem, z jego humanizmem i odrodzeniem; garnęła się ku ościennym Węgrom, których ustrój państwowy i społeczny tak silnie polski przypominał; wciągała Ruś, najpierw pograniczną, czerwoną, potem i dalszą, białą, litewską, we własny ruch polityczny, socyalny, umysłowy i nastroczała się tem samem wpływom wschodnim. Jak się to wszystko w języku odbiło, wykażemy po kolei.

Zaczynamy od Czech.

V.

Gwarno w wązkich i ciemnych ulicach starej Pragi; ciasno w szczupłych a ponurych lektoryach; z półmroku kościołów wypływają strojne i barwne tłumy różnojęzykowe na miejsca otwarte; porywane tu ognistemi słowami Niemca Waldhausera, albo Czecha Milicza, wzruszone i skruszone, ślubują odmianę i poprawę, zarzucenie barw i strojów, przyrzekają miłosierdzie ubogim i upadłym. Scena taka powtarza się nieraz, jeden z objawów wrącego życia w mieście.

Już od końca XIII wieku przedstawiała Praga środowisko umysłowego ruchu, wzbudzanego ścieraniem się różnorodnych prądów, wzrastaniem dobrobytu materialnego i znaczenia politycznego; lecz jakżeż potężniał ten ruch od bezpośrednich związków z najcelniejszemi ogniskami kultury średniowiecznej z Paryżem i Oksfordem, z krajami nadreńskimi i włoskimi, to jest od czasów Karola luksemburskiego, ojczyzna dla Niemiec, ojca dla Czech; od założenia Studium Generalnego, przeznaczo-

nego wprowadzie dla krajowców, ściągającego jednak, jak Studium Paryskie, klejnot Francyi, krocie młodzieży z Czech, Niemiec i Polski, nie uszczuplonego bynajmniej świeżem urządzeniem Studyów wiedeńskiego i krakowskiego, chylących się natychmiast po założeniu ku czasowemu upadkowi.

Pomijamy artystyczne, humanistyczne i inne objawy ruchu tego; górująca w nim średniowieczyzna, dążyła ku zagadnieniom religijnym. Jeszcze nie wyłamywał się ten ruch zpod powagi Kościoła, poddawał się szczerze jego sądowi, lecz coraz śmielej i silniej napadał już na wszelkie nadużycia, szczególnie w życiu duchowieństwa i w gromadzeniu jego dóbr; wołał coraz głośniejszą o reformę, o zaspokojenie sumień potrwożonych przerażającą ilością zła, wyrodzonego z życia średniowiecznego, gdzie obok przepowiadanej słowami askezy i ciągłego *memento mori*, bezwzględne używanie, ciągłe *memento vivere*, zdawało się przytłumiać wszelkie porywy myśli i uczucia chrześcijańskiego na zawsze. Tak zbierały się powoli materyały palne; niebawem wybuch ich miał zalać ziemię czeską morzem krwi i ognia, gdy z przeciwnieństwami religijnymi zlały się narodowościowe i społeczne.

Czarodziejskim musiał być wpływ, który taki ruch i życie wywierały na Sandomierzanie lub Mazurze, przybyłym do Pragi dla studyów. I snuł się nasz Stanisław, z początku nieco oszołomiony tem wszystkim, później coraz śmielszy, w *tabardzie* i długiej *hazuze* (sukni) po lektoryach i kościołach, roznamiętniał się w sporach teologicznych: czy należy często przyjmować Sakrament Ołtarza, czyli nie; czy w cudach, jakie w Wilsnaku na Marchii za zjawieniem krwi Pańskiej się działy, gdzie to napływający zewsząd pątnicy grzechy swe na wielkiej

wadze zbożem, bydłem lub woskiem odważali, nie kryło się więcej przesądów i szalbierstwa, niż wiary i skruchy; czy taki jubileusz, świeżo Pradze nadany, z licznymi a drogimi indulgencjami, nie zakrawał raczej na wyłudzenie grosza; a w sporach tych rozstrzygali nieraz rodacy n. p. Mateusz Stadtschreiber z Krakowa, jeden z naj-słynniejszych teologów studyum praskiego i wieku XV, popieraniem uniwersytetu krakowskiego i około własnej ojczyzny znakomicie zasłużony, Wigandy, Skalmierzycki i inni. Stanisław nasz czuł się rychło jakby między swymi; przesiąkał czeszczyzną, nabierał piosneczek żakowskich, religijnych, politycznych; wracał do domu z przepisem „postylli studentów praskich“ (Waldhausera), z traktatami Rankonis, Mateusza Krakowskiego, Husa, a może i samego Wiklefa. Cóż za dziw, że, każąc później polskiej gminie, w duchu czeskiej reformy wzywał, aby świeccy przełożeni nadużycia duchownych karali; że zaśpiewał na czeski ład polską pieśń o Ciele i Krwi Pańskiej, której świeckim niegodnie bronią; że liczne czeskie wyrazy, nie tylko teologiczne, ale i pospolite, wpłatał w polszczyznę. Tak n. p. powie: „oto tłuszcze te trzy dni i więcej za Chrystusem chodziły, a nasi *bumbacy* (praski wyraz, pijacy!) boją się, aby im nie skłął brzuch i omijają kazanie... niech słyszą i straszą się tem *tatrmani* (kuglarze, — czyż gmina polska słowo to rozumiała?); dzisiejsi ludzie, zamiast słuchać słowa bożego, przechodzą raczej na *frywoltty* (hulanki) do karczem, na tańce“. Więc na poły z czeska będzie gromił *świętokradztwo*, *złoczyństwo* (niecnotę) i t. d.; będzie rozprawiał o *podstacie* (substancji), o *istocie* (eksperymentcie) i t. d. Inni Stanisławowie całkiem w Czechach grzęźli, wyrobili nawet w końcu nowy typ czesko-pol-

skiego duchownego, fanatyka nieraz i nieuka równocześnie, którego i czeski katolik z niechęcią wspominał.

Lecz nowy obraz przedstawia się oczom naszym. Gdy hufy Zygmunrowskie zalewały Czechy, pałac i zabijając, nie szczędząc nawet dzieci w łonie macierzyńskim, porwał się naród do broni, otrząsł się z napastników, odpłacił ich najazdy groźnymi wylewami na zewnątrz, do Łużyc i Marchii, i włożył się cały nie tylko w teologiczne, ale i w nowe rzemiosło wojenne: wyrobił się niebawem na doskonałego żołnierza; spustoszona ojczyzna już rychło nie mogła go wyżywić, więc niedawny „wojownik Chrystusów“ przemienił się w najmitę, służącego i znienawidzonemu sobie Niemcowi (choć pierwotnie nie przeciw Słowianom; Czechów, co się tego dopuścili, palili własni bracia) i spokrewnionemu z sobą Polakowi.

W zaciągach Żyżki, Iskry lub Czerwonki stawał Czech z *kapalinem* na głowie, ze zbroją *jezdecką*, *kolczą*, *kopieniczą*, z *rucznicą* (ruśnicą) lub *piszczalą* (pistoletem), włożony w sztukę *otaborowania się*, wyćwiczony, karny, pod *hejtmanami*, posłuszny *hasłu*(?) wychodził na *harce*, *kopieniczył*, a po *walnej* bitwie *chałupował* (rabował) niemiłosiernie, w czym go jeszcze prześcigali *drabi* i *luzacy*, przepełniający każdy obóz. Z czeskiego uzbrojenia przedostały się wraz z rzeczą i nazwy do dawnego słownictwa obozowego, więc *huczące działa*, *hakownice* i *półhaki*; *kutrygały* (rodele, puklerze), *szefeliny* (spisy) i pięciotłokciowe *rohątyny* (włócznie); *szarszuny* (miecze), *koncerze*, *burderze* (bunderze), *koczpergały* (szpady), *deki* (sztylety), *krupierze* (na koniu, pod *masztalerzem*) i t. d.; wszystko nieforemne, zbyt ciężkie, przygniatające jeźdźcę i konia, nieocenione za to w ręcznych zapasach, we zwieraniu się nielicznych, lecz bitnych rot. Od rot tych i hufów sze-

rzyły się i wyzwiska: *szelmę* n. p. wzięliśmy z czeskiego, nie ze niemieckiego, dalej *frant*, *fryjerz*, *kujon* lub *kojan* i t. p., i przysłowia różne (zmyć bez ługu, warzyć piwo ze strzechy i t. p.), trącające rubasznością, ale i otwartością, szczerością obozową, ową słownością, jaką Czech w Polsce słynął.

Nie zapominajmy jednakże, że prócz czeskiej zbroi i taktyki, ceniono dalej, jak i dawniej, czeskie książki (rękopisy). Posiadał je n. p. król Zygmunt w wileńskiej bibliotece (biblię i dzieło św. Jana Złotoustego), jak je niegdyś posiadała królowa Jadwiga, której cała biblioteka wymieniona przez Długosza, inoże raczej czeską niż polską była; r. 1519 przepisał p. Piotr Pilecki na Rabstynie (w Krakowskiem) czeską Wojnę Trojańską; nie jeden cenny rękopis czeski przechowały do dziś nasze biblioteki, nie tylko biblie, kazania (w Dzikowie), modlitewniki (we Lwowie) i t. d., lecz i epepeje, i poezye czeskie, które bez śladu we własnej ojczyźnie już zaginęły. Pierwsi czescy księgarze liczyli stale na zbyt towaru i w Polsce; autorowie przypisywali dzieła polskim mecenasom; rzeczywiście, jeszcze dzisiaj zrozumie Polak łatwiej religijno-filozoficzny język Tomasza Szczyteńskiego, niż język filozoficzny p. Durdika, łatwiej rymowaną kronikę czeską (z początku XIV wieku), niż historię Palackiego lub Szafarzyka, — cóż dopiero w latach, o których mówimy. I okazuje też wszędzie ówczesny Polak znaczną poufałość ze słownictwem czeskiem, jego *grododzierzcy* (kasztelan), *chlebojedzcy* (studzy domowi), *chorągiewni panowie* i t. d., choć brzmią czysto po polsku, wywołane są czeskim wzorem. Tak-to starsi w kulturze bracia wpływali na młodszych.

Jakżeż przyszło do tej kultury i do tego wpływu? Przecież już w XIII wieku mogło się zdawać, że Czesi

pod rodzimą dynastją wynarodowią się doszczętnie, jakby jacy Pomorzanie lub Rujanie; królowie i magnaci popie-rali w zawody napływ obcego żywiołu; po dworach, gro-dach i wsiach otaczali się niemieckimi singerami; pano-wie przezywali swe zamki (a od nich nieraz i swe rody) Rozenbergami, Waldsteinami, Hazenburgami i t. d. Lecz podobny proces, w innych warunkach, wydał też wręcz przeciwne rezultaty: co Pomorzan wynarodowiło, posłu-żyło Czechom do wzbudzenia i wzmocnienia własnej na-rodowości, do przejścia się kulturą zachodnią, a tem sa-mem do wyniesienia się na czoło słowiańskiej cywilizacyi średniowiecznej. Ziemia była przedewszystkiem bogatsza i większa, skupiona około jednego rodu i grodu, od wie-ków chrześcijańska, a położeniem bardzo obronna; więc zawistość od Niemców nigdy zbyt ciężać nie mogła: okupywano się uznawaniem zwierzchnictwa i wcieleniem do Rzeszy, nie pozbywano się poczucia odrębności; sa-mowiedza narodowa obudziła się wcześniej, niż gdziekol-wiek indziej. Tak samo było z literaturą: niemiecka słu-żyła jej za wzór, naśladowano epopeje, kroniki, legendy, liedy, misterya; lecz formy obce przesiąkały nowym du-chem narodowym (tak jaskrawym na przykład w kronice rymowanej lub w Ezopie), dążeniem patryotycznym. Obok literatury świeckiej zakwitła i religijna, w pieśniach po-bożnych, w przekładach, już od XIII wieku, wznosząc się w Tomaszu Szczyteńskim do głębokich rozmyślań nad pięknem i dobrem, nad światem, człowiekiem a Bo-giem. Takto pojętni uczniowie Niemców wyprzedzili in-nych Słowian na każdym polu: obyczajowem, umysto-wem, społecznem.

Skorzystali z tego najpierw Polacy, bliskością geo-graficzną, o wiele większą etnograficzną, związkami dynastycznymi, stosunkami politycznymi (choć nieraz

wrogimi) dawno z Czechami spajani. Stosunek ten uwi-
docznił się najdokładniej w literaturze; gdy się bowiem
nakoniec obudziła potrzeba pisma polskiego, ksiąg polskich,
pieśni polskich, ciągłość pracy umysłowej, jakąśmy w roz-
woju średniowiecznym nieraz zauważyli, oddała znakomite
usługi: gotowe wzory czeskie języka i pisowni, wyrażień
i form, stylu i treści, naśladowano w pierwocinach pracy
umysłowej polskiej, ułatwiano sobie tym sposobem za-
danie znakomicie, zachęcano się do prób coraz większych
i samoistniejszych.

Początkowo bowiem zależność od wzoru czeskiego
bywała bardzo znaczna, niemal gorsząca. Wprawdzie nie
groziło niebezpieczeństwo, że czeski język literacki przy-
gniecie polski, że powtórzy się w zachodniej słowiań-
szczyźnie zjawisko południowej i wschodniej, gdzie język
literacki (ale zarazem i cerkiewny) narodowe języki przez
całe wieki z literatury wykluczał. Coś podobnego, choć
w drobniejszych o wiele rozmiarach, powtarzało się u nas
w XIV i XV wieku. Posiadamy n. p. pieśni kościelne,
niby polskie, w istocie jednak czeskie, albo co najmniej
w języku mieszanym pisane. N. p. czytamy w starej
pieśni o św. Dorocie: „bohu służyła, ślibując (ślubując)
bohactwa mnoho, złato, kamienie, draho... tot je welmi
(bardzo) tepechu (bili), aż potoci teczechu“ i t. d. Jeden
z tłumaczy psalterza brał żywcem czeskie formy wzoru;
tłumacz biblij również gorliwie z czeskiego przekładu
korzystał. I fakty te nie są odosobnione, ani też urywają
z XV wiekiem; najdawniejszy druk polski, coś w ro-
dzaju biblij dla „pauprów“ odzywa się takąż polsko-
czeską mieszaniną; jeszcze w połowie XVI wieku pisa-
rze teologiczni świadomie używali wyrazów czeskich,
uzasadniając ich wybór tem, że „Czesi są pirwszy, niżeli
Polacy w tłumaczeniu biblij“ i t. d. (Hieronim Malecki,

postilla domowa, 1574 r.). Seklucyan, władający znakomicie językiem polskim, gdy w przekładzie ewangelii mniej zwykłych form używał, ostrzegał o nich czytelnika, aby go nie posądzano o czeszczyznę („tam niektórzy drugiego Czechem od Czerwieńska — t. j. niedoszłym — ochrzczą“).

I tak powtarza się ciekawe zjawisko (wniesione w roczniki nie dziejowe, lecz w językowe), że, jak w dziesiątym wieku polskie chrześcijaństwo przybrało szatę językową czeską, tak od r. 1350—1550 język literatury religijnej (a główny dział literatury był właśnie religijnym) wedle czeskiego się urabiał. Tylko nie szedł w ślad za wszystkim, w pisowni n. p. nie przyjął jednolitości, wprowadzonej przez Husa, lecz nie został przy dawniejszej mieszaninie znaków.

Nie ograniczały się jednak wpływy czeskie literaturą religijną lub umiejętną, której słownictwo Polacy stale naśladowali. Przewaga królestwa Karolowego nad skotatanem Kazimierzowem, a Pragi nad Krakowem, dążenia do podniesienia dobrobytu i ładu, późniejsza przewaga wojenna Czechów, o której już mówiliśmy, sprawiały, że szerzyły się w Polsce czeskie porządki w państwie, mieście i obozie, a z nimi wzrastała coraz przewaga samego języka. Czeszczyzna uchodziła jeszcze na dworze Zygmunta Starego za gładszą, wykwintniejszą, pieszczotliwszą; chętnie popisywał się Polak, choć w Czechach ani bywał, czeskiem słoweczkiem, doma i u dworu; jeszcze Dworzanin Górnickiego (r. 1566), poświadczają to i ubolewa nad tem. Przykładów dostarczy nam choćby Rej, ów zawołany ojciec piśmiennictwa polskiego.

Miewał on nieraz pesymistyczne poglądy na język rodzimy, n. p. gdy twierdził, żeśmy „język swój, acz też nie bardzo foremny, tak byli zatłoczyli a zaniszczyli,

żeśmy mu (go) czasem sami właśnie nie rozumieli“. Czuł się więc uprawnionym pomagać sobie zasobami czeskiego języka, jedyne go obcego, jaki (prócz łaciny) posiadał, wypełniając *anticipando* program, który później Dworzanin, dla rozumnego wzbogacania „nieforemnej“ mowy polskiej, stawiał; tylko że Rej nieraz, i to bez najmniejszej przyczyny, ot tak sobie, dla gustu i mody, wszelkie granice przekraczał. Rozumiemy n. p., że zażyje czeskich terminów *burda*, *ludarstwo*, *pokryciec* (obłudnik) i innych; że powie *czeski kohucik*, *zahrada* zamiast ogród; ale po co pisze n. p. *ohromny*, *hruby*, *pražen być czego* (zamiast próżen; znaczy minąć, zbyć się czego), *tesar* (por. *tesa-czek*) zamiast cieśla, *kulhać* (kuleć) — *zlotohlaw*, *hońca* (gońca), *brana* (brama), *kraszczy* (piękniejszy) i tyle innych. W Postyli jego, słów czeskich, owych *pochwilek*, *pożartków*, *pokrystw*, *pochłubek*, owych *burzyców*, *spotków*, *upełnych*, *zamutków*, *istot* (zapisów), *powyszszeności* i t. d. tyle jest, że mimowoli pytamy, czy nie posługiwał się w niej Rej czeskiemi źródłami? chociaż postyl czeskich nie było.

Inni znowu wprowadzają czeskie słowa dla żartu, z fantazyi, gdy im rymu zabraknie, n. p. jeżeli Kochanowski dla komicznego wrażenia pisze: „kiedy w pytlu *hrosza neni*“; Klonowic obok czeskiego wyrazu położy choć na boku karty polski. Tym sposobem wkradły się do polszczyzny czechizmy, bez żadnej potrzeby i niczem nie uzasadnione.

Zapyta jednak czytelnik: po czemto poznać czeskiego właza (intruza)? Niemieckich rozpoznać i wyłączyć nie bywa zbyt trudno; język odmienny, więc słowa zdradzają się natychmiast obcym dźwiękiem lub przynależnością do rodzimych pni niemieckich czy do romańskich; czeski zaś język tak jest zbliżony do polskiego, że

i badacz nieraz zawaha się, czy tożsamość polskiego i czeskiego słowa wyprowadzać ma ze wspólnoty polsko-czeskiej, czy z równoległego, samoistnego rozwoju w obrębie każdego z tych języków z osobna, czy wreszcie z prostego zapożyczenia.

Są przecież cechy, które czeską narodowość wlażą zdradzają. Mimo ścisłego pokrewieństwa, wiążącego oba języki, zachodzą między nimi i znamienne odrębności: my mamy n. p. brzmienie *g*, Czesi tylko *h*; my nosowe *ą, ę*, oni *u* lub *ie*, *a*; my zmiękczone *t, d* na *ć, dź*, zmieniamy *ie* na *io* lub *ia*, oni zachowują *t, d, e*; my mamy *ło, ro* w pewnych razach, oni *ła, ra* i t. d. Parę przykładów rzecz objaśni. Polskim był Więctaw (więcej sławny), czeskim jest Wactaw; mówimy *nauczyciel*, mówiliśmy więc i *obywacię* (od *obywać, mieszkąć*), *obywatel* zaś zdradza te same koła, w których z czeska i *stawami* ziemskimi, zamiast *stanami*, i *snjemami*, zamiast *sejmami*, i *bratrami* (n. p. Orzechowski, Paprocki), zamiast *braćmi*, się popisywano. Polskimi są słowa *włość, włodarz, Włodzisław* (n. p. w nazwach miejscowych, we *Włocławku* i *Włodzisławiu*), dawniej *włosny, włodać*; czeskim jest *Władysław*, to znaczy, że do rdzennie polskiego słowa wkradła się od XVI wieku czeska wokalizacya. Polak nie „pożyczył“ bynajmniej nazwy *Wactaw* lub *Władysław* od Czechów, tylko zastąpił w tych staropolskich słowach i nazwach wokalizacyę polską przez modniejszą czeską; są to niby mieszańce i należy je ściśle od wszelkich właściwych pożyczek odróżniać.

Napływ żywiołu niemieckiego, mieszczan, *rękodzielników*, kupców, górników i t. d., pozostawił w języku grubą warstwę wyrazów dla urządzeń miejskich, dla rzemiosł, przemysłu i handlu; wyrazów, używanych nieraz wyłącznie w izbie radzieckiej, lub cechowej, w warszta-

cie, w kramie lub w szybie górniczym, a nieznanym poza ich obrębem. Wyjątkowo rwą się i te wyrazy na przestwór, uogólniają się, nabierają nowego znaczenia, n. p. takie *sztuki* (już nie *kunszty*) piękne, które z warsztatowego (majster) — sztuku wyszły, chociaż ze znaczeniem i rodzaj zmieniły (jak zresztą i inne, *turma*, *sznur*, *tama*, *sztaba* i t. d.).

Niemieckie słowo wpłynęło nieraz na znaczenie polskiego: jeżeli n. p. nasz *pokój*, spokój i izbę zarazem oznacza, jak w kalamburze Henryka Rzewuskiego o paryskim pokoju r. 1856, który jedni mieli obitym, a drudzy malowanym, to urosło to z naśladowania niemieckiego Gemach (pokój, gmach i spokój, gemächlich); podobnie nasz *sklep* (t. j. sklepienie) wedle niemieckiego Gewölbe i kram oznacza, nie w innych językach słowiańskich. Powtarzamy jednak: są to wyjątki; z zasady przyswojony wyraz niemiecki bywa tylko technicznym, specjalnym, zaściankowym.

Odwrotnie ma się rzecz z czeskiemi. Pojęcia oderwane, religijne, etyczne, terminy umiejętności, lekarskie, botaniczne, przeważają w czechizmach polskich stanowczo, skoro głównie drogą literacką do nas się przedostały. Przymiotników z niemieckiego prawieśmy nie pożyczali (prócz nazw barw i t. p.), za to kilka z czeskiego. Ot, takie *niezbędny*, o którymśmy tak dalece zapomnieli, że wydawcy starych pism stale je w *niezbędny* przekręcają (tyle, co brzydki, obmierzły); znamy je tylko w tem przeczącem złożeniu, dodatniego „zbedny“ starych Czechów nie posiadamy. Albo przymiotniki na -telny, śmiertelny, czytelny, wierzytelny, skazitelny, rzetelny, gdyby były polskie, brzmiałyby wierzycielny i t. d.; w starej polszczyźnie nie było śmiertelnego razu lub czasu, był tylko raz lub czas śmiertny; nie było listu wierzytelnego,

był wierzący; rzetelny zresztą brzmiał pierwotnie żrzelny, t. j. widomy, jawny, później przerobiono znaczenie na „uczciwy“. Tak się ma rzecz i z uprzejmym, dawniej uprzemym, który otwartego, prawego, honorowego oznaczał, — uprzejmy i wiernie nam miły, w urzędowych tytułaturach; potem go z przyjemnym pomieszaliśmy. I moglibyśmy jeszcze więcej takich czechizmów przytoczyć, ale nie zawsze wszystkie pewne; a powtóre, wystarczy tu streścić zasadę: im więcej wyraz (oderwany, wspólny czeskiemu i polskiemu) złożony, n. p. sprawiedliwy, nabożeństwo i t. p., tem większą ma się pewność, że pierwotny tłumacz polecił się pomyśleć o odpowiednim polskim wyrazie, że zadowolił się przeniesieniem gotowego czeskiego do swego wykładu; żacy w szkołach słyszeli go od mistrzów, i tak wkładały się przybysze na miejsce słów swojskich. A były między niemi nawet spójniki, n. p. „ponieważ“. Lecz przy tych pożyczkach wyrazów oderwanych należy znowu i walne zastrzeżenie uczynić: język polski czeskiego wcale nie okradał, wieleż tych słów jest tego rodzaju, że język polski musiał i samodzielnie na nie wpaść, nie mógł ich ominąć, n. p. duchowieństwo i t. p. Czeskiemu można chyba to tylko przyznać, że je już o jakie stulecie wcześniej urobił; tylko uprzedzony lub nieogłębny badacz pomiesza takie wyrazy z właściwemi pożyczkami, nie uzna ich względnej lub całkowitej polskości.

Możnaby wyróżnić jeszcze dział osobny: wyrazy botaniczne. Czescy lekarze (tylko botanika lecznicza istniała dla średnich wieków) tłumaczyli dla celów praktycznych łacińskie nazwy roślin od końca XIII w.; żacy polscy przywozili z Pragi owe łacińsko-czeskie spisy i przykrawali je w Krakowie lub na prowincyi na polski ład; tak weszły w nasz język n. p. *kostywał*, *kosaciec*, *czyściec*, *kurza noga*, *macierza duszka* i tyle innych. Przytem

warto nadmienić, że Czesi, gdy się raz do tłumaczeń zabrali, z rozpędu tłumaczyli wszystko, nawet tygrysy, Merkurych i Wenery — można się i po rękopisach polskich takimi tłumaczeniami ubawić.

Lecz nie same oderwane pojęcia oznaczaliśmy, wyrazami bądź to rodzimymi czeskimi, bądź niemieckoczeskimi, których osobno nie chcieliśmy wyróżniać. Od Czech szły i nazwy geograficzne, n. p. *Cochy* (*Akwisgran*), *Wideń*, *Rakusy*, *Uhry* (częste w XVI wieku, Węgry) i inne; szły nazwy monet, urzędzeń, n. p. *berna* (podatek za Kazimierza Wielkiego), *oprawca* i in. Jeden z dawnych wyrazów prawniczych stał się dziś prostym wykrzyknikiem: stary Polanin, gdy nieszczęście go ćwiczyło, wołał: „biado! gorze mnie! ach ja!acie“; lecz już w wieku XVI Polacy *niestotali*, t. j. wołali *niestocie*, *niestoty*, *niestety*. Był to stary okrzyk czeski, którym zbrodniarza (na gorącym śladzie) tropiono, wołając za nim *nastojcie*, t. z. prześladujcie, gońcie, to samo, co Niemcy z swoim *Zeter*. *Nastojcie* (nastawać na kogo) zmieniono u nas po miastach w XV wieku na wręcz bezmyślne *niestojcie*; już w tak zwanych ortelach magdeburskich czytamy: „gdyby nań niestojcie abo ceter po trzykroć zawołano“. *Niestojcie*, termin ściśle kryminalny, spadł w ciągu następnego wieku do ogólnego wyrażania „biady“; „bieda a niestoiacie“ czytamy w *Kanconale* polskim ks. Wal. Brzozowskiego z r. 1554: „ach, niestojcie na ten świat“ w komedyi starego Bielskiego z r. 1557 i t. d.

Może jeszcze ciekawsze pochodzenie naszego *nader*. Mówiąc dziś o *nader* niepomyślnym wyniku, n. p. wyborów, ani przypuszczamy, że to dwa słowa, jak w *nawet*. *Nader* pojawia się dopiero w XVI wieku, przedtem go nie było; pierwszy niemal użył go Marcin Kwiatkow-

ski w książeczkach o wychowaniu dzieci (r. 1564), *nadert* rozpustnej swobody; potem pisarze ruscy, jak Smotrycki i inni; u Smotryckiego czytamy: „pod nogi w *podert* podścielasz“. Czeskie *drť*, któreśmy *dert* wymawiali (jest zresztą i ruskie *dert'*), znaczy opiłki lub trociny; na *dert* coś zmleć, zetrzeć, skruszyć, znaczy w drobne kawałeczki; na *mąkę*, zupełnie. *Nawet* i *nader* (skrótcone z *nadert*) są to więc słowa złożone; złożenia już nie odczuwamy, jak i n. p. w słowie *psikus*; jeszcze w r. 1574 pisano o ucieczce Walezego: *rex Henricus wyrządził Polakom psi kus* (*psotę*, *psią sztukę*, czeskie *kus*, obok polskiego *kęs kęsy* i *kus, kusy*).

Z takich to drobiazgów językowych można widzieć, jak kultura starsza Czech na Polskę działała. Z początku był to wpływ jednostronny; biernie przejmowali się nim Polacy; nadeszły jednak czasy, gdy się młodsza brać hojnie odpłacała. Niegdyś przodkowie, w początkach XV wieku, gościnnie przyjmowali uchodzących przed husytyzmem mistrzów i księży praskich; obsadzali nimi i uniwersytet krakowski; teraz znajdowały przytułek i opiekę stokroć liczniejsze tłumy Braci Czeskich, wygnanych za wiarę. Niebawem zaczyna się żywioł czeski sam kurczyć i zwężać, piśmiennictwo maleje, język szczupleje; już od połowy XVI w. poczyną się odwrotny wpływ, wpływ polszczyzny na czeszczyznę; polska pieśń, polska książka, trafia coraz częściej pod czeską strzechę, tylko kreślenie tego nie jest już naszym zadaniem, a zaczęło się to od XV wieku i przynajmniej niejedna pieśń polska już przed r. 1500 w Czechach obiegała.

Wobec czeskiego i niemieckiego wpływu, wszelki inny obcy w całej tej epoce (1250—1550) usuwał się na daleki plan. Łaciny nie umiano; umieli ją tylko księża i zacy, notaryusze i pisarze; do nauki szkolnej zbyt się

nie garniono, wiemy to od Reja, o nim samym zarówno (w młodości), jak o innych, o których pisze: „jeden laik nie umiał kęsa po łacinie, jakoż ich dosyć roście prawie (całkiem) jako świnie“. Wiemy o kasztelanach za Zygmunta Starego, nie umiejących ani czytać ani pisać (jednemu, Rusockiemu, przyczynił się nawet ten brak do tragicznej śmierci); dopiero od połowy XVI w., gdy dla samych powodów wyznaniowych szkół dobrych się namnożyło, rozlała się łacina po kraju. Toż samo o włoszczyźnie powiemy: Polacy gościli za Alpami już od XIII w., ale prawdziwy wylew najzdolniejszej młodzieży, mijającej stary Kraków dla Padwy i Bononii, rozpoczął się dopiero w XVI wieku.

Stosunki z Rusią zawiązały się już ściśle; całe ziemice, Przemyską, Halicką i t. d., włączono do Korony, a unia osobista z Litwą (i Rusią litewską) zacieśniała się coraz bardziej, aż przeszła w parlamentarną. Z przeludnionych mazowieckich i małopolskich dzielnic wynosiły coraz liczniejsze rody polszczyznę na wschód, lecz w zamian nic nie przybywało; do r. 1550 znajdujemy w polszczyźnie, n. p. czerwonoruskiej, jeden lub drugi wyraz miejscowy, n. p. *dziecki* zamiast woźnego, *torłop* zamiast kozucha lub futra, płaconego sędziemu (koc albo torłop gronostajowy, czytamy w małopolskiem tłumaczeniu ustawodawstwa Wiślickiego, dwa torłopy kun w zapiskach Krakowskich Nr. 4134), czy nie z tego słowa poszedł i ruski *tułup* „kozuch barani“ i nasz *tułów*?

W rachunkach dworskich Jadwigi i Jagiełły jest późniejszy *roztruchan*, tam jeszcze *dostuchanem* albo i *hos-truchanem* zwany; o kubkach — *rostuchanach* czytamy nieraz w zapiskach Krakowskich; jest to ruskie słowo, i w dzisiejszej mowie, choć obcięte, ocalałe (stakan).

Najdawniejszą pożyczką jest *bojarzyn*, co na pol-

skiej ziemi mylnie z bojem, bitwą, połączono i zamiast wojownika, bohatera, od XIV w. używano; ale *wałach* (wałaszyć) stajni królewskiej (pastuchy i koniuchy wਾਲscy (wołoscy) trzebieniem stad i bydła oddawna się zajmowali), przez Niemce przeszedł do Polski; inny, z dalszego wschodu, od Persyi, przywędrował *kamcha* (adamaszek); łacińskie „purpura“ przez cały XV wiek kamchą tłumaczono.

Rusko-litewski dwór Jagiełły przyniósł nam i *praskury* albo *plaskury*, niekwaszone ciasto, z greckiego prosfora (ofiara) przez ruskie proskura; dalej *nascitki*, w owych rachunkach obok obrusów i ręczników często wymieniane; a może i *paluby*, przykrycia wozów królewskich, z ruskiego nazwano. Ubiór i zbroja, idąc od wschodu przez Ruś, już powoli odmieniały wygląd polskiego rycerstwa: już kaznodzieje XV wieku obruszali się na tę „pogańskość“, na ten ubiór, „trącący Turkiem, Litwą, Rusią“, nie chrześcijański — „ojcom naszym nie w takich ubiorach Bóg szczęścił do posiadania szerokich ziemie“.

Pojawiają się też wyrazy wschodniego pochodzenia dla oznaczania szczegółów ubioru i zbroi, i tak widzimy na głowie wysokie, śpiczaste, perskie *kiwiory*, albo *zarkuły* janczarskie (jak je M. Bielski nazywa), albo okrągłe, małe i ciepłe *szłyki*, *kuczmy*, *jarmułki* (jarmułkami pisze je Strykowski, jamułki zowią się one u Knapiusza, ale w XV w. znajdujemy jalmurki, n. p. w zapiskach sądowych krakowskich; *kiwior* pileus; u Paprockiego chodzą w kiwiorach „Karwatowie“), na *szarawary* używają *kitajki*, t. j. chińskiej materyi, Kitaj = Chiny; *kythaka* zapisek krakowskich. U boku wisi *kord*, raczej krótki nóż, niż miecz; gdzie n. p. Mazur Świętosław (r. 1449) „miecza albo noża dobył“, tam Małopolanin już

w kilkanaście lat później „miecza albo *korda* dobył“. Znacznie starszym jest *tłumacz*, który przez Czechów aż do Niemców (Dolmetsch) dotarł i turskim swym początkiem o odwiecznych stosunkach Słowian ze wschodem świadczy.

I myśliwstwo nie obyło się bez wpływu obcego, przynajmniej zapewnia Maciej z Miechowa (w słynnym dziełku, Opisaniu dwojej Sarmacyi, r. 1517 napisanem), że co Polacy białozorem (od białego pierza na brzuchu), Ruś *krzeczotem* nazywa; on pierwszy opowiadał o obżartym *rosomaku* i o chyżym *sumaku*, o *morszach* i *worwolu* (wielorybie), o *tatarskiem ziele*, o *kulczybie* (strychnos, wschodnie słowo!); jak Ruś *brahę* warzy, a Tatarowie z mleka silno odurzającą *arakę* przyrządzają; przykrywają się *japończą* przeciw deszczowi (stąd nasza *opończą*). Kobiety polskie noszą *koltki* w uszach; później, n. p. w biblii Leopolicy z r. 1561, *kolstkami* zwane (od kołtania, kołysania). A może już i *ruble*, nie jako monetę obiegową, lecz jako odważaną ilość srebra, przyjęliśmy; w rachunkach Jadwigi i Jagiełły spotykamy się nieraz z wyrazem *rublones*; w biblii Zofii tłumacz polski oddaje łacińskie *siclus* bądź przez czeskie *zaważe*, lub przez ruskie *rubl*; czytamy u niego nieraz n. p. pięćdziesiąt *rublow*, obok dwadzieścia *zaważy* i t. d. Lecz wszystkie te wyrazy przypadkowe raczej, odosobnione nie powszechne, nie ważne, żadnych głębszych wpływów ani bliższych związków jeszcze nie dowodzą.

VI.

Jeśli, dla najwybitniejszego okazu cywilizacyjnego, pierwszy okres oświaty polskiej (950—1250) *chrześcijańskim*, a drugi (1250—1550) *mieszczańskim* lub *miejskim*

nazwaliśmy, nie zawahamy się, trzeciego (ostatniego wchodzącego w nasz zakres), od r. 1550 (a raczej już od r. 1500) do 1750, jako *szlachecki* oznaczyć. Jeden stan, jedna warstwa uprzywilejowana, zastąpiła cały naród: lud nie istnieje; mieszczaństwo ubożeje, niszczeje i upada wkońcu zupełnie; cała potęga państwowa i cała ogłada umysłowa, wszelkie zasoby społeczne skupiają się wyłącznie w szlachcie i szlacheckiem duchowieństwie. Nawet najdalsze obszary Rzeczypospolitej, najodmienniejsze od siebie pod względem geograficznym, etnograficznym i historycznym, nabierają jednego pokostu szlacheckiego; ten sam język i obyczaj, strój i duch, byt i przekonanie, wiara i przesąd, panują po wszystkich dzielnicach wszechwładnie.

Wprawdzie w zaraniu okresu tego szalały burze i nie zanosilo się wcale na ową późniejszą jednostajność; zapowiadał się świetny i wszechstronny rozwój oświaty, który powoli tylko słabiał, nie odświeżając się więcej nowymi dopływami; podejmowano wielkie zadania dziejowe, aby, żadnego nie spełniwszy należycie, zakończyć apatycznym bezwładem, liczącym tylko na Opatrzność i na wzajemną zawiść „potencyj” sąsiednich, paraliżującą ich kroki. Tak, co zaczynało życiem, ruchem i wrzawą, kończyło w pełnej zgrzybiałości i martwocie.

Od r. 1550 reformacja broiła niesłychane dziwy w zapalnych głowach szlacheckich, lecz przesiliła się niebawem i pożarła sama w sobie: nawet pamięć o niej wczesnie drobniała i ginęła; najwyraźniejsze i najtrwalsze jej ślady pozostały w literaturze i języku. Reformacja bowiem poruszyła głowy i pióra w niesłychanej dotąd mierze: spory dogmatyczne, społeczeństwu do niedawna jeszcze zupełnie obce, roznamiętniły je; teraz żadne „posiedzenie” ani biesiada nie obeszły się bez nich; od do-

wodów z pisma świętego przechodzono do pięści, a nieraz i do broni. Ożywieniu umysłowemu odpowiadało literackie: liczba ksiąg polskich (nie jak dotąd bywało, kilkunastukartkowych piśmideł), wzrastała szybko i stale; z Królewca zalewali Seklucyan i Rej tłumaczeniami pisma św. i dyałogami polemicznymi Polskę. Od r. 1560 drukarnie: pińczowska, brzeska, krakowska, łoska i in., w Polsce i na Litwie, wspierały propagandę; nie obywało się i bez pomocy Braci Czeskich; katolicy odpierali napady tą samą bronią. Szermierze w tej walce zaciągali się zewsząd, nawet ze stron, gdzie piśmiennym językiem nie zupełnie władano: z Prus królewskich i z Mazurów pruskich, z ziem ruskich lub z obczyzny, jak śród Braci Czeskich; nieraz powstaje wskutek tego znaczne zamieszanie.

Tak n. p. wydaje Czech, „impressor z Litomyśla“, Aleksander, *žadany* (proszony) *za to* od pobożnych Polaków, w Królewcu 1554 r., Kancyonał, pieśni duchowne: tytuł zapewnia wprawdzie, że tłumaczenia nowo dokonał ks. Walenty Brzozowski, a inni uczeni mężowie z *wielką* pilnością je przejrzeni; lecz jak można było kogo podobną czesko-polską mieszaniną czestować? Natrafiamy tam ciągle na *uczelników* (uczni), *prośpiech* (skuteczność), *dobrorzeczeństwo* (błogosławieństwo); na jeszcze bardziej czeskie *uczastenstwo* (uczęstnictwo), na czasowniki jak *obżywiuje*, *splodzuje*, *wzbudzuje* i t. d.; jest i *žadający* w znaczeniu pożądanego, czeskie *žaduci*, już i w średniowiecznych pieśniach kościelnych utarte; i polsko-czeskie *zmarhać* (strwonić), tenem czas marnie w grzechach zmarzał; zawsze z czeska *sumnienie*, zamiast samnienia; po panu *tużyli*, zamiast tążyli i t. d. Podobnież ówczesne słowniki, n. p. wielki Mączyńskiego z r. 1564, posiłkują się czechizmami, choć już nie w tej

mierze, co dawniejsze nieco Murmeliusze i Mimery; „wobabularze“ znowu, wydawane niegdyś dla Niemców krakowskich i ich dziewczek w Krakowie, przeniesione później do Prus i Królewca, uczyły panienki nieraz czeskich i niemieckich zamiast polskich słów i zwrotów, n. p. *procz nie?* (dla czego nie?), *borgować*, do Lemberku (Lwowa), *bretar* (desk), *hausknechte!* i t. d.; lecz i polskie ich zwroty nie zawsze szczęśliwie wypadały, n. p. jeśli panienka się skarży, że on *pomokrzył mi plotki* (zamaczał warkocze), albo jeśli piesek marga z *ogonem*, zamiast *ogonem*. Mimo tych braków, panienki z tej książki „rady uczyły się polskie“, dowodzą tego liczne jej wydania.

Wpływy czeskie i niemieckie wysiliły się niebawem do szczytu. Czechy istnieją w XVII wieku tylko geograficznie; naród sam traci wszelkie znaczenie, ogładę, mowę nawet. I stosunki niemiecko-polskie ulegają zmianie; napływ z Niemiec do miast polskich, silny jeszcze w XV wieku, ustaje teraz zupełnie; młodzież polska omija Wittenberg i Lipsk, Strasburg i Heidelberg; nawet w politycznych stosunkach przeważają węgierskie, tureckie, ruskie, szwedzkie. Niemczyzna nie zdobywa nigdzie nowego pola, traci, co niegdyś nabyła po miastach, targach i warsztatach, liczne jej wyrazy giną zupełnie, albo ocalają w najodleglejszych narzeczach, n. p. taką *gasę* (Gasse), znaną w Poznaniu ogólnie w XV wieku, lub *wardęgę*, t. j. bydło, znaną również powszechnie, spotykamy w następnym już tylko na Mazowszu, — czytamy n. p. w ówczesnej kołodzie mazowieckiej „perolmy się sibretkowie tą gasą“ (bieżmyż bracia tą ulicą) i t. d.*).

*) Podobnie ocalały po narzeczach wyrazy, niegdyś ogólnie używane, n. p. u Kurpiów *todynki swary* (por. wyżej), *fela wada*, *maltych obiad*, *reptuch* i *reptuz worek* z sieczką dla koni z *kreptuch* (por. wyżej. clić i t. d.).

Tylko w wojskowości, szczególnie w służbie piechotnej i dragoniejskiej, żywioł niemiecki nie usuwał się; komenda bywała niemiecką, *holt, wer do*, i t. d.; *kwartier*, albo *frit frit* wołał zwyciężony Hanusz i gorsze odbierał plagi od tego, co to całkiem inaczej rozumiał; *szylwachy* zaciągano w *lagrze*, gdzie *szancmajstry*, *pro-wiantmajstry* i t. d. rządzili; *rajtarką* przewano kurtkę (u Reja r. 1543) od *rajtara* ciężkiego, a lekszego *dragona*, co z lontem *zafasowanym* z konia zsiadał dla strzelania w *munderunku*, bił się za *lenung*, stojąc pod *Krigrs-rechtem* i t. d. Z języków obcych wysuwa się teraz na pierwszy plan *łacina*, w której się Polska szlachecka tak w końcu rozmiłowała, że o potrzebach własnego języka zapomniała. Głównem zadaniem coraz liczniejszych szkół było wprowadzić w łacinę; każdy inny cel był raczej ubocznym; ze szkół wychodzili też łacinnicy, władający w porównaniu z wiekiem XV poprawnym językiem; mimo nieodzownych naleciałości słownictwa, n. p. sądowniczego; barbaryzmy i solecyzmy wyganiano przecież w szkole co sobota bez litości, gdy „dawano taką łacinę, że aż w pięty szło“, jak przysłowiowo mawiano; inny choć sobie „łaciną gębę pomazał“. W życiu, do którego taka szkoła przysposabiła, coraz chętniej posługiwano się słówkiem lub zwrotem łacińskim; natóg ten, świadczący i o braku smaku, i o pewnej leniwości umysłowej, chwytającej raczej za gotową obczyznę, niż wysilającej się na pracę własną, poczyną się od XVI wieku i przetrwa z górą dwa wieki; nazywają go nieślusznie makaronizowaniem, służącem ściśle ograniczonym celom w poezyi humorystycznej. Obok makaronicznych utworów polskich poetów, od czasów Zygmunta Starego aż do biskupa Załuskiego, Minasowicza i innych, staje odrębnie ta polsko-łacińska mieszanina słów i zdań całych, przenikająca

wszędzie: do poufnej pogadanki, do listów prywatnych, głównie zaś do mowy politycznej i panegirycznej. Przewaga łaciny, naginanie polszczyzny do jej wymagań, sprawiły w końcu, że i dziś jeszcze nie zupełnieśmy się z niej otrzęśli, mianowicie nasz szyk słów utracił niejedną cechę słowiańską, a przybrał łacińską; rytm cyce-
roński przebija i dziś jeszcze w naszej prozie poważnej. Tylko wymowa religijna, n. p. w kazaniach, i poezya nie uległy wtedy tej zarazie, temu łatwemu popisywaniu się ogładą i czytaniem; one to odbijają zawsze od prozy rażąco: nie można n. p. równać prozaika Wacława Potockiego z poetą; jego Wojna Chocimska napisana jest najświetniejszym wierszem polskim; za to prozaiczna przedmowa do niej, to barbarzyńska mieszanina polsko-łacińska. Cóż za dziw, jeśli po tem wyłącznem panowaniu łaciny i w ówczesną poezję i w dzisiejszy nasz język wkradły się wazy łacińskie, pozostałości od gorzkiej pamięci Alwarów, które wszyscy rozumiemy, chociaż już nie wszyscy ich używamy.

Są to po największej części wyrazy oderwane, jakie niegdyś mowę wielkich „statystów“ ozdabiały, wyrazy szkolnej dyalektyki, obce każdej nowożytnej mowie; n. p. ks. Hieronim Powodowski „w Korabiu zewnętrznego potopu“ 1578 r. mając wyliczać dziesięć „predykamentów“, „musi je tu kłaść po łacinie, bo ich naszym polskim językiem, który się więcej kuchnią, niż dyalektyką bawił (na boku nota: Polski język o rzeczach kuchennych obfity), właśnie wyłożyć nie możemy“. Podobne świadectwo z r. 1605 o trudności wykładu umiejętnego w języku polskim przytoczyliśmy wyżej. Każdy rozezna te wyrazy, chociaż nieraz się zawaha, czy nie raczej z francuskiego, niżli z łaciny wyszły; niektóre z nich wcześniej tłumaczono, n. p. rzeczpospolitą z republiki;

między przysłowiami niejedno w obiegu, nawet w ustach ludu, co niegdyś po łacinie ukuto, n. p. choćby od Horacego, co przez szkołę w końcu aż do wiejskich strzech dotarło. Nie myślimy tu wcale o prostych tłumaczeniach klasycznych frazesów, n. p. „nie każdemu w drogę do Koryntu“, jak Rej mówi, lub „ruszyć kamaryny“ (biedy śpiącej) i t. p., lecz o takich n. p.: czego się nowa skorupka napije, tem zawsze trąci i t. p. Wpływ łaciny przypomina więc poniekąd wpływ (językowy) czeski; w szkole, umiejętności, literaturze odżyła zamarta mowa, przez nie wpływała na żyjących, bardzo silnie w pewnych sferach, n. p. w życiu i trybie księży, żaków, lekarzy, prawników; znacznie mniej, albo wcale nie, w innych.

Ubiór księży, przybory kościelne i t. d. obfitują w podobne nazwy, starsze i nowsze; należą tu infuła, pastorał, ornat, alba, komża, stuła, rewerenda, tonsura (korona), albo cyboryum, monstrancya, hostya, patyna, mszał, organy, celebrować, suma i t. d.; wyrazy jak synod, konsystorz, dyecezya, parafia, wityrkusz (kościelny dozorca); u protestantów, minister, superintendent, pastor. Na Litwie nazywają od XVII wieku ministra (a nieraz i każdego Kalwina) *bombiza* *), opowiadano nam i o pani *bombizinie*; dowcip to szkolny: katolicy wyszydzaali ministrów, przywłaszczających sobie katolickie x. (ks., ksiądz), rymując wedle znanej reguły łacińskiej „ix pix bombix“, stąd ich bombixami, bombizami przezwano. Przed kościołem siedzą dziady i baby, ze *skaplerzami*, z *mantykami* (torbami), *mendykując* (żebrząc) *parteki* (kawalka) chleba. Z kościołem w nierozzerwalnym związku stoi szkoła, więc i o niej wspomnimy. Wszelkie przy-

*) We Wiśle XI. (1897), str. 433, opowiadał p. Jasiński o znany legendowym Sicińskim, że „chrzcili go bombizi, którzy kumają się z dyabłem... sławne heretyckie szkoły bombiskie w Kiejdanach“.

bory szkolne noszą nazwy łacińskie, atrament (czyrznidła dawnej polszczyzny), kałamarz, membrana, karta, arkusz (jak i niemieckie *Bogen*), papier, bibuła, skrypturał, linia, kreda, pióro *otemperowane* i t. d.; wedle opłat szkolnych, jak *kretales*, urobiono i *kozubales*, danina, którą trapieni przez żaczków żydzi dla miłego pokoju składali. W szkole wodzili rej obok mistrza, bakatarza (bakuły), kantora, lokat (podmistrz), sufleta-kalefaktor, rybalt, bean i pedan (stąd pedant, pedanterya); kantor *repetował* z *partesów* (nut), stąd przenośnia: mówić z partesu. Tu pytamy, czy i staropolskie *fasoł*, kłopot, fasołować się, nie stoi w związku z nazwą skali, którą uczniom wbijano, ku wielkiemu ich utrapieniu; Czesi używali *fasolovati* o śpiewie, jak my solmizować. Podczas *lekcyi* wciągano *noty* w *pularesy* i t. d.; mijamy inne liczne terminy, bo oto „niemądra“ *kanikuła* rozpędza żaków; i przed nią, w dzień rekreacyjny, wychodzono *spaciatum* (na spacer; poza szkołą również nie „przechadzano się“, ale „spacyowano“); grano tam w *piłę* i t. d.

Sama powaga stanu wymagała, aby *medyk*, *cyruлик* i balwierz łaciną pluskał, szczególnie gdy był *au bout de son latin*. Z łaciny tej wsiąkło w język niejedno; humory i wapory przypominają nam te świetne dla szalbierzy czasy, gdy je w ciele niby to w ciągłej równowadze utrzymywano; flegma, fluks, reuma, katar i t. d. utrzymały się również; temperament też tu należy z odmiankami; o *spinie* my wprawdzie zapomnieliśmy, za to na Rusi łacińska nazwa do dziś przetrwała; z piłuł zrobiliśmy *piguły*; nasze *likwory* dziś smaczniejsze, choć się nimi już nie leczymy, a nasza *dyeta* bywa ściślej-sza; i wtedy już aqua vitae (okowita) nieraz *salwowała pacyenta*.

Jurysta obławiał się przy każdej sposobności: przy

testamentach z artykułami i kodycyłmi; przy kompromisach i komplancyach, ferując dekret i apelując od niego do trybunału; lecz ponieważ cały język aktowy był łaciński, więc niema celu wyliczać detentów, reasumptów i t. d. szczegółowo. I statysście damy pokój, gdy one zakusy na *absolutum dominium* konfederacją przy dawnych przywilejach, prerogatywach, odpiera, a wszelkiej prywaty się przytem wyrzeka. Uwzględnimy tylko jeden termin, kaptur, t. j. juryzdykcya (sądy kapturowe) za bezkrólewia — historycy i juryści wywodzą bowiem słowo to, za Krasickim, od łacińskiego *captura*, niby *libera captura* — dozwolone uwięzienie każdego burzyciela porządku publicznego, z zawieszeniem prawa *neminem captivabimus nisi iure victum*. Zdaniem naszym, dawniejsze tłumaczenie, od czarnych kapturów na głowie, jakie ci sędziowie na znak żałoby i opróżnionego tronu zarzucali, trafniejsze. Zapisujemy jeszcze wota, wotowanie, albo dawniej wotunki.

Prócz tych, że tak powiemy, specjalnych słów, mamy liczne ogólniejszego znaczenia, nie tylko dla pojęć oderwanych, lecz i dla przedmiotów i rzeczy codziennego życia. Pomijamy łacińskie nazwy miesięcy, omówione wyżej; inne dotarły do kuchni i kredensu, n. p. kochle, serwety, talerze, kraty — tylko najniestuszniej jeden lingwista nam nazwę pewnej części ciała z łaciny wywiódł; urosłaż ta między nami samymi, czytamy n. p. w polskim Krescentynie z r. 1549: „pierze też godzi się na poławie ku siedzeniu panie grzesznicy“. Ależ i na polu spotkamy się z łaciną; nie tylko *łan* ją przypomni, lecz i *gleba* i *stywa* (kozica u pługą, styk); nawet i wózek, *bieda*, od *biga*, przewzany.

Najwięcej wyrzów dotyczy usposobienia, nawyknień, porywów i t. d. etycznych i fizycznych. Jacyśmy *kon-*

tenci, że *fatyga* nareszcie ustała, że nic nas więcej nie *turbuje*, żeśmy bez *tumultu* zawinęli do *portu*, załatwili z *sukcesem interes* (dawniej *interesse!*) takim *procederem* i zdobyli z tego *tytułu* rzecz może bez *realnego waloru*, lecz naszym *gustom zaakkomodowaną*. Mówimy jeszcze o *rygorze* rodzicielskim i t. d. inne *terminy* stanowczo przestarzały, n. p. taki *rumor*, *rankor*, *wigor*, *prowent*, *asumpt*, *ansa*, *submitować się*, *solenny* i i.; nawet *afekty*, które już Górnicki (1587.) pochociami zastępował, i *respekty* i *despekty* trącą staroświecczyną. Inne znowu kwitną sobie w najlepsze, kolor i odor, sens i honor, natura i norma, koncept, racya i kwestya, porcy, kwarta, kwota i kwadrans, okulary (dawniej okulatory) i sulejały (bóty), fundusz, familia, kolumna i meta, ruder a i ruina i t. d. — nie potrzebujemy przypominać, że to słowa najczęściej po całym świecie używane. Co ciekawsze, że dla *impetu*, dla porywczego wybuchu, służą terminy obce, n. p. *raptem*, albo *obces*, obcesowy (w dawniejszej polszczyźnie zawsze obses, obsessus, t. j. pomieszany, *waryat*, *furyat*, n. p. rzuci się obses na cię, obses cię zabije, pewnie obses skoczą): dziwacznie wyda się nam, że „złote pióro“ Orzechowskiego nie wzdrygało się kłaść zamiast ojczyzny (która ojcowiznę znaczyła), patryę, mówić o miłej patryej naszej. Znamienne jest również, że, do czego się z wielkim zachodem zabierano, przy czem się na *oracye* sadzono, nazywano z łaciny, a więc n. p. *quamquam* (właściwie „chociaż“, od którego *arenga* często się rozpędzała): p. starosta witał go (r. 1580) od panów z długiem *quamquam*; albo W. Potocki opowiada o sobie: „nim na ławie siędę, na krótkie *quamquam* się zdobędę“, u Kochowskiego mamy wiersz: „Do monarchów chrześcijańskich sąsiedzkie *quamquam*“; „na weselu *quamquam* bych też potrafił“, czytam indziej.

Albo *kweres*, zamiast czego i *skweres* (jakby od skwierku) mawiają, w gruncie rzeczy tyle co *kwerenda* lub raczej *quae res*? n. p. uczyni takie *queres* (r. 1575); we współczesnym liście zaś: „jakie *quae res*, jakie inkwizycye i t. d.“ Kto się dziś do ładnej twarzyczki *amprztyfikuje*, czyli *sztysfelkuje*, używa tylko tej samej *amplifikacyi*, mowy przesadnej, jaką dawny panegirysta łaski mecenasa zaskarbiał i t. d. Warto wspomnieć i o słowach, łacińskich i rodzimych, zakończonych z łacińska na *us* albo *usz*, wzgardliwych, n. p. *wagus*, *nygus*, *obdartus*, albo: *stabeusz*, *chudeusz* i t. p. Tu należą i *androny*, nie-dorzeczności, znane i w ruskim (n. p. *androny* jadą u Gogola) z łacińskiej nazwy pierzei, długiej ulicy, od której może i nazwa ciasta, *androtów* (dziś *andrutów*) dla długiego i wąskiego ich kształtu, wyszła — *andrody* między papinkami wymienia już Knapiusz: baba uparta *androny* (*ambaje*) stroi, czytamy w *Compendium medicum* z r. 1703.

Łacina otwierała niegdyś wszędzie przystęp, skoro „*disce puer latine, faciam te Mościpanie*“ mawiał Batory, a stosował się do tego naród szlachecki, więc i stan miejski w swych szkołach jej nie zaniedbywał. W jezuickich szkołach robiono prędsze postępy w łacinie, jak sam profesor jeneński, Mylius, przyznaje (w rzadkiem, tłumaczonem z niemieckiego, pisemku, „Przestroga do Ewangelików i t. d.“ r. 1596), tak że protestanci nie wahali się dzieci do tych szkół oddawać, co Mylius ostro karcił. Jeszcze szkołom Komisji Edukacyjnej zarzucali rodzice, że słabo łaciny uczą. Wszystko, co się z ostatniej nędzy gramoliło, znało ten język, a choćby tylko początki jego: wszyscy go używali i nikt się na to nie obruszał, chyba p. starosta Szafraniec na sejmie koronnym 1569 r. w przystępie złośliwości, gdy marszałek

powiedział: „jam tu jest *accusatus*“, przerywa mu: „mów WM. po polsku, wszakżeśmy tu wszystko Polacy“. Ale łacina nie tylko w Polsce w szkołach, kościołach, trybunałach i aptekach panowała; panowała w równej mierze i za granicą, więc dzielimy z innymi ów ciężar słów łacińskich, który u nas chyba nieco większy; te słowa łacińskie dawne pozostają wyraźnym dowodem naszego związku nierozzerwalnego z obyczajowością zachodnią, są niby naszą legitymacją cywilizacyjną.

VII.

W inne koła przenosi nas język *włoski*: z zakrystyi i lektoryów, z *apatek* i od szranków trybunalskich przechodzimy z nim na dwory wielkopańskie, między wykwintne towarzystwo, co w cudownej Italii najpiękniejsze lata młodości spędziło. Cecha wyższej ogłady wyciśnięta tu wszędzie: naśladują go więc i poeci, choć nieraz Włoch ani oglądali, przesypując chętnie język, wolny od szkolarzkiej łaciny, włoskimi, wyszukanymi wyrazami, szczególnie w XVII wieku Twardowski, Gawiński lub Kochowski, rzadziej Morsztyn, jeszcze rzadziej stary Polus, Potocki. Wystarcza przebiec te włoskie „słówka“, aby się przekonać, co za wyrafinowany smak, przepych i zbytek z nich przemawiają. Zacząwszy można choćby od jarzyn i ogrodowin wykwiutniejszych, od owych *wernancyi*, n. p. od kalafiorów, któreśmy dziś mieszały z karafiołem, co zupełnie inną roślinę oznaczało, od pomidorów, szparagów, selerów, sałaty, karczochów, kalarepy i t. d., a skończyć na szczegółach ubioru *alamodnego*, budowy *pałaców*, zakładania *dziardynów*, tajemnic *baletów*, *gorgów* i *treli* we śpiewie, a instrumentów i tonów w muzyce. Tu znajdzie się w końcu miejsce i dla *dżelozyi*, jakby jej

małżonek (*becco cornuto*, rogal, tylokrotnie wyszydzany w XVII wieku) i kochanek, *inamorat*, po polsku nazywać nie umieli. Już od poprzedniego wieku napływało z Włoch, co tylko tchnęło „gracyą“ i smakiem, ogładą i wytwornością, kunsztem i modą; tylko u Włochów wyuczał się dworzanin i żołnierz, jeździec i myśliwy, baletnik i muzyk sztuki swej aż do doskonałości. Jak wysoko cenili znawca, p. marszałek Dorohostajski, włoskich *kawalkatorów*, zbyt drogich dla miernej szlachty! Wprawdzie zawodziły nieraz kosztowne *dzianety* włoskie na podolskiej grudzie, lecz nie wadziło to przyjmowaniu włoskich przyborów do jazdy, wozów, skoków i t. d., n. p. *kawecanów*, *kurbetów* i *karerów* (*carrier*a; u Strykowskiego 1582 r. czytamy nieraz: „karery biegając, karery wywracaj“ i t. d.), *karet* i *karoc*. Dawniejsze i słynniejsze od „brytanów“ są psy gończe *medyolańskie*, których nazwa po dziś na Litwie ocalała (*medelańskie* w Statucie Lit.). Z Włoch szły broń i stroje żołnierskie, jak i fortele dobywania *fortec*, *fos*, *rawelinów*, więc n. p. *darda* (*spisa*), *szpada* i *sztokada* (*spada*, *stoccata*), *paweża* lub *pawęża* (*pavese*, tarcza; jest i czeskie); ulubione między młodzieżą *stradyotki* i *karwatki* przypominały ubiór weneckich żołnierzy; wiele z tego, co do *floty* należy, również z włoska przezwano, n. p. *bat*, *bacik* (*batto*), *galia* (*galea*, *galer*a) i in., lecz *koga* (okręt) wprost z łaciny przyszła, bo znajdujemy ją już w pieśniach i legendach z XV wieku; do Matki Boskiej wołają: „Bądź Ty nasza koga, bychom morze przebyli, do nieba przy płynęli“; *kordel* (sznur, lina statku) również tu należy, *cordiglio*; K. Twardowski błaga niebios o łaskawy bieg *fuście* (*nawie*, *fusta*) nadwątlonej i t. d.

Do dawnych tańców, niemieckich i narodowych, do *cenara*, *gonionego*, *świeczkowego* i t. d., przybywają włos-

kie *padwany*, *saltarele*, *galardy*, *kapryole*, które wszystkie *galantuomo* i *kortyzanka* umieć winni, jeśli *reputanzę* utrzymywać myślą; w *stancyi* (stanza) i *dentro* (w obrębie) *dziardyna* oddają się oni wszelkim śmieszkom, *lazom* (*lazzo*, stąd *lasy* u pamiętnikarzy XVII wieku, nie zrozumiane przez wydawców), *spasom* (*spasso*, stąd *alaspasy*, *halaspasy*, rozrywki, Twardowskiego, Gawińskiego i Kochowskiego) i *bontempom*, wedle najnowszej *manieri* i *fozy* (wenecka forma słowa, u nas bardzo pospolita w XVII wieku, też *fodza*, dla mody, trybu), w *karnawał* naturalnie z *maszkarami* i *dżogi* (tany, z *giuoco*).

Oni już się nie sadzą, tylko *sforcują* (*forca* = *forza*), na rozmaite *splendece*, *altece*, *grandece*, *kortece* (grzeczności) i *alegrece*; sprawia im to największą *kontentecę*, chociaż nieraz cała *impreza*, mimo wielkiej *spezy* (kosztu) i za *fraszkę* (*frasche*, brednie) nie stoi, *speranzę* (nadzieję) zawiedzie. Na stół dają im *antypasty* (przedsmaki) i *potazy*, choć polski żołądek na nie sarka: nie przebłagają go i liczne „włoszczyzny” — „czy ja wół, abym trawę jadł”, pyta rozżalony. Damy stroją się do stołu w *fetocye* (wstążki); dbają przedewszystkiem, żeby *cera* była świeża, choćby dla niej *środeczków* i na *wendecie* (targu) nabywać miały. Na wendetę nęci nieostrożnych inna nowinka: *faryniarz* urządza *farynę* (loteryę), stawiający wyjmuje karteczkę, ale na niej najczęściej *cyfra* (zero) zamiast wygranej; zresztą któż wie, czy go nie oszukują, boć to sami *birbanci* i *furfanci*, którzy za *bukatę* (kęs, *boccatà*) chleba i brata rodzonego zdradzą. Obok wendety dostaniesz i rozmaitej *wiwendy**) i be-

*) *Wiwenda* ich (Duńczyków) uciészna bardzo i t. d. opowiada JMc. P. Pasek (*vivanda*, potrawa), który terminów włoskich często zażywa, n. p. *foryszter* obcy (*forestiere*), *paragon* (w *paragon* nie wcho-

wandy (napitku), a z niej urosną niebawem *bewerye* (pijatyki), skąd do browaryi albo *breweryi* (braveria) najprostsza droga. Więc rozumniejsi przestrzegają i grożą, wydają *Bando* (zakaz) przeciw gorzałce i wszystkim jej naśladowcom (tytuł wcale ciekawej broszury wierszowanej z r. 1716, Michała Karasia); lecz to nie skutkuje. Wyrazu *bando* (wywołanie) używano często, n. p. „*Bando na Aryany*“ (słynna swego czasu broszura), stąd *bandyzować* i t. p.; obok niego możemy przytoczyć *fallo* (błąd), n. p. w *Jedności ś. Cerkwie* i t. d. z r. 1632 czytamy „wielkie *fallo*“, *falluje* (błądzi) i t. d., *falit* i inne.

Oto najpospolitsze słowa włoskie. O silnym wpływie języka przekona nas fakt, że aż w najdalsze zakątki polszczyzny wciskały się najradsze, najwyszukańsze terminy włoskie. Zdziwieniśmy n. p. niepomatu, czytając w tejże prawosławnej broszurce (*Jedność* i t. d.), że (czterej biskupowie swemu metropolicie) „ten sekret *palesowali*“ (t. j. odkryli, włoskie *palesare*). Sakowicz (w *Okularach* i t. d. 1645 r.) oskarża czerńców, że, zrzuciwszy habit zakonny, chodzą jak księża świeccy „w palendrach, rewerendach“; o unitach mówi (w *Perspektywie* z r. 1642), że chodzą „w palendrach, czamarach“ — obie nazwy włoskie, z pierwszą porównajmy n. p. tytuł: *Tryumf Miłości* (Petrarki) w polski kopieniak (płaszcz) ubrany, zewleczony z tokańskiej ślicznej *palandrany* (palandra, płaszcz). *Aryan Farnowiusz* („*O znajomości Boga*“ r. 1573) i inni każą apostołom „z jednego miasta do drugiego *palentować*“ (*palante* = wagus, wałęsający się — odróżniać należy od tego słowa inne, *palantować*, bić, od palantu). I nasze

dzi z orłem puhacz i t. d., t. j. w porównanie; z włoskiego *paragone*, nie z greckiego, jak Linde i inni twierdzą; paragonować, równać, mierzyć się z kim, bardzo częste w XVII wieku u W. Potockiego i innych) i t. d.

buza, buzować kogo (złajać) wywodziliśmy z włoskiego, *far buzzo*, gniewać się (na kogo), *buzzo* i *buzzone* opryskliwy, mruk, *buzzurro* prostak, gruby; więc czytamy w Smotryckiego „Obronie Verificacy i t. d.“ z r. 1621: „wam lada buzie wolno na majestat następować“... „ten zły człowiek nas buzuje“*).

Szczególniej wiele terminów przyjęła dawna polszczyzna od „kapeli“ włoskiej. Nie myślimy tu wyliczać instrumentów, n. p. regałów, sztortów (storta) i in., lecz zaznaczymy choćby kilka nazw melodyi i t. p., które całkiem polski wygląd przybrały, n. p. *wycwerki* i *wycwerkować*. Knapiesz objaśnia je łamaniem, strzępieniem głosu, trzęsieniem gardła, lecz obok wycwereków znajdujemy *rycwerki* w XVI wieku, jest to włoskie *ricerco*, *recercare* (preludya, fantazyja); Jabłonowski utworzył stąd nowe słowo, *wycwier* i *wyćwirny*, wymyślny. Od *gorgów* (trelów) poszło gorgolić się, nadymać się, podobnie, jak „mówić z partesów, stąpać z tabulatury, prze-kwintować, wykwindować“ (stąd wykwindny), mowę, chód i tryb nienaturalny, wymuszony, napuszony, oznaczają: wszystko, jak i *biszkunty*, figle, od śpiewu i *not* przejęte, wedle których piosnkę „nócono“ (*biscanto*).

Nie mówimy o tańcach i melodyach, o galardach, pasomeziech (u Morsztyna, *passomezi*), kanzonach, motetach, madrygałach i t. d. Warto też wspomnieć o urzędzeniu ważnem, przezwanem z włoskiego: nasza *poczta* (równobrzmiąca z zupełnie jej obcą, staropolską pocztą, upominkiem) z *poszły* (włoskie *posta*) powstała; najdawniejsza „gazeta“ polska, t. j. „Poczta Krolewiecka“, wy-

*) Natomiast *buza* braha (u Miechowczyka r. 1518 wyraźnie jako słowo tatarskie wymienione) poszła ze wschodu; *buzia* po całym świecie się rozeszła, ani wiemy, skąd właściwie wyszła; *buzerować* słowo włoskie znowu.

dawana przez drukarza J. Dav. Zankiera albo Cenkiera r. 1718—1720, na tytule naprzemian Poszta albo Poczta wypisuje; lecz wtedy „obrywka z Gazetow Polskich bardzo licha była“, bo niewielu było, „którzyby chcieli Polskie trzymać Gazety“. Poprzedziły je krakowskie, wydawane przez Włochów, Merkuryusze i „Awizy“ (częste po ówczesnych tytułach, n. p. „Świeże Awizy z koła panieńskiego“ i t. p.).

Najwięcej nowinek włoskich zagaściło się jednak w kulcie ciała i stołu. Minęły te święte czasy, kiedy to szlachcic szubkę baranem podszywał, a pani jego starczył kozuch z pozłotką w zimie, haras z barchanem w lecie, pacierze bursztynowe, na szyi prosty czecheł, na głowie toczenice, a chomla na czoło; kiedy to na chlebowych talerzach bez serwet jadal, piwo a miód pijali, w piekarniach siadali... I bogata szlachcianka dawniej dosyć miała, gdy wzięła od rodziców parę pektoralików a krzyżyk od męża i piszczatkę z rubinem dla dzieci, dalej Boże uchowaj napierać się było; i ona w powszedni dzień w letniczku, w koszuleczce białej, a sznóreczka na szyi... teraz wszystko inaczej. Wspominaliśmy już o włoszczyźnie, o antypastach i potazyach, marcepanach i tortach; na stołach leżały cieniutkie i bieluchne *towalie* (turalnie), serwety; w *kredensach* stały kosztowne szkła (weneckie) malowane, „z Bożą męką“ i *bukale* dla małmazyi, kanaru, seku, alakantu, odwilżających gardła, spiekle od *mostardy* i innej korzennej przyprawy.

Mężczyźni, osobliwie młodzież, ubrani wedle ostatniej fozy (proszą bowiem u krawca: „uczyń mi, jako dziś noszą“. — A czemu nie jako wczora, Zaż to inny rok z wieczora? pyta Rej), *kapelusz* (capeluccio), albo *galer* (galero) na głowie; w *kapie* włoskiej, *palendrze* albo w *sajanie* (z *sai*, *adamaszku*, *sztametu*), zdobnych *pasa-*

monami, puntałami; z nożykiem (piórkiem), szatno i łańcuszno; z rapirem u boku, opatrzonym dla ręki w *fordyment*; w bufiastych spodniach i obcisłych pończochach, w kordybanowem obuciu, zalecają się damom, które o poważnym stroju staropolskim tak dalece zapomniały, że „przydany” (drużba) Zbylitowskiego, zjawiając się na weselu, zdziwiony widzi liczne „damy”, lecz żadnej Polki.

Mają perły w uszach, czemu nie i w nosie? ponawieszano na nich *feretów, terepel* (trzeperelle, trepele, t. j. krezy, „których dyabeł trafiać pomaga, a jednej paniej były w szyję wrosły” sarka Widawski; czy to drap-peria?), *fortygałów z bramami* i bez nich, *kornefesów* albo *kornufasów, maneli* na ramiona i ręce, w których *facelety* (chusteczki) powiewają, *gorgulików i gurgielli*, t. j. koszulek (*gorgiera* krezy, „teperelle z gorgulikiem, iścieć skarbu nie umnoży, niżli to na szyję włoży”, skarży Rej r. 1543); sukienki z prostej *kanawace* (canavaccio, materya) ani obaczyć, zniknęły stare „smykawice”, obcisłe, długie; w ciężkich sukniach panie same niby ociężałe, młodzież obraca je w tańcach i śmieje się potem: azaż to lekki kozub? Zbytek zbytku, koszt kosztu popycha; w sypialni:

Uźrysz tam niderlandzkie opony na ścianach,
I kobierce adziamskie (perskie) i *włoskie szpalery*,
Przy kącie pyszne łoże, nad nim zawieszony
Namiotek z rozmaitych utkany jedwabów,
Masć od maści śliczniejszych; pościel haftowana,
Kołdry albo drotowem złotem*) przeszywane,
Albo z brzegów drogiemi perłami osute...
Wóz musi być z poklatem *włoskim* na kształt brozku,
Popona złotogłowem podszyta, a w koło
Frاندzami bogatemi pięknie lamowana.
Srebrne gałki muszą być, srebrne u szlej przęcki i t. d.

*) Por. „Owo srebro drutowe, co je *włoszek* złoci”, Bielski M. w „Rozmowie dwu baranów“.

(Ciekliński, Potrójny, r. 1597). Przy wozach kroczą stale ustrojeni pysznie *sztafiry* (staffiere, lokaj), nie wypierając dawnych forysiów i nowszych stangretów; do dziś pozostał od nich wyraz: *sztafirować się*, t. j. stroić. „Jak w złocie *džioja*“ pisze Bojanowski, „Naumachia chocimska“, r. 1622; jest to gaja (drogi kamień, juwel) i t. d.

Oto główna treść napływowej fali włoskiej. Gdy miejsce Włoch w ogładzie, zbytku i modzie, w galanteryi, elegancyi, rafinerii smaku, w kulturze umysłowej, Francya zajęta, ustąpili włoscy przybysze francuskim. Zapomnieliśmy o nich zupełnie; strój zmieniony zatarał wszelkie wzmianki o dawnych szczegółach i nazwach włoskich; mało co uszło zagłady; fraszka, dzięki Kochanowskiemu, uwieczniła się, podczas gdy lazy, bontempy i spasy, nie podtrzymane jego sztuką, zaginęły. Najwięcej „włoszczyzny“ zostało w ogrodzie warzywnym; obok niego teatr i balet, śpiew i muzyka, już nie tylko u nas, lecz i na całym świecie cywilizowanym, dawną szkołę i mistrzostwo włoskie ujawniają. Inne języki romańskie na polski nie oddziaływały. Po hiszpańsku umiano w XVI wieku, n. p. *guzmana* (błazna) i *karawakę* (krzyż) z hiszpańska nazwano; jeszcze sędziwy Chodkiewicz wybuchnął pod Chocimem zwrotami „kaballerów“; lecz w XVII wieku, przy gasnącej potędze państwowej, gasł i urok języka, którym niegdyś Tęczyńscy i Lubomirscy władali. Nawet tłumaczenia z hiszpańskiego języka są bardzo nieliczne, chociaż hiszpańska literatura polityczno-moralna (n. p. u Warszewickiego) i romansowa (n. p. u Twardowskiego) wpływ pewny wywierała.

Francuszczyzny uczono się już od XVII wieku; znamy liczną szlachtę średnią, około 1620 r., umiejącą po francusku, tłumaczącą książki francuskie (n. p. Bolestraszycki z nieszczęsnym i dla siebie i dla książki,

przez kata palonej, skutkiem); od połowy XVII wieku zaczyna francuszczyzna przeważać na dworach królewskich i wielkopańskich, ruguje Włochów zupełnie; lecz dopiero od XVIII wieku opanowała wszystko, co do ogłady się garnęło, chociaż romanse francuskie czytano (Sobieski!), tłumaczono i naśladowano już od 1640 roku; równie dawne są nazwy stroju damskiego, od *muszta-siów* na czołe począwszy, *kwefów*, *fontazyów*, *kapot*, *west*, *mant* i *mantoletów*, *koronetów* i t. d., od których się w opisach satyrycznych (n. p. Łącznowolskiego z r. 1682) aż roi.

VIII.

Stosunki polityczne łączyły oddawna Węgry i Polskę, jak familijne Arpadów i Piastów; cechy ich bywały nieraz wrogie wskutek wzajemnej rywalizacji, n. p. o Halicz. Życie obu państw płynęło jednak odrębnymi korytami, chociaż tu i tam osiągnięto w końcu ten sam cel, wszechmoc oligarchiczno-szlachecką; znano się nawzajem bardzo mało, w średniowiecznej polszczyźnie ledwie jeden i drugi termin węgierski odnajdziemy, n. p. *jobbaggionów* w XIII wieku dla oznaczenia kmieci, chłopów (*iubaiones et colonos*, u Miechowczyka r. 1518), albo wyżej wspomnianych *Kunów*. Zmienia się to zupełnie od Jagiełłowiców; Władysławowie i Ludwik zasiadają na tronie węgierskim, a na ich dworze znajdziemy niejednego Polaka; za Zapoliami odzywają się polskie sympatyje, wyrażane i czynną pomocą; wreszcie powołał naród szlachecki na tron opróżniony Węgra. Od Batorego głównie idą wpływy węgierskie w Polskę; wpływy te ograniczały się jednak do kół ściśle zakreślonych.

Węgrzyn Polakowi w ogładzie ledwie dorównywał;

toć z Krakowa czerpał on wiedzę i wtedy jeszcze, gdy sami Polacy źródła tego już nie cenili. Lecz Batory przyprowadził z sobą znakomicie wyćwiczoną piechotę węgierską, posługiwał się najchętniej, ku wielkiemu zgorzzeniu panów, Węgrami, i uczynił Węgrów strój, uzbrojenie, służbę, nawet zwroty ich mowy, modnemi. O zmianach zaszłych za Batorego poucza współczesny świadek, Andrzej Lubieniecki, w *Poloneutychii* (pisanej znacznie później, 1615 r.). „Rycerstwo polskie zachowało było w zależeniu pola i pokoju długim staroświecką armaturę, godną przeciw kuszom i łukom, nie przeciw ognistej strzelbie; siódło na koniu, blachą okowane, tak wysokie, że zakrywało pół jeźdźca, a ważyło za trzy siodła terażniejszych; pancerz ciężki, tak, że nie tylko kijem, ale i nahajką można było rycerzowi dobić; ciężka tarcza, szyszak wysoki i szeroki jak pudło, co wszystko razem i w najmniejszy wiatr rycerza umordowało a konia osądniło; i kopia ważyła więcej, niż terażniejsze dwie, i były inne rzeczy błazeńskie.

Piechota też polska była, że bardziej do błaznów byli podobni niż do rycerzów, bo je ubierano w szaty szachowane z różnych barw sukna; każda karwatka i szarawara miała w sobie kilka farb różnych; a broń ich miecz a barta (siekiera), ruśnica bardzo rzadko; a ci ani wiedzieli, jako szańce robić abo kosze. Król tedy rozpuścił wojsko polskie, przepisawszy im taki sposób wsia-dania na koń, jakiego teraz nasi usarze używają; tak i nasza piechota węgierskiej się jęli we wszystkim akkomodować. (Wydanie z r. 1843, str. 110—111). Podobnie, choć z pewnem zastrzeżeniem, wyraził się i Bielski w „*Kronice*“ (w wieku XVI): „drabikowie nasi chadzali z oszczepy, a miecze przy boku mieli, pawęży też mie-wali, które spiąwszy, bywali bezpieczni za nimi jako za murem, ani jazda ledajaka nie przełomiła. Ale już dziś

wszystko inaczej, więc nie wiem, jeśli tak lepiej, lecz to baczę, że co pierwaj Węgrowie piechocie naszej dank dawali, to my dziś węgierską chwalimy“ (u Łebińskiego, *Militaria*, 1889., str. 144). Odbiło się to natychmiast i w języku, który już przed Batorem niejedno ze słownictwa szlachecko-państwowego, z kroju i zbroi, przejął.

Ustalało się to później żołnierką polską na Węgrzech przeciw Turkom, jeszcze częstszą węgierską w Polsce, a w XVII i XVIII wieku, przyczyniło się tego zalaniem kraju winem, które na Węgrzech się rodziło, lecz w Polsce umierało, i rzeczywiście do szabli i do szklanki głównie ograniczyła się cała poufałość z Węgrami. Wyrazów politycznych przyjęto dwa: *rakosz*, później *rokosz* smutnej pamięci, pole elekcyjne i tłumy szlacheckie zalegające pole, i spisek przez nie wywołany. Jeszcze na sejmie elekcyjnym r. 1587 (*Acta XI*, 195) twierdzono: „iż WMości do czegoś niezwyčajnego mieć się chcecie, do jakiegoś rokoszu, które słowo językowi polskiemu nie jest znajome“; tymczasem to myłka, słowo i pojęcie choćby od Wojny Kokoszej znakomicie się ustaliło, używali go wszyscy, nie tylko Górnicki („na miejscu rokoszu na elekcyą“), albo taki Adam Czachrowski, co to w chorwackiej ziemi długo służywszy i po węgiersku wiersz złożyć umiał („aby się schodzili na rokosz w pole“ — czytamy w jego „*Threnach*“ z r. 1596 i t. d.). Drugi, niewinniejszy, *orszak* (otoczenie, pochód), z węgierskiego *orség*, „załoga, straż“, ale jest między Słowianami rozpowszechnione i inne słowo węgierskie *ország*, państwo i tak go Orzechowski w liście do Krowickiego używa: „świat albo orsag nasz“. Tem liczniejsze są inne nazwy, „jezdeckie“.

I tak dosiada pan *deresza* albo *parepy* (paripa wierzchowiec, wałach); *hajduk* (sługa, drabant) jedzie za *kot-*

czym (wozem, koczem) na *łogoszu*, aby go panu w razie potrzeby dodał; żrebcowi opinają nogi w *forgocz* (fargasz, rzemień, jak w czeskim). Wygoliwszy czuprynę, nasadza pacholek *magierkę* (czapeczkę węgierską), nieraz z *forgą* (forgo, pióropusz); zarzuci *kopieniak* (köpenyeg, płaszcz), *kontusz* (köntös, suknia), *dołman* lub *czuhę*; już Rej r. 1543 skarży się: „ale tam rzadko bywa pan, gdzie rządzi czuha, dołoman“; po nim często o dołmanie mowa, n. p. „co u naszych ojców była kurta, to dziś dołoman“ („Co nowego“ z r. 1650), do których później i *bekiesza* futrzana przystąpi; wcześniejsza już węgierska *delia* („drugi więc swą wioskę mija, rozwiodła go z nią delia“ — Rej r. 1543) i *delura*. Naciągnął *nadragi* (spodnie) i obcisłe *ciżmy* (trzewiki) lub krótkie *bociury*, a w rękę bierze *bettę* (siekiere) albo *czekan* czy *nadziąg*.

Śmieje się z niego p. Baltyzer z Kaliskiego powiatu w swoich „Rozkosznych Biesiadach“:

Pan brat prawie (całkiem) z *magierska* sobie szaty sprawił,
Ale dla nich nieborak siódłaka (chłopka) zastawił.

Inni zowią te „magierszczyzny“, „magierskie ubrania“, ohydny, lecz moda modą pozostała.

Nietylko w ubiorze męskim przebijała węgierszczyzna; więcej jeszcze znać ją było w obozie i w wojsku, gdzie *katana* (katona, „żołnierz“, od niego przezwana „katakanka“, jak rajtarka od rajtarz, brandebura, karwatka, stradyotka, radziwiłka u żydów litewskich i t. d.), z brodą katarską (wedle Kochowskiego), rej wodził w *szeregach* (sereg, pułk*).

Z Węgrów zaciągali się tak zwani *lewencowie* i *sabaci*, o których n. p. Żółkiewski pisze: „abyśmy się

*) I w polsko-ruskich tekstach, n. p. księdza Drobiszewskiego z XVII wieku czytam *szeręgi*, skąd ruskie słowo *szerenga* poszło. Na ubiorach i broni potyskiwał i szych węgierski.

strzegli Sabatów od Sambora, jako byli wpadli przed kilku laty“, a p. Gajewski w „Rozmowie Ukrainy z Żołnierzem“ z r. 1619 skarży się, że „zaciągamy do Polski, jakbyśmy mieli mało własnego „chłopia“, Węgry, Sabaty, co nic nie umieją“. Są to węgierscy *szabados*, od wolności, swobody przezwani; sławniejsi niż oni, uwijali się dzielni *husarze* na zwinnych *sekielach* (konie siedmiogrodzkie) z twarzą nieraz na krzyż ciętą, *kiereszowaną* (kereszt, krzyż), za nimi *giermki* (gyermek, dziecko, chłopiec), *harcowali* na koniu; na przód darli się ochotnicy wybrani, *elearrowie* (elöjaro, przodujący); żelazne *szyszaki* kryły im głowę, *karwasze* szły na łokcie, a *paiz* (pais, tarcza) na bok, u którego pałasz wisiał. *Dobosze* i *szyposze* zajęli miejsce dawniejszych piszczków; i z wieży pobudka (stróż, dawniej; dziś grają nam pobudkę, lub pobudka na nas działa, moralna, którą dawniej pobiedką zwano, czeskie pobidka) wytrąbywał *hejnał* (hajnal, jutrzienka); łaskę marszałkowską i t. d. zastępował *palcat* (palcsa, laska, *t* dodano jak w; kajet, filut).

Cóż za dziw, że od tej węgierskiej służby i piechoty (która zresztą, jak już Batory mawiał, w Polsce miewała tyle zysku, co wyniosła w pysku) i całe węgierskie słowa i zwroty się szerzyły. Szczególniej po humorystycznych utworach XVII wieku napotykamy często takie *uram* (mój pan *bizun* (bizony, naprawdę; poszła stąd nazwa bizunów, batogów, jakie hajduk — bizon leżącemu na kobiercu odliczał), więc czytamy n. p. w Satyrze na twarz dworską: „Uram odstąpcie, han J. M. idzie do Pana“; albo w „Intermedyum chełmińskim“: „Uram gazda beszte“ i t. d., całe węgierskie wiersze, włożone w usta chudego pachółka. Jeden z takich wyrazów zachował się w słowie *besztać*, urobionym od węgierskiego *beszte* (bestya), którego piechota Batorowa tak często

używała, że urosło w przysłowie: „nie mów królowi be-
szte, bo cię zetną jeszcze“. Gorzkie było to życie hajdu-
ckie: „służały“ opowiada o sobie:

Mierzi mię kij i szabla, zkosztuję obucha;
Aż ja hajducką służyć. Jak ze dżdzu pod ryne
Trafilem... Rzekł mi stary Andrasz: tej nocy strzedz musisz.
Zbierz (strzeż) karetu, jisty niczego nie skusisz.
Jeśli co ukradziono, to mię siekierkami
Trzepali, równie jak trzech kowale młotami;
Beszte bizom tak mówiąc, źle mię to pytkują itd.

Ci hajdacy byli często Słowakami lub Rusinami
z gór, mówili po rusku: tak ich też zawsze W. Potocki
i inni wprowadzają. Od nich szły w Polsce nazwy An-
draszów, Istwanów, Januszów (Janos, nazwa hajducka,
czytamy n. p. w „Intermedyum chełmińskim“: „tylkoćto
tak hajdukom mówią, słyszysz ty Janusz!“ — chociaż
byli i staropolscy Januszowie. Ci „Matjasowie“ z gór
przymierali często głodem, zanim na służbę trafiali, stąd
mawiają i dziś jeszcze po narzeczach, jak i w XVII
wieku n. p. Kmita i inni: było mi „*matjasno*“, t. j. było
ze mną źle, smutno i t. p. Ale węgierski *baciarz* zjawił
się świeżo; zamiast niego istniał w XVII wieku „chudy
Ferens“ (t. j. Franciszek), goły jak „bizun“ prawdziwy,
który, jak właśnie wspomnieliśmy, również z Węgier, nie
od bizonu — wołu (!) wyszedł; o bezgrosznych *Feren-
sach*“ nieraz JagoŹyński mawia. Z handlu winami pozo-
stało n. p. słowo *antał* i *antalek* (antalag, beczka wina);
maślacz (słodkie wino) to przeróbka wschodniego masłoku,
odurzającego napoju.

W tak ścisłych i szczupłych granicach przedstawia
się wpływ węgierski, uosobiony w języku; jeszcze słabiej
oddziaływali dalsi sąsiedzi na południu. Mimo ścisłości
związków politycznych, jakie nieraz od Jagiełłów do So-

bieskiego, Rumunów z Polską łączyły, wpływów obyczajowych nie wywarły żadnych, prócz jednego pola, które z polityką i dążeniami rumuńskimi żadnej nie miało styczności. Rumun zawdzięczał, w jeszcze większej mierze niż Węgrzyn, całą oświatę Słowianinowi, Bułgarowi; bułgarski język był jego językiem piśmiennym, urzędowym i kościelnym przez całe wieki (aż do XVIII); Rumun jeszcze za naszych czasów wszystko pisał i tłoczył cyrylicą, dopiero książę Kuza narzucił narodowi alfabet łaciński, ale n. p. książę Ghika, prezydent senatu, do śmierci swej cyrylicą pisał; jeszcze dziś chłop rumuński sporządzi sobie za życia „epitaś“, krzyż nadgrobnny, z napisem bułgarskim; bułgarska „arynga“ przy testamentach bywała najdłuższy czas obowiązkową.

Setki najważniejszych słów rumuńskich (podobnie ma się rzecz z węgierszczyzną, również od Słowian zawistą) świadczą ciągle o dawnej, walnej przewadze słowiańskiej, i Rumun nie miał co udzielać Polakowi. Od gospodarów wołoskich, lenników polskich, od rodzin takich jak Mohiłowie, szerzyła się zato znajomość języka polskiego; najznakomitszy oświatą i ogładą Rumun XVII wieku, Miron Costin, spisał przecież dawne dzieje ojczyście dla Sobieskiego wcale niezłym wierszem polskim: liczne rękopisy (sami znamy trzy) świadczą o wzięciu tej epopei między szlachtą. Od Rumuna korzystał Polak w jednej, gospodarczej gałęzi.

Pasterz „wałaski“ od wieków, postępując śladami przodków, pasterzy zabałkańskich, zapępiał trzodami owiec *hale*, *połoniny* i *działy* (góry) Karpackie, rozszerzał swe pokojowe zdobycze wolno a stale, aż dotarł do Morawy, opisawszy olbrzymie półkole. Pasterz wałaski, z *fujarką*, poprzedzający trzodę i psy, już w XV wieku był tak typową figurą w Polsce podgórskiej i krakowskiej, że i kaz-

nodzieje o nim wspominać mogli. Otóż z rumuńskiego języka przedostało się wiele słów „pasterskich“, dotyczących hodowli owiec i jej produktów, do języka podgórskiego, polskiego i ruskiego, lecz nie myślimy wymieniać wyrazów odnośnych, już dawniej przez innych badaczy zebranych*); poprzestajemy na tych, które ogólniej się przyjęły.

Więc z narzędzi muzycznych długa prosta *fujarka*, piszczałka (flueru) i *multanki*, „w które na ustach grają“, nieraz w kolędach wspomniane; z ubioru *bunda*, biała lub czarna, kosmata; z wyrobów owczarskich *bryndza* i *żetyca*; *koszary*, niegdyś dla owiec tylko przeznaczone, dziś i ludziom służące. Lecz *Multan* bywał nie tylko pasterzem, kowalem lub konowałem, nie tylko *wałaszył* żrebce; on sprawował i urząd kata z swoim wielkim *multanem* (mieczem, „multan w szyję zmierza“, w „Penelopei“ J. A. Kmity z r. 1610, „o multanie Gedeonów“ woła Kochowski w „Ogrodzie panieńskim“); wspominają i o „kalaraszach“ (jeźdźcach) wołoskich.

Przy niektórych wyrazach trudno ustalić, czy je wprost od Rumunów właśnie przyjęliśmy, n. p. *czaban* (wół podolski, lecz dawniej pasterz, jeszcze u Reja zawsze tak, n. p. „dzikie pola, gdzie się czubani osadzają“ i in.) z rumuńskiego *czoban*, pasterz (czy raczej nie przez ruskie z tureckiego?) albo *buhaj* (byk), z rumuńskiego *buhaj* (czy przez ruskie i in.); nawet *bukatę*, którąśmy do Włoch odnieśli, możnaby od Wołochów (bukata) wyprowadzić; *sałasz* lub *szalasz* jednak pasterski, pewnie od nich przyszedł; również i *hurmem*, *hurma*, którego objaśnić

*) Por. prace Miklosicha, Kałużniackiego i L. Malinowskiego (Rozprawy akademickie, wyd. filolog. XVII t.); lecz i one nie objęły jeszcze wszystkiego, n. p. *cygarki*, *baranki*, u Wacł. Potockiego i i.

nie umieją, od Rumunów na Ukrainę wyszło; *h* jest tylko przydechem (*urma*, impet).

IX.

Najniebezpieczniejszymi sąsiadami Rzeczypospolitej od południa i wschodu byli Tatarzy i Turcy; tamci, dla nieustannych napadów i grabieży, wyludniających Ukrainę i Podole, sięgających Rusi Czerwonej, grożących Lwowu i Lublinowi; ci, dla strasznej potęgi, która, po zawładnięciu Węgrami, dla samych spraw wołoskich i kozackich do nieodzownych zderzeń parła, jak to pod Chocimem, czy pod Kamieńcem. W ciągłych zapasach z Tatarami, zmuszających do zmiany szyku i wojowania, przejmowano liczne szczegóły z ich własnego uzbrojenia i walczenia; popisywała się młodzież, nie służąca w obozach, nadrabiająca miną i strojem; ciągłe stosunki dyplomatyczne z Portą, wielkie poselstwa, począwszy od Tarnowskiego za Zygmunta Augusta, a skończywszy na Chomętowskim za Augusta II, które i w literaturze liczne i obszerne pamiętniki prozą i wierszem zostawiły (n. p. „Przeważną legację“ Twardowskiego, lub „Dyaryusz Poselstwa“ Chomętowskiego z lat 1712—1714 przez Gościeckiego), obznajmiały szlachtę z wyrazami tureckimi, w jakie szczególnie proza i poezja XVII wieku obfitują.

Nie myślimy wymieniać tych wyrazów, tyjących się tureckich stosunków, urzędzeń i t. p., o ile tylko temu służą (u Twardowskiego, Potockiego, Gościeckiego), aby koloryt miejscowy wiernie zachować (z wyjątkiem chyba „derbisza“; o „chudym derbiszu“ — nagi, jak święty turecki, toż samo — nieraz w literaturze humorystycznej mowa). Dla nas tylko te słowa ważne i ciekawe, co się w ogólnym języku przyjęły, jako osad owych wpływów

i związków: nie rozróżniamy przy tem tatarskich od tureckich.

Orda (horda), albo kosz tatarski, obóz, z *ordyńcami* i z *kozakami**), wypadła szlakami dla *jasyru*, *kończąc* z miejsca na miejsce *czambułami* (zagonami), ciągnąc w *temrukach*, *kajdanach* (*kandalach*) i *cymborzach* (więzach), w *arkanach*, w *torkmyszach* (rzemieńniach), nieszczęśliwe ofiary, siekąc je *nahajkami* i *basatykami*, *kańczukami* i *karbaczami*, darując je życiem tylko w nadziei okupu, lub spieniężenia na *bazarze*, *aurathbazarze*, jak Twardowski mówi („Targ niewieści“), albo wprost na *majdanie*, placu. I *characz* roczny, kształtniej upominkiem zwany, nie zapewniał od napadów *chanaji* (tłuszczy) tatarskiej, szukającej *ułafy* (zysku, jeszcze Rej zawsze tak mawiał, później tylko *tafę* żołnierską tak nazywano), nie u chana, ale na Rusi, stojącej otworem. Dowodzili niemi *asawuli*, *ułani* i t. d. z *buzdyganami* (buławami), pod *buńczukami* (ogonami) końskimi na drzewcu, stąd *bundiuczyć* się). Niesłychaną szybkość ruchów zawdzięczali oni *łoszakom* (konie tatarskie, których oni *łoszakami* zowią, pisze Gwagnin, r. 1611, ruskie *łoszad*'), *rumakom*, albo jak je pierwotnie zwano, *ohromakom* (jako bystry ochromak, mawiał Rej), lub *hromakom* (u Strykowskiego), *bedewijom* arabskim, *badrakom* i *bachmatom*, *bułanym*, *karym* i innej maści. Siedzieli na *jarczakach* (lekkich siodłach) i *wojłokach* (wojłdokach u Reja), przykryci *burką* (której widok sam

*) Z tureckiego kazak „wolny, swobodny, rozbijaka“; w panegiryku Firlejów czytamy: kozakami nazwani lubo z tatarskiego nazwiska niewolnicy lubo z Holackiego sposobu życia, bo o żadne dostatki nie dbają, przy gorzałce tylko w kobzy grają (kozacy niby kobzacy, inni od kóz słowo wywodzili); holacki od hulaki; Miechowczyk r. 1518 wie-dział, że to tatarskie słowo *rajłara* oznacza.

zdradzając Tatarzyna, straszył), albo *krymką*; do świetnego wystąpienia należały *kutasy*, *czoldary* i *czapraki* na koniu (choć czaprag i kosztowną zarzutkę kobiety oznaczał, n. p. w „Penelopei“ J. A. Kmity; i *kanak*, naszyjnik, stąd wzięty). Ulubiona broń, strzała, tkwiła w *sajdaku* lub *kołczanie*; i części jej (*zekir*, *kibić*, *majdan* i t. d.) przeżywał Polak z tatarska, *kibić* przeniesiono później na kształt i wzrost; dalej *dzida*; piersi strzegł *bechtyr* (pancerz) i *kałkan* (tarcza); do ubioru służył *kaftan*; w *demeszce* lśnił się znakomity *bułat* (stal) — tak wygląda i polski husarz w opisie u Kochowskiego: „włas nową łożą (modą) *bałłabańską* (tatarskiego atlety), *telej* z turecka, z gęstą strefą złotą, *andzar* za pasem... but z turecka wielki, przy nim albańskie ostrogi“ i t. d. Lecz nie koniec tym nazwom: *kulbaka*, *tebinki* (rzemienie u siodła*) — co innego niż tabinki, podeszwa), *temlak* dla szabli i t. d., a przede wszystkim rozmaite płaszcze i kocy, *czekman*, z którego później i „sukmanę“ zrobiono, jakby od „sukna“ ją wyprowadzając; *kiliny* (*kilimy*, kilimki) i *derhy* („co za ojców naszych była gunia, to teraz kilim, derha“, „Co nowego“ z r. 1650); (*kirejka* nie z grubego *kiru*, szarej materyi!; Jabłonowski w „Pamiętnym uprowadzeniu“ r. 1745 pisze: „kieręjkę Turczyn, Tatar burkę suszy“); *czuhy* i t. d. Materye na to wszystko sprowadzano ze Wschodu i nazywano po wschodniemu, począwszy od drogich *altembasów* (złotogłowie), *tabinu*, *tafty* i *sai*, a skończywszy na prostym *kindiaku*, *dymce*, *musułbasach*. Gościecki n. p., bawiąc w bułgarskiej Prewadyi r. 1712, zapewnia, że do nas „stąd najwięcej mamusy jak i musułbasy, bo co dom, to ich warsztat, idą temi czasy“, „za swoje

*) Por. Jak od starej kulbaki z Tembiniek (!) złe platy w Kirysie Hartownym (około r. 1660).

(Turczyn) musuľbasy, za garść weľny koziej“, pisze W. Potocki. Aż do obuwia, do *baczmag* i do *czobotów*, sięgały te nowe mody; tu należy i *taśma*, która jak i niemiecki *szlak* (szlaczek, por. szlak albo ręcznik biały u M. Błażewskiego), nie tylko obramowaniu, listwom i t. d. służyła, lecz i w polu ślady znaczyła, n. p. Ulryk Radziwiłł, goniąc w r. 1749 hajdamaków (w ciemnych, zielonych czekmanach), bierze po nich „taśmę“.

Znajomość rzeczywista języków wschodnich była nadzwyczaj rzadka; posiadał ją chyba jaki „poturnak“, lecz ze służby i obozów, od *kardaszów* (braci) tatarskich*), szerzyły się przy ciągłych najazdach pojedyncze wyrazy coraz dalej. Zamiast przewodników, poszukiwano teraz *kaľauzów*, choćby i do nieba; kto dobrą nowinę przynosił, żądał i odbierał jako odუdzne albo napiwek (dawniej koľaczem to nazywano) *musztuľuk* albo *munsztuľuk*; u Twardowskiego n. p. woľają Turcy: „dajcie Laszy munsztuľuk, nowina wesola“, albo: „munsztuľuk pośle gotuj, nowina wesola“ i t. p. Co dawniej butynkiem było, teraz w *paju* (dział łupów) chodzi; wziął w paju, pisze Ulryk Radziwiłł, a p. Dobiński w „Świcie wierszów na święta Maryi“ (z r. 1725) żaľuje łotra na krzyżu, co „nieszczęśliwy w paju“ (gdy łotr Dyzmas dostał raju). Zamiast rozkazów, mówią o *emirach*, rzadziej i o *bujurdunach*; marsze przerywają *kunaki* (stacje); sławnych rycerzy już Grochowski zowie „delijunakami“ (deli — odważny, szalony), a staropolskich „gardzin“ dawno już *bohater* (stąd i węgierskie Batory) zastąpił. Mikstatników, szrota-

*) Częste u pisarzy XVII wieku: Bączalskiego (pan kardasz kraje ruskie łupił r. 1606), Birkowskiego, Białobockiego (u którego wilk-Tatar mówił do psa: dobra twoja, koliz tak budesz sobak kardasz moja); *Kartasi* nazywa szpiegów tatarskich Czech Dalemil r. 1310; zepsuto niezrozumiany wyraz na *kurdesz* (w znanej piosence).

rzy, tragarzy, zastąpili *hamali*; obok hajduków i t. d. zjawiają się *pajucy* (laufry); co w wojsku tureckim byli akandzi, ochotnicy, spieszący w przedniej czacie na łupy, stają się u nas zbrojnym orszakiem, *achandyją*, i *archandyją*, otaczającą pana, lecz Zimorowic nazywa i „psów archandyją straszną“; podłą gawiedź *haramzą* przezywają, n. p. mówią o zaporoskich haramżach, albo harańdzi — od tureckiego *charami*, zbój, którego po dziś dzień w „harmiderze“ używamy; charmider, dziś wrzawa, hałas, słowo przed Zbylitowskim i przed „Zwierzyńcem Jednorożców“ (Fredrów) Glinki (z r. 1668) zupełnie, ile wiem, nieznane, zwało się miejsce, pełne niebezpiecznej wrzawy; Harmideres, o którym Glinka pisze:

.. jest to miejsce niebezpieczne w lesie;
 Każdy kupiec tamtędy jako na szafic niesie
 Zdrowie swe rozbójnikom, aż go nazywają
 Dół rozbójniczy drudzy, lecz straż w niem miewają.
 Teraz szaraj cesarski piękny zbudowano,
 Zwierzyniec uczyniono, a zbójców wygnano.

Jak najmylniej wywodzono słowo to i z niemieckiego. Milicję cesarską stanowili i *Semeni*, których nazwę u nas na kozaków nadwornych przenoszono, i *Serdeniata*, szalone pałki; *Dejneki* zato tłum najpodlejszy (nazwani od kija) oznaczali. Od Tatarów i Turków nie tylko przejmowano stroje i kroje, bronie i konie; bieda zmuszała nie-raz, szczególnie w obozach, żywić się ich sposobem, *ciorbą* (polewką), *bastramami* (kawałkami suszonego mięsa) i *abuchtami* (ormiański wyraz dla solonego i wędzonego mięsa, koziny); w *saganach* gotowano *sałamachę* i kaszę, do tego miano w *bukławie* lub *bukładzie* buzę z prosa albo brahę, a w najlepszym razie „horylicę“ — oto „bewandy i frukty ukraińskie“, a i te jeszcze należało wozić z sobą w *sepetach* (skrzyniach), na

samarach i w *jukach*, jakimi Turcy wielbłądy, a nasi konie i wozy okładali. I ciężko się biedowało dla ciągłej napaści od jednego nieprzyjaciela, a w strachu od drugiego sroźszego, od *dżumy*, gdy złowrogi *tuman* stepy zaścierał, w których się i niszcząca wszystko *szarańcza* wylęgała. Dym *tabaku* i *tiutuniu* odurzał choć nieprzywykłe mu głowy; „piją“ go kozacy, a od nich i polski żołnierz go przejął, mimo protestu, jaki szczególniejszej literatura zanosila przez całe stulecie (XVII) przeciw takiemu „podkurzaniu mózgu, że się rozum zaćmi, fantazyja wzburzy“ (słowa Zimorowica). Szlichtyng, Morsztyn (Andrzej), Trembecki (Jakób) i inni układali w zawody mniej lub więcej udatne wiersze i żarty „na tabakę“. Nie wstrzymało to jej zwycięskiego pochodu; niełaskawe witanie i z kawą się powtórzyło z takim samym skutkiem. Pierwszy Andrzej Morsztyn o napoju tym z obrzydzeniem wspominał:

W Malcieśmy, pomnę, kosztowali kawy,
Trunku dla Turków... Ale tak szkarady
Napój, tak brzydka trucizna i jady,
Co żadnej śliny nie puszcza za zęby,
Niech chrześcijańskiej nie plugawią gęby...

lecz zmieniły się gusta, i właśnie ten „napój“ arcychrześcijańskim został. Wschodnie jego pochodzenie wskazują choćby nasze *filiżanki farfurowe* i *imbryki*, z których go pijemy; takie to kruche, a panowanie tureckie pono przetrwa; farfura, porcelana, właściwie „towar chiński“, a imbryki z ibryków, dzbanków powstały; lecz „sprośne *imbryaki*“ Klonowica, to włoskie, „ebbriaco“, opity. Wspomnijmy i o słowie, dziś do wyższego języka należącym choć niegdyś bardzo pospolitem, jak: *catun*, *rydwan* i t. d., które również z najnędrniejszej prozy do poezyi się wzniosły: *kotara*, dziś droga zasłona, niegdyś prosty,

pilśniowy namiot (*szater*) tatarski, dawniej i kotarhą zwany, n. p. Batory w drodze pod Psków „na południe pokarmuje w chrześcianej (zamiast chróścianej) kotarze“, pisze Jan Piotrowski; kotarhy słomą, sianem pokrywają u Jana Tarnowskiego i t. d. Zawój turecki, owo „pudło“ na głowie, zowiemy dziś turbanem, tulbantem i tulipantem: tulipany w ogrodach po nich do dziś zostały (tureckie tulbend, węgierskie turban). I *gajdy* (dudy) z turecka nazwano. Tatarzy sami, w ciągłych wyprawach na Ukrainę i Podole, mawiali łamaną ruszczyzną; w literaturze stale ich tak wprowadzają, n. p. u Białobockiego w „Brat Tatar“ z r. 1652, mówi „Tatar“ do „Chmiela“: moja nie jesz (ja nie jem), kiszka bolisz, stukasz... Już tebe zjesz (zjem), bo moja (ja) teper głodna i t. d., albo pyta Tatarzyn o chorągiew albo znak z św. Jerzym: hde bajrak szczo mołada żołnir żabu kole? i t. p. I o słowach tatarskich powtórzymy, cośmy powiedzieli o węgierskich i włoskich: nadpłynęły do języka z falą dziejową, lecz zmieniły się kierunki, więc odpłynęły na zawsze — użyje ich chyba Sienkiewicz, dla dokładniejszego odwzorowania ludzi i czasów, i wprowadzi w ambaras, nie tak czytelnika, jak tłumacza, który n. p. z kunakami, z Lipkami i Czeremisami poradzić sobie nie umiał. Inaczej miała się rzecz na Rusi, gdzie, z powodu długowiecznych stosunków z Ordą, wiele najważniejszych wyrazów, na przykład w gospodarce państwowej, pieniężnej i domowej, do dziś o dawnych związkach i wpływach świadczą. Należy tu i nazwa „wroniego oka“ (strychnos, tłumaczone z łaciny), *kulczyba*, albo jak je Miechowczyk r. 1518 z tatarskiego zapisał, *kuczylabuka* albo *kylczabuka*, i *airu* albo tatarskiego ziela (tataraka), wedle tegoż Miechowczyka.

X.

Gdy tak obyczajowość polska, wchłaniając najrozmaitsze obce żywioły, wobec nich niby bierną rolę odgrywała, przyjmowała na zawsze lub chwilowo, przetrwała lub odrzucała, jako zbytne, niemodne, przestarzałe — przypadała równocześnie na jej udział zupełnie odmienna rola wobec Wschodu, wobec Rusi i Litwy; co Polska z za granicy nabywała, wszystko obce i wiele własnego, szerzyła znowu w obrębie państwowym i nawet daleko poza jego granice. Całe życie, przedewszystkiem klas wyższych, na Rusi i Litwie, polszczało doszczętnie: zostały imiona rodowe i miejscowe, lecz zmieniała się treść ich; wpływ polski przenikał wszędzie, a wyrazem jego najzewnętrzniejszym był język Rusi Czerwonej, Czarnej i Białej, język litewski i żmudzki, obfitujący w niezliczone polonizmy. Wystarczy dziś jeszcze wziąć byle jaki słownik małoruski, białoruski, litewski: co czwarty lub piąty wyraz wzięto tam z polskiego; a w dawnym języku piśmiennym, znanym z akt urzędowych, z literatury polemicznej, z „wirszów“, zjawisko to występowało jeszcze jaskrawiej. Ileż to razy tylko pisownia i końcówki są ruskie, a sam tekst właściwie polski; i najlepszy znawca ruszczyzny pomyli się, jeśli nie będzie coraz uwzględniał toku polskiej myśli i wysłowienia, bo co tu po rusku wyrażano, pomyślano wprzód po polsku.

Lecz i poza Kijów, Połock i Smoleńsk, aż do samej Moskwy, docierała książka polska, szkoła polska, wzory obyczajów i urządzeń polskich, bezpośrednio przez „kolegium Mohilańskie“ (akademię kijowską, rządzącą się wedle szkół jezuitów), przez stosunki z bojarami, którzy nieraz zdradzali się z zamiarami przeszczepienia szlacheckiego państwa do siebie. Najsilniej występowały te wpływy za Zofii i Golicyna, podczas małoletności Piotra Wielkiego,

a główne znaczenie reformy Piotra właśnie na tem polegało, że z pominięciem Polski, ponad jej głową niby, związał stosunki z zachodem i pchnął państwo na tory zachodnie, dyplomatyczne, wojenne, ekonomiczne, naukowe i obyczajowe.

Wykazać to wszystko byłoby rzeczą osobnego studyum, do którego zebrał cenny materyał, n. p. Szlapkin w dziele o Dymitrze Rostowskim (r. 1891); zaznaczymy tu mimochodem, że znowu język przechował po dziś dzień ślady owych dawnych stosunków. W XVIII wieku było ich więcej, kiedy jeszcze n. p. język urzędowy używał zwrotów, jak: szlachecki, korona i t. p., lecz i dziś znajdziemy je nieraz, poczynwszy od pożywienia (bułka, kuchnia i kucharz); ubioru (pończocha, szpilka); szkoły (tablica, szkoła); mieszkania (komnaty, pokoje, zameł, turma, buda); rzemioł (malarz, malować, rysować, gwazdać, obrazy, sztuka) aż do nazw społecznych (mieszczanin, pan, pani i pański, stolica, herb i herbowy, bunt, węzeł); w wojskowości (pułkownik, porucznik, chorąży, tabor, szerega); oderwanych (powód, cel, szkoda, przedmiot, pozwolić) i in. Pomijamy takie, jak owczarnia, szelma, smarować, różaniec, potomek, gwałt, trafić, krochmal, jarmarek, niejedną nazwę botaniczną i in. — niektóre z nich są wprawdzie niemieckie, lecz przywędrowały przez Polskę i Małoruś.

Rzeczą innego studyum byłoby znowu wykazywać, jak na Rusi polskiej i litewskiej przemiany szły odrębnymi torami: na Podole i Ukrainę przenosiły się rody polskie, pańskie, magnackie, polonizacya szła tu z góry, popierana miejscami i przez kolonizacyę. Na Litwie przeciwnie, żadnej „immigracyi“ ani „kolonizacyi“ nie było, rody polskie dostępu tu niemal nie miały, przedewszystkiem od urzędów wyższych, duchownych czy świeckich,

były wyłączone. Ile to zachodu i hałasu było, nimby „Polak” biskupem wileńskim lub wojewodą nowogrodzkim (jak Jabłonowski) został! Na Litwie polszczała tubylcza szlachta (i mieszczaństwo) przez szkołę i kościół, przez dwór królewski i książkę, przez pobyt za Niemnem, pacholikiem, „rękodajnym” polskim, przez szwagierstwo. Już w XVI wieku władano znakomicie językiem pisemnym; trzeba czytać listy Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Sapiehów, aby ocenić ich polszczyznę; znajdzie się tu czasem słowo lub przysłowie ruskie, jak i w listach Zygmunta Augusta, ale to wyjątkowo (n. p. *staryna* — stąd starynny, *mładeniec* i kilka innych). Tylko statut litewski trzymał się dawnych terminów jeszcze i w siedemnastym wieku. Coraz zwiększała się liczba Litwinów, Białorusów i Małorusów (rodem), biorących udział w polskim ruchu umysłowym, albo ludzi z polskiej krwi, na ruskiej ziemi wyrosłych, obznajomionych z językiem otoczenia, nie wahających się słowa jego, uważane jakby za własne, nie obce, wnosić i do języka piśmiennego, od Stanisława Orzechowskiego i Szymona Budnego poczynawszy, a kończąc ów pierwszy szereg na Klonowicu i Zimorowicu.

Orzechowski więc napisze: „na tym kierchmaszu, albo na tym *prazniku*“, *puhami* zamiast pęgami (biczami), *sorom* i in. Budny, acz mu się propaganda religijna między Rusią nie powiodła, ruskiego pisma św. był najgorliwszym czytelnikiem i własne tłumaczenie biblii rusyzmami bodaj po bokach opatrywał, n. p. pisał *dzielaciele* (robotnicy), *zawidować* będzie; lnu tłającego się, po rusku *kurzącego* i t. p. Klonowic, Wielkopolanin, dopiero w dorosłym wieku na Czerwoną Ruś przybył, lecz we Lwowie i Lublinie tak się w niej rozkochał, że i najlepsze dzieło swe poetyckie jej opisom poświęcił, i własny wiersz polski ruskiemi słowami przetykał: we „Flisie“

i w „Worku Judaszowym“ czytamy n. p. *hołowieńko, izmiennik, diedu, borzobohaty, mołodziec (mołojce)*, rysią *kużą* (skórą) *przewernioną, chorośse, pohañski, zołote żniwo, chwostem* (ogonem) i t. d. Zimorowic, Lwowianin, używa nietylko nieodzownych wyrazów, aby w sielankach miejscowe tło ruskie wydać, lecz i bez tej przyczyny nie waha się wplatać słowa te same, co Klonowic, i inne, n. p. *sobaka, wataha, pohañcom, nie trunie* (piśnie) za nami i t. d. Litwin Jagodyński bardzo chętnie się niemi posługuje, pisze n. p. *nie! druhów bez rublów* na świecie, kup pierożek *chorośzy*, na jawnych *ambarach*. Te przykłady niech wystarczą. Moglibyśmy cały szereg poetów i poezji przytoczyć, Twardowskiego, Potockiego, Gawińskiego i innych; w XVIII wieku n. p. jowialne, w stylu Baki pisane, Refleksye duchowne ks. Mikołaja Juniewica. r. 1753, poświęcone wojewodzie Sołłohubowi (sam *prowódyr*, tam się *głumią* i t. d.); we wszystkich znaleźlibyśmy podobne przyczynki.

Gdy tak poeci, dla komicznego wrażenia, dla miejscowego kolorytu lub z prostego nawyknienia rusyzmów zażywają, brak ich zupełnie w prozie, jeżeli pominiemy liczne dzieła i broszury, wojujące o unię, przez cały ciąg XVII wieku. Autorowie ich Rusini, o ruskie rzeczy im idzie, więc nie tylko wyrazy cerkiewne zatrzymali, ale i pospolite, choćby i przysłowia, a najwięcej ostre wyzwiska wtrącali od Pocięja i Smotryckiego począwszy, aż do Baranowicza, Żochowskiego i innych. Z przytoczonych właśnie okoliczności wynika, że próżnobyśmy się silili ruskie słowa polskiego języka pod jakieś ogólniejsze normy czy rubryki wciągać. cośmy dotychczas z wszelkimi innemi czynili, bo są nieliczne, przypadkowe, dorywcze; wrzucił je jeden i drugi pisarz w XVII wieku, jedne się przyjęły, drugie znowu zanikły. Więc umyślnie, bez żąd-

nego ładu, tak, jak i one do języka się wkładały, wymienimy tu kilka ciekawych i ważniejszych, które próżnoby kto wytłumaczyć się silił, gdyby nie wykazał ich pochodzenia ruskiego. *Nadwyreżyć* (n. p. oczy czytaniem) zdaje się dobrem polskim słowem, ma przecież i *wy* i *ę*, a wszystko fałszywe, jak wdzięki starej kokietki. Przed XVII wiekiem słowa tego nie znano, wprowadzili je półruscy pisarze jako *nadwereżyć*, n. p.: których zazdrość ludzka nie *nadwereżyła*, pisze A. Tyszka w „Atalancie“ r. 1617; lód *nadwereżony*, Żebrowski r. 1637; z *nadwereżeniem* zdrowia, Karaś „Bando na gorzałkę“ r. 1716; kogo choroba dużo *nadweredzi*, Niewieski „Rythmy“ r. 1698. i t. d. Gdyby to słowo było polskim, brzmiałoby *nadwrzedzić* (od wrzodu), ere jest ruskiem, jak w galicyjskich czereśniach zamiast trześniach, czerepach zamiast trzopach, czerewach (Klonowic, Kochowski) zamiast trzewach, czeremchach zamiast trzemchach (por. Trzemeszno). Już dominikan Okolski pisze „*nadwerędza* prochów“ w Kontynuacyi dyaryusza (kozackich wojen) r. 1639. Podobnie ma się rzecz z *oszołomionym* (uderzonym w głowę, odurzonym), będącym „pod hełmem“ (nie-trzeźwym, jak dawniej mawiano). *Sobor*, koncylium, pozostał od wspomnianej literatury polemicznej, od Smotryckiego i innych; po polsku byłby zborem; podobnie *sojusz* z ruskiego poszedł, po polsku byłby związem. Od tychże polemistów dostaliśmy i *trutnia*, zamiast trątu, jak go jeszcze Klonowic zowie, n. p. abyśmy trutniom podobnemi się stali („Elenchus pism uszczypliwych“ r. 1622), i inne przezwiska, szczególnie *durnia*, bardzo częste w owych pismach, mianowicie w „Lithosie“ Pimina z r. 1644, gdzie n. p. czytamy: „stulże pysk panie mudrohelu (mędrohelem się czynisz, choć oni i o mędrelach często piszą), miły bałako (bałakać), bakuło, saperdo“ i t. d. Obok *durnia* mamy *durzyć*,

durnicę i durować: u Kochanowskiego w „Szachach”. Fiedor tak mówi; duraka, ale te słowa, to nie pożyczki.

Nieco starszym jest *duży*, pierwotnie silny, później i wielki (jak siła ludzi, wiele ludzi oznacza); przyszło ono i z przysłowiem „serdyt a ne duż” = lecz nie silny; *duży* chłop znaczył silnego, potem i wielkiego, więc w „Polityce pańskiej” Lipsiusza tłumaczonej przez ks. Szczerbica (r. 1608) czytamy: „lepiej, że będzie *duży*, niż wielki” (przy wyborze żołnierza). Mimo czteru wieków, jakie co najmniej temu wyrazowi u nas liczą, język piśmienny od niego stroni nieco, chociaż wyraz ten, jak i poprzedni uważamy za rodzimy.

Ruskie *hoży* paniąkom się dostało, pełnym ruchu i wdzięku (ale „więcej zgraje niż chłopą hożego”, mówi Błazewski), gdyż się „godzą”, podobają; pominąwszy *h*, które mogłoby być i czeskim, ż zdradza ruskie pochodzenie, jak i w *przedaż*, *sprzedaż* i *odzież* — ż ruskie, zamiast polskiego *dz* (odziedza); polskimi były, znane i dziś, *przedaj* (porównaj *przedajny*) i *odzież* (przyodzievek); u Kochanowskiego jest nawet *nadzieżny* koń (wobec nadziei). I to są więc mieszańce, nie pożyczki, w których polskie brzmienie zastąpiono obcem; zamiast *nędzny*, *znędzniały*, poeci w XVII w. używają nieraz *nużny* w podobny sposób. *Ochoczy* znowu i *roboczy*, ze względu na swoje *cz* zamiast *c* i późne zjawienie się, rusyzmami się wydają, chociaż mamy we własnym języku przykłady podobnego *cz* zamiast *c* i bez wpływu ruskiego (n. p. dep-

*) Nie wiemy, czy nie zaliczać i *narowu*, *znarowienia* i t. d. do podobnych pożyczek. Słowo bowiem pojawia się dosyć późno, u pisarzy jak Jagodyński (*narowity*), M. Błazewski (zwykłym *norowem*, *roznorowiona swawola* i t. d., do *norowów* = *ad ingenium*), oblitujących wrusyzmy. I *dziedziniec*, zamiast *dziecińca* (część wewnętrzna, podwórce zamkowe), od Rusi przybył.

czę zamiast depcę i pod.); Knapiesz obu tych słów jeszcze nie zna, ma tylko ohołny i robotny.

Ramotą nazywamy dziś piśmidło, dawniej ramoty i hramoty pisma oznaczały, *h* odpadło, jak w *ruby* z *hruby* (gruby), w *rabieży* z *hrabieży* (grabieży); od *rabieży*, niby od *rabowania*, należy *rubieże* (granice, właściwie poręby) odróżniać, które w XVII wieku nieraz mieszano; tu należy i *rubaszny*, od *rubacha*, mieniano się bowiem w nadmiarze poufałości na *rubachy* (koszule). *Opryszkowie*, dawniej *opryszczkowie* („na Podolu i Pokuciu, między opryszczkami żyjący i przewodnią z nimi trzymający“, Sakowicz „Perspektywa“ z 1642 i inni), *hultaje* i *szukajły* rozbijali *kolasy* (nie twierdzimy ruskiego początku słowa, lecz jak od nieba mamy niebiosą, tak oczekiwali byśmy od koła kolosa); stąd ta wielka niepewność dróg, nie tylko na Pokuciu i Podolu, ale i na Pobereżu, tak, że przysłowiowo mawiano n. p. Starowolski „Pobudka na zniesienie Tatarów“ 1617, „czyż królestwo nasze zawsze będzie jak na pobereżu wszystkim łotrom na szarpaninę wydane?“ — narzeczone *berezye*, *zberezye*, niegodziwości, z tem w związku pozostają. Słynne były ruskie czarownice, co na ożogu do Kijowa latały, i Chmielnicki się niemi otaczał; więc *wiedma*, później *wieźma* z ruskiego przezwana, jak i *upiór*, *upierzycą* (zamiast *upir*, z wampiru zruszczone). Nasyłały one i *kołtuny* (gościec po polsku) z ich dziwaczniemi zachciankami, i leczyły od nich zamawianiami, o czem szeroko rozpisuje się dr. Syxt (O Cieplicach we Skle, r. 1617), o tej od trzydziestu kilku lat, najpierw na Pokuciu i przy Bieszczadach, zjawionej chorobie, szerzącej się bardzo szybko ku Wiśle. *Kołtun*, nazwany od kiełtania, kołysania się, jak *kołtki*, zausznice, o których wyżej mówiliśmy.

W rubasznej mowie znajdziemy i inne rusyzmy,

wykluczone z piśmiennego obiegu, n. p. *morda*, *portki*, *hreczka* (gryka), *korcić* i *czupurny*, naczupurzyć się, tutaj należy, czytamy je n. p. u Juniewicza: „Jegomość durny, niegdy czupurny“ i t. d.; w poezji, u Mickiewicza n. p., trafiamy również na jeden i drugi wyraz, pominawszy *chołodziec* litewski lub *borowik* (grzyb), n. p. *rozhowory*, podczas gdy u Zimorowica Demian z Panasem *rozgwary* czynili; *wraży* synu i t. p. *Rusałka* acz w końcu z łaciny wyszła (rosalia, uroczystość, jak kołęda) również tu należy.

Znacznie więcej słów takich było w XVIII wieku; czerpali z nich autorowie jak ze skarbcza własnego języka (jeszcze w XIX wieku zaliczano nieraz małopolskie do polszczyzny, a XVII wiek między mazurską a ruską, chłopską gwarą, niebardzo rozróżniał); są to słowa charakterystyczne, specjalne, n. p. dla Kozaczyzny, są jednak między niemi i słowa ogólniejszego znaczenia. Z przysłowiami wędrowało niejedno; wspominaliśmy już: *serdyt a ne duż*; łatwo *durować* kiedy przystępuje; podobnie: nie cięży swe *boroczno* (obrok) koniowi, najdzie swadźba *soroczkę* (wesele — koszulkę), *mołczanka* nie *puszy* i in.*). Jedno z najciekawszych, jako rażący przykład dowolności językowej, jest słowo *borys* dla grubego chleba; najbystrzejszy etymolog nie odgadłby nigdy, że pod nazwą tą kryje się imię świętego, Borysa, brata Gleba (w małopolskiej wymowie Hleba, Chleba), synów Włodzimierzowych, męczenników. Skoro imię jednego brata z chlebem utożsamiono, imię drugiego, innemu podlejszemu chlebowi przywłaszczono, czytamy n. p. w kazaniach kieleckich, z początku XVII wieku (Wiśła VII., str. 74): „tu

*) Tu należy i przysłowie: wielka *derewnia* (wieś, potem postać, osoba), n. p. wielkącicie wy derewnią w tej koronie naszej, mówi Bączalski o panach w „Ochronie koronnej“ z r. 1606.

(na ziemi) chleb czeladny i borys, a tam (w niebie) szczerą ziemią pańską“; podobnie u Knapiusza: chleb gruby jako borys litewski, chleb powszedni i in.; nazwa bułgarska (nie słowiańska) i książęca dla prostego chleba—postęp nie lada!

Powszechnie używano *rochmanny* w znaczeniu ułaskawionego, łagodnego, *urochmanić* ośwoić, ułagodzić i t. d., słowo wschodnie, przez małoruskie (*rachmanny*) przejęte. Również *komunik* dla jazdy (z ludźmi komonnymi, komoników o jednym koniu, komonnikiem bez wozów, komonnie się przebrawszy i t. d.) z ruskiego (ko-moń = koń) poszło. Nakoniec *czołobitna*, *czołobitnia* dla oznaczenia kornej prośby, z jaką Rusin przed księżciem czołem bił.

Specjalnymi wyrazami dla kozaków, *semenów* (por. wyżej), *serdeniat* i *dejneków* z zakręconym *seledcem* (kosmykiem) na głowie ogolonej, z *samopalem* na ramieniu, a *wekierą* (pałką) *dereniową* za pasem, którym po *kurzeniach* (*sadybach*) na *kobzach* i *bandorach* Chmielnickiego *dumę* (pieśń) przygrywano, a *horelicą* głowy zalewano, nie myślimy czytelnika trudzić; należały tu i ulubiona ich gra w karty (*semodynacet*), i rozmaite przezwiska, *bledyniec* i t. p.⁴ Jeśli n. p. u Twardowskiego w czwartym „punkcie“ Władysława (z r. 1646) Polacy się Szwedom odgrażają:

Cóż, morskich tych szewluhów śmierdzących śledziami
Nie mieliby za morze zasieć nahejkami?

to autor użył ruskiego słowa dla szkapy, jak n. p. Okolski w dyaryuszu, gdy przyznaje Kozakom, iż u nich na starszyznę „nielada *szelucha* się obiera, albo nielada *chirawca* (słabeusza) między sobą obierają“. Słów takich u Okolskiego i innych dosyć, n. p. *komesz* trzcina (wprzód

komeszyną jawnie skarano — Filoneńkę po straconej sprawie, stąd zwrot: *w komesz*, t. j. precz, na bok); *we-reszka* (dla strzały, przytępionej czy odłamanej, ogólnie znane) i inne.

Tylko o jednym jeszcze wyrazie wspomnimy, częstym po pamiętnikach XVII wieku, niezrozumiałym nie-raz dla nowszych wydawców — *szysz*, co nie „strzałę“, lecz (ze wschodnich języków poszedłszy) wolontaryusza, „franctireura“ oznacza, n. p. w dyaryuszu wojny r. 1633 czytamy: „nasi pachotkowie wojskowi giną partim od szyszów, partim od czat nieprzyjacielskich“; Maskiewicz pisze: „napadli na nas szyszowie“; najobszerniej Lubie-niecki (str. 181): „szyszowie zaś, zbójcy moskiewscy, których się było wiele naczyniło z tych, którym ona wojna majątności, żony i działki odjęła, ci mieli zimę onę (1612) po sobie i tak na nartach, albo *jak tam zowią na łyżach biegaiąc* po kilkuset w kupie z łukami, rusz-nicami i *berdyszami*, naszych w ciągnienu nabiegali i siła im szkodzili na zdrowiu, na koniach i inszych ma-jętnościach“. Podobnych wyrazów specjalnych, o broni, stroju i t. d. ruskim, moglibyśmy jeszcze sporą liczbę z owych wieków przytoczyć; może tu należą właśnie wspomniane *łyże (łyżwy)* i inne.

XI.

Ostatniej epoki w dziejach oświaty naszej i naszych słów obcych, doby od 1750 r. do 1900, tu już nie włą-czamy.

Gdy po wiekowym zastoju umysłowość i obyczaj-owość do zachodu, do jego życia i trybu, światła i wie-dzy, myśli i mody na nowo się zwróciła, ani olbrzymia niegdyś przewaga łaciny, ani dawny polor włoski w nich

już nie przewodziły. Ton i etykieta dworu wersalskiego, mody paryskie, filozofia encyklopedystów, literatura pseudo-klasyczna stały na świeczniku; ku nim zwracało się i w Polsce wszystko, co do nowej ogłady się rwało, co z wiekowym sarmatyzmem zrywało. I zapanowała gładka, wymuskana francuszczyzna ogólniej, wyłącznie jeszcze, aniżeli niegdyś łacina i włoszczyzna: strój i meble francuskie i francuskie książki i nuty, ogród, kuchnia i służba, zabawa i karty, konwersacya i maniery rugowały wszystko, co staropolskie, z zamków i dworów, z salonów i gabinetów, z tualety i reduty. I znowu odbił się w języku ten przewrót. Lecz cóż nam po tem, po krawcach i modystkach, po fryzyerach i perfumiarzach, po restauracjach i magazynach, u stolika zielonego i na polu wyścigowym, którego terminy angielskie na Francję wędrowały, na giełdzie i po bankach, gdzie dawne włoskie wyrazy (lombardy, bankrut i t. d.) francuziały, w nauce i literaturze, zbierać wpływy francuskie, wyrażone słowami? Niema tu już żadnych zagadek ani trudności; są co najwyżej jakieś nieporozumienia czasami, n. p. „liliowy“ kolor chociaż nie biały, lecz bżowy = lilas; bransoleta, bagnety i in.; są wyjątkowo jakieś samoistniejsze nieco porywy, n. p. spryt, sprytny z esprit, filuterny z rzadkim przyrostkiem; zresztą wszystko jasne, widoczne, powszechnie znane. Z przesadnej galomanii, wyszydzanej już w XVIII stuleciu, otrząśliśmy się nieco później.

Olbrzymi rozwój naukowy i techniczny zalał w tym samym okresie, a szczególnie w ostatnich latach, język nowotworami, czasem zupełnie sztucznymi, dowolnymi (jak n. p. słowo gaz, wymyślone), najczęściej zaś greckimi (złożonymi), rzadziej łacińskimi (motor i t. p.). W stuleciu chemii i mechaniki obejść się bez nich

niepodobna; zastępować je gwałtem nowoukutymi dziwolagami wydaje nam się nie zawsze trafne — lecz wyliczać je tu, albo zastanawiać się nad nimi, znowu niema najmniejszej potrzeby. Każdy je rozezna i zrozumie, a purysta zaledwie na czas zdąży, aby terminy obce coraz nowych odkryć, wynalazków i sportów domorostłymi zamieniał, aby za Edisonem i Szczepanikiem, za Pasteurem i Kochem niezbyt w tyle zostawał.

Przedstawiliśmy, jak obce wpływy w ciągu wieków kulturę polską zasilają, o ile w archiwach języka samego te wpływy widocznieją; zaniedbaliśmy przytem objawy i okazy drobne, n. p. parę słów szwedzkich (nieraz przez Ruś do nas wędrujących), hebrajskich (dziwnie nielicznych, wobec ilości i dawności Żydów w kraju; lecz wobec odosobnionych i żyjących przez całe wieki zupełnie odrębnem życiem, trudno się było czego innego spodziewać) i innych. Nasuwa nam się jeszcze kilka uwag co do rzekomej przewagi obcych żywiołów, wyrazów „pożyczonych“ w języku polskim. Co o niej sądzić należy?

Przewaga ta, którą niby profesor paryski (L. Léger) stwierdził, a czem się p. Wł. Mickiewicz tak zgorszył, jest tylko pozorna. Należy przedewszystkiem uwzględnić, że wobec wiekowej kultury polskiej i różnorodnych jej dopływów, fale słów obcych nadpływały i odpływały stale, że n. p. wyrazy włoskie, węgierskie lub tureckie miały nader ograniczony czas trwania; nie znał ich wiek XV zupełnie, a XVIII tak dalece o nich znowu zapomniał, że należało wyrazy te objaśniać, jeżeli czytelnicy starych pism rozumieć je mieli. Słów tych wszystkich razem równocześnie w języku wcale nie było; nawarstwiały się raczej stopniowo; nowa doba, nowe życie, uprzętały je, tylko w literaturze współczesnej zostawał ich osad. Któryż Polak przyznałby się dziś do *katany* lub *sabata*? On ich

przecież nie rozumie, trzeba mu powiedzieć, że są to słowa węgierskie i wytłumaczyć mu, co znaczą i jak się do języka polskiego dostały. Czas je przywiął, czas je odwiął i dowodzą one, nie ubóstwa języka polskiego, lecz bogactwa i dawności literatury, która je zapisała i tem tylko od zupełnej niepamięci ochroniła, dalej bogactwa wpływów ościennych, jakie potężne państwo bez drobnostkowych obaw o zachowanie samobytności wchłaniało i przetrawiało. Otóż bardzo znaczna część obcych słów polskich należy do tej właśnie kategorii, do takich *przełotnych* pożyczek; one charakteryzują pewną dobę języka, pewną gałąź życia narodowego w danej chwili, lecz nie stanowią samego języka, samego życia.

Innej części słów „obcych“, wcale do „obcych“, do „pożyczek“ odnosić nie wolno. *Hańba* przypomina słowo czeskie, a *sprzedaż* ruskie: mimo to słów tych Polak ani od Czecha, ani od Rusina nie pożyczał nigdy. Miał swoje własne, prastare słowa *gańbę* i *sprzedaż*, ale, ocierając się o Czechów i Rusinów, rozmiłowywawszy się w czeszczyźnie a wsłuchawszy w ruszczyznę, może zastąpił własne *g* czeskim *h*, a własne *j* ruskiem *ż*, przyczem postępował tak dowolnie, że w *sprzedaży* pierwszą połowę słowa zostawił polską (nie przyjął ruskiego *pro*) i tylko w drugiej ustępstwo uczynił. Ktoby więc podobne słowa „obcemi, zapożyczonemi“ przezwiał, wykazałby tylko nieogłędność albo stronnictwo swego sądu; są to słowa polskie, zabarwione tylko z obca pod wpływem ościennych, pobratymczych narodów; są to pożyczki *mniemane, rzekome*.

Wskażmyż jeszcze dwie fazy w rozwoju języka, piśmiennego szczególnie, starszą i nowszą, obie tem samem dążeniem nacechowane. W przełomie od wieku średniego do nowego, około r. 1500, zarzucił język szereg

dawnych słowiańskich wyrazów, albo usunął je do nierzeczy, albo zapomniał o nich zupełnie; tak utraciliśmy n. p. nazwy stopni pokrewieństwa: dziewierza i szurzę, zołwicę i jątrewkę, nieściorę i czędo; słowa jak gospo-dzin i skomroch (kuglarz), trzem (pałac) i szłom (hełm), wrzemię (czas) i gorze (bieda), stredź (miód) i weinę (fałę), gozd (gaj) i źrzeb (łos); przymiotniki, jak golemý (wielki) i urępný (piękny); czasowniki, jak lelejać (koły-sać), bakać (hałasować), kielzać (ślizgać) i t. d. Pod wpły-wem piśmiennego języka, te jędrne i barwne wyrazy wyszły z obiegu, zastąpiono je mniej wyrazistymi, bled-szymi, ogólniejszymi; język zyskał na przejrzystości, ale stracił na dosadności, malowniczości i różnolitości.

Coś podobnego w jeszcze znaczniejszych rozmia-rach powtórzyło się w polszczyźnie czasów Stanisławow-skich. Cały szereg „staropolskich“ słów, własnych i obcych, wychodzi wtedy również z obiegu; wystarczy porównać język satyr Naruszewicza lub Piotrowskiego, z językiem satyr Krasickiego, aby przekonać się, o jakie straty wyłączna dbałość o gładkie, potoczyste, wytworne, salonowe wyrażenia język przyprawiła; w tem usuwaniu szorstkich może, chropawych nieraz, zato silnych i ma-lowniczych zwrotów i słów, późniejsza proza z wielką szkodą języka postępowała stale, wygładzała go i polero-wała niemiłosiernie, aby powtórzyć wzór francuski, bez-barwny, spokojny, chłodny, ale wymuskany, salonowy, „comme il faut“. Tory te zarzucił dopiero romantyzm; jemu zawdzięczamy, najpierw w poezyi, za którą o wiele póź-niej i proza podążyła, odświeżenie słownictwa i stylu.

W całym przebiegu tego studyum uwzględnialiśmy wyłącznie język piśmienny, a pomijaliśmy *gwary ludowe*, co w pasach pogranicznych, wystawione na o wiele sil-niejsze wpływy ościenne, obcemi słowami i zwrotami cał-

kiem inaczej przesiąkły, niżeli gwary środkowe. Tak n. p. gwary kaszubskie, pruskie i śląskie rażą germanizmami, w śląskich i czechizmy spotykamy, w górskich słowackie i węgierskie słowa, w gwarze lubelskiej ruskie, w augustowskiej litewskie; słów tych jednak nie używa i nie zna ani ogół, ani język piśmienny, mają znaczenie dla okolicy, nie mają znaczenia dla języka, chociaż się ich nieraz, szczególnie w poufalej lub żartobliwej mowie na szerokich obszarach używa; wyliczanie ich należy do słowniczków gwarowych; spostrzeżeń i wywodów ogólnych nie zmieniają. Należy tylko zaznaczyć, dla uwidocznienia stałej dowolności językowej, że niema prawie zakątku polskiego, gdzieby nie przetrwał jakiś wyraz rodzimy zamiast germanizmów innych zakątków — najlepszy dowód, jak zbędne, „nieorganiczne“ są te germanizmy; wszelkie n. p. części wozu chłopskiego, kół itd., jedna okolica bez najmniejszej potrzeby niemieckimi, lecz druga zawsze jeszcze polskimi przeżywa słowami!

Uzupełnienia.

W marcu 1917 rozesłała Akademia „Zasady pisowni polskiej“ „wszystkim powołanym czynnikom i oczekuje, że otrzyma od nich niebawem odpowiedź, czy Zasady w całości przyjmują czy nie“; ponieważ i mnie te Zasady przesłano, więc parę słów o nich na zakończenie książki nie zawadzi.

Dawniejsze uchwały Akademii co do pisowni (z r. 1891) trzymały się jedynej zasady, podolskiej: naj bude jak buwało; dzisiejsze godzą „tradycję z postępem“, t. zn. nie trzymają się żadnej zasady i zamiast ustalania pisowni, rozszerzają jej dowolność, bo kreślą jedną ręką „przepis“ a drugą go obalają, nie uważając przeciwnej pisowni „za błąd“; dalej wikłają się w ciągłych sprzecznościach. Różnica między obiema uchwałami jest ta: dawniejsza była zła, ale miała za sobą choć tradycję; dzisiejsza jest również zła, zato niema tradycji za sobą. Żeby mnie nie posądzono o przesadę, przytoczę kilka próbek nowej pisowni.

Poleca się więc pisać „Austrja“, ale urobione od tej „Austriji“ słowo pisz „Austryjak, austryjacki“! trudnoż nie przyznać, że pisownia r. 1891 „Austrya, Austryak,

austriacki“ była lepsza, bo przynajmniej jednostajna. I tak na każdym kroku: polecają pisać „fijolek“, ale „fiolety“, więc w r. 1891 stanowczo lepiej sobie poczynano. Z różnych sprzeczności w r. 1917 nie zdołano się wywikłać i machnąwszy ręką na nie, orzeczono: „wahania, jak *triumf* obok *tryjumf* są nieuniknione i dopuszczalne“ — ależ właśnie od tego są zasady i uchwały, aby wahań unikać i nie dopuszczać, boć chodzi tylko o ustalenie prawopisu, nie o rozgrzeszanie krzywopisu.

Na str. 4 „przyjęto zasadę — pisać z *tym* moim *dzieckiem*, zaś w liczbie mnogiej *temi* *dobremi* *panami*“; na str. 12. każą pisać: *dobrym* *dzieckiem*, *dobrymi* *panami*“. Więc któraż uchwała obowiązuje?

Na str. 13. każą pisać w wyrazach obcego pochodzenia *ge*, *ke*, *agent*, *kefir*, ale na str. 12 każą pisać *pakiet*, *pakier*, jakby to były wyrazy polskie — gdy należy je raczej pisać *paker*, *paket*, już dla tego, aby ich obce pochodzenie nas w oczy ćwikało i od używania ich oduczało. Co zaś Litwini „Giedymin“ i „Jagiełło“ zawiniłi, żeby ich nie pisać tak, jak się należy, t. j. Gedymin, Jagiełło, niewiadomo. Każą pisać *giemza*, tylko nie wiem, od kiedyto *giemzę* jako wyraz swojski odczuwamy, i co z nią ma *giez* do czynienia, więc pisz *gemzę*, jak *kelner* i t. d.

„W imiesłowach zatrzymać *ł*, pisać *zjadłszy*“; ta zasada grzeszy przeciw pierwszej zasadzie każdego prawopisu: nie sadzić znaków niepotrzebnych! U nas w wieku szesnastym pisano te nieszczęśliwe imiesłowcy i tak: *wylazłszy* i *wylawszy*, *odgryzłwszy* i *odgrywwszy* — jedyna poprawna pisownia jest *wylazszy*, *odgryzszy*, *zjadszy*, każda inna polega tylko na naszym narodowym widzimisię i żadna, choćby najdawniejsza tradycja nic w tem nie odmieni.

„Przymiotniki *bliski, męski, niski*, pisać przez *s*“ — jawny błąd; tylko *męski* (przyrostek *-ski*) pisz przez *s*; *nizki, blizki* (przyrostek *-ki*) tak nie pisz, lecz wedle ogólnej zasady, podstawowej całego naszego prawopisu, pisz: *blizki, nizki, ślizki, wążki, grzązki; wąski* i t. d. jest krzywopisem.

„Pisz *Gallowie*, ale *iluzja, ilustracja*“!

„Pisz *Konsul*, ale *cenzor; uniwersytet, intensywny, ale ofenzywa, defenzywa*“!

„Dopuścić postać *dwóch obok dwu*“ — dobrze, ależ pisz ją poprawnie: *dwuch*, nie: *dwóch*!

„Dzielenie wyrazów odbywa się wedle pocucia etymologicznego lub fonetycznego“: i to do bajek należy; dziel: *bo-ski, mę-ski, ma-tka*, żebyś się nie wahał, jak dzielić n. p.: *Francu-zka*, boć dzielenie ani z etymologią ani z fonetyką nic niema do czynienia; jest rzeczą mechaniczną, liczy się tylko z miejscem i z brakiem tegoż; najmądrzej dzielono też w średniowieczu: *ś-wiał*, jeżeli tak właśnie wypadało dla zapelnienia rządku.

„Przyimek *z* (przed czasownikiem należy) pisać *zawsze* wedle wymowy, *z* lub *s*“ i sprzeciwiać się zatem najogólniejszej naszego prawopisu zasadzie; wedle niej należy ten przyimek, nietylko przed czasownikiem, ale wszędzie pisać przez *z*: *z pola* jak *zpaść, zkraść, zkąd* jak *z kąta, zakończyć* i t. d.

Te próbki wystarczą na dowód, że jedyną zasadą prawopisu Akademii w r. 1917 jest brak wszelkiej zasady; że rozmija się właśnie z zadaniem każdego prawopisu, ustala chwiejność i sprzeczność tylko. Wobec zmiany jednak, jaka w pisowni Akademii zaszła, cofam i ja własne wywody: zgadzałem się przecież powyżej i na świadomie złą pisownię tylko dlatego, aby jej jednolitość uzyskać; dziś kiedy Akademia sama od własnej pisowni odstąpiła,

i ja nie mam przyczyny więcej bronić dawnej złej pisowni, a jeszcze mniej przyczyny, zgadzać się na nową złą — z jednym wyjątkiem, t. j. gdyby wszyscy na tę złą pisownię się zgodzili, bo nigdy i nigdzie liberum veto nie uznaję.

Korzystam ze sposobności, aby dodać kilka szczegółów do rozdziałów poprzednich.

Powiedziano, że Towarzystwo Przyjaciół Języka Polskiego nie miałooby nic do czynienia; otóż na pierwszym jego posiedzeniu przedstawiłbym taką n. p. sprawę. Wyszła świeżo (1917) w Warszawie książka naukowa, dzieło obszerne, wydane wprost wspaniale, pod dozorem kilku panów z największą starannością, bez błędów. Czytając je z prawdziwem namaszczeniem utknąłem jednak rychło na rzeczach, co chyba z Towarzystwa Nieprzyjaciół Języka Polskiego wyszły. Piszą n. p. autorowie stale *przeaczać* — godne stanąć obok *zaspakajać*, *zadawalać*, *uwiadaczniac*. Znalazłem dalej *obci*, t. j. pierwszy przypadek liczby mnogiej, godny stanąć obok *nasi*, *starsi*, *insi* i t. d., postaci których lud nie zna, i słusznie, bo to włazy nie prawowite (lud mówi *inszy panowie* albo i *jenszy panowie*, ale nie *insi* i mybyśmy mogli tę postać na śmietnik językowy odrzucić), a z czasem dojdziemy chyba i do *wielci panowie*, *mnodzi*? bo tylko te odpowiadałyby dokładnie owym *nasi* i t. d. Znalazłem dalej *harta* zamiast *charta*, *pasożytów* zamiast *pasorzytów*, *probież* zamiast *probierza*, o *mrzonkach* i t. d. ani wspominając. Otóż i od tego byłoby Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego, żeby takie wilki i narośle tępiło, bo nietępione rozrastają się stale. Gdyby u nas dawniej o język kto dbał, nie mielibyśmy dziś kłopotów prawopisowych. Pisałiz dawni ludzie dobrze n. p. *persuasias*, dopiero później zamazano je kwaczem polskim, jak n. p. i w *giemzie* i t. p.

Jak bez podobnego Towarzystwa wyrazy polskie ginęły, jak je chwast obcy przytłumiał, unaocznia (nie unaacznia) słowniczek z końca XV wieku, zapisujący jeszcze stale obok Niemca Polaka, skazanego na śmierć przez naszą niedbałość, więc czytamy tam: *zawora* albo *rygiel*, *ruszt* albo *siatka*, *szykować* albo *rządzić*, *sadło* albo *szmalc*, *solnica* albo *salsierka*, *pączek* (słowo rodzime, nie niemieckie!) albo *ornaf* albo *begel*, *blaskaty* albo *szyl* (zezowaty), *panew* albo *bryttanna*, *kamień* albo *cętnar* albo *funt*, *ferska* albo *brzeskinia* (brzoskwinia), *dyszla* albo *oje* albo *ciągadło* (*oje* śląskie, *ciągło* kaszubskie dziś jeszcze), *cyb* albo *zatoczka* albo *zwój*, *szkudła* albo *dranica*, *podszycie* albo *futro*, *przymierze* albo *glejt*, *gzło* albo *koszula*, *kara* albo *jednokole*, *jata* albo *buda*, *kiella* albo *korzkiew* (kielnia dziś), *klódka* albo *zamek*, *kołdra* albo *opona*, *plachta* albo *łoktusza*, *śpiegierz* (dziś szpieg) albo *łazęka*, *stępa* albo *mozdzierz* i t. d.

Wobec przesądu o „organicznym“ rozwoju języka, nie znoszącego niby dowolności, przypadku i t. d., nie wadzi zwracać uwagi na dowolności wszelakie; n. p. mamy *taniec*, *szaniec* (dawniej tylko szaniec); ale *glanc* (nie glaniec) zawsze takim pozostał. Z *privilegium* zrobiliśmy *przywilej*, ale innych łacinników na *-egium* (*collegium*), *-ogium* (*horologium*) nie tknęliśmy, Czesi mają choć koleje, orloj i i.; mamy *testament*, *instrument* z *instrumentum* i t. d., ale *wotum* zamiast poprawnego *wot* i t. d. Już ten Francuz, co pierwszy w r. 1568 gramatykę polską dla cudzoziemców (dla rodaków nie istniała, chociaż im właśnie potrzebniejsza była) napisał, dziwił się niejednemu, dlaczego n. p. nauczycielka, ale przyjaciółka zamiast jedynie poprawnego przyjaciółka (Francuz nie domyślił się, że to u nas popłócił drugi spadek liczby

mnogiej, przyjaciół, co nawet niesłychaną dawniej odmianę przyjaciółmi, przyjaciółom, zamiast jedynie poprawnej przyjacielowi, przyjaciółmi i t. d. wywołał). A skoro o tym Francuzie i jego gramatyce polskiej mówię, nie zawadzi wspomnieć, że on zawsze każe pisać -ymi, białymi końmi, białymi farbami, jasnymi zwierciadły, twardeymi wędzidły, złymi drogami (pisze jednak i z białemi głowami i każe *samemi* pisać); zawsze tylko: potem, przedtem; pisze: pomóc, ale strzydz i strzedz; już u niego są i *urzęda*; drugi spadek: *radł*, *siodł*. Dobrzy towarzysze źle go nieraz, czasem umyślnie obuczali, n. p. uczyli go odmieniać: jastrzęb, jastrzęba; chcąc go oczywiście w Babinie pasować na polskiego słownikarza, wmówili weń, że do dziewica jest i dziewic = chłopiec! i biedny Francuz im uwierzył.

Spis myrazóro objaśnionych.

	Str.		Str.
Administracya	33	bakalarz	225
afekt	19	balet	229
agrest	172	balon	29
aksamit	82	balsam	83
akwarela	78	batwochwalca	99
alamodny	229	barta	238
album	115	barwa	25, 171
alkierz	183	basalygi	246
ambicya	17	bat	230
amplifikacya	228	bawelna	155
androny	228	bazar	246
angiel	165	beczka	171
ankieta	21, 29	beigwant	188
annaly	83	belta	240
anonse	33	bez	154
anslagi	197	bękart	198
antał	242	berło	25
antykwarnia	50	besztać	241
araka	218	biały	126, 127
ardziakon	165	bibula	21, 30
arkusz	50	bieda	226
asenterować	31	biodro	109
atak	83	biórko	87
atrament	50, 225	birbant	231
aras	78	bitunk	188
Azya	59, 60, 78	bizun	241
Bachmistrz	191	bladnac	140, 141
baciarz	242	bludo	159
bakać	265	blahy	87, 88
bajronowski	82	blawa	171
		blękitny	171

	Str.		Str.
bochenek	107	chąźba	200
bodziec	70	chardy (hardy)	88
bojarzyn	216	chelzać	90
bombiza	224	chelztać	90
borowik	259	chory (hory)	88
botuch	193	chichotać	89
boty	193	chleb	160
braha	218	chlebojedźcy	206
bratowa	118	chmiel	157
breklesty	191	chwila	174
bronz	71	chram	44, 48
bruk	31, 182	chrześcian	110
brwi	111, 112	chrześcianin	110
bryndza	244	chrzest	90
brzoskwinia	172	chrztem	165
budowla	35	chychotać	89
budowniczy	35	chyz	159
budulec	64	chyży	159, 88
budy	172	chrzyżmo (krzyżmo)	90, 91
buzdygan	246	cichostęp	13, 24, 46
bug	158	ciemierzycy	158
buhaj	246	ciżmy	240
buk	160	cmyntarz	115, 165
buksztaby	191	colać	197
buła	174	cog	184
bunda	244	cyfra	108
buńczuk	246	cykata	11
burderze	205	cymbulec	195
burdynk	189	cyna	191
burka	246	cynar	195
butersznyt	21, 26, 27	cywil	26
buty	64	czaban	244
buzować	233	czambuł	246
brewerya	232	czamleły	191
byronowski	82	czaprak	247
		czasopismo	43
Cal	192	czekman	247
calun	250	czekolada	86
ceklarz	48, 182	czerek	100
cenzura	83	czerechy	25
cepliki	195	czereпча	25
celbrat	17	czerep	25
cele	35	czereśnia	25
cerkiew	164	czesać	127
chabina (habina)	88	częstowanie (czestowanie)	92
chaja (haja)	88	czołobitny	260
chalupować	205	czrześnie (trześnie)	172
		czupurny	259

	Str.		Str.
czyrak	100	egzekucya	82
ćma	109	egzekwie	82
ćwiek (ćwiok)	127	egzemplarz	81
Dach	19	egzystować	82
dalekowidz	42	egzycerować	31
dank	25	egzystencya	82
decyzya	78	ewangelia	79
deki	205	Fal (fala)	197
depczę (depcę)	122	fałsz	197
derka	171	farba	25
deszczochron	13, 24, 27, 46	fasoł	225
diaboliczny	99	fatyga	17, 32
diabolski	99	fauniczny	99
djaboł	165	faunowy	99
dnie	138	feblik	18
dobosz	241	fendle	189
dobrym (dobrem)	121	fendrych	189
dobytek	159	ferula	25
dołman	240	ferula	154
drabarz	189	filizanka	250
drabować	189	fiszka	197
druh (druch)	88	flota	230
drut	135, 136	foldrować	184
drzymać (drzemać)	90	formsznejder	190
duma	158, 260	forteca	230
dureń	256	forwark	183
dusza	111	forytować	198
duży	257	fofel	21, 30
dyngus	196	foza	231, 247
dyszel	190	frajda	18
dyszla	20, 31, 32	Franciszkan	110
dywizya	78	Franciszkanin	110
działy	243	frasować	197
dziać się	124	fraszka	231
dzianet	230	frenzle	71
dzięki	25, 71, 174	fryc	192
dziecki	216	fryjer	195
działciel	254	fryjor	192
dziennik	43	fryszt	184
dziewanna	84	frywołty	195
dziewierz	198, 265	fujarka	243, 244
dzionek	108	Gaj.	155
dżokej	79	gajdy	251
dżuma	250	ganek	106
Egzaltacya	82	gamraci	195
egzamin	81	garbarz	190

	Str.		Str.
garncarz	199	harce	189
gas	17	harmider (charmider)	88
gaz	262	harnasz	189
gbit	21, 184	harować	200
gbur	21	hasło	107
gderać	100	hawerze	189
gdule	172	Hazarowie (Chozarowie)	88
generał	80	hejnał (hajnał)	241
geneza	79	hejtman	188
geniusz	79	heksametr	81
geografia	79	hełm	154
gest	79	herb	170
gielda	79	herbowa szlachta	20, 21
giermek	241	hercownicy	189
gilza	26	hetman	26, 188
gimnazista	99	hersztować	189
gimnazyasta	99	herubim	88
gimnazyalista	99	hinszty	189
gimnazyum	115, 116	histeryczny (histeryjny)	100
gleba	226	hodowla (chodowla)	88
gmerać	100	hołdy	35
gnarować	193	honor	19, 32, 36
godło	107	hór	87
golemy	265	horze	189
gomółka	87	hoży	88, 257
gomułka	87	hrabina	118
gontyna	44	hreczka	259
gorętsi	103	huckop	188
gorze	265	hulce	35
gozd	265	hugowy	83
grodzdziejczy	206	hujdać (huśtać)	88
grzech	166	humanizm	78
grzywna	49	humowy	83
gunia	174	hurgot (churkot)	88
gwar	184	hurmą	244
gwesić się	21	huzar (chuzar)	88, 89
gwiazda	126	hymn	90
		hys	192
Hajduk	239		
hale	243	Idea	117
halastra (chalastra)	88	Igołomia	46
hamulec	197	imbryk	250
hańba	264	improvizacya	78
haracz (characz)	88	ingrycht	191
harakter	87	inserat	33
harami	249	intendant	85
haramza	249	introligator	50
harap	200	irzcha	190

	Str.		Str.
istby	159	kielnia	32, 79
izba	109	kielzać	265
Jagiello	84	kiemlarz	184
jalmużna	165	kierlesz	168
japończa	218	kieroty	197
jarmułka	217	kierunki	35
jasyr	246	kij (kyj)	89
jedwab	170	kilim	247
jeniec (jęć)	93	kir	247
jeździec	70	kitajka	217
jeźli (jeśli)	94	kiwiory	217
jutrznia	51	klasa	78
jużynować	194	klasyk	78
Kacerz	198	kleryk	165
kaczka	173	klęska	109
kadź	171	kłofta	192
kaftan	247	klomb	71
kajdany	246	kluski	64
kalafonia (kolofonia)	91	kłobuk (kolpak)	154
kałamarz	21, 27, 30	kmiecieowie	170
kamcha	217	kmota	165
kanapka	26	knap	190
kańczug (kańczuk)	246	kniazie (księdzy)	158
kapa	174	knucia (knowania)	90
kapelusik	103	koczować	246
kapelusz	234	kołęda	71
kapitałny	36	koltki	218
kapłon (kapłun)	86, 87	kołczan	247
kaptur	226	kołtun	258
karaliol (kalafior)	91	komenderować	31
karery	230	komesz	260
karnawał	231	kompletny	36
karwany	190	kompliment	85
kary	190	komunik	260
kasa	78	konew	171
kaszelec, (kaszlać)	90	konopie	157
katana	240	konszachty	197
kawalkator	230	kontusz	240
kawał	197	konwisarz	191
kawior (kawiar)	91	koperta	21, 30
kefir	79	korab	177
kegle	195	korczpergaly	205
kelner	79	kord	217
kibić	247	kordel	230
kiel	79	korekta	78
kielich	79	korespondentka	48
		korkociąg	13, 46
		korytarz (kurytarz)	86

	Str.		Str.
kościół	164	ład	71
koszary	244	legierz	189
kosztuje	20	legenda	79
koszula	174	lejce	190
kozubales	225	leki	159
kot	173	lektwarz	116
kotara	250	lelejać	265
koteryjny	100	lenistwo	67
kotezy	239	leniuszek	30
kotły	159	lesz	191
koziół	108	liker	79
kraniec	193	likwor	225
kraszczy	210	listonosz	27, 46, 47
kredens	234	listopad	27
kręgosłup	46	listówka	48
krepować	189	litra	108
kreptuch	189	liturgijny (liturgiczny)	100
kres	189	lokata	225
kresy	35	lon (len)	108
krewki (krechki)	93	lonarz	183
krobia	171	lony	190
król	170	los	20, 32, 197
królestwo	66	lubszczyk	172
królewski	67	lucyper	96
królik	173	ludwisarz	64
krupy	174	ludzki	69
krzywoprzysięsa	69	lufy	188
krzyż	165	lusznie	190
ksiądz	164	luźny	64
kszałt	198		
kubel	171	Łan	175, 226
kubki	171	łancugi (łańcuchy)	190
kuchnia	171	łanwy	190
kucmerki	194	łapki	188
kuczmy	217	łatra	192
kukły	173	ławka	108
kulbaka	247	łębski	96
kulczyba	218, 251	łuna	17
kupcy	159	łupieżca	66
kurtyna (kortyna)	86	łut	64
kuśnierz	190	łyże	261
kutłof	193	łyżwy	108
kutrygały	205	łykwiat	176
kwarc	86		
kweres	228	Magiel	79
		magierka	240
Lać	124	majestatyczny	36
ładrować	189	majster	25

	Str.		Str.
małżona	167	museum	115, 116
maniera	231	musić, musieć	124, 197
mantyk	224	muszkuł (muskul)	98
marazm	78	musztułuk	248
marcha	189	muzyka	78
marnotrawstwo	67	mydło	107
marmur	64	myśleć (myśleć)	124
marszałek	189	myślistwo (myśliwstwo)	67
masa	78	Nader	214
masarz	18	nadrągi	240
masaż	83	nadwreżyć (nadwreżyć)	93
maska	108	nadwyrężyć	256
maszerować	31	nahajka	246
maszkary	231	najeżdca	69
masztalerz	189	nasilki	217
męczennik (męczeńnik)	84	nasi	103
mędel	192	nastojcie	214
megłować	193	nasuwieć	43
meł	83	natręctwo	93
mendykować	224	nawet	215
mężczyzna	66	nieborak	24
miarkować	35	nienawidzieć	124
miasto	25, 182	niestety	214
miecz	158	niezbytny	94
między (miedzy)	93	nucić	64
mięsarz	18	nuta	64
miesięcznik	43	Obces	227
mikroskopowy	99	obszar	156
miksztat	183	obowie (obuw)	86
miła	192	obywatel	211
misa	171	obywatelski	23
mistrz	25	ocel	191
mizdrzyć się (mizdżyć się)	86	ochoczy	257
młyn	174	odwach	31
mnił	87	odzież	257
mobilizacja	78	ogół (ogul)	64, 86
moc	69	ohyda	88
móc, módz	69	ojcostwo	67
modlitewnik (modlitwnik)	106	ojcowizna	23
moję	119	ojcowski	67
molderz	184	ojczyzna	23
morsprzęgi	195	oje	20
moździerz	189	okonia (okunia)	86
mrówczarz	27	okulary	50, 51
mrzonka (mżonka)	70	olej	170
msza	109	olówek	30
mularz	184		
multanka	244		

	Str.		Str.
opozycja	78, 85	plonny (plony)	84
orda	246	pochwa	107
ordynk	188	pociąg	43
orędzie	174	poczta (poszta)	94, 233
orszak	239	pocztowiec	48
osieł (osioł)	108	podpadający	24
osiwiali (oświeli)	126	poganin (pogan)	110
oszołomiony	256	pogany	168
owoc	160	pójść	97
Pajęcznik	176	pokój	25, 51, 212
pajucy	249	pokryciec	210
pałac	229	polerować	31
pałuby	217	polszczyzna (polsczyzna)	97
pankuchy	194	połoniny	243
papież	165	pomoc	69
parasol	26, 27	ponieważ	213
parostatek	24, 27	ponsowy	71
partek	224	pop	164
partes	225	pospiech (pośpiech)	97
pasmo	107	poszłę (poślę)	94
patent	29	pożyczka	33
patria	23	praskury	217
patryotyczny	23	prawiedny	109
paznogieć	96	prawodawstwo	67
pell	83	provincialny	99
penzel (pęzel, pędzel)	71	próba	64
pergamin (pargamin)	96	przedsiębiorec	135
perła	108	przekleństwo (-ęstwo)	93
pieczęć	93	przysiołek	107
piekarnia	139	przyśli	94
pielegnować	71, 92	puchacz (puhacz)	88
pielegować	197	puhar (puchar)	88
pieniądze	158	pulares	38
pieprz	170	puńczocho	193
pierła	170	puszki	17, 20, 171
pierogi (pirogi)	100	Rachować	197
pies	108	rachunek	35, 106
piguły	225	radca	67, 69
pigwy	172	radzić	174
piły	159	rakosz	239
piosnka	110	ramota	258
pisarzów (pisarzy)	135, 139	rańtuch	195
pkieł	166	rata	197
plachy	188	ratunek	106
plenny	84	raz	102
plugawstwo	67	recenzent	83
plątnarz	189	regent	80

	Str.		Str.
regestr	80	scyzoryk	21, 30
rejent	80	sędzi, sędziu (w)	140
rejnważny	190	sekretarz	22
rękopism(o)	43	seminarz	116
reparować	85	sentyment	19
reszt	197	sensacya	83
reumatyczny (reumatowy)	99	sepety	249
roboczy	257	siedm (siedem)	109
rochmanny	260	siodło	106
rohatyny	205	skaplerz	98, 224
rostuszar	186	skarb	175
rotgisarz	190	skiba	175
rousseauwy	83	sklep	25, 51, 212
rozbroić (rozebroić)	130	skomroch	265
rozgrzeszyć (rozrzeszyć)	92	skopy	171
rozkosz	110, 111, 112	skoł	159
rozpostrzeć	69	skrupulatny	36
roztrzeć (rozetrzeć)	130	skrzat	196
rozumieć	71	skrzynia	171
róża	64	stojecz	193
rubaszny	258	słomka (stąka)	86
rubież	258	ślonkowiec	27
ruby	258	szluzba	109
rucznic	205	śnać (śnaść)	102
ruś	192	sobor	25, 256
rum	189	sobótki	176
rumaki	246	sojusze	25
rumatyczny	78	spacerować	31
rumianek	11, 20, 172	spady	171
rura	64	spieglerz	189
rusalka	259	spina	17
rybołówstwo	67	spiż (spiz)	97
rystunek	188	spryt	262
rzeciędze	190	sprzedaż	257, 264
rzeczpospolita	46	ssać	83
rzetelny	213	stać	131
rzodkiew	90	staniecki	190
rząć (rzyć)	91	statua	117
Sabaci	240	stawy	18
sajan	234	stębnować	71
sajdak	247	ster	192
saksoński	30	stodoła	172
Sapieha	87	stojaczka	176
sataniczny (satanowy)	99	stosunki	35
satyrowy	99	strąpacz	176
schadzka	70	stroliwać	185
schillerowski	82	strozak	193
		struna (stróna)	87

	Str.		Str.
strychulec	64	szosa	77, 182
strzedz	69	szpada	230
strzedź	265	szpica	25, 26
strzyga	175	szpona (spona)	98
studnia	139	szranki	189
stuła	64	szron (šron)	97
sturarz	190	szrotarz	183
styczeń	177	szrotwajny	190
sufit	78	sztafirować	236
sugestia	83	sztempel (stempel)	97
sukienka	108	sztoły	189
sulejaty	50	sztuka	212
sułanna	84	szturm	189
swora (słora)	96	szurz	198, 265
synostwo	67	szwoleżer (chevauxlegers)	77
synowski	67	szyk	188
szabla	140, 189	szyllerowski	82
szalas	244	szyndowała	21
szafic	189	szynka	19, 20, 188
szaragi	25	szypr	192
szarańczka	250	szrymierze	189
szarawary	217	szyszak	241
szarszyny	205	Ściana	126
szczeka (szczeka)	71, 134	ścikła	159
szefeliny	205	śliski (ślizgi)	90
szekspirowski	82	ślusarz	64
szelma	206	śluz (szluz)	97
szepszelink	184	śmiać się	124
szereg	240	śmie	71
szewcowa	118	śmiertelny	212
szewstwo	67	śmigus	196
szakplerz	98	śpic (szpic)	97
szklanny	84	špichlerz (szpichlerz)	97
szkopuł (skopuł)	98	špisz	97
szkut	192	šrót	64
szlachetny	35	šwiecidlnik	106
szlachta	170		
szlak	248	Tabak	250
szle	190	tachry	192
szlegi	189	tajemnik	22
szłom	154, 158, 265	tanecznicza	106
szłyki	217	taniec	106
szmagi	192	taśma	248
szmalc	190	tebinki	247
sznur	31	telefon	29
sznypka	197	telegraf	29
szolki	159	telegrafowy	99
szory	190		

	Str.		Str.
terrakota	83	Wapanrok	188
terroryzm	83	wardęga	159
tesar	210	warsztat	190
tętent (tęten)	92	warzecha	93
tiutium	250	wasęgi	190
tlumacz	218	wdzięczny, wdzięki	35
topola	173	wębor	171
torlop	216	wędrować	71
torpeda	29	węgetacya	79
trąba	175	welna	265
tradynkować	185	wendeta	231
traf, trafić	20, 32	weranda	85
trafty	192	werbunek	86
trenzle	71	werk	25
trepki	193	wet	184
trętuar, trotuar	91	widelec	107
trosarz	193	widoczek	49
trunek	106	widza (dalowidz)	42
truć	256	widziemy	123
trzaskać	24	wiedma	258
trzem	265	wiedźma	107
tulipan	251	wielbąd (wielbład)	94, 160
tuman	250	wielki (wielgi)	89, 90
turban	251	wieś	110, 111
turma	17, 31	wilkierz	182
turniej	189	wiosło	107
tutki	26	wioska	108
tygodnie	138	wiotchy	93
tym, tem	120	wisznie (wiśnie)	140
tyny	159	witrykusz	224
tytoń, tytuń	91	wiwenda	231
		wizerunek (wizerunk)	106
Uczelnik	220	wlokę (wlekę)	126
uczennica	84	włość	211
uczestnik (uczestnik)	92	wodociąg	46
uczniów (uczni)	135, 139	wojłoki	246
umię	71	worwol	218
uniwersalny	36, 83	wpychać (wepchnąć)	129
uniwersytet	83	wraży	259
upadłszy (upadszy)	125	wrzemię	265
upiększyć	70	wstrzemięźliwy	92
upiór	258	wszcząć (wzcząć)	131
urępny	265	wściec (wzciec)	131
urwiesz	96	wwlec (wewlec)	128
usiergi	159	wychodca	69
usnachci	182	wycwerki	233
usterki	109	wydma	107
		wyspa	109

	Str.		Str.
wyżej	93	Żądać	220
wsiąść (wziąć)	127	zak	161
Zacz stoi	20	załm	165
zagajenie	25	zebra (rzebra)	70
zamek	25, 51	żegnanie	165
zarkuły	217	zemia	174
zaś (zasię)	135	żętyca	244
zasadzka	70	zmija (zmija)	71
zasłonka	11	zmudny	71
zbieg	135	żołdnierz	188
zboże	159	żołtarz	165
zbuntować	197	zubr (ząbr, zubr)	71
zgniecenie (zgniecenie)	125	żupan	177
ziobra	70	żumpiarz	183
z którym (ze którym)	128, 129	żupy	174
zmarhać	220	żur	193
zsunąć (zesunąć)	128	Żrebię (żrebię)	70
zszywać (zeszywać)	128, 130	żrenica (zienica)	93
zwycięzca	66	źródło (źródło)	70
zwyciężyć	93	źrzeb	265

SPIS RZECZY.

	Str.
Zamiast przedmowy	1—9
Walka z cudzoziemszczyzną (I—III)	11—52
Wady naszej pisowni (I—XI)	53—142
Wyrazy obce i ich znaczenie (I—XI)	143—266
Uzupełnienia	267—272
Spis wyrazów objaśnionych	273—284